



# ŚMIERĆ, KTÓRA CIĘ OCALI

JACK JORDAN

TRUDNO O BARDZIEJ SKUTECZNEGO MORDERCĘ NIŻ WPRAWNY CHIRURG

# ŚMIERĆ, KTÓRA CIĘ OCALI

JACK JORDAN

przełożył  
Radosław Madejski



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie



Projekt okładki: *Tomasz Majewski*  
Redakcja: *Barbara Milanowska / Lingventa*  
Redaktor prowadzący: *Anna Wżyżykowska*  
Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*  
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*  
Korekta: *Katarzyna Szajowska, Elżbieta Steglińska*

Zdjęcie wykorzystane na okładce:

© Shaiith/iStock

Grafika wewnątrz tekstu:

Image by juicy\_fish on Freepik

© 2022 Jack Jordan

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

© for the Polish translation by Radosław Madejski

ISBN 978-83-287-2420-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

Sandrze Jarrad,

która jest natchnieniem dla matek gotowych na wszystko dla swoich dzieci, tak jak ona dla mnie. Bez niej nie byłoby tej książki.

*Primum non nocere*

HIPOKRATES

„Lekarz powinien mieć na uwadze dwa szczególne cele w odniesieniu do choroby, a mianowicie, aby czynić dobro lub nie czynić szkody”.

*CORPUS HIPPOCRATICUM*

„Wśród lekarzy występuje znaczne ryzyko zapadalności na choroby psychiczne, dlatego nie jest szczególnie zaskakujące, że pewne cechy kojarzone z osobowością psychopatyczną dają się zauważyć u tych, którzy zaszli wysoko w naszym zawodzie”.

J. PEGRUM, O. PEARCE, THE ROYAL COLLEGE OF SURGEONS, SIERPIEŃ 2015

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

Spis treści

## CZĘŚĆ I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

## CZĘŚĆ II

26

27

28

29

30

31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51  
52  
53  
54  
55  
56  
57  
58  
59  
60  
61  
62

Podziękowania



# CZĘŚĆ I



Anna  
Czwartek, 4 kwietnia 2019  
16.32

Mam krew na szyi. To tylko pojedyncza kropelka nie większa od piega. Nieistotna drobinka na tle całego wszechświata. Przede mną leży człowiek z otwartą piersią; patrzę na jego przecięty wzdłuż mostek i na płuca czarne od smolistych plam, rozchylone stalowymi łopatkami rozwieracza, żeby odsłonić serce. Wszędzie widzę krew, mimo to myślę jedynie o tej małej kropelce, która zdaje się wżerać w moją skórę.

Przekładam skalpel z lewej dłoni do prawej i kilka razy obracam nadgarstkiem, aż rozlega się przyjemny chrzęst. W sali panuje taka cisza, że ten ledwie słyszalny odgłos odbija się słabym echem od chłodnych wykafelkowanych ścian.

Wszyscy wpatrują się we mnie, jakby chcieli się upewnić, czy nie zadrży mi ręka. Ale choć czuję na sobie tyle badawczych spojrzeń, nie pocą mi się dłonie, a palce zaciskają się pewnie na rękojeści skalpela, którego zaróżowione od krwi ostrze połyskuje w jaskrawym świetle. Za to moje serce ukryte pod zielonym fartuchem kołacze tak szybko, że niemal czuję je w gardle.

Tymczasem serce Petera Downinga jest nieruchome jak kamień.

Operacja pomostowania aortalno-wieńcowego przebiega bez komplikacji, ale tylko do czasu. Po otwarciu klatki piersiowej wszczepiłam dwa pomosty naczyniowe, wykorzystując żyłę odpiszczelową, żeby ominąć zwężone arterie i zapewnić prawidłowe ukrwienie mięśnia sercowego. Po zwolnieniu zacisku blokującego aortę i wypłukaniu zimnego roztworu potasu, którego wstrzyknięcie zatrzymuje akcję serca, powinno nastąpić przywrócenie krążenia.

Wbijam wzrok w otwartą klatkę piersiową i czekam na pierwszy skurcz, na jakikolwiek ruch świadczący o powrocie do farmakologicznie wstrzymanego życia.

Na próżno.

– Proszę wyłączyć respirator.

– Respirator wyłączony – odpowiada doktor Burke.

– Wracamy na pompę.

– Przywracamy krążenie pozaustrojowe – potwierdza Karen ze stanowiska perfuzjonisty.

Oddaję skalpel asystentce i czekam w ogłuszającej ciszy. Gdy wreszcie krew znowu zaczyna płynąć przez płucoserce, napięcie uchodzi z sali niczym rozgrzany nieswieży oddech.

– Dajmy mu jeszcze chwilę – mówię i z powrotem zakładam zacisk na aortę. – To biedne serce jest chyba trochę zmęczone.

– A kto tu nie jest? – odzywa się żartobliwym tonem doktor Burke i mruga do mnie znad okularów.

Doceniam jego pokrępiący gest, ale obydwójce wiemy, że jestem zdana tylko na siebie. Każda operacja jest działaniem zespołowym, ale tylko w pewnych granicach. Doktor Burke czuwa nad kroplówkami, kontroluje respirator i obserwuje linie na monitorach, Karin obsługuje płucoserce, a stojący na drugim końcu stołu chirurg wypreparowuje z podudzia pacjenta żyłę do przeszczepu. Każdy ze specjalistów ma swojego asystenta; przy moim boku stoi Margot, która podaje mi narzędzia i tampony. Ale jeśli chodzi o samo serce, cała odpowiedzialność spoczywa na mnie.

Oblewa mnie fala gorąca i czuję ciarki między łopatkami.

*Skup się.*

Spoglądam w otwartą jamę klatki piersiowej. Wszczepione bajpasy nie budzą zastrzeżeń, zespolenia naczyń są czyste i szczelne. Daliśmy sercu trochę czasu na powrót do aktywności, zaaplikowaliśmy farmakologiczny koktajl, próbując wywołać skurcze, i przeprowadziliśmy testy pod kątem zaburzeń metabolicznych lub jakichkolwiek innych nieprawidłowości, które mogły umknąć naszej uwadze. Jeszcze raz prześledziłam wszystkie moje działania w nadziei, że problem jest wynikiem jakiejś pomyłki, którą popełniłam i mogłabym teraz naprawić. Niestety niczego takiego nie znalazłam.

Zerkam na duży ścienny zegar. Zbliżamy się do końca czterogodzinnego okienka, w którym można jeszcze uniknąć uszkodzenia serca. Po przekroczeniu tej granicy każda mijająca sekunda jest jak gwóźdź do trumny pacjenta.

Czuję swędzenie na górnej wardze i powstrzymuję się, żeby nie obetrzeć ściekających po niej kropli potu. W myślach powtarzam radę mojego mentora: „Nigdy nie okazuj zdenerwowania. Jeśli zaczniesz panikować, inni też wpadną w panikę. Nie wprowadzisz statku do portu, kiedy twoja załoga wyskoczy za burtę”.

Ujmuję w dłoń serce pacjenta i zaczynam je ścisnąć w takim rytmie, w jakim kurczyło się i rozkurczało przez całe życie. Potem odkładam je delikatnie na miejsce. Mięsień zrobił się różowy od mojego dotyku i wygląda dosyć osobliwie, wręcz ładnie, jak zarumieniony na mrozie policzek.

– Dajmy mu jeszcze jedną szansę – mówię tonem, w którym pobrzmiewa waga moich słów.

Wyciągam rękę powoli, jakbym chciała przedłużyć życie pacjenta choćby o tych parę sekund. Zdejmuję zacisk z aorty i strumień krwi napływa do serca. Ale serce nadal nie reaguje.

Ścisgam je raz za razem, ale nawet po wypłukaniu roztworu potasu jest dziwnie chłodne, wilgotne i śliskie niczym mięsisty ryj świni.

*No, dawaj, Peter!*

Tężej mi ramiona, gdy pochylona nad stołem wkładam całą siłę w rytmiczne skurcze dłoni. Na moim czole zbiera się pot, a wtedy Margot wyrasta obok mnie i w milczeniu zbiera gazikiem kropelkę za kropelką.

Nie mam pojęcia, ile upłynęło czasu – minuta czy dziesięć – ale kiedy zdyszana unoszę głowę lśniąca od potu, uświadamiam sobie, że cały zespół wpatruje się we mnie ze współczuciem w oczach. Wtedy to do mnie dociera.

To serce już nigdy nie ożyje.

Czuję bolesne pulsowanie za oczami, a napięte mięśnie ramion przeszywa nerwowo skurcz. Spoglądam na moje dłonie, obolałe i drżące od wysiłku, po czym cicho wzdycham z rezygnacją.

– Pompa stop – mówię.

Karin kiwa głową. Dziś na stole operacyjnym umrze człowiek, a my się do tego przyczynimy. Ja, wydając polecenie. Ona, naciskając przelącznik.

– Krążenie pozaustrojowe wyłączone.

– Respirator stop.

– Respirator wyłączony – potwierdza doktor Burke.

Plucoserce kończy pracę. Rurki opróżniają się z krwi, która spływa z powrotem do organizmu pacjenta. A potem następuje nieuniknione – pozioma linia na ekranie kardiomonitora. Jednostajny dźwięk przeszywa nas wszystkich i niczym rozdzierający krzyk odbija się echem od wszystkich aparatów i narzędzi.

Zerkam na zegar.

– Czas zgonu: szesnasta pięćdziesiąt trzy.



Anna  
Czwartek, 4 kwietnia 2019  
17.10

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Ktoś słabszy mógłby w takiej chwili spuścić wzrok; trzeba wiele poświęcenia, aby wytrzymać spojrzenie najbliższej osoby zmarłego pacjenta. Ja jednak patrzę w oczy pani Downing i dostrzegam wszystko, co się z nią dzieje, gdy przekazuję jej druzgocącą wiadomość – z jej ust wyrwa się niemal bezgłośny jęk, a oczy robią się szkliste od łez. Val, pielęgniarka z oddziału kardiologii, stoi obok mnie, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

Poznałam panią Downing, kiedy przyszła z mężem na wstępną konsultację. Zapewniłam ją, że to standardowy zabieg, i patrzyłam, jak podniesiona na duchu opuszcza mój gabinet sprężystym krokiem. Zawierzyła mojej reputacji i doświadczeniu, które też sprawiły, że jej mąż podpisał zgodę na operację. Teraz mnie za to znienawidzi, gdy tylko otrząśnie się z szoku.

– Czy Peter cierpiał? – pyta drżącym głosem.

– Nie – odpowiadam, patrząc jej w oczy z niewzruszoną miną. – Niczego nie czuł.

Prawdopodobnie uważa mnie za zimną i obojętną, ale za moim zachowaniem przemawiają lata praktyki. Z czasem nauczyłam się, że nie powinnam okazywać krewnym zmarłego pacjenta zbyt wiele współczucia, które mogą odebrać jako protekcyjne traktowanie. Nadmierny smutek też nie jest wskazany, gdyż łatwo go pomylić z poczuciem winy. Gdybym natomiast podeszła do pani Downing z uśmiechem na twarzy, dałabym jej złudną nadzieję. Praca kardiochirurga nie ogranicza się jedynie do naprawiania serc – musimy również wiedzieć, jak unikać ich łamania.

– Pani Downing – mówię spokojnie, próbując do niej dotrzeć mimo szoku. – Moja współpracowniczka pomoże teraz pani w dopełnieniu formalności i odpowie na wszystkie pytania. Jeśli pani czegoś potrzebuje, proszę się nie krępować.

Val ujmuję panią Downing pod rękę i delikatnie prowadzi w stronę fotela. Kobieta dzielnie powstrzymuje się od płaczu, ale gdy zamykam za sobą drzwi, angielska flegma w końcu ją opuszcza. Zaciskam powieki i biorę głęboki oddech, żeby zebrać się w sobie, po czym ruszam korytarzem w kierunku szatni.

Już dawno nie zdarzyło mi się stracić pacjenta, w każdym razie do dzisiaj, i nagle ogarnia mnie obawa, czy to aby nie jest początek złej passy. Szybko jednak odpędzam tę myśl.

*To tylko jedna porażka po długim paśmie sukcesów. Spójrz na to z szerszej perspektywy.*

Ale wiem, że wpojone zasady albo zwykłe przyzwyczajenie nie pozwoli mi zapomnieć o tej operacji.

Wchodzę do przebieralni i zdzieram z siebie błuzę chirurgicznego uniformu.

– Dobrze się czujesz?

Margot stoi obok swojej szafki i spina włosy w koński ogon. Zauważam, że powinna zafarbować odrosty.

– Tak, wszystko w porządku.

Jeszcze raz odtwarzam w myślach całą operację, obsesyjnie analizując każdy szczegół w poszukiwaniu momentu, w którym serce Petera Downinga odmówiło posłuszeństwa. Błędy mają to do siebie, że często natrafiają na jakąś szczelinę w pancerzu rutyny, co pozwala im uderzać w czułe punkty.

– Nic więcej nie mogłaś zrobić.

– Wiem – odpowiadam bez przekonania. – Dzięki.

Mówię beznamiętnym, pozbawionym emocji tonem i czuję, że Margot przygląda mi się odrobinę za długo. Musi uważać mnie za bezduszną. I przypuszczalnie ma rację.

Przed ogłoszeniem czasu zgonu jestem nieludzko chłodna. Wpatruję się w otwartą jamę klatki piersiowej z takim samym zaangażowaniem emocjonalnym jak elektryk, który sprawdza przepalone obwody. Nie myślę wtedy o człowieku ukrytym pod niebieską płachtą ani o jego bliskich, którzy czekają za drzwiami, żeby się dowiedzieć, czy ich świat wróci do normy, czy obróci się w ruinę. Nie mogę, w przeciwnym razie popadłabym w obłąd. Dopiero kiedy wychodzę z sali operacyjnej, spada na mnie całe brzemie negatywnych konsekwencji i przez resztę dnia zastanawiam się, co mogłam zrobić inaczej.

– Gotowa na sobotę? – pyta Margot, zmieniając temat.

Zupełnie zapomniałam o tym, co mnie czeka. Operacja pana Downinga całkowicie pochłonęła moją uwagę. W jednej chwili znowu ogarnia mnie napięcie.

Za dwa dni mam przeprowadzić najpoważniejszą operację w mojej karierze – pomostowanie trzech zablokowanych arterii wieńcowych Ahmeda Shabira, członka parlamentu z okręgu Redwood i, jeśli wierzyć plotkom, przyszłego lidera Partii Pracy. Mówimy o nim Pacjent X, a wszyscy wtajemniczeni zobowiązali się do zachowania dyskrecji, żeby wiadomość o operacji nie wyszła na jaw, gdyż mogłaby wpłynąć na jego szansę w kolejnych wyborach. Nie ma to jak sięgać po skalpel ze świadomością, że w twoich rękach spoczywa los potencjalnego kandydata na premiera.

– Oczywiście.

Dzwoni komórka Margot, ale ona nie odbiera, a jedynie zerka na nią przelotnie i wrzuca ją do torebki. Zanim aparat znika mi z oczu, dostrzegam na wyświetlaczu imię Nick. Wyjmuję z szafki swoją torebkę i jeszcze raz odczytuję wiadomości, które przed kilkoma godzinami wymieniliśmy z Zackiem.

**Zack:** Proszę, nie każ mi jechać. Obiecałaś, że będziesz.

Dostałam to w południe. Zamiast się bawić mój syn zamartwiał się i wysłał mi esemesy. Odpisałam mu w przerwie między operacjami. Poczucie winy przyprawiło mnie o takie mdłości, że nawet nie tknęłam lunchu.

**Ja:** Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym wyjechać z tobą na święta, ale mam tu ciężko chorych pacjentów, którzy nie wyzdrowieją bez mojej pomocy. Wybierzemy się gdzieś razem w wakacje, tylko ty i ja. Zaczniij się zastanawiać, dokąd miałbyś ochotę wyjechać, a ja zadbam o resztę xxx

**Zack:** Pacjenci zawsze są dla ciebie ważniejsi.

Nie miałam pojęcia, co mu na to odpowiedzieć.

– Bardzo zajęta dziś wieczorem?

Margot zwilża językiem brzeg bibułki, po czym skręca papierosa i zatyka go sobie za ucho.

Kilka razy usiłowała nawiązać ze mną bliższe stosunki, niemal jakby to było wyzwanie, w którym postanowiła się zmierzyć. Ale ja nie chcę mieszać relacji zawodowych z osobistymi sympatiami. Jeśli między koleżankami z pracy pojawia się zbyt duża życzliwość, na problemy nie

trzeba długo czekać. Sala operacyjna to nie miejsce, w którym można sobie pozwolić na luz. Jest o wiele bezpieczniej, kiedy wszyscy zachowują czujność.

Wyjmuję z szafki kurtkę i narzucam ją na siebie.

– W zasadzie tak. Jutro mój syn wyjeżdża z wujkiem i kuzynką na ferie świąteczne do Kornwallii, więc spędzimy ten wieczór razem w domu.

Margot zbyt dobrze wie, jak wygląda życie pracowników publicznej służby zdrowia, aby mnie pytać, dlaczego nie jadę z nimi. Przynajmniej za to jestem jej wdzięczna.

– Jak on sobie radzi z tym wszystkim?

Nieruchomieję, trzymając w palcach suwak zamka błyskawicznego.

– Co masz na myśli? – pytam ostrym tonem.

Margot otwiera szerzej oczy, zaskoczona tą nagłą zmianą.

– No cóż, nie nosisz obrączki... – mówi, patrząc wymownie na moją dłoń.

Czuję pieczenie, gdy moje policzki oblewa rumieniec gniewu. Wyjmuję torbę z szafki i głośno zatrząskuję drzwiczki.

– To osobiste sprawy – warczę w odpowiedzi i ruszam w stronę wyjścia. – Widzimy się jutro.

– Tak – odpowiada Margot, po czym mruczy coś niezrozumiale pod nosem.

*Suka.*

Przystaję z dłonią na klamce, a w moich ustach wzbiera gniewna tyrada, ale w końcu cicho zamykam za sobą drzwi.

Docieram do samochodu i staję jak wryta.

Zniekształcone w wypukłej szybie odbicie mojej twarzy przypomina trupią czaszkę o ciemnych oczodołach, sterczących kościach policzkowych i ostrym podbródku.

*No i któż teraz cię zechce?*

Gramolę się do środka i rzucam torbę na siedzenie pasażera. Rozrusznik rzezi z mozołem, a z kratek wywietrznika bucha letnie powietrze, oczyszczając zaporowane szyby. Rozpieram się w fotelu i zamykam oczy.

O tej porze Zack jest już po kolacji i pewnie leży na sofie przed telewizorem, podczas gdy Paula doprowadza kuchnię do porządku. Gdyby któraś z dawnych sąsiadek w mieście zaproponowała, że odbierze moje dziecko ze szkoły i wstawi naczynia do zmywarki, zatrzasnęłabym jej drzwi przed nosem i przekręciła wszystkie zamki. To zdumiewające, jak wiele może zmienić przeprowadzka w inną okolicę i czysta desperacja.

Po raz pierwszy od sześciu godzin nareszcie mam okazję usiąść i czuję, jak moje stawy sztywnieją. Perspektywa wieczornego spaceru z psem wywołuje we mnie zgrozę, ale serce mi się kraje na samą myśl o uroczym pyszczku Miśka. Miałam nadzieję, że kiedy Zack dostanie psa, o którym zawsze marzył, moja nieobecność nie będzie mu tak bardzo doskwierać. Jednak mimo dobrych intencji powiększyłam tylko grono zawiedzionych, którzy cierpią z mojego powodu.

Przypominam sobie odbicie wymizerowanej twarzy w szybie samochodu i opuszczam osłonę przeciwsłoneczną, żeby przyjrzeć się sobie dokładniej w lusterku. Pod cienką warstwą makijażu widzę bladą zaniedbaną cerę i podkrążone oczy. Mam przekrwione białka, a moje wargi wydają się niemal bezbarwne. Naciągam skórę palcami, jakbym chciała cofnąć czas, i nagle nieruchomieję.

Na szyi wciąż mam tę małą plamkę krwi.

Podrywam się spanikowana i zaczynam ją zeszkrobywać paznokciem. Moja skóra robi się czerwona, a w opuszkach palców czuję nerwowe pulsowanie. Krew jest zaschnięta i złuszcza się drobnymi płatkami. Gdy w końcu plamka znika, w jej miejscu zostają podłużne zaognione ślady zadrapań.

Uporczywy impuls znów się odzywa.

Nie dawał mi spokoju od chwili, gdy serce pana Downinga odmówiło współpracy. Jest niczym robak, który wije się niespokojnie w moim mózgu, nie pozwalając mi zebrać myśli. Otwieram szeroko oczy. Z lusterka spogląda na mnie zmęczona kobieta.

Odrywam pasek sztucznych rzęs, odsłaniając powiekę, na której uchował się jeden samotny włos. Minęło kilka tygodni od tamtego wieczoru, kiedy ostatni raz nie zdołałam się oprzeć tej pokusie. Siedząc na sofie, wyrывałam z tapicerki sterczące nitki i skubałam skórki przy paznokciach, aż zaczęły krwawić – robiłam wszystko, żeby powstrzymać się od jedynej rzeczy, która mnie uspokaja. Natrętnego przymusu, który mnie prześladowe, odkąd pamiętam.

Czuję mrowienie w opuszkach, kiedy sobie wyobrażam, jak unoszę je do powiek. Zaciskam pięści, żeby zapanować nad sobą, i niechcący zgniatam sztuczne rzęsy, które wciąż trzymam w dłoni. Klnę półgłosem i próbuję je rozprostować, ale na próżno; cieniutkie włókna są powyginałe jak odnóża martwego pająka. Zdzieram pasek z drugiej powieki, zwiżam je oba w kulkę i ciskam na gumowy dywanik pod fotelem pasażera.

Natrętny impuls nie znika. Podwijam rękaw kurtki i przyglądam się jasnym delikatnym włoskom na przedramieniu. Od lat wyrывam je z cebulkami, więc niektóre odrastają rozdwojone, a inne sterczą pod dziwnymi kątaami. Jeśli mam to zrobić, myślę, powinnam wykorzystać rękę. Łatwiej zamaskować ślady. Wydaje się to mniej upokarzające. Ale to jednak nie to samo.

Ostrożnie unoszę dłoń do oka, jakbym próbowała przechytryć samą siebie, i chwytam w palce sterczącą samotnie rzęsę. Uporczywe pragnienie narasta we mnie i wypiera wszystkie myśli oprócz tej jednej, natrętniej, która zdaje się rozsądzać mój mózg. Obracam drobnutki włos między opuszkami, rozkoszując się tą chwilą, odurzona wewnętrznymi zmaganiem, aż w końcu ulegam i szarpnię. Słyszę cichuteńki trzask i natychmiast przychodzi zaspokojenie. Ogarnia mnie ulga. Dopełniam rytuału, kładąc wyrwaną rzęsę na czubku języka.

Wzdrygam się, gdy dzwonek komórki wyrывa mnie z błęgiego odrętwienia, i dostrzegam własne odbicie w lusterku. Mam zaróżowione policzki i tak bardzo jest mi wstyd, że nie potrafię spojrzeć sobie w oczy.

*Jestem wariatką. Chorą zepsutą wariatką.*

Polykam rzęsę i wyciągam telefon z torebki. Na wyświetlaczu widzę imię Adam. Odbieram połączenie przez zestaw głośnomówiący, wrzucam bieg i ruszam.

*Byle szybciej do domu.*

– Cześć – mówię lekko skołowana.

– Cześć. Dobrze się czujesz?

– Tak. A ty?

– W porządku. Właśnie przyleciałem do Amsterdamu na konferencję i pomyślałem, że się odezwę.

Zapada pełne napięcia milczenie. Zamieniliśmy dopiero kilka słów, a już czuję, że zaczynam się jeżyć. Wyjeżdżam z parkingu na główną ulicę. Jeszcze kilka zakrętów i będę w domu.

– Jesteś w samochodzie? – pyta Adam.

– Właśnie wracam z pracy. Masz do mnie jakąś sprawę?

Zatrzymuję się przed przejściem dla pieszych. Przez jezdnię kuśtyka zgarbiona nad balkonikiem staruszka, chowając twarz przed chłodnymi podmuchami wiatru.

*Też taka będziesz* – obwieszcza głos w mojej głowie. – *Oklapnięta i samotna.*

Zaciskam zęby tak mocno, że słyszę trzaskanie stawów.

– Mój adwokat chce renegotjować udziały – odzywa się wreszcie Adam po długiej chwili wahania.

Kierownica trzeszczy, gdy napieram na nią z całej siły. Naciskam pedał gazu i silnik wydaje tak gwałtowny ryk, że stara kobieta, która właśnie dochodzi do krawężnika, podskakuje wystraszona.

– Nie, to ty chcesz renegeć.

– Przykro mi, Anno.

– Jeśli zażadasz więcej, będę musiała sprzedać dom. Dobrze o tym wiesz. Zackowi i tak jest już trudno się przystosować do tych wszystkich zmian.

– Jestem w dołku.

Prycham drwiąco.

– Wszyscy jesteśmy w dołku.

– Nie, chodziło mi o to, że jestem splukany.

Skrećam z głównej drogi w krętą aleję, przy której wznoszą się okazałe domy jednorodzinne. Mój znajduje się tuż za zakrętem, na końcu prywatnej drogi dojazdowej. Obok stoi tylko dom Pauli, a skrawek lasu na tyłach oddziela nas od terenu szpitala. I pomyśleć, że pierwszy raz przyjechaliśmy tu z Adamem niewiele ponad rok temu przekonani, że przeprowadzka z Londynu na przedmieścia ocali nasze małżeństwo. Oczarowani długimi ścieżkami wiodącymi w głąb ogrodu i naszym gniazdkiem ukrytym z dala od wielkomiejskiego zgiełku.

– Po to płacimy naszym adwokatom krocie, żeby dogadywali się za nas – mówię, skręcając w stronę domu. – Obiecałeś, że zostawimy rozwód na ich głowie, a sami skupimy się na Zacku.

Drobne kamyki wypadające spod kół bębnią o podwozie. Po lewej stronie żwirowego traktu ciągnie się żywopłot, a po prawej niewielki zagajnik. W oddali widzę już dach mojego domu, który wylania się powoli pomiędzy drzew.

– Mój adwokat kontaktował się z tobą. Ale nie doczekaliśmy się twojej odpowiedzi.

– Na litość boską, staram się pogodzić pracę na pełnym etacie z opieką nad dzieckiem. Mógłbyś trochę odpuścić.

Zdejmuję nogę z gazu i naciskam hamulec.

Adam nadal przedstawia swoje racje, ale jego słowa już do mnie nie docierają. Całą moją uwagę przykuwają teraz furgonetki firmy przeprowadzkowej zaparkowane na podjeździe. Frontowe drzwi są otwarte na oścież i drgają odpychane przeciągiem. Kiedy wyteżam wzrok, zauważam w oknach ruchome cienie.

W moim domu ktoś jest.





Anna  
Czwartek, 4 kwietnia 2019  
18.02

Wciągam haust powietrza tak gwałtownie, że niemal tracę dech. Adam przerywa w pół zdania, słysząc chrapliwy odgłos dobiegający z mojej krtani.

– Co się dzieje?

– W domu jest komornik!

– Co takiego?

– Komornik! W środku są jacyś ludzie. Przyjechali furgonetkami.

– Jesteś pewna? Ale jak tam weszli?

– Czy to ma jakieś znaczenie? Bardzo jesteś splukany?

– Posłuchaj, tylko bez paniki – uspokaja mnie Adam. – Wszystko będzie dobrze. Zajmę się tym. Zaraz wszystko wyja...

Przerywam połączenie, zaciągam hamulec ręczny i oszołomiona wysiadam z samochodu. Silnik wciąż pracuje, a przez niedomknięte drzwi dobiega miarowe popiskiwanie sygnалу ostrzegawczego. Ale teraz myślę tylko o Zacku, który musi patrzeć, jak obcy ludzie kręcą się po domu i zabierają nasze rzeczy.

O Boże. Pewnie to Paula ich wpuściła. Czasami bywa zbyt uprzejma, by zareagować właściwie. Właśnie tak to musiało wyglądać. A skoro dostali się do środka, działają zgodnie z prawem i mogą zająć wszystko, co przedstawia jakąś wartość. Nie obchodzi ich, które rzeczy należą do Adama, a które do mnie.

Na podjazd wychodzą dwaj mężczyźni w czarnych kombinezonach i kierują się w stronę jednej z furgonetek.

– Hej!

Nie zwracając uwagi na moje wołanie, nieznajomi kontynuują rozmowę w jakimś obcym języku, z którego nie rozumiem ani słowa. Kiedy zatrzymują się przy tylnych drzwiach samochodu, podchodzę do nich energicznym krokiem.

– Przepraszam! – mówię, trącając w ramię jednego z nich.

Mężczyzna obraca się gwałtownie. Jest młody i przystojny, ma brązowe oczy i ciemną szczerinę na policzkach. Odpowiada mi coś nieprzyjaznym tonem, po czym znów odwraca się do mnie plecami. Kiedy mówił, na moim policzku wyładowała kropelka jego śliny. Rozmazuje ją palcami i wycieram dłoń w nogawkę.

– Proszę posłuchać, o cokolwiek tu chodzi, nie mam z tym nic wspólnego. Jesteśmy w trakcie rozwodu i mąż tutaj nie mieszka. Zabrał wszystkie swoje rzeczy, kiedy... Czy wy mnie słuchacie?

Mężczyźni nadal rozmawiają ze sobą i śmieją się, stojąc tyłem do mnie. Nawet jeżeli nie znają angielskiego, nie powinni ignorować mojej obecności. Już biorę głęboki wdech, żeby na nich krzyknąć, ale wzdrygam się wystraszona głośnym warkotem wiertarki udarowej. Obracam się w stronę źródła hałasu.

Ten odgłos dobiega z wnętrza mojego domu.

Serce podchodzi mi do gardła, kiedy wbiegam do środka i widzę, że cała podłoga jest przykryta grubą folią. Czarny plastik marszczy się pod butami nieznanym, którzy krążą między kuchnią a salonem i mijają się na schodach. Wszędzie widzę krótko ostrzyżonych barczystych mężczyzn w czarnych rękawiczkach i z tatuażami na szyjach. Czuję, jak w gardle wzbiera mi szloch na samą myśl, że jacyś obcy ludzie grzebią w naszych rzeczach.

Przestępuję próg i wzdrygam się, gdy kątem oka dostrzegam stojącego na drabinie mężczyznę, który patrzy na mnie z góry. Trzyma w rękę wiertarkę i montuje na ścianie coś, co wygląda jak mała kamera.

Otwieram usta, żeby się odezwać, ale wtedy rozlega się przenikliwy warkot i na moją głowę spada gęsta chmura białego pyłu. Zanosząc się od kaszlu, ruszam chwiejnym krokiem w głąb holu.

– Zack? Zack?

Mam w oczach gipsowe drobinki, które kłują mnie przy każdym mrugnięciu. Przez łzy dostrzegam zwalistą sylwetkę mężczyzny idącego na dół po schodach, które skrzypią pod jego ciężarem.

*Ilu ich tu jest?*

– Paula? – wołam, próbując przekrzyczeć wiertarkę. – Paula?!

Trę powieki, wbijając jeszcze głębiej ostry pył. Strumienie łez ściekają mi po policzkach i skapują z podbródka, gdy na oślep krążę po holu. Dlaczego nie słychać szczekania? Misięk powinien szczekać.

– Zack! – krzyczę, kiedy milknie jazgot wiertarki.

Moje nawoływanie niesie się po holu i dociera na piętro. Nawet w jego echu odbitym od ścian słychać rozpaczyliwy ton.

*Paula musiała wziąć Zacka do siebie. Przynajmniej oszczędziła mu widoku...*

– Doktor Jones – odzywa się męski głos z głębi salonu.

Obracam się błyskawicznie w stronę otwartych drzwi. Moja pierś faluje od przyspieszonego oddechu.

– Zapraszamy do nas.

To nonszalanckie zaproszenie do mojego własnego salonu wystarczy, by wyparował ze mnie cały strach. Teraz moje ciało pulsuje gniewem, zalewa mnie fala gorąca i czuję, że zaczynam się pocić pod kurtką. Zdecydowanymi ruchami przecieram oczy i robię parę kroków przed siebie. Przystaję na progu na widok trzech mężczyzn, którzy się we mnie wpatrują. Dwaj siedzą na sofie, jeden w fotelu i każdy trzyma w dłoni kubek z mojej kuchni.

– Zechce pani spocząć – mówi ten z fotela takim samym spokojnym głosem jak przedtem.

Jego towarzysze przyglądają mi się badawczo.

– Ma pan w ogóle pojęcie, kim jestem? Proszę wyjść z mojego domu.

– Siadaj!

Mężczyzna patrzy na mnie z taką nieustępliwością, że wzdrygam się, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Chociaż rozsada mnie wściekłość, posłusznie opadam na fotel obok kominka.

Nieproszony gość wygląda na czterdzieści kilka lat i ma ciemne włosy, lekko przyprószone siwizną. Nosi garnitur i koszulę, które wydają się zbyt ciasne na jego muskularną sylwetkę. Pozostali dwaj są nieco młodszy, a ich skórę pokrywają tatuaże. Jeden ma ogoloną głowę i masywną szczękę, a drugi jest krótko ostrzyżonym blondynem z bliznami po trądziku na policzkach. Nad ich głowami widzę małą kamerę zainstalowaną w kącie pod sufitem. Gdyby nie promienie zachodzącego słońca odbite w miniaturowym obiektywie, prawdopodobnie nawet bym jej nie zauważyła.

Rozglądam się w poszukiwaniu innych kamer i dostrzegam następną na drugim końcu salonu. Nie większa od mojego paznokcia i cała biała, tak idealnie zlewa się ze ścianami

i sufitem, że nie zdołałabym jej wypatrzeć, gdybym nie znała na wylot wszystkich zakamarków w tym domu.

*Ci ludzie nie są pracownikami kancelarii komorniczej.*

– Znajdziesz takie w każdym pomieszczeniu – odzywa się szpakowaty mężczyzna.

Już sama jego obecność mnie onieśmiela. Ma niski chrapliwy głos i jest tak muskularny, że ledwie się mieści w siedzisku fotela. Jednak najbardziej władcze są jego oczy; lodowato błękitne i tak przeszywające, że kulę się w sobie pod ich groźnym spojrzeniem.

– Co tu się dzieje? – pytam, teraz już potulniejszym tonem. – Gdzie jest mój syn?

Nieznajomy pochyla się i stawia kubek na stoliku do kawy. Używam tego kubka codziennie rano. Dwa lata temu dostałam go na urodziny od Zacka. Widnieje na nim ręcznie namalowany napis „Najlepsza mama na świecie” otoczony przez złote gwiazdki i koślawe serduszka. Czuję wzbierający ucisk w gardle.

– Mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego i nie będę się powtarzał, więc postaraj się wysłuchać mnie uważnie – oświadcza mężczyzna, a gdy otwieram usta, żeby zaprotestować, dodaje: – Twoja sąsiadka nie żyje...

Mówi to z takim spokojem, że dopiero po chwili uświadamiam sobie powagę jego słów. Ale gdy wreszcie dociera do mnie ta wiadomość, jest jak nagły cios między oczy. W mojej głowie rozlega się przeraźliwy dźwięk dzwonek alarmowych.

– ...a twój syn jest w naszych rękach.



Anna  
Czwartek, 4 kwietnia 2019  
18.27

Siedzę jak skamieniała w fotelu, patrząc na trójkę nieznajomych.

Na krótką chwilę cały świat nieruchomieje. W głowie mam pustkę. Moje serce zastyga w bolesnym skurczu. Oddech więźnie mi w płucach. A potem wszystko znów rusza z impetem. Rozpaczliwie wciągam głęboki haust powietrza, a łzy napływają mi do oczu.

*To się nie dzieje naprawdę... To niemożliwe...*

– Skup się, bo to naprawdę ważne.

Posłusznie kiwam głową i pojedyncza łza bezgłośnie spływa mi po policzku.

– Twój syn znajduje się w bezpiecznym miejscu i nic mu się nie stanie, jeżeli będziesz wykonywać nasze polecenia. Musisz przestrzegać pewnych zasad, bo jeżeli je złamiesz, twój syn za to zapłaci.

Uświadamiam sobie, że ten człowiek wykorzystuje przeciwko mnie moją strategię. Mówi takim samym tonem, jakim zwracam się do krewnych pacjenta, który właśnie zmarł – życzliwym, ale stanowczym. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Wykonasz tylko jedno proste zadanie, a twój syn wróci do domu cały i zdrowy.

Moje serce przyspiesza tak gwałtownie, że czuję bolesny skurcz w klatce piersiowej.

– Jakie... zadanie? – pytam głosem ochryplym ze strachu.

– Za dwa dni dopilnujesz, żeby Ahmed Shabir umarł na stole operacyjnym.

Nagle ssanie w żołądku sprawia, że ogarniają mnie mdłości. Świat wiruje mi przed oczami. Odруchowo zaciskam dłonie na podłokietnikach i zapieram się stopami na dywanie.

– Jeśli komuś o tym powiesz, twój syn umrze – kontynuuje szpakowaty mężczyzna. – Jeśli zostaniesz zdemaskowana podczas wypełniania zadania, twój syn umrze. Jeśli nie uda ci się uśmiercić pacjenta, twój syn umrze zamiast niego.

Jego dwaj towarzysze siedzący na sofie wpatrują się we mnie tak intensywnie, że ich spojrzenia zdają się przepalać mnie na wylot, ale ja nie mogę oderwać wzroku od mężczyzny w fotelu. Ten człowiek żąda ode mnie czegoś niemożliwego. Nie tylko z etycznego, ale również z czysto praktycznego punktu widzenia. Ale kiedy myślę, co się stanie, jeżeli mu odmówię, łzy napływają mi do oczu. Chcę go spytać, dlaczego to robi, ale on mnie uprzedza i znów się odzywa:

– Zmieniliśmy zamki w twoim domu, więc możemy tu wejść w każdej chwili, a dzięki kamerom będziemy cię obserwować przez całą dobę. To jest telefon, na który prześlemy ci kolejne instrukcje.

Oszołomiona spoglądam na stolik kawowy. Na blacie leży nowy komplet kluczy, tani telefon na kartę i dwie baterie do komórek.

– Wymienisz baterie w prywatnej i służbowej komórce – dodaje mężczyzna, podążając za moim spojrzeniem. – Żebyśmy mogli cię namierzyć i monitorować twoje rozmowy.

Słyszę stłumione głosy na podjeździe i obracam głowę do okna. Dwaj cudzoziemcy, których spotkałam zaraz po przybyciu na miejsce, majstrują przy moim samochodzie.

- Instalują lokalizator - wyjaśnia nieznajomy. - Jeśli będziesz próbowała go usunąć, zorientujemy się.

*To się nie dzieje naprawdę*, powtarzam sobie i zauważam, że kołyszę się lekko na fotelu. Przygramy policzki od środka, żeby poczuć coś innego niż przeraźliwy ból pod żebrami.

- Będziemy obserwować każdy twój ruch i jeśli spróbujesz nas przechytrzyć, zapewniam, że gorzko tego pożałujesz - ciągnie mężczyzna, po czym wyjmuje pistolet spod marynarki i z cichym brzękiem kładzie go na szklanym blacie stolika. - Jedno proste zadanie, doktor Jones, i będzie po wszystkim.

Chociaż wydaję się absolutnie spokojna, gdy tak siedzę nieruchomo wpatrzona w czarny wylot lufy, targają mną sprzeczne emocje. Chce mi się płakać z bezsilności, ale nagły przypływ furii sprawia, że nie ronię ani łzy. Czuję się bliska omdlenia, a jednak wychwytyję każdy, najcichszy nawet szmer. W mojej głowie trwa chaotyczna kotłowanina.

A potem, ni stąd, ni zowąd, wybucham śmiechem, wprawiając w szok wszystkich obecnych. Śmieję się, aż zaczyna brakować mi tchu i robię się czerwona od wysiłku.

- Jaja sobie robicie, nie? - mówię.

Trzej nieznajomi patrzą na mnie w milczeniu i mój śmiech nagle się urywa.

- Gdzie on jest? - pytam z obłędem w oczach. - Gdzie jest Zack?

Odpowiada mi posępna cisza. Powoli odrywam wzrok od szpakowatego mężczyzny w fotelu.

- Zack? - wołam w stronę drzwi. - Zack?

Wypadam do holu i ruszam w stronę schodów. Pędzę na górę, przeskakując po dwa stopnie, a gdy docieram na piętro, potykam się i upadam. Słyszę śmiech dobiegający z otwartych drzwi sypialni. Z drabiny schodzi mężczyzna, który właśnie zamontował pod sufitem kamerę, a w rękę trzyma drugą. Przez chwilę wpatruję się w białą obudowę ze zwisającymi kablami.

- Zack!

Niezdarnie podnoszę się z podłogi i biegnę korytarzem do pokoju Zacka, gdzie inny mężczyzna testuje kamerę zainstalowaną w kącie.

- Wyjdź stąd! - rozkazuję mu podniesionym głosem.

Mężczyzna podskakuje wystraszony i obraca się do mnie. Kiedy dostrzega wyraz mojej twarzy, spuszcza wzrok i mamrocząc coś w swoim języku, mija mnie w przejściu.

Wciągam w płuca znajomy zapach mojego syna. Łóżko jest zaścielone, a w pokoju panuje porządek, jeśli nie liczyć bluzy od pizamy wystającej z kosza na pranie. Mam ochotę przycisnąć ją do twarzy i wachać.

Ale Zacka nigdzie nie ma.

Zauważam jego nieobecność od razu. Wcześniej jeszcze nie całkiem dopuszczalam to do siebie, ale teraz, kiedy patrzę na jego pusty pokój, zabawki i pizamę, którą ściągnęłam z niego dziś rano, dociera do mnie, że Zack naprawdę znikł. Z mojego gardła wydobywa się jęk rozpacz, który przechodzi w stłumiony szloch.

*Nie, to nie może być prawda.*

Zatraskuję drzwi i przetaczam się jak burza przez kolejne pomieszczenia, raz po raz wykrzykując imię mojego syna drżącym głosem, w którym przerażenie miesza się z bezsilną furią. W korytarzu kręcą się obcy ludzie, ale przepycham się między nimi, nie zważając na ich szyderczy śmiech. Ogarniają mnie coraz silniejsze mdłości, gdy tak biegam od pokoju do pokoju i co chwilę gwałtownie przystaję. Zbiera mi się na wymioty i czuję w gardle kwaśny posmak. Wracam na dół i kieruję się prosto do kuchni. Spodziewam się zobaczyć świeżo umyte naczynia, a między nimi sztućce i talerz, z którego Zack jadł kolację. Jednak na ociekaczu nie ma niczego, za to dostrzegam kilka kropeł zaschniętego dżemu na blacie obok tosteru, gdzie rano w pośpiechu przygotowywałam dla nas śniadanie.

– Zack!

Uderza mnie echo mojego własnego głosu. Stoję na środku kuchni, dysząc ciężko.

*Paula. Muszę być u niej.*

Wybiegam do holu i ruszam pędem w stronę drzwi, przeciskając się obok drabiny, na której stoi jeden z intruzów. Za plecami słyszę jego krzyk. Mam nadzieję, że spadnie i roztrzaska sobie głowę o swoją skrzynkę z narzędziami.

Chłodne powietrze natychmiast osusza mi łzy na policzkach. Za kierownicą mojego samochodu siedzi obcy mężczyzna i przestawia go, żeby furgonetki mogły wyjechać na drogę. Drugi przeszukuje moją torbę, którą zostawiłam na fotelu pasażera. To wszystko dzieje się tak szybko, że mam ochotę krzyknąć na nich, żeby tak się nie spieszyli, bo nie nadażam za ich poczynaniami.

Nie zważając na cieknące po plecach strużki potu, biegnę przez podjazd i przecinam trawnik przed sąsiednim domem.

– Zack! Paula! – krzyczę, łomocąc pięściami w drzwi.

Gdy nikt nie reaguje, przewracam jedną z donic stojących przy wejściu i zaczynam grzebać w rozsypanej ziemi w poszukiwaniu zapasowych kluczy. Kręci mi się w głowie, więc klękam na wycieraczce i opieram się na drżących rękach.

*Weź się w garść.*

Po chwili dochodzę do siebie i otwieram oczy, a wtedy dostrzegam połyskujący metalicznie klucz. Chwytam go, po czym niezdarnie podnoszę się z kłęczek. Dłonie i kolana mam oblepione wilgotną ziemią. Cała dygocę, więc dopiero po chwili udaje mi się wepchnąć klucz do zamka. Przekręcam go z taką siłą, że boję się, aby nie pękł mi w palcach.

Drzwi ustępują.

– Paula!

Spodziewam się, że zaraz usłyszę głos sąsiadki, że zobaczę Zacka, który wybiegnie mi na powitanie z podskakującym radośnie Miśkiem u boku.

Ale w domu panuje grobowa cisza. Wpadam do holu i najpierw zaglądam do kuchni, a potem do salonu, gdzie zatrzymuję się przed kominkiem, żeby zaczerpnąć tchu. Cisza jest tak przejmująca, że niemal dzwoni mi w uszach.

Paula i Zack przepadli bez śladu. Ale chociaż nigdzie ich nie ma, nie potrafię tego przyjąć do wiadomości. Wydaje mi się, że jeśli będę biegała w kółko i szukała, w końcu ich znajdę. Dygocę na całym ciele, oddychanie sprawia mi ból, a każda nowa myśl potęguje chaos w mojej głowie. Nie mogę się skupić, a dreszcze przybierają na sile. Przez co najmniej minutę tkwię na środku salonu ze wzrokiem wlepionym w oprawioną fotografię, która stoi na gzymsie kominka. Widnieje na niej Paula ze swoją córką.

*Może poszli z Miśkiem na spacer, żeby nie patrzeć na to wszystko, co się tutaj dzieje? Myślę, że tak właśnie postąpiłaby Paula. Tylko dlaczego do mnie nie zadzwoniła?*

Instynktownie sięgam do kieszeni po komórkę i moje serce zamiera, gdy przypominam sobie, że zostawiłam ją w torbie. W tej samej torbie, którą przekopywał jeden z nieznajomych w moim samochodzie.

Obracam się na pięcie i z powrotem ruszam do wyjścia po błotnistych śladach, które sama zostawiłam na posadzce. Kiedy znów pędzę przez trawnik, zapada już zmierzch i muszę wyteżać wzrok, żeby się nie potknąć. Widzę, jak intruzi jeden za drugim wychodzą na podjazd. Niektórzy zaczęli już pakować sprzęt do furgonetek i głośno trzaskają drzwiami.

*Nie mogą odjechać, dopóki się nie dowiem, gdzie jest Zack.*

Wbiegam do domu i nagle tracę równowagę, gdy ziemia umyka mi spod nóg. Uderzam biodrem o podłogę i czuję w udzie przeszywający ból. Rozglądam się oszołomiona. Na drugim końcu holu stoi mężczyzna i trzyma w rękach płat okrywającej posadzkę folii, którą zaczyna

związać do transportu. Wykrzywia usta w szyderczym uśmiechu. Kiedy zaczyna się śmiać, mam ochotę rzucić mu się do gardła. Wstaję niepewnie i utykając, wracam do salonu. Trzej nieznajomi stoją, jakby nie mogli się mnie doczekać.

– Gdzie jest mój syn?

Doskakuję do mężczyzny o zimnych niebieskich oczach i szarpnię go za kłapy marynarki tak mocno, że zatacza się do tyłu.

– Gdzie on jest?

W przypiływie desperacji zaczynam go okładać. Moje pięści z głuchym łoskotem łądują na jego szerokiej piersi, kiedy uderzam na osłep, a potem biorę większy zamach i trafiam go w czubek nosa. Czuję na dłoni ciepłą krew. Czyjeś ręce chwytają mnie od tyłu i szarpnię z taką siłą, że odrywam się od podłogi, po czym uderzam o ścianę z ogłuszającym hukiem. Coś chrupie mi w karku. Świat zaczyna wirować. Czuję zapach krwi z rozbitego nosa i cierpkie oddechy mężczyzn, którzy mnie trzymają.

– Zatkać jej usta!

Wielka dłoń w skórzanej rękawiczce zaciska się na mojej twarzy. Słyszę krzyk oprawcy, kiedy z całej siły wbijam zęby w jego palec. Znow uderzam głową o ścianę i czuję przeszywający ból, który rozchodzi się wzdłuż kręgosłupa. Wnętrze salonu jest rozmazane, jakbym kręciła się na karuzeli w zawrotnym tempie. Próbuję zaczerpnąć tchu, ale moje nozdrza wypełnia ciężka woń wyprawionej skóry.

*Nie mogę oddychać.*

Szpakowaty mężczyzna pociąga nosem, pochylony nad smartfonem. W blasku wyświetlacza jego twarz jest upiornie blada. Osłepiona mrużę oczy, gdy niespodziewanie obraca w moją stronę świecący ekran.

Na zdjęciu rozpoznaję Paulę. Ma nienaturalnie szarą skórę, szeroko otwarte oczy i rozchylone usta. Na środku jej czoła ziele czarny otwór sięgający w głąb czaszki. Spoczywa w miejscu przypominającym studnię, zanurzona w gęstej czarnej wodzie, którą nasiąknęło jej ubranie.

Zaczynam krzyczeć z przerażenia i szlochać, a moim ciałem wstrząsają tak silne spazmy, że dwaj mężczyźni muszą podtrzymywać mnie w pionie, żebym nie zgięła się wpół. Mimo to nie mogę oderwać wzroku od tego makabrycznego zdjęcia.

Szpakowaty chowa komórkę do kieszeni marynarki.

– Jeżeli nie będziesz współpracować, twój syn podzieli jej los – informuje mnie obojętnym tonem. – Osobiście strzelę mu w głowę. Czy to jasne?

Dłoń w rękawiczce zsuwa się z moich ust. Łapczywie wciągam powietrze.

– Dlaczego miałabym ci wierzyć? Jaką mam pewność, że już tego nie zrobiłeś?

Mówię podniesionym głosem i zanoszę się płaczem, ale nie potrafię nad sobą zapanować. Nieznajomy przez chwilę wpatruje się we mnie zimnymi niebieskimi oczami, a potem wzdycha z rezygnacją. Od jego nozdrza odrywa się kropla krwi i rozpryskuje się bezgłośnie na podłodze. Mężczyzna znow sięga po komórkę. Wybiera jakiś numer i wszyscy czekamy, wsłuchując się w odległy sygnał.

– Daj go do telefonu – mówi i robi krok w moją stronę.

Napinam mięśnie, spodziewając się kolejnego uderzenia głową o ścianę, ale on przykładá mi komórkę do ucha. Słyszę na linii stłumiony szelest, jaki wydają pocierające o siebie nogawki, i odgłos kroków na twardej podłodze. Potem rozlega się szcęk zamka i skrzywienie zawiasów. Dyszę ciężko do słuchawki i zerkam na boki, próbując uchwycić spojrzienia oprawców.

– Mama?

Głos Zacka sprawia, że przez chwilę nie mogę złapać tchu. Zastygam w bezruchu z rozdziawionymi ustami, a po twarzy ciekną mi łzy.

– Kochanie...

Zack wybuchając płaczem, jakby do tej pory starał się być dzielny. Jeszcze nigdy nie słyszałam go tak zrozpaczonego. Oddałabym wszystko, aby teraz wziąć go w objęcia, pogłaskać po głowie i wycalować jego zapłakaną twarz. Dziękując nas odległość sprawia, że jeszcze bardziej zalewam się łzami. Przygryzam wargę, żeby zapanować nad sobą i wyrażać się możliwie jak najbardziej zrozumiale.

– Kochanie, posłuchaj mnie. Słuchasz? Wszystko będzie dobrze. Obiecuję, że zabiorę cię z powrotem do domu. Słyszysz, co mówię?

– Ma... ma... mamusiu...

Jego szloch rozdziera mi serce. Ci ludzie mogliby mnie bić albo dusić, mogliby mnie podziurawić kulami, ale wszystko to nie sprawiłoby mi takiego bólu jak rozpacz mojego dziecka.

Mężczyzna cofa rękę z telefonem.

– Nie! Jeszcze mu nie powiedziałam, że go kocham! – mówię i widzę kątem oka unoszącą się dłoń w rękawiczce. – Błagam!

Jeden z oprawców znów zasłania mi usta, a kiedy szpakowaty przerywa połączenie, uginają się podę mną kolana. Dwie pary silnych rąk przywracają mnie do pionu. Duszę się. Skórzana rękawiczka, która nie pozwala mi nabrać powietrza, jest już wilgotna od moich łez.

– Teraz wiesz, jaka jest stawka, prawda? – odzywa się szpakowaty, a ja nieporadnie szarpnię przyciśniętą do ściany głową, próbując przytaknąć. – Chcę to usłyszeć.

Jego podwładny zabiera rękę. Łapczywie wciągamy powietrze i z moich ust wydobywa się przeciągły urywany szloch.

– Tak.

Mężczyźni rozluźniają uścisk, a ja natychmiast osuwam się na podłogę i tłukę sobie kość ogonową.

Widzę przez mglistą zasłonę łez, jak dwaj przyboczni wychodzą, a człowiek, któremu rozkwaślałam nos, sięga po coś do kieszeni. Trzyma w ręku moją komórkę. Wyjmuje z niej baterię i na jej miejsce wkłada tę leżącą na stoliku. Potem robi to samo z moim służbowym telefonem. Za oknami zapalają się po kolei reflektory furgonetek. Mrużę oczy, gdy do salonu wpadają snopy oślepiającego światła. Słyszę dobiegający z podjazdu warkot silników, tupot ciężkich butów i stłumiony gwar rozmów w obcym języku.

– Jedno proste zadanie, doktor Jones – powtarza szpakowaty. – Tylko tyle i będzie po wszystkim.

Potem wychodzi, a huk zatraskiwanych drzwi rozchodzi się echem po całym domu.

Wciąż nie mogę powstrzymać płaczu. Kołyszę się w tył i w przód, uderzając plecami o ścianę, a z ust zwisa mi strużka śliny. W końcu otwieram oczy.

W salonie jest ciemno. W domu panuje cisza.

Intruzi zniknęli, jak gdyby w ogóle ich tu nie było.





Margot  
Czwartek, 4 kwietnia 2019  
17.20

Nie jestem wcieleniem zła. W kółko to sobie powtarzam.

Oglądam się ukradkiem przez ramię i przechylam głowę, wyętzając słuch. Rzędy szafek wypełniających szpitalną przebieralnię tworzą labirynt pełen zakamarków, w których można się zaccząić. Ale nie slysze żadnych niepokojących odgłosów, a jedynie bulgotanie w rurach i stłumione pomruki rozmów dobiegające z korytarza.

Upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, wyjmuję pieniądze z torebki Karin i chowam je do tylnej kieszeni dżinsów, po czym zamykam jej szafkę na kłódkę.

Gdybym była złą osobą, zabrałabym wszystko. Mogłabym wziąć jej komórkę, kartę debetową i modny zegarek, który zawsze chowa w bucie, a poprzestałam na nędznych dziesięciu funtach. Ale choćbym nie wiadomo jak próbowała się przed sobą usprawiedliwiać, dobrze wiem, czemu tak naprawdę nie oskubałam jej do czysta. Nie kierowały mną szlachetne pobudki; po prostu nie chciałam, żeby Karin zorientowała się od razu, że coś jej zginęło.

Wzbiera we mnie poczucie winy, ale szybko tłumię je w zarodku.

*Nie jestem wcieleniem zła.*

Ruszam do wyjścia i staję jak wryta na widok ogłoszenia przyklejonego do drzwi.

### **Uwaga!**

W związku z przypadkami kradzieży prosimy o należyte zabezpieczenie mienia i przechowywanie w szatni cennych przedmiotów tylko w razie konieczności. Wszystkie rzeczy osobiste zostawiacie tutaj na własną odpowiedzialność.

Osoby posiadające jakiegokolwiek informacje dotyczące niedawnych kradzieży proszone są o kontakt z bezpośrednim przełożonym.

Czuję szybkie nerwowe kołatanie pod żebrami, kiedy moje serce nagle przyspiesza.

Dopiero po kilku miesiącach ktoś się zorientował, że giną rzeczy. Przez tych kilka miesięcy codziennie się ociągałam, czekając, aż wszyscy wyjdą, a potem zaczynałam myszковать w szafkach moich koleżanek. Zastanawiałam się, co zabrać. Czego najmniej będzie im brakować? Czego mają pod dostatkiem? Ale z czasem coraz mniej przejmowałam się ich troskami. Odkąd zauważyły, że coś jest nie w porządku, zaczęłam płądrować ich szafki, gdy tylko pozwalały sobie na chwilę nieuwagi i odwracały się plecami. Teraz kradłam już nie tylko po to, żeby zdobyć środki na utrzymanie i spłacić długi, ale również dla rozrywki. Dla dreszczu emocji, którego wciąż mi brakuje.

Powtarzam sobie, że nie jestem złą osobą. Może pewnego dnia w to uwierzę.

Otwieram drzwi i podskakuję wystraszona. Za progiem stoi Kelvin, mój szef.

– Ach, tu jesteś – mówi. – Szukałem cię. Pozwolisz na słówko?

Ten facet nigdy za mną nie przepadał. Jako profesjonalista nie daje tego po sobie poznać, ale czasami widzę, jak mi się przygląda, kiedy myślę, że na niego nie patrzę. Ewidentnie próbuje mnie rozgryźć.

A może popadam w paranoję.

– Czy to nie może poczekać do jutra? Muszę pędzić.

Od stresu mam ściśnięte gardło i słychać to wyraźnie w moim głosie.

– Zajmę ci tylko chwilę – odpowiada Kelvin z lekkim uśmiechem.

*Przejrzałam mnie.*

Odwzajemniam jego uśmiech. Moje serce kołace jak oszalałe.

– No dobra.

W milczeniu idziemy do jego biura. Kelvin jest niski i przysadzisty, ma rzędzące myszowate włosy i nosi okulary w okrągłych czarnych oprawkach, które sprawiają, że jego oczy wydają się nienaturalnie małe. Kiedy zostajemy sam na sam, zwykle pierwszy zagaja rozmowę, żeby uniknąć niezręcznego milczenia, ale teraz nawet nie próbuje mnie zagadywać.

*Już nie musi udawać sympatii. To bez sensu, skoro zamierza mnie zwolnić.*

Krocząc za nim korytarzem, rozmyślam o tym, jak moje życie obróci się w ruinę, kiedy wylecę z pracy. Nie będę miała z czego opłacić długów, zabraknie mi na zaległy czynsz, więc wcale się nie zdziwię, jeśli Sandy pod koniec miesiąca zmieni zamki. Nick już dziś do mnie wydzwaniał i nagrał kilka agresywnych wiadomości, w których domagał się zwrotu pieniędzy, które jestem mu winna. Zastanawiam się, jak długo jeszcze mogę zwlekać, zanim posunie się do przemocy. Im dłużej o tym myślę, tym większa ogarnia mnie panika, aż w końcu zaczynam się trząść. Chociaż mam pustkę w głowie, rozpaczliwie usiłuję wykombinować jakieś przekonujące kłamstwo.

W końcu docieramy na miejsce i Kelvin otwiera przede mną drzwi. W jego biurze czekają Karin i Belinda, druga instrumentariuszka. Obracają głowy w moją stronę, kiedy wchodzę do środka, i z wyrazu ich twarzy wnioskuję, że również nie mają pojęcia, jaki jest cel tego spotkania. Wzruszam ramionami w odpowiedzi na ich pytające spojrzenia.

– Siadaj – zwraca się do mnie Kelvin.

Zajmuję miejsce na krześle obok Karin i czuję, jak jej dziesięciofuntowy banknot gniecie się w mojej kieszeni. Odwzajemniam jej ukradkowy uśmiech, ogromnym wysiłkiem woli unosząc kącik ust, które drżą z napięcia.

Kelvin siada za biurkiem i kolejno mierzy wzrokiem każdą z nas.

– Dziękuję, że zjawiłyście się tak szybko – mówi.

– Ale o co chodzi? – pyta Karin, zerkając na zegarek.

– Czy obejmuje nas redukcja etatów? – wtóruje jej Belinda.

Słyszę nutkę paniki w jej głosie, chrapliwym od wdychania tytoniowego dymu. Powinnam rzucić palenie, jeśli na stare lata nie chcę wyglądać tak jak ona. Nawet śmierć się wystraszy, gdy pewnego dnia po nią przyjdzie.

– Nie, nie – odpowiada, unosząc dłonie w uspokajającym geście. – Wzywam wszystkich z naszego oddziału, żeby porozmawiać o kradzieżach w damskiej szatni.

Kiedy zerka w moją stronę, zaczyna drżeć mi powieka i oblewa mnie fala gorąca.

– Dlaczego tylko z naszego oddziału? – pytam. – Nie tylko my korzystamy z szatni.

– Owszem, ale kiedy przeszledziliśmy daty i godziny kradzieży, okazało się, że do wszystkich incydentów dochodziło, gdy w szatni przebywał nasz personel.

Nie pomyślałam o tym.

– A więc – Kelvin klaszcze w dłonie – chciałbym wiedzieć, czy któraś z was zauważyła jakieś podejrzanе zachowania albo coś jej zginęło.

Każdej z osób obecnych w tym biurze coś ukradłam – pieniądze, papierosy, jedzenie ze wspólnej służbowej lodówki. Czuję, jak moje policzki płoną, i zaciskam zęby, próbując się opanować. Ciało to najgorszy szpicel. Potrafi wszystko zdradzić.

– Ktoś mi podbierał pieniądze – rzucam pospiesznie. – Niewielkie sumy, znikają tylko jakieś pięć czy dziesięć funtów od czasu do czasu. Z początku myślałam, że tylko tak mi się wydaje, ale potem zaczęłam dokładnie śledzić wydatki. No i czasami bilans się nie zgadzał.

– Jasne – mówi Kelvin i kiwa głową, notując moje słowa. – Zgłosiłaś to komuś?

– Dopiero co sama na to wpadłam. Jak już mówiłam, wcześniej byłam przekonana, że to ja nie mogę się doliczyć, ile wydałam.

– Rozumiem.

Kelvin nie patrzy na mnie, więc nie potrafię ocenić, czy uwierzył w moje kłamstwo. Przyglądam mu się, wypatrując najdrobniejszych oznak powątpiewania – uniesionych brwi czy wydętych warg – ale jego twarz pozostaje niewzruszona.

– Ze mną było tak samo – odzywa się Karin. – Nigdy nie ginęły mi większe kwoty, jakby ktoś miał nadzieję, że niczego nie zauważę. Ale zaczęłam liczyć pieniądze po każdej zmianie i kilka razy odkryłam, że brakuje mi kilku funtów.

*Pięć razy, myślę. Okradłam cię pięć razy.*

– A mnie ginęły papierosy – wtrąca Belinda i krzyżuje ręce na piersi, gdy Kelvin przygląda się jej badawczo. – Mówię poważnie, Kel. Wypalam dwadzieścia fajek dziennie, nie mniej ani więcej, i prawie po każdej zmianie brakuje mi jednej albo dwóch. Więc wszystko by się zgadzało.

– No dobra. Przynajmniej wiadomo, że szukamy kogoś, kto pali.

Mam wrażenie, że wetknięty za ucho papieros zaczyna parzyć mnie w skroń. Jest wymierzony prosto w Kelvina. Przeczesuję włosy palcami, próbując go zasłonić i uważając, żeby nie wypadł.

Karin pochyla się w stronę biurka.

– Przepraszam, ale dlaczego rozmawiasz tylko z kobietami? – pyta. – Mężczyźni też mogą dostać się bez trudu do naszej szatni. Wszyscy wiemy, że kod dostępu różni się tylko jedną cyfrą.

Przyznaję jej rację skinieniem głowy.

– Jeden, dwa, trzy, cztery i dwa, trzy, cztery, pięć nie są szczególnie trudne do rozgryzienia.

– No właśnie – potwierdza Karin.

*I kto to mówi? Szyfr do twojej szafki to cztery jedynki.*

Kelvin rumieni się zakłopotany.

– Zmienimy kody – odpowiada. – A co do winowajcy, mamy pewność, że to kobieta.

– Dlaczego?

Nasz szef opiera na biurku splecione dłonie. Obrączka na jego palcu połyskuje w świetle lampy.

– Oprócz rzeczy osobistych ginęły również produkty z magazynu. Takie, z których mogła korzystać jedynie kobieta.

*O cholera.*

– To znaczy? – drażni Karin.

Moje serce zaczyna kołatać, a pasek torebki, który ścisam w dłoni, robi się wilgotny od potu. Nie mogę wysiedzieć w tym biurze. Jest takie ciasne i duszne. Odruchowo zerkam w stronę okna, które jednak jest szczelnie zamknięte.

– W ciągu ostatnich miesięcy były to kobiety artykuły higieniczne, a ostatnio... testy ciążowe.

Moje policzki płoną rumieńcem. Nerwowo spuszczam wzrok.

– Rozumiem – kwituje Karin. – Znaczy, że niedługo wyjdzie na jaw, kto kradnie, tak?

– Oczywiście pod warunkiem, że ta osoba jest w ciąży – odpowiada nasz szef. – A jeżeli test okazał się pozytywny...

– Czy to nie jest trochę nieostowne? – wchodzi mu w słowo. – Nasz personel nie powinien czuć się winny z powodu zajścia w ciążę. Takim podejściem narażasz każdą ciężarną kobietę zatrudnioną w tym szpitalu na niepotrzebny stres. Ta rozmowa zmierza w takim kierunku, że niespecjalnie mam ochotę brać w niej udział.

– Ja też – dodaje szybko Belinda, jednak z jej pobudzonych ruchów wnioskuje, że nie kierują nią dylematy moralne, ale ochota na dymka.

– Masz rację – odpowiada Kelvin i znów się rumieni. – Przepraszam. Ale jeśli zobaczycie albo usłyszycie coś, co ma jakiś związek z tymi kradzieżami, i zechcecie mnie o tym poinformować, możecie liczyć na całkowitą dyskrecję.

Wszystkie trzy wstajemy bez słowa. W biurze panuje niezręczna cisza, którą rozprasza jedynie szuranie krzesel i głuche dudnienie mojego serca.

– Miłego wieczoru – zwraca się Kelvin do moich koleżanek, po czym spogląda na mnie. – Margot, mogłabyś zostać jeszcze chwilkę?

Musiłam się czymś zdradzić. Zobaczył rumieńce na moich policzkach, kropelki potu na czole i nad górną wargą. Kiwam głową, ale wciąż stoję, gdy za moimi plecami rozlega się szczęknięcie zamykanych drzwi.

– Chciałem się tylko upewnić, czy u ciebie wszystko w porządku.

Czuję, jak w ustach zbiera mi się jad. Reaguję tak zawsze, ilekroć ktoś próbuje się wtrącać.

– A dlaczego uważasz, że powinno cię to interesować?

– No cóż... – Kelvin mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. – Ostatnio trochę straciłaś na wadze.

*A ty sporo przybrałaś, myślę.*

– Wypada pytać o takie rzeczy? Komentować wygląd podwładnej?

Kelvin prostuje się w fotelu, a jego oczy powiększają się nieznacznie.

– Nie miałem na myśli niczego nieostownego. Ja tylko... – Zaczyna się i chrząka nerwowo. – Martwiłem się tylko.

– Nie ma takiej potrzeby. Mogę już iść?

Mój szef przygląda mi się zakłopotany, jakby próbował zrozumieć, czemu przejaw jego troski spotkał się z tak nieprzychylną reakcją.

– Tak, możesz.

Oschle kiwam głową i wychodzę, nie oglądając się za siebie. Moje serce wciąż wali jak oszalałe.

*Skoro zauważył, że schudłam, może się zastanawiać, czy to nie ja jestem złodziejką. Na litość boską, kiedyś ukradłam mu lunch.*

Idąc w stronę lobby, przypominam sobie, co powiedziała Karin.

*Znaczy, że niedługo wyjdzie na jaw, kto kradnie, tak?*

Z nerwów ściska mnie w gardle. Kiedy można już coś zauważyć? Zwykle chyba w dwunastym tygodniu. Skoro tak, zostały mi tylko trzy miesiące. Może dopisze mi szczęście i będę jedną z tych kobiet, po których niewiele widać, nawet w zaawansowanej ciąży. Ale mama wspominała żartobliwie, że człapała jak kaczką, kiedy mnie dźwigała przez sześć koszmarnych miesięcy.

*Byłaś moim małym łapczywym Maggotem. Zawsze domagałaś się więcej.*

Nie cierpiałam tego przezwiska, odkąd pamiętam. Ale kiedy odkryłam, co oznacza, już do mnie przylgnęło. Wszyscy znali mnie jako Magot Barnes.

Wychodzę ze szpitala i biorę głęboki wdech. Chłodny wiatr szczypie mnie w policzki. Sięgam po komórkę, żeby sprawdzić, która jest godzina, i odczytuję najnowszą wiadomość.

**Nick:** Teraz to już przeginasz, kobieto. Jutro do piątej masz mi zapłacić albo będziesz zbierała zęby z chodnika.

Nagle zasycha mi w ustach. Próbuję jeszcze raz przeczytać wiadomość, ale słowa na wyświetlaczu rozmywają się w mojej roztrzęsionej dłoni. Nick musiał mieć o mnie dobre zdanie, bo dał mi duży zapas trawy i powiedział, że mogę mu zapłacić, jak się odkuję. Problem w tym, że nie jestem w stanie odłożyć pieniędzy dla niego, bo moje długi wciąż rosną. Najwyraźniej stracił cierpliwość.

Wyjmuję z kieszeni dziesięciofuntowy banknot Karin i trzymając go między palcami, przyglądam się, jak trzepocze na wietrze. To jedyne, co mam, bo moja pensja poszła na wyrównanie limitu debetowego i spłatę długów. Za miesiąc będzie to samo – cała wypłata znówu wyparuje, gdy tylko zostanie zaksięgowana na moim koncie.

Podskakuję wystraszona, słysząc swoje imię, i pospiesznie chowam banknot z powrotem do kieszeni. Karin przechodzi obok mnie z uśmiechem na twarzy. Niesie torbę przewieszoną przez ramię. Zastanawiam się, czy już zajrzała do portmonetki.

– Dobranoc – mówi, machając do mnie.

– Dobranoc.

Idę ze zwieszoną głową w stronę przystanku autobusowego, a wiatr przylizuje mi włosy. Wiem, że poczucie winy zaraz minie, a jego miejsce zajmie głód, tak dokuczliwy, że doprowadzi mnie do mdłości. Nie jestem taką szczęściarą jak ludzie pokroju Karin; nie mogę liczyć na wsparcie bogatych rodziców, kiedy znajdę się w dołku finansowym, ani nie mam męża, który płaci połowę rachunków. Jestem przedstawicielką klasy pracującej i wystarczy, że raz powinie mi się noga, żeby cały mój świat zawalił się w gruzy; jedno potknięcie, za które będę musiała płacić latami. Ogarnia mnie rozgoryczenie na myśl o doktor Jones, która jeździ do pracy mercedesem i nosiła na palcu serdecznym pierścionki z diamentami.

*Może i oni wszyscy potrzebują pieniędzy. Ale ja potrzebuję ich bardziej.*

Burczenie w brzuchu jest tak głośnie, że wyrывa mnie z zamyślenia. Wyjmuję papierosa zza ucha i zapalam go, żeby poskromić głód. Postanawiam wstąpić po drodze do baru z kebabem i kupić sobie frytki.

*Dzięki, Karin.*

Ale poczucie winy mnie nie opuszcza. Przypominam sobie, jak uśmiechnęła się do mnie, kiedy weszłam do biura Kelvina, zupełnie nieświadoma, że nie zasłużyłam sobie na jej życzliwość. Zaciągam się papierosem, próbując zignorować słowa mamy, które dźwięczą w mojej głowie.

*Mały łapczywy Maggot.*

Otwieram drzwi i wchodzę do mieszkania. Każdy dźwięk odbija się echem od pustych wnętrz i nieosłoniętych paneli podłogowych. Na ścianach nie ma ani jednego obrazu, półki są ogołocone z książek. Został mi jedynie fotel stojący naprzeciwko olbrzymiego okna i najtańszy telewizor, jaki znalazłam w lombardzie, kiedy sprzedawałam plazmę. Podobnie wygląda sypialnia – w środku znajduje się jedynie materac i moje ubrania piętrzące się w stertach pod ścianą.

Opchnęłam wszystko, co nie było przytwierdzone na stałe i dało się wynieść – sofę, otomanę i wszystkie książki, od tanich czytań w miękkich okładkach po egzemplarze z autografami, które mój były tak cenil. Kiedy zaczęły przychodzić wezwania do zapłaty, a ja coraz bardziej tonęłam w długach, musiałam skądś wytrasnąć pieniądze na czynsz. Udało mi się zyskać dodatkowe dwa miesiące, ale nie mogę w nieskończoność grać na zwłokę.

Zdejmuję mokrą kurtkę i wyciągam rękę do wieszaka, ale przypominam sobie, że sprzedałam go w zeszłym tygodniu. Za piętnaście funtów, które wydałam w ciągu jednego dnia. Wieszam kurtkę na drzwiach sypialni, starając się nie zwracać uwagi na echo moich kroków odbijające się od pustych ścian, po czym z ciężkim westchnieniem siadam w fotelu.

Przez sięgające od podłogi do sufitu okno widzę całe Redwood, wielką połąć światła migocących pod nisko zawieszonymi chmurami. Zastanawiam się, jak układa się innym ludziom, którzy mieszkają w tych wszystkich domach, czy są zadowoleni i czy ktoś robi to samo co ja – gapi się przez okno i rozmyśla o życiu innych, uparcie licząc na poprawę swojego losu. Kiedyś patrzyliśmy tak na miasto razem z Danem. Wieczorami piliśmy wino, paliliśmy trawkę i uprawialiśmy seks na sofie, z której prawie zawsze przenosiliśmy się na podłogę. Byliśmy szczęśliwi.

Podsłakuję wystraszona głośnym łomotaniem do drzwi. Moje serce kurczy się gwałtownie, wysyłając bolesny impuls, który rozchodzi się wzdłuż lewego ramienia.

– Margot, otwieraj! Widziałem, jak wchodzisz.

Poznaję głos Dana. Musiał się czaić przed budynkiem i czekać na mój powrót. Siedzę nieruchomo, słuchając, jak dobija się do drzwi. Czyżby już się domyślił, co zrobiłam z jego rzeczami? Nie zamierzam być w pobliżu, kiedy odkryje prawdę.

– Dobra, mnie możesz olać, ale wezwania do sądu nie olejesz. To jest list od mojego adwokata. Ostateczny monit, żebyś mnie wpuściła i pozwoliła zabrać moją własność. Miałaś na to sześć miesięcy, do jasnej cholery!

Wsuwa kopertę pod drzwiami, a ja zastygam w bezruchu, jakbym się obawiała, że wyczuje moje najłżejsze drżenie. Jeszcze długo po jego odejściu wbijam wzrok w kopertę, zastanawiając się, czy może jednak został i czeka, aż zdradzę swoją obecność. W końcu odwracam wzrok w stronę okna i kładę dłoń na brzuchu, gdzie rozwija się we mnie nowe życie. Ślad, który zostawił po sobie Nick.

Zrobiliśmy to pierwszy raz, kiedy do mnie przyszedł, żeby dostarczyć mi działkę. Zaopatrywałam się u niego, ilekroć Dan wyjeżdżał w długą podróż służbową i dokuczala mi samotność. Trawka pomagała mi uporać się ze smutkiem, a dotyk Nicka sprawiał, że czułam się chciana. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym nie zaproponowała mu tamtego wieczoru, żeby dotrzymał mi towarzystwa i wypalił ze mną skręta. Przyjął zaproszenie, a potem mnie przeleciał, w niespiesznym i monotonnym tempie, by na koniec stęknął głucho, przetoczyć się na drugi bok i zapaść w sen. Obudził się trzy godziny później, upchnął towar do kieszeni i wymknął się bez słowa, pozostawiając mnie z poczuciem jeszcze głębszej samotności niż przedtem. Ale nie cierpiałam długo. Dan wrócił wcześniej i natknął się na Nicka, który właśnie wychodził ode mnie, zapinając rozpiorek. Od tamtej pory robiłam to z Nickiem regularnie, aż jego wspaniałomyślność się wyczerpała, a mnie zaczął spóźniać się okres.

Z początku zdecydowałam się na aborcję. Nie nadaję się na matkę – jestem egoistyczna i lekkomyślna, a z domu nie wyniosłam najlepszego przykładu. Ale im więcej traciłam, tym bardziej docierało do mnie, że to dziecko może być wszystkim, co mi zostanie i będzie naprawdę moje.

*Co mam, do cholery, robić?*

Idę do sypialni, gdzie trzymam trawkę ukrytą w małej szkatułce na biżuterię, i układam na materacu wszystkie niezbędne akcesoria – szczyptę suszu, tytoń, bibułki i młynek ozdobiony lśniącem liściem marihuany, z którego wypadła połowa cekinów. W powietrzu unosi się tak intensywny zapach, że zaczynają mi łzawić oczy. Na dnie szkatułki zauważam polaroidową odbitkę, którą tam włożyłam i zupełnie o niej zapomniałam. Na zdjęciu Dan i ja skapani w słońcu uśmiechamy się do obiektywu. W tamten pogodny letni dzień, kiedy nasz przyjaciel zrobił nam to zdjęcie w parku, byłam przekonana, że wreszcie do czegoś doszłam. Miałam porządnego faceta, piękne mieszkanie i wspólne dochody. Ale wystarczyło parę miesięcy zaległych opłat po naszym rozstaniu i przez wysoko oprocentowane pożyczki wyładowałam na

samym dniu. To ja powinnam była się wyprowadzić, a nie Dan. Obydwoje wiedzieliśmy, że sama nie zdołam zarobić na taki czynsz, ale ja desperacko chciałam zachować dawny poziom życia. Perspektywa zmiany statusu napawała mnie lękiem.

Zawsze wylądujesz tam, gdzie jest twoje miejsce, mówiła mama.

Chowam zdjęcie z powrotem do szkatułki i przygotowuję sobie skręta, żeby odpędzić natrętne myśli. Nie powinnam palić w ciąży, ale nie powinnam również okradać moich kolegów, żeby wykarmić nas oboje. Bo przecież stres matki szkodzi nienarodzonemu dziecku, prawda? A trawka przynajmniej trochę nas uspokoi.

Matka. To słowo przyprawia mnie o dreszcze.

Jako dorastająca dziewczyna poprzysięgam sobie, że będę żyła inaczej niż ona. Uczyłam się wytrwale, poszłam na studia, opanowałam wytworny styl wymowy, a mimo to jakoś tak się złożyło, że trafiłam z powrotem do punktu wyjścia. Wpadłam w głębokie koleiny i podążając śladem mojej matki, zaszłam w ciążę z facetem, na którego nie mogę patrzeć, i okradam przyzwoitych ludzi, żeby nie umrzeć z głodu.

Wkładam skręta do ust, zapalam i zaciągam się łapczywie. Kiedy dym zaczyna uderzać mi do głowy, sięgam znowu po zdjęcie i przykładam żar do twarzy Dana. Ogarnięta transem patrzę, jak jego uśmiech marszczy się i czernieje.

Rozglądam się po pustym wnętrzu pogrążonym w wieczornym mroku i czuję, jak rozpacz powoli ściska mnie za gardło. Muszę znaleźć jakieś rozwiązanie, i to szybko.



Anna  
zostały 33 godziny  
Piątek, 5 kwietnia 2019  
00.53

Kiedy miałam czternaście lat, wpadłam pod samochód.

Byłam spóźniona na spotkanie z koleżanką, z którą umówiłam się w kinie na rogu Edgeware Street. To zabawne, ale teraz już nawet nie pamiętam, na jaki film się wybierałyśmy. Kiedy moje nogi oderwały się od podłoża, już nic nie miało znaczenia. W zderzeniu z jadącym siedemdziesiąt kilometrów na godzinę fordem pick-upem uleciało ze mnie wszystko, co kochałam, w co wierzyłam i co sprawiało mi radość. Moje myśli wypełniał tylko ból. Pełne zgrozy krzyki przechodniów. Głuchy odgłos, z jakim moja czaszka uderzyła o gorącą blaszaną maskę. Trzask pękającej przedniej szyby.

I tylko tak potrafię opisać to, co się teraz stało – porywacze wtargnęli w moje życie z impetem rozpędzonej półciężarówki.

Wciąż otaczają mnie ciemności. Czuję pulsujący ból w stłuczonym biodrze, na które upadłam, kiedy jeden z intruzów wyrwał mi folię spod nóg. Siedzę w salonie od kilku godzin z głową opartą o ścianę, wsłuchując się w miarowe dudnienie mojego serca i cichy elektroniczny szum kamer, które obserwują mnie spod sufitu. Choć nie jestem pewna, czy w ogóle wydają jakikolwiek dźwięk. Może to tylko złudzenie.

Czuję pieczenie pod powiekami, gdzie wciąż tkwią drobinki gipsowego pyłu, a moje wargi są zdrętwiałe i opuchnięte, jakby wciąż zaciskała się na nich dłoń w skórzanym rękawiczce. Ale nic nie może równać się z cierpieniem, które mnie ogarnia, kiedy myślę o Zacku.

Wciąż mam nadzieję, że zaraz się obudzę. Że wszystko to jest tylko sennym koszmarem. Ale kiedy się zastanawiam, gdzie może teraz być moje dziecko, przez co musi przechodzić i jak bardzo się boi, znów czuję przyływ adrenaliny, a mój oddech staje się coraz płytszy. Wpadam w popłoch, który wysysa ze mnie wszystkie siły.

*Nie uratujesz Zacka, siedząc tutaj po ciemku.*

Zamykam oczy i zaczynam głęboko oddychać, powoli uwalniając mój umysł od paraliżującego strachu. Wzbiera we mnie panika, a potem znów opada niczym fala odpływu. W końcu osiągam taką samą jasność umysłu, z jaką wchodzi na salę operacyjną. Otwieram oczy.

*Muszę zawiadomić policję.*

Nie mogę zrobić tego, czego ode mnie żądają. Przecież ślubowałam chronić i ratować ludzkie życie. To sprzeczne z normami moralnymi i prawem. Stałabym się tak samo zepsuta jak oni. Jeśli nie bardziej. A nawet gdybym się zdecydowała na ten czyn, Zack nadal pozostawałby w rękach bezwzględnych porywaczy, którzy byli gotowi go zabić.

Błyskawicznie wraca paniczny strach. Czuję mrowienie w palcach, gdy ogarnia mnie nieodparta chęć, by zacząć wyskubywać rzęsy. Zaciskam pięści i znów biorę głęboki wdech.

*Wstawaj, Anno. Wstawaj.*

Opieram się drżącą ręką o ścianę i niepewnie podnoszę się z podłogi.



A może w ogóle nie będę musiała zgłaszać się na policję? Któryś z sąsiadów mógł zauważyć albo usłyszeć coś podejrzanego. Ale gdyby zadzwonił na numer alarmowy, już dawno zjawiłby się tu patrol. Czy furgonetki firmy przeprowadzkowej jeżdżące po prywatnej drodze to naprawdę taki niezwykły widok?

Myślę o mieszkańcach okolicznych domów. To bogaci ludzie, którzy dbają o swoją prywatność. Nie tworzymy żywej lokalnej społeczności. Wszyscy jesteśmy tak zapracowani, że rzadko zwracamy uwagę na innych. Powoli tracę resztki nadziei, a strach i poczucie osamotnienia coraz bardziej przybierają na sile.

Tego wieczoru niebo jest bezchmurne i wpadająca przez okno księżycowa poświata odbija się od szklanego blatu stolika. Patrzę na ciemne kształty telefonów i nowego kompletu kluczy. Mój wzrok zatrzymuje się na trzech kubkach, z których pili intruzi. Mam ochotę wynieść je na podjazd, roztrzaskać i deptać tak długo, aż nie zostanie z nich nic oprócz drobnych odłamków porcelany. Wszystko, czego dotykali ci ludzie, jest skalane.

Podchodzę do stolika, żeby sięgnąć po komórkę, i nagle nieruchomieję, gdy wszzechobecna ciszę przerywa dziwny odgłos.

*Co to za chrobotanie?*

Moje serce uderza żwawiej. Spoglądam w stronę drzwi gabinetu, zza których dobiega ciche skomlenie.

Ogarnia mnie tak wielka ulga, że w oczach wzbierają mi łzy wzruszenia. Pędem przecinam hol i gdy tylko otwieram drzwi, wypada na mnie Misiek, po czym zaczyna radośnie biegać w kółko, popuszczając kropelki moczu, który wstrzymywał od wielu godzin. Opadam na kolana i przyciągam go do siebie. Czuję bicie jego małego serduszka, gdy wtulam zapłakaną twarz w miękką, pachnącą szczeniakiem sierść.

*Nie odebrali mi wszystkiego.*

Misiek wyzwala się z moich objęć i kuśtyka w stronę tylnych drzwi, posikując po drodze. Wstaję i wypuszczam go do ogrodu; biedaczek tym razem nie zaczyna od obwąchiwania trawy, tylko opróżnia pęcherz, gdy tylko wychodzi na patio.

Do tej pory cały czas myślałam tylko o Zacku, ale kiedy odnalazłam Miśka, od razu przypominam sobie o innych osobach uwikłanych w całą tę sprawę.

*Paula nie żyje.*

Ta myśl uderza mnie, jakbym dopiero teraz sobie uświadomiła, co się stało. Kiedy odszedł Adam, Paula szybko stała się dla nas podporą. Potrafiła rozśmieszyć Zacka w taki sposób, jaki dla mnie był nieosiągalny. Dzięki niej miałam wrażenie, że wszystko ogarniam i jestem dobrą matką, nawet jeżeli sama nie byłam do końca tego pewna. Pokochaliśmy ją, jakby zawsze należała do naszej rodziny.

*A teraz straciła życie przeze mnie.*

Stoję przez chwilę, pogrążona w myślach, gorączkowo szukając rozwiązania. Musi być jakiś sposób, żeby zidentyfikować tych ludzi i pociągnąć ich do odpowiedzialności. Wtedy przypominam sobie kubki stojące na stoliku w salonie.

Prawdopodobnie zostawili na nich materiał DNA. Mogłabym zapakować je w worki foliowe, żeby zabezpieczyć ślady biologiczne. Ale za każdym razem, kiedy się ruszę, mam nieodparte wrażenie, że ktoś na mnie patrzy. Jeż mi się włoski na karku, kiedy o tym myślę. Obracam się i spoglądam na obiektyw małej kamery zamontowanej nad drzwiami. Jest tak dobrze zamaskowana, że ledwie ją widzę w półmroku.

*Dlaczego ja? Dlaczego Ahmed Shabir?*

Nie żądają, abym uśmierciła pierwszego lepszego pacjenta, ale członka parlamentu. Śmierć Ahmeda Shabira pociągnie za sobą mnóstwo pytań i natychmiast stanie się przedmiotem śledztwa. Szpital znajdzie się w centrum zainteresowania mediów, serwisy informacyjne będą trąbić o tym incydencie dzień i noc.

*Dla mnie będzie to oznaczać koniec kariery.*

Bo jakżeby inaczej? Mam obowiązek dbać, aby moim pacjentom nie przytrafiło się nic złego. W tym tkwi cała istota mojego powołania. Gdybyśmy nie przestrzegali zasad zawartych w przysiędze lekarskiej, ludzie straciliby do nas zaufanie i zawód, któremu poświęciłam całe życie, przestałby istnieć.

Zerkam na zegar ścienny: jest pierwsza w nocy. Czy ktoś przez cały czas obserwuje obraz z kamer? Mogłabym udać, że kładę się spać, odczekać trochę – godzinę, może dwie – a potem wymknąć się przez okno sypialni na dach garażu i zeskoczyć na ziemię. Gdybym zostawiła telefony i nie korzystała z samochodu, mogłabym dotrzeć na piechotę na posterunek policji i wrócić przed świtem.

*Na Boga, Anno. Przecież to niedorzeczne. Planujesz ucieczkę z własnego domu.*

Misiek wraca do środka w wyraźnie lepszym humorze i podchodzi do szafki, w której trzymam jedzenie. Zamykam za nim drzwi, wsypuję mu do miski miarkę suchej karmy i utykając, wychodzę do holu. Czuję się kompletnie zagubiona i nie wiem, co ze sobą począć, więc snują się bez celu w ciemności. Ilekroć sięgam odruchowo do włącznika światła, waham się przez chwilę – nie chcę, żeby porywacze przed monitorami mieli lepszy widok.

Przystaję u podnóża schodów i spoglądam w górę. I pomyśleć, że jeszcze rok temu uważałam to miejsce za dom moich marzeń – pięć sypialni, cztery łazienki, olbrzymie okna i śnieżnobiałe ściany. Wyobrażałam sobie, że zawsze będę w nim mieszkała. A teraz nie budzi we mnie żadnych uczuć. Bez Zacka, nawet bez Adama, jest niczym więcej jak tylko pustą, pozbawioną życia skorupą.

*Adam.*

Wracam do salonu. Od czasu wymiany baterii moja komórka jest wyłączona. Kiedy uruchamiam ją ponownie, na ekranie wyskakuje całe mnóstwo powiadomień – nieodebrane połączenia, nagrania na poczcie głosowej, wiadomości tekstowe.

**Adam:** Wszystko u ciebie w porządku? Co tam się dzieje?

Anno, zadzwoni do mnie, kiedy tylko odbierzesz tę wiadomość. Może ja z nimi porozmawiam.

Proszę, odezwij się do mnie.

Przypominam sobie pistolet dotykający z cichym brzękiem szklanego blatu.

*Jeśli komuś o tym powiesz, twój syn umrze.*

Moje nogi zaczynają dygotać. Siadam w fotelu i słucham hałasów dobiegających z kuchni, gdzie Misiek wylizuje miskę do czysta, szurając nią po podłodze.

Dzięki Bogu, że Adam wyjechał. Gdyby był na miejscu, mógłby się tu zjawić, żeby zapanować nad sytuacją, i nie wiadomo, jak by się to skończyło. Czuję na skórze przenikliwe spojrzenia, jakby ze wszystkich kątów patrzyły na mnie czyjeś oczy, a nie obiektywy kamer.

*Czy oni tylko mnie widzą? Czy mogą również podsłuchiwać?*

Spoglądam na komórkę, którą ściskam z całej siły w drżącej dłoni.

*Adam nie może się o niczym dowiedzieć, dopóki nie skontaktują się z policją. Opowiem mu o wszystkim, kiedy Zack będzie bezpieczny.*

Przykładam telefon do ucha i czuję na policzku chłodny dotyk wyświetlacza. Adam odbiera po drugim sygnale.

– Nie mogłaś zadzwonić wcześniej? – warczy do słuchawki.

Tyle razy nie mogłam się do niego dodzwonić, kiedy po spotkaniach biznesowych w Amsterdamie szłałam się po dzielnicach, których rzekomo nigdy nie widział na oczy, a teraz ma chęć się burzyć. Mam ochotę go skłąć, ale szybko się opanowuję. To nie jest

odpowiedni moment na klótnie; teraz muszę rozproszyć wszelkie podejrzenia, jakie pojawiły się w jego głowie. Porywacze nas podsłuchują.

- To było nieporozumienie - mówię.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Po prostu ludzie z firmy przeprowadzkowej pomylili adres.
- Ale powiedziałaś, że weszli do domu.
- Mówię ci, zaszło nieporozumienie.
- To dlaczego myślałaś, że to komornik?
- Sam zgadnij.

Adam coś odpowiada, ale moją uwagę przykuwają ślady krwi na dywanie, ciemne zakrzepłe krople, które spadły z rozbitego nosa szpakowatego mężczyzny. Dostrzegam drobne otarcia na ścianie w miejscu, gdzie stałam, gdy jeden z osiłków zatykał mi usta, brutalnie przyciskając wargi do zębów. Wiem, że już nigdy nie będę się czuła w tym domu tak samo jak dawniej.

- Anno, czy ty mnie słuchasz?
- Przepraszam... przeglądałam sobie harmonogram na jutro.

Adam wzdycha ciężko. Podobnie jak ja, on również miał swoje powody, aby zakończyć to małżeństwo - zarzucał mi, że zbyt wiele czasu spędzam w pracy i nie poświęcam dosyć uwagi jemu i Zackowi.

*Pacjenci zawsze są dla ciebie ważniejsi.*

Właśnie tak brzmiała ostatnia wiadomość, jaką przysłał mi Zack przed porwaniem. Musiał usłyszeć, jak jego ojciec mówi to samo. Teraz każde z tych słów uderza mnie jak pocisk.

- Ale kto się przeprowadza o takiej godzinie?
- Podobno mieli jakieś problemy z kluczami - zmyślam na poczekaniu.
- Ach, no tak.

Znów zapada niezręczne milczenie i nabieram obaw, że Adam mnie przejrzał, że wyczuł moje kłamstwo. Trzaski na linii wydają się ogłuszające jak huk wystrzałów.

- Zack cieszy się na jutrzejszy wyjazd? - pyta Adam, przyprawiając mnie o przeszywający ból w klatce piersiowej. - Halo? Słyszysz mnie?

- Przepraszam. Tak, cieszy się.
- To dobrze. Dasz mi znać, kiedy dojedzie na miejsce? Zadzwoń do niego.
- Nie! - krzyczę i natychmiast żałuję swojej reakcji.
- A to dlaczego?

*Tylko spokojnie, Anno.*

- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł.
- Co? Ale dlaczego?

Powinłam była wcześniej sobie to wszystko zaplanować, żeby się nie pogubić w swoich kłamstwach. Nie tylko muszę przekonać Adama, ale również sprostać oczekiwaniom ludzi, którzy porwali mojego syna. Wyobrażam sobie, jak podsłuchują naszą rozmowę, i ostrożnie ważyć każde słowo.

- Anno?
- Zack nie chce teraz rozmawiać ani z tobą, ani ze mną. Usłyszał, jak się kłócimy, i...

Tyle razy robiłam mu wyrzuty, kiedy mnie okłamywał, tyle razy mu przypominałam, że małżeństwo opiera się na uczciwości i zaufaniu, a teraz proszę, sama nie jestem lepsza. Ale gdy tylko pojawiają się wyrzuty sumienia, tłumię je w zarodku.

*Robisz to, żeby ratować Zacka.*

– To co? – dopytuje ze zniecierpliwieniem Adam.

– Tak się tym przejął, że uciekł do swojego pokoju. Nawet nie chciał mi powiedzieć dobranoc. Myślę, że dobrze mu zrobi, jeśli trochę odpocznie od nas obojga. Naprawdę ciężko przeżywa nasze rozstanie.

– Na litość boską, on ma dopiero osiem lat. Nie potrzebuje przestrzeni, tylko miłości.

– Z całym szacunkiem, nie masz pojęcia, czego potrzebuje nasz syn. Codziennie spędzam z nim czas i wiem, co jest dla niego najlepsze. W tej chwili powinniśmy mu dać trochę luzu. Zbyt długo skupialiśmy się na sobie. Nie bądźmy egoistami i zróbmy coś dla niego.

Adam wzdycha ciężko. Wiem, że trafiłam mu do przekonania.

– Oderwie się od tego wszystkiego, kiedy jutro wyjedzie z Jeffem i Leilą do Kornwalii – dodaje. – Jeff będzie mnie informował na bieżąco, a Zack odezwie się do nas, kiedy poczuje, że jest na to gotowy.

– Jeśli tego właśnie chce, to w porządku. Ale daj mi znać, jak tylko będziesz miała jakieś wieści od Jeffa.

– Oczywiście.

Głos mi się łamie. Omal nie uwierzyłam we własne kłamstwo – że wprowadzie Zacka nie ma teraz w domu, ale jest bezpieczny i wróci szczęśliwszy, niż był przed wyjazdem.

– Na pewno wszystko u ciebie w porządku? – dopytuje Adam.

Teżknę z nim po raz pierwszy od naszego rozstania. Nie za łagodnym kształtem jego ust czy sprężystym ciałem, ale za jego siłą, która sprawiała, że czułam się przy nim bezpieczna.

– Jestem szczęśliwa, jeżeli Zack jest szczęśliwy. Dobranoc, Adamie.

Rozłączam się i opadam na oparcie fotela, przytłoczona nagłym poczuciem osamotnienia. Byłam samotna przez całe życie, dopóki nie urodził się Zack. Nawet kiedy wyszłam za Adama, byłam zamknięta w swojej skorupie i nikogo nie wpuszczałam do środka. Dopiero Zack dokonał przełomu. A teraz straciłam jedyne oparcie. Siedzę w ciemności rozdarta i zagubiona, a w oczach znowu wzbierają mi łzy.

Misiek, który wyczuwa zapach obcych, wchodzi do salonu z nosem przy podłodze i zaczyna lizać zaschniętą krew na dywanie. Zrywam się, żeby go powstrzymać, a wtedy wibruje leżący na stoliku telefon na kartę. Moje tętno przyspiesza, kiedy podnoszę go niepewnie i mrużę oczy oślepią jaskrawym blaskiem ekranu. Widzę ikonkę esemesa.

Ostrożnie z tymi historyjkami, doktor Jones. Jedno spotkanie i wszystko się wyda.

Aparat znów wibruje w mojej dłoni. Jeszcze jedna wiadomość:

A to Zack zapłaci za twój błąd.

Kolejna wibracja. Tym razem przychodzi zdjęcie. Omal nie upuszczam telefonu. Z moich ust wyrzywa się stłumiony jęk.

Zack śpi skulony w pozycji embrionalnej na posłaniu z brudnych koców. Leży na betonowej podłodze w kącie jakiegoś ciemnego pomieszczenia oświetlonego jedynie fleszem aparatu. Ma na sobie szkolny mundurek, który założyłam mu wczoraj rano, a jego jasne włosy o złocistym odcieniu są zmierzwione i pozlepiane od potu. Ale chociaż ma zamknięte oczy, wiem, że nie zasnął dobrowolnie – w żyłę na grzbiecie jego drobnej bladej dłoni tkwi wenflon z przezroczystą rurką, która znika poza kadrem.

Podają mu środki uspokajające.

Telefon znowu wibruje. Mam wrażenie, że przebijają moją dłoń na wylot. Przez łzy prawie nie widzę ekranu.

*Nie zawieź go.*

Jeśli znowu staną na mojej drodze, zabiję ich. Zakatrupię ich gołymi rękami. Zaczynam działać bez zastanowienia. Podnoszę torebkę z podłogi, wyjmuję z niej stary komplet kluczy, a potem biorę nowe ze stolika i ruszam biegiem do drzwi.

Zatrzymuję się na podjeździe. Przypominam sobie o lokalizatorze, który porywacze zamontowali w moim samochodzie, żeby mnie śledzić. Dzięki kamerom widzieli, jak wybiegałam z domu. Wiedzą o każdym moim ruchu, słyszą każde moje słowo. A ja nigdy nie zdołałabym ich znaleźć. Zrozpaczona ukrywam twarz w dłoniach.

*Mam już tego dość. Sama nie wiem, co robię.*

Słyszę, jak Misiek, który wyszedł za mną na zewnątrz, stuka pazurami o betonową kostkę i obwąchuje skraj trawnika. Z ciemności dobiega ciche skrzypienie. Błyskawicznie obracam głowę w tamtą stronę.

Drzwi domu Pauli są otwarte na oścież. Klucz nadal tkwi w zamku, wycieraczka jest uwalana ziemią, a na ganku leży przewrócona donica.

Nie minie wiele czasu, nim córka Pauli zadzwoni do mnie z Australii zaniepokojona, że jej matka nie odbiera telefonu, i poprosi mnie, żebym do niej zajrzała. O świcie poranni spacerowicze, którzy chodzą tędy z psami do lasu, zobaczą otwarte drzwi jej domu i bałagan przy wejściu. Najprawdopodobniej ktoś zawiadomi policję, podejrzewając włamanie, i na miejsce przyjedzie patrol, żeby sprawdzić, co się stało.

A w domu Pauli jest pełno moich odcisków palców.

Wciągam głęboki haust zimnego nocnego powietrza i klepię się z rozmachem w policzki. Jeśli chcę odzyskać moje dziecko, muszę posprzątać wszystkie ślady, żeby nikt nie zauważył niczego podejrzanego.

Muszę udawać, że nic się nie stało.



Anna  
zostało 27 godzin  
Piątek, 5 kwietnia 2019  
07.19

Nie zmrużyłam oka ani na chwilę.

Siedzę przy biurku w szpitalu i przyglądam się swojemu odbiciu w ramce zdjęcia stojącego na blacie. Mam zmatowiałą skórę i zapadnięte policzki, jakbym w ciągu ostatniej nocy postarzała się o kilkanaście lat. Ściągam frotkę i rozpuszczam włosy, które spięłam w niedbały kucyk, zanim zabrałam się za porządki.

Sprzątałam do świtu. Najpierw w domu Pauli, potem u siebie. Pod osłoną ciemności zamiotłam rozsypaną na ganku ziemię, odkurzyłam wykładzinę w holu i w salonie, a zawartość zbiornika odkurzacza przesypałam do worka na śmieci. Na koniec, idąc do wyjścia, wytarłam dokładnie wszystkie powierzchnie, których mogłam dotknąć. Usunęłam ślady krwi z dywanu w moim salonie; szorowałam go tak długo, aż gąbka pokryła się różową pianą, a opary wybielacza zaczęły drapać mnie w gardle.

Na moim biurku leży dokumentacja medyczna Ahmeda Shabira. Studiuję ją, odkąd tylko weszłam do gabinetu. W drodze do pracy zajechałam na stację benzynową i przejrzałam dzisiejsze gazety, żeby spróbować odkryć, komu mógł się narazić człowiek, którego kazano mi uśmiercić. W pierwszym odruchu chciałam wpisać jego imię i nazwisko w okno wyszukiwarki, ale szybko porzuciłam ten zamiar, przypomniawszy sobie, że policja bada takie tropy.

*Zaczęłam rozmawiać takimi kategoriami, jakbym zamierzała spełnić życzenia porywaczy.*

*Ale nie zrobię tego. Oczywiście, że nie.*

Shabir figuruje na pierwszych stronach niemal we wszystkich dziennikach. Lewicowa prasa nazywa go naszą jedyną nadzieją, prawicowa nie zostawia na nim suchej nitki. Gazety rozpisują się o jego staraniach na rzecz zwalczania handlu narkotykami w Londynie. Redwood służyło kiedyś jako punkt przerzutowy, przez który prochy trafiały do centrum miasta, ale kampania Shabira doprowadziła do rozbicia siatki przemytniczej i skazania wielu ludzi zamieszanych w ten proceder. Teraz Shabir zapowiada, że jeśli zostanie liderem swojej partii, będzie zabiegał o wdrożenie podobnych środków na skalę całego kraju, co w efekcie doprowadzi do spadku przestępczości.

*Czy w tym wszystkim chodzi o narkotyki? Czy dlatego ci ludzie przyszli do nas?*

Porywacze musieli mnie uznać za idealną ofiarę. Jestem od niedawna samotną matką, rok temu wyprowadziłam się z Londynu, pozostawiwszy tam wszystkich swoich krewnych i przyjaciół, i zamieszkałam w Redwood, w cichej odludnej dzielnicy, na tyle daleko od innych domów, by żaden z sąsiadów nie zauważył ani nie usłyszał niczego podejrzanego. Porwali Zacka tuż przed dwutygodniowymi feriami wielkanocnymi, żeby nikt nie zwrócił uwagi na jego nieobecność w szkole; w czasie gdy Adam był za granicą, a ja zostałam sama, jeśli nie liczyć Pauli, wdowy z sąsiedztwa, której jedyna córka mieszka na drugim końcu świata.

Starannie to sobie zaplanowali. Wiedzieli wszystko o moim życiu, ludziach z mojego najbliższego otoczenia, naszych codziennych zwyczajach. Musieli nas obserwować od wielu tygodni.

Przypominam sobie moje pierwsze spotkanie z Ahmedem Shabirem, jego serdeczny uśmiech, czarne włosy siwiejące na skroniach, ciepły kojący głos. Siedział po drugiej stronie mojego biurka z dłońmi splecionymi na kolanach i słuchał mnie, kiwając głową. Nie robiło na nim wrażenia, kiedy mówiłam, że będę musiała przeciąć mu mostek, żeby dostać się do serca. Nie miał żadnych złych przeczuć związanych z tym, co go czekało.

Mogłabym uniknąć tego wszystkiego, gdyby wybrał inny szpital. Ale on twardo obstawał przy swojej decyzji. Więść o jego operacji prędzej czy później musiała wyjść na jaw, a Shabir chciał jasno dać do zrozumienia, że ufa publicznej służbie zdrowia zamiast korzystać z jakiejś prywatnej kliniki i odcinać się od wyborców z klasy robotniczej.

Wzdycham ciężko i opieram podbródek na dłoni. Im więcej czytam o moim pacjencie, tym bardziej pogarszam sprawę. Podświadomie szukałam jakichś obciążających informacji na jego temat, by utwierdzić się w przekonaniu, że jest złym człowiekiem, że bym poczuła się choć trochę rozgrzeszona, kiedy pozabawię go życia.

*Przestań. Nie zrobisz tego.*

Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby niepostrzeżenie zawiadomić policję. Jeśli zostawię telefon w gabinecie i pojadę taksówką albo pójdę na posterunek, porywacze nie będą w stanie mnie namierzyć.

Ale wtedy staje mi przed oczami śliczna twarzyczka Zacka, jego jasne włosy, w których połyskują bursztynowe pasemka, kiedy przyświeci słońce; widzę, jak po przebudzeniu trze nabrzmiało od snu powieki, kiedy rankiem przychodzi do mojego łóżka, żeby się przytulić.

*A jeżeli nie zdołam uwolnić go inaczej, niż zabijając Shabira?*

Ukrywam twarz w dłoniach i zaczynam rozważać moje możliwości, odtwarzając w myślach najpierw jeden przerażający scenariusz, a potem drugi. Następstwa każdej z decyzji, między którymi muszę dokonać wyboru, wydają się wręcz niepojęte.

*Albo pozostanę wierna przysiędze i skażę na śmierć mojego syna.*

*Albo zabiję niewinnego człowieka, żeby ocalić Zacka.*

Biorę głęboki wdech i przyglądam się nieumyte włosy, które pozostawiają na moich dłoniach lepką warstewkę tłuszczu. Zack spogląda na mnie ze zdjęcia stojącego na biurku. Chwytam ramkę i kładę ją płasko na blacie. Nie mogę teraz myśleć jak matka. Powinnam rozważyć każdą opcję jak lekarz.

W nadzwyczajnych i trudnych sytuacjach jesteśmy zmuszeni dokonywać selekcji pacjentów, gdy możemy uratować tylko jednego z nich. W obliczu takiego ultimatum lekarz powinien oszacować sytuację i na podstawie statystyk ocenić, kto ma większe szanse na przeżycie. Motywy, którymi zazwyczaj się kieruje, podejmując życiowe decyzje, nie mają wtedy znaczenia; trzeba odłożyć na bok moralność.

Po raz kolejny przeglądam dokumentację pacjenta i na chłodno analizuję fakty. Ahmed Shabir ma czterdzieści lat i cierpi na dziedziczną hipercholesterolemię, dlatego wymaga potrójnego pomostowania tętnic wieńcowych. Jego szanse na przeżycie wynoszą około dziewięćdziesięciu procent, o ile po operacji nie wystąpią żadne komplikacje. Pod względem oczekiwanej długości życia tacy pacjenci nie odstają zbytnio od innych przedstawicieli populacji, aczkolwiek dziesięć lat po zabiegu ich śmiertelność wzrasta nawet do osiemdziesięciu procent. Wrodzona hipercholesterolemia Ahmeda Shabira nadal będzie wywoływać problemy z krążeniem. Jest to pierwsze wszczepienie bajpasów w jego życiu, ale z pewnością nie ostatnie.

Jeśli chodzi o aspekt społeczny, mój pacjent jest żonaty, ale nie ma dzieci. Na pewno państwo Shabirowie liczą się z ryzykiem zgonu. Są przygotowani na taką ewentualność.

*Przygryzam wargę.*

*Skup się na faktach.*

Zack Jones ma osiem lat i jest okazem zdrowia, jeśli nie liczyć nietolerancji laktozy i alergii na penicylinę. Jego ulubiony kolor to zielony. Czeka go jeszcze wiele lat życia. Nie zdążył doświadczyć nawet jednej czwartej tego, co Ahmed Shabir ma już za sobą. Stoi dopiero na początku swojej drogi.

*I jest moim dzieckiem.*

Panującą w gabinecie ciszę nagle przerywa dzwonek mojej komórki. Wzdrygam się tak gwałtownie, że coś chrupie mi w karku i natychmiast wraca wspomnienie zeszłej nocy. Czuję metaliczną woń krwi z rozbitego nosa szpakowatego mężczyzny i cierpki oddech osiłka, który przyciska mnie do ściany. Drżącą ręką podnoszę telefon i zerkam na wyświetlacz. Dzwoni mój brat.

Wstaję zza biurka i zaczynam chodzić tam i z powrotem chwiejnym krokiem. W całym tym chaosie zapomniałam, że dziś rano Jeff miał przyjechać po Zacka.

*Jeśli komuś o tym powiesz, twój syn umrze.*

Nie mogę odebrać; porywacze usłyszą każde słowo. Siadam z powrotem w fotelu i czekam, aż dzwonek umilknie. Potem sięgam po szpitalny telefon i przykładam do ucha słuchawkę, w której rozlega się przenikliwy ciągły sygnał.

*Czy telefon w moim gabinecie również jest na podsłuchu?*

Odkładam słuchawkę i wbijam w nią wzrok, jakbym miała nadzieję wypatrzyć jakieś ślady wskazujące na to, że ktoś przy niej majstrował.

*W moim telefonie może być pluskwa, ale w telefonie doktora Silvy nie ma.*

Nagle dostaję zawrotów głowy i odruchowo przytrzymuję się biurka. Mroczki wirują mi przed oczami. Jestem wyczerpana, a dzień dopiero się zaczyna. Mam na dziś zaplanowane dwie operacje.

*Wszystko po kolei.*

Biorę głęboki oddech i otwieram drzwi. Dobiegające z głębi budynku odgłosy odbijają się echem w ogromnym labiryncie korytarzy, ale na szczęście w zasięgu wzroku nie ma nikogo. Przemykam do sąsiedniego gabinetu, który zajmuje doktor de Silva, delikatnie naciskam klamkę, wślizguję się do środka i bezszelestnie zamykam za sobą drzwi.

– Dzień dobry, Anno.

Obracam się gwałtownie. Doktor de Silva siedzi za biurkiem.

– Przepraszam... Nie spodziewałam się, że przyjdiesz do pracy tak wcześnie.

– Dlatego postanowiłaś wstąpić, żeby wyjść mi czekoladki z szuflady?

Zmuszam się, by parsknąć sztucznym śmiechem. Bolał mnie policzki, gdy wykrzywiam twarz w grymasie udawanego rozbawienia.

– Jak ci mogę pomóc?

– Chciałam skorzystać z twojego telefonu – odpowiadam. – Mój nie działa, a w komórce zaraz mi padnie bateria.

– Oczywiście, nie krępuj się.

– Nie, to dosyć osobista rozmowa. Pójdę do dyżurki pielęgniarek i spytam, czy mogłabym...

– Daj spokój – oponuje de Silva. – Jeśli zadzwonisz z dyżurki pielęgniarek, w porze lunchu cała szpital będzie znał wszystkie twoje tajemnice. A ja właśnie wybierałem się na kawę.

Wstaje z fotela i rusza w stronę drzwi, ale gdy zbliża się do mnie, z jego twarzy znika uśmiech.

– Dobrze się czujesz?

Muszę wyglądać okropnie; mam bladą cerę, tłuste włosy i podkrążone oczy.

*Moje oczy.*



Zamierzałam przykleić sobie sztuczne rzęsy zaraz po przyjeździe do pracy, ale szybko o tym zapomniałam, kiedy zaczęłam studiować dokumentację Ahmeda Shabira. Rumienię się i spuszczam wzrok.

– Nic mi nie jest.

– W porządku. Ale pamiętaj, gdybyś chciała z kimś porozmawiać...

*Jeśli to zrobię, mój syn umrze.*

– Dzięki.

De Silva klepie mnie po ramieniu.

– A gdybyśmy się już nie widzieli, to powodzenia w sobotę – mówi, otwierając drzwi, i obraca się do mnie z uśmiechem. – Wiesz, że wszyscy zielenieją z zazdrości.

*Chętnie odstąpiłabym wam ten zaszczyt.*

Mój kolega puszcza do mnie oko, po czym wreszcie wychodzi.

Przysiadam na skraju biurka i ciężko wdycham. To dopiero początek, a zabrnęłam już tak daleko w mojej grze pozorów, uwikłałam się w tyle wykrętów i mistyfikacji, że muszę uważać na każde słowo. Mimo to wydaje mi się, że mam na twarzy wypisaną całą prawdę.

Wybieram numer Jeffa i wzdrygam się na myśl o kolejnej porcji kłamstw, która zaraz wydostanie się z moich ust.

– Halo?

Słyszając głos brata, mam ochotę się rozplakać i wszystko mu opowiedzieć.

– To ja, Anna.

– Och, cześć! – mówi Jeff z ożywieniem, jak przystało na kogoś, kto wybiera się na urlop i niczym się nie przejmuje. Tak bardzo mu zazdrościsz, że chce mi się wyć. – Skąd dzwonicz?

– Z gabinetu kolegi, bo mój telefon wysiadł.

*Pierwsze kłamstwo.*

– Już jesteś w pracy? Myślałem, że się zobaczymy, kiedy wpadnę po Zacka. Zostawiłaś go z Paulą?

– Posłuchaj, Jeff, obawiam się, że nie mam dla ciebie dobrych wiadomości.

Zapada pełne napięcia milczenie. Zaraz zburzę jego beztrioskie plany i ogarniają mnie z tego powodu wyrzuty sumienia, ale do głosu dochodzi również niegodziwa cząstka mnie, podszeptując, że jeśli popsuję mu nastrój, nie będę czuła się tak samotnie w moim oplakanym położeniu.

– Przegadałam z Zackiem pół nocy – dodaję.

*Drugie kłamstwo.*

– Naprawdę nie mógł się doczekać tego wyjazdu, ale tyle ostatnio się u nas zmieniło, że na myśl o rozłące ze mną czuł się bardzo nieswojo. Chyba będzie lepiej, jeśli zostanie ze mną w domu.

*Trzecie kłamstwo.*

– O kurczę – mruczy Jeff. – No to wielka szkoda.

– Strasznie mi przykro, ale przechodzimy teraz tak trudny okres, że emocje aż buzują. Muszę mu zapewnić maksimum stabilizacji, dopóki obydwoje nie odnajdziemy się w naszej nowej codzienności. Bardzo cię przepraszam.

– Daj spokój, zrobiłbym to samo dla Leili. O Boże... ona będzie załamana.

*Ale przynajmniej nic jej nie grozi.*

Z trudem udaje mi się przezwyciężyć frustrację.

– Tak mi głupio, że dzwonię do ciebie z taką wiadomością i od razu znikam, ale mam dziś rano operację i muszę zobaczyć się z pacjentem. Ale Zack i ja postaramy się wam to

wynagrodzić. Moglibyśmy wybrać się gdzieś razem jeszcze w tym roku.

Jeśli go odzyskam.

– To świetny pomysł. Ale zanim wrócisz do pracy... – Jeff milknie na chwilę, a ja wstrzymuję oddech. – Czy ty się dobrze czujesz?

*Zdradziłam się. De Silva zobaczył to na mojej twarzy, a Jeff usłyszał w moim głosie, że coś jest nie w porządku.*

– Tak... A czemu pytasz?

– No cóż, nie jest ci teraz lekko, kiedy masz na głowie rozwód, pracę i samotne wychowanie dziecka. Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć, gdybyś potrzebowała pomocy. Mógłbym chociażby wziąć do siebie Zacka któregoś ranka, żebyś mogła się wypaść. Słyszę, jaka jesteś przemęczona.

Mam łzy w oczach i zasycha mi w gardle.

– Dziękuję ci, Jeff. Słuchaj, naprawdę muszę już iść, ale życzę wam udanego wyjazdu i nie zapomnijcie przysłać mi kartki.

– Będziemy pamiętać. Kocham cię, Anno.

Pospiesznie odkładam słuchawkę, po czym zaciskam powieki i wstrzymuję oddech, żeby powstrzymać się od płaczu.

*Nie mogę się rozkleić. Muszę być silna dla Zacka.*

Gdy w końcu odzyskuję panowanie nad sobą i otwieram oczy, dostrzegam cieniutkie złotawe włoski rozsiane na nogawce moich spodni.

Nawet nie pamiętam, kiedy wyskubałam je z przedramienia.

Strzępię je starannie i ponownie skupiam się na oddechu, powoli łącząc moje kłamstwa w spójną legendę.

Nie muszę się obawiać, że Adam zadzwoni bezpośrednio do Jeffa. Kiedy wyszły na jaw jego skoki w bok podczas podróży służbowych, mój brat go znienawidził. Przez najbliższe dwa tygodnie nikt nie będzie się spodziewał Zacka w szkole. Wszyscy są przekonani, że wyjechał do Kornwalii, a Jeff myśli, że został ze mną w domu. Przy najbliższej sposobności zawiadomię policję i kiedy zaczną się poszukiwania Zacka, ja nadal będę udawała przed porywaczami posłuszną ofiarę. Jeśli tylko zachowam pozory i zadbam, żeby żadne z moich kłamstw się nie wydało, jakoś z tego wybrnę. Nikt o niczym nie musi wiedzieć.

To będzie moja mała tajemnica.



Rachel  
Piątek, 5 kwietnia 2019  
08.36

Ciało leży na dnie studni.

Przynajmniej nie docierają do niego promienie słońca i nie jest narażone na gorąco. Nawet muchy jeszcze go nie znalazły.

Silnik wyciągarki pomrukuje niczym zadowolony kot, a z głębi studni dobiega zgrzyt łańcuchów napinających się pod ciężarem zwłok. Ten odgłos przyprawia mnie o ból zębów.

O świetle ściągnięto na miejsce ekipę techników kryminalistyki. Zrobili zdjęcia, pobrali próbki wody i dokonali wstępnych oględzin w poszukiwaniu śladów, które mogłyby ulec zniszczeniu podczas wyciągania ofiary na powierzchnię. Teraz czekają, podobnie jak my wszyscy, gotowi stłoczyć się wokół ciała, gdy już zostanie przeniesione do namiotu, który trzepocze w porannym wietrze.

Do makabrycznego odkrycia doszło w dosyć stereotypowy sposób. Pewien mężczyzna spacerował rano po okolicy ze swoim rozszczekany terierem, który zwietrzył podejrzany zapach, podbiegł do studni i zaczął ujadać, opierając przednie łapy na cembrowinie. Kiedy opiekun przyszedł zabrać psa, zajrzał do wnętrza studni i zobaczył leżącą na dnie kobietę – miała przekrzywioną głowę, jakby na niego patrzyła, i usta otwarte w niemym wołaniu o pomoc. Ten człowiek prawdopodobnie już nigdy nie zapanuje się z psem na Littlebrook Farm.

Ze studni wylania się ciało. Brudna woda ścieka z niego strumieniami, wydzielając ohydny fetor, od którego natychmiast ścisną mnie w gardle. Skóra kobiety ma zielonkawy odcień. Zwisające fałdy przemoczonego ubrania kołyszą się przy każdym ruchu. Brakuje jej buta, a na środku czoła ma wyraźnie widoczną ranę postrzałową. Wygląda na sześćdziesiąt kilka lat i z pewnością nie należy do osób, które często padają ofiarą takich zbrodni.

- Napad rabunkowy? – odzywa się detektyw sierżant Mark Ryan stojący za moimi plecami.
- Ktoś musiałby sobie zadać wiele trudu tylko po to, żeby odebrać torebkę starszej pani.
- W ciągu ostatniego roku odnotowano wzrost liczby rozbojów.
- Ale idę o zakład, że żadna z ofiar nie skończyła z kulą w głowie.

Kiedy wypowiadam te słowa, wyciągarka kończy pracę i zwłoki obracają się powoli, zawieszona nad otworem studni. Przed oczami miga nam rana wylotowa z tyłu głowy. Siwe włosy nad potylicą mają ciemnobordowy kolor.

- Nie wygląda mi to na robotę drobnego złodziejzka – dodaję. – To jest egzekucja.

Patrzę, jak strażacy opuszczają ciało na ziemię. Ryan też nie może oderwać wzroku od tej sceny.

- Steżenie pośmiertne jeszcze nie ustąpiło – zauważa. – Przynajmniej wiemy, że zgon nastąpił w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Jego skóra jest tak jasna, że zdaje się lśnić w promieniach słońca. Ma usianą piegami twarz i rudą czuprynę, która jest jeszcze bardziej ognista niż włosy mojego syna. Zresztą jest mniej więcej w jego wieku. Mój syn miałby teraz dwadzieścia pięć lat.

- Myślisz, że zabił ją ktoś stąd? – pyta.

– Nie, nikt z tutejszych. W Littlebrook jest tylko sześć domów, więc w ciągu paru godzin wytropilibyśmy sprawcę. Morderca musiał wiedzieć, że farma jest opuszczona, i przyjechał tutaj, żeby ukryć zwłoki.

– Pewnie liczył, że nikt ich nie znajdzie – mówi Ryan. – Ostatni raz używano tej studni w latach osiemdziesiątych.

– Inspektor Conaty!

Rozpoznaję głos Diane Reed z biura koronera, która macha do nas dłonią w lateksowej rękawiczce. Odpowiadam jej skinieniem głowy i ruszam w stronę namiotu. Unoszę wysoko nogi, brodząc w wysokiej trawie; kiedy docieram na miejsce, nogawki mam mokre od rosy.

W miarę jak podchodzę bliżej, fetor coraz bardziej daje mi się we znaki.

– Nie leżała tutaj długo – mówi Reed, naciągając maseczkę. – Nie ma larw i wciąż występuje stężenie pośmiertne. Wstępnie mogę oszacować, że zgon nastąpił w ciągu ostatniej doby.

Mój wzrok spoczywa na koniuszkach palców ofiary zakończonych kikutami.

– A więc ktoś jej obciął opuszki, tak? To nie jest efekt rozkładu?

– Zdecydowanie – potwierdza Reed. – Na skórze widać ślad ząbkowanego ostrza.

Ofiara ma na sobie jasnoniebieski sweter z guzikami udającymi perły i zaprasowane w kant eleganckie granatowe spodnie. Dostrzegam niewielki odłamek kości czaszki, który zaplątał się w jej włosach.

– Możesz coś powiedzieć o narzędziu zbrodni?

– Wszystko wskazuje na broń krótką. Strzał z bliskiej odległości.

– Skąd to wiadomo? – pyta Ryan.

– Okolice rany wlotowej są osmalone – wyjaśnia Reed. – A gdyby sprawca użył czegoś większego, odstrzeliłby jej pół głowy.

– Jak znalazła się w tej studni?

– Podejrzewam, że ktoś ją tam wrzucił albo wepchnął. Kiedy przenosiliśmy ciało, zauważyłam ślady złamań. Ma takie obrażenia jak ktoś, kto spadł z wysokości drugiego piętra.

Przyglądam się twarzy ofiary. Musiała być piękną kobietą za życia. Ma kształtne kości policzkowe i ciepłe brązowe oczy, a jej usta zapewne uśmiechały się życzliwie, zanim usunęto jej zęby. Kiedy mnie wezwano do wydobycia zwłok ze studni, spodziewałam się smutnego, ale często spotykanego widoku – bezdomnego, który wszedł do środka, żeby się przespać, i nie mógł wyjść, ewentualnie ćpuna, który przypłacił życiem nieudaną transakcję. Nie spodziewałam się, że zobaczę czyjąś babcie z przestreloną głową.

– Jak straciła zęby? Sprawca je wybił czy wyrwał?

– Wyrwał. – Diane podwija górną wargę ofiary, odsłaniając krwawe zagłębienia w dziąsłach.

– Zajęło mu to więcej czasu, ale zyskał pewność, że nie został żaden ślad.

– A więc musiało mu zależeć, żebyśmy nie zidentyfikowali zwłok na podstawie kartoteki dentystycznej.

– Też tak sądzę.

– Dzięki – mówię, po czym zwracam się do Ryana: – Przyjrzyjmy się tej studni.

Idę pierwsza, mrużąc oczy w porannym słońcu. Moje buty, które już całkiem przemokły od rosy, chłupoczą nieprzyjemnie przy każdym kroku. Dochodzę do cembrowiny i nachylam się nad ciemnym otworem. Kiedy spoglądam w dół, natychmiast zaczyna mi się kręcić w głowie.

– No i co teraz? – odzywa się Ryan.

– Samo miejsce porzucenia zwłok niewiele nam powie. Musimy się dowiedzieć, kim jest ofiara i gdzie została zamordowana. Dopóki tego nie ustalimy, będziemy tkwić w martwym punkcie. Zaczniemy od przejrzenia zgłoszeń o zaginięciu z ostatnich kilku dni. Jeśli niczego

nie znajdziemy, opublikujemy w mediach społecznościowych graficzną rekonstrukcję twarzy. Może ktoś ją rozpozna i odezwie się do nas. Do jutra rana chcę znać jej nazwisko.

Słyszę za plecami trzask migawki i oglądam się przez ramię. Białe ściany namiotu rozświetlają się z każdym błyskiem flesza, kiedy technicy fotografują wszystkie szczegóły. Podmuch wiatru unosi płachtę przy wejściu, odsłaniając na krótką chwilę twarz ofiary. Widzę błagalny wyraz w jej szeroko otwartych oczach.

– Ta kobieta nie wygląda na kogoś, kto obraca się w niewłaściwym towarzystwie. Dowiedzmy się, kim była i jak trafiła w to miejsce.



Margot  
Piątek, 5 kwietnia 2019  
09.09

Zostało mi niecałe osiem godzin na uregulowanie długu.

Mam wysuszone oczy, bo w nocy prawie nie spałam, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie, ale na próżno. Nie ma szans, abym rozliczyła się dzisiaj z Nickiem. Nie stać mnie już nawet na mleko, bo za pieniądze Karin kupiłam doładowanie komórki i porcję frytek, więc niby skąd miałabym wytrzasnąć ponad dwieście funtów? A poza tym muszę opłacić zaległe rachunki i coś jeść. Sandy, której jestem winna za czynsz, dzwoniła dziś rano dwa razy, ale nie miałam odwagi odebrać.

W milczeniu przygotowuję narzędzia doktor Jones do porannej operacji. Układam je w takiej kolejności, w jakiej będzie ich używała – skalpel, piłę oscylacyjną, rozwieracz, szczypce zaciskowe, nożyczki, igłotrzymacz, szwy – i odhaczam wszystko na liście. Po drugiej stronie stołu asystentka chirurga Beth układa narzędzia potrzebne do wypreparowania żył, które posłużą jako materiał do utworzenia bajpasów. Karin drugi raz kontroluje działanie płucoserca.

Jeszcze dwa dni temu przeklinałam w myślach nudę podczas rutynowych operacji. Marzyło mi się coś bardziej konkretnego, jak choćby przeszczep albo plastyka zastawki po urazie klatki piersiowej – w każdym razie coś, czego nie oglądałam zbyt często przez ostatnie pięć lat. Ale dzisiaj czuję ulgę. Moja przyszłość rysuje się tak niepewnie, że perspektywa asystowania przy prostym i przewidywalnym zabiegu działa na mnie kojąco.

– Zamień miejscami szczypce i nożyczki – odzywa się doktor Jones za moimi plecami.

W sali operacyjnej jest tak cicho, że podskakuję wystraszona dźwiękiem jej głosu. Zazwyczaj doktor Jones nie zaszczycą nas swoją obecnością na tym etapie przygotowań, tylko czeka do momentu, aż znieczulony pacjent znajdzie się na stole. Ale nie jest to jedyny ewenement tego ranka. Dziś nie tylko zjawia się wcześniej, ale wygląda jak półtora nieszczęścia.

Nawet mimo maseczki i okularów ochronnych widzę, że nie spała tej nocy. Ma przekrwione i opuchnięte oczy, a jeśli ktoś ośmieli się do niej odezwać, warczy opryskliwie w odpowiedzi. Coś wyraźnie ją gnębi, a jej parszywy nastrój udziela się wszystkim. Kątem oka widzę, jak Beth układa narzędzia chirurgiczne z niezwykłą ostrożnością, uważając, żeby nie narobić hałasu i nie ściągnąć na siebie gniewnego spojrzenia doktor Jones.

Tłumię ziewnięcie pod maseczką. Kiedy wreszcie udało mi się zasnąć dzisiejszej nocy, niemal tego pożałowałam, bo znów nawiedził mnie ten sam powracający uporczywie koszmar, który na dobre zagnieździł się w mojej głowie. Śniło mi się, że biegnę szpitalnym korytarzem, a z ust wylatują mi zęby i sypią się na pokrytą linoleum podłogę. Krztuszę się nimi, ilekroć biorę oddech, żeby wezwać pomoc. Ciągłe uciekam, a gdy wypada mi ostatni ząb, obracam się i widzę Nicka idącego za mną po śladach, które zostawiam. Na koniec zawsze mnie dogania, ale budzę się, zanim zdąży zacisnąć mi rękę na ramieniu i szarpnąć do siebie.

Nietrudno zgadnąć, dlaczego prześladują mnie takie sny.

Nie mogę wziąć kolejnej chwilówki. To właśnie przez wysokie odsetki i kary za nieterminową spłatę wpędziłam się w kłopoty, kiedy w pierwszym miesiącu zabrakło mi na czynsz. Mam ujemne saldo na koncie, a moja wiarygodność finansowa jest tak niska, że

gdybym zadzwoniła do banku i poprosiła o pożyczkę albo o zwiększenie limitu kredytowego, w odpowiedzi usłyszałabym pogardliwy śmiech. Jestem zbyt dumna, żeby prosić o pomoc rodziców, a grono moich przyjaciółek znacznie się zmniejszyło ostatnimi czasy, ale tak to bywa, kiedy pożyczka się od kogoś pieniądze i nie oddaje. Mogłabym pójść do banku żywności, ale boję się, że mogłabym się natknąć na któregoś z pacjentów. A wtedy Kelvin już na pewno zacząłby mnie podejrzewać.

*A gdybym powiedziała Nickowi, że jestem w ciąży? Może nie zrobiłby mi krzywdy.*

Ale w głębi ducha wątpię, aby się tym specjalnie przejął.

Otwierają się drzwi sali przedoperacyjnej i na wózku wjeżdża uspiona pacjentka. Według dokumentacji ma czterdzieści cztery lata, a jej twarz nosi ślady drogich zabiegów odmładzających – kości policzkowe są nienaturalnie wydatne, a wargi wyglądają na opuchnięte, co nadaje jej dosyć karykaturalny wygląd. Ale moją uwagę przyciąga pierścionek z ogromnym diamentem, który połyskuje w świetle lamp jarzeniowych.

– Chwila – mówię. – Ona nie zdjęła biżuterii.

– Co? – warczy doktor Jones.

Wskazuję na lewą dłoń pacjentki.

– Chryste, przecież ona nie może tego mieć na sobie podczas operacji. Pielęgniarki o tym wiedzą.

Nie mogę oderwać wzroku od pierścionka.

*Diament jest naprawdę wielki. Musi kosztować majątek. Gdybym miała tyle kasy, oddałabym dług Nickowi, zapłaciła cały zaległy czynsz i jeszcze zostałoby mi na kilka miesięcy wyżywki.*

– Czy na terenie szpitala czeka ktoś z jej rodziny, kto mógłby przechować ten pierścionek? Może partner?

*Nie, to zbyt ryzykowne. Nie mogę tego zrobić.*

– Nie, przyszła sama – odpowiada Beth, przerzucając kartotekę.

– Nie chcę dzisiaj żadnych opóźnień. Ktoś z was musi go zabezpieczyć.

– Ja się tym zajmę – słyszę własny głos i spojrzenia wszystkich obecnych kierują się w moją stronę. – W biurze Kelvina jest sejf. Tam możemy go przechować.

– W porządku – mówi doktor Jones. – Tylko szybko.

Kiwam głową, po czym chwytam pierścionek i zaczynam obracać. Ta kobieta musiała go nosić bardzo długo, bo wyżłobił zagłębienie w jej skórze. Czuję się, jakbym odzierała trupa z kosztowności.

– Boże, Margot – odzywa się Karin. – Tylko nie urwij jej palca.

– Przepraszam.

Chowam pierścionek do kieszeni. Czuję, że białe złoto jest jeszcze ciepłe.

– Będę za dziesięć minut.

– Wystarczy ci pięć – odpowiada doktor Jones.

Przytakuję pospiesznie i ruszam w stronę wyjścia. Idę najszybciej, jak potrafię, obawiając się, że doktor Jones może zmienić zdanie i powierzyć moją misję komuś innemu. Serce uderza mi tak szybko, że mam zawroty głowy.

Przemykam do szatni i upewniam się, że w środku nie ma nikogo. Zegar ścienny odmierza sekundy, które pozostały mi do powrotu na blok operacyjny. Otwieram szafkę, wydjmuję pierścionek z kieszeni i z zachwytem oglądam diament, który połyskuje przy każdym ruchu. Przymierzam go, ale na mojej dłoni nie prezentuje się tak imponująco – mam obgryzione paznokcie i spękaną skórę między palcami. Tamta kobieta na sali operacyjnej prawdopodobnie nigdy w życiu nie skalała sobie rąk ciężką pracą.

*To może być rozwiązanie wszystkich moich problemów, myślę, po czym chowam pierścionek do małej kieszonki w torebce i zasuwam zamek błyskawiczny.*

*Albo katastrofa, która wszystko zniszczy – odzywa się cichy głos z tyłu głowy.*

Z trzaskiem zamykam szafkę i ruszam do drzwi.





Anna  
Zostały 22 godziny  
Piątek, 5 kwietnia 2019  
12.14

Wchodzę do szatni i wpatruję się tęsknie w ławkę stojącą między rzędami szafek, jakby to było świeżo zaścielone łóżko. Z przyjemnością bym się położyła, nawet tylko na chwilę. Ze zmęczenia drżą mi nogi i czuję ból w krzyżu, ale nie mogę przeznaczyć tej wolnej chwili na odpoczynek, choć tak bardzo go potrzebuję. Jeśli teraz nie pojadę na posterunek policji, stracę jedyną dogodną okazję.

Ściągam z siebie chirurgiczną bluzę, odrywając tkaninę w miejscach, gdzie przykleiła się do spojonej skóry podczas porannej operacji, i wrzucam ją do zsypu na brudne ubrania umieszczonego w ścianie.

*Nie mogę zabić człowieka. Nie zrobię tego.*

*Mamo...*

*Ma... ma... musiu...*

Zaciskam powieki i opadam ciężko na ławkę.

Ilekcć myślę, jak wykiwać porywaczy, przypominam sobie moją ostatnią rozmowę telefoniczną z Zackiem. Rozpaczliwy ton jego głosu rozdziera mi serce na kawałki. Ukrywam twarz w dłoniach, uważając, żeby nie dotknąć sztucznych rzęs. Czuję, jak powoli ogarnia mnie senność, ale drzwi szatni otwierają się z przeciągłym skrzyknięciem.

Margot.

Muszę wyglądać okropnie, gdy tak siedzę z plecami wygiętymi w pałąk, a fałda tłuszczu zwisa mi nad gumką majtek.

– Wybierasz się gdzieś?

– Muszę coś załatwić – odpowiadam. – Zaraz wracam.

Margot wrusza ramionami, jakby w ogóle jej to nie obchodziło, ale gdybym nic nie odpowiedziała, ta wścibska żoła wierciłaby mi dziurę w brzuchu, dopóki nie poznałaby moich planów.

Ubierając się, obserwuję ją kątem oka. Widzę, jak otwiera swoją szafkę, sprawdza coś w środku, a potem wyjmuje komórkę i przegląda wiadomości.

– Nienawidzę facetów – mówi i siada na ławce z przeciągłym westchnieniem. – A ty?

Wyciągam włosy spod kołnierzyka bluzki i schylam się, żeby założyć buty.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – odpowiadam, sięgając po torebkę, po czym zamykam drzwi szafki. – Widzimy się za godzinę.

Moja instrumentariuszka znów wrusza ramionami. Ani na chwilę nie odrywa wzroku od ekranu komórki.

Wychodzę z szatni i kieruję się w stronę windy. Nagle słyszę za plecami męski głos i przystaję. Ktoś woła mnie po imieniu.

– Anno, cieszę się, że cię widzę.

To Dominic Keller, ordynator oddziału kardiologii. Jest wysoki, barczysty i zawsze sprawia wrażenie zniecierpliwionego.

Staram się zapanować nad paniką i przywołuję na twarz wymuszony uśmiech.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – pytam.

– Tylko się upewniam, że wstąpisz do mojego gabinetu przed końcem pracy. Chodzi o Pacjenta X. Chciałbym omówić z tobą plan działania na jutro.

Wzmianka o Shabirze sprawia, że zaczyna mi drgać powieka. Zmuszam się do jeszcze szerszego uśmiechu.

– Oczywiście. Powinnam skończyć około piątej. Mogę wtedy wpaść?

– Jasne. – Keller poklepuje mnie po ramieniu i odchodzi tam, skąd właśnie przyszedłam. – No to czekam na ciebie.

Z kołataniem serca wchodzę do windy. Już na samą myśl o jutrzejszej operacji ogarnia mnie panika, ale jak się zachowam, gdy w końcu nadejdzie ten moment i ludzie będą patrzeć mi na ręce? Jak się odnajdę w obliczu zaostrożonych środków ostrożności?

*Nie potrafiłabym zabić pacjenta, nawet gdybym chciała.*

Zerkam na zegarek. Muszę tu wrócić za godzinę i czterdzieści pięć minut.

Wskakuję do pierwszej taksówki na postoju przed szpitalem.

– Poproszę na posterunek policji.

Spodziewam się zatroskania na twarzy kierowcy, jednak nie zauważam, aby chociaż drgnęła mu powieka. Facet tylko pogłaska radio i włącza się do ruchu. Zapinam pas i stukam podeszwą w gumowy dywanik w rytm muzyki, żeby przewyciężyć senność. Co chwilę zerkam ponad ramieniem kierowcy w boczne lustro.

*Nikt cię nie śledzi. Popadasz w paranoję.*

Odchylam głowę na oparcie fotela i zamykam oczy.

Co powiem policjantom, kiedy dojadę na miejsce? Uświadamiam sobie, jak dziwnie może zabrzmieć moje zgłoszenie: nieznajomi mężczyźni zainstalowali kamery w całym moim domu, żeby mnie obserwować. Zabili moją sąsiadkę i porwali syna, którego mogę odzyskać, pod warunkiem że doprowadzę do śmierci pacjenta na stole operacyjnym. Pomyślą, że jestem wariatką.

Otwieram oczy, gdy taksówkarz gwałtownie hamuje i zaczyna wykrzykiwać przekleństwa przez okno, wygrażając komuś pięścią. Jakiś rowerzysta pokazuje mu środkowy palec i szybko odjeżdża. Musiałam na chwilę zasnąć. W ustach mam nieświeży posmak i czuję wzbierającą falę mdłości.

*Już prawie jesteś na miejscu. Jeszcze tylko parę zakrętów.*

Nadal nie wiem, co powiedzieć policjantom. Jeśli wspomnę o kamerach, będą chcieli przeszukać mój dom, żeby się upewnić, czy mówię prawdę. Ale przecież nie mogą tego zrobić i pozostać niezauważeni. Nie mogłam nawet zabrać mojej komórki, żeby pokazać im ukryty w baterii lokalizator, bo porywacze od razu przejrzeliby mój plan.

Obracam głowę i patrzę przez tylną szybę, ale nie zauważam nikogo, kto by mnie ewidentnie śledził, tylko czerwonego forda focusa, a za nim audi.

*No widzisz? – uspokajam się w myślach. Jesteś paranoiczką.*

Sięgam po leżącą na siedzeniu obok torebkę i wypijam kilka łyków wody mineralnej. Mam ochotę wylać sobie całą zawartość butelki na twarz.

Nagle taksówka się zatrzymuje.

– Siedem osiemdziesiąt.

Otwieram portmonetkę, z której wyłuskuję dziesięciofuntowy banknot.

– Reszta dla pana – mówię i wysiadam.

Chłodne dni nareszcie minęły i kwietniowe słońce ogrzewa mi twarz, ale jaskrawe światło razi moje przemęczone oczy. Wyjmuję z torebki okulary przeciwsłoneczne, po czym ruszam niepewnie na przód posterunku. Przystaję w cieniu drzew przed wejściem.

*Jeśli komuś o tym powiesz, twój syn umrze.*

Tocząc wewnętrzną walkę, powtarzam sobie, że nie mam innego wyjścia. Jeżeli teraz nie zawiadomię policji, jutro rano będę musiała zabić człowieka. A takie rozwiązanie nie wchodzi w grę.

*Jeśli nie uda ci się uśmiercić pacjenta, twój syn umrze zamiast niego.*

Myszę o Zacku skulonym na posłaniu z brudnych koców i z wbitym w dłoń wenflonem, przez który porywacze pompują w jego żyły nie wiadomo jakie świństwo.

Spoglądam na zegarek. Za godzinę muszę być z powrotem na bloku operacyjnym. To moja jedyna szansa. Wpatruję się w drzwi budynku i siłą woli próbuję zmusić moje nogi do ruchu.

Ale nadal stoję w miejscu.

Jeżeli tam wejdę i złożę zawiadomienie, wcale nie zyskam gwarancji, że Zack wróci do mnie cały i zdrowy. Kładę na szali jego życie, zdając się na stróżów prawa i wierząc, że zdołają jakoś powstrzymać porywaczy. Tymczasem policja najprawdopodobniej nie ma pojęcia, kim są ci ludzie i gdzie przetrzymują mojego syna. Może minąć wiele tygodni, zanim śledztwo przyniesie jakiegokolwiek efekty. A naciśnięcie spustu zajmuje tylko sekunde.

*Ma... ma... mamusiu...*

Wypieram z pamięci echo rozpaczliwych krzyków Zacka i zaczynam przechadzać się nerwowo tam i z powrotem.

*Nie mogę uwierzyć, że biorę to pod uwagę.*

Ilekcroć myślę o rozwiązaniu innym niż morderstwo, analizuję w wyobraźni dalszy rozwój wypadków. W każdym z tych scenariuszy Zack ginie. Oglądam jego śmierć tyle razy, że już nie mogę tego znieść, i wzdrzgam się, gdy huk wymyślnego strzału dźwięczy mi w uszach. Nic nie daje mi tak dużej szansy na jego ocalenie jak postępowanie zgodne z wolą porywaczy. Wszystko inne opiera się na płonnych nadziejach.

Zawracam w stronę ulicy, ale wciąż targają mną rozterki i jestem tak samo przerażona jak przedtem. Jakąkolwiek podejmę decyzję, skutki będą katastrofalne. Nie mogę skazać mojego syna na śmierć, ale nie mogę również świadomie pozbawić pacjenta życia.

Odrywam wzrok od chodnika i zastygam w bezruchu.

Czarne audi, które obserwowałam z tylnego siedzenia taksówki, stoi zaparkowane po przeciwnej stronie ulicy. Za kierownicą dostrzegam znajomą twarz. To mężczyzna, którego spotkałam wczoraj wieczorem na podjeździe przed moim domem. Pamiętam jego brązowe oczy i kropelkę śliny, która wylądowała na moim policzku, kiedy się odezwał.

Śledzą mnie.

*Zack.*

Idę dalej ze spuszczoną głową, przyspieszając z każdym krokiem. Promienie słońca parzą mnie w plecy. Kątem oka widzę, jak audi wyjeżdża z miejsca parkingowego przy krawężniku i wolno rusza za mną.

Na rogu ulicy skręcam i zaczynam bieć. Biegnę z takim zapałem, że świat dookoła zamienia się w rozmazane kontury. Biegnę, aż gorący oddech całkiem wysusza mi usta.

Biegnę do telefonu. Żeby się dowiedzieć, czy już zabili mojego syna.

Gdy metalowe drzwi rozsuwają się na drugim piętrze, wychodzę z windy. Dyszę ciężko i jestem mokra od potu, a stopy mam całe w pęcherzach, ale to wszystko nie ma znaczenia.

Teraz liczy się tylko Zack.

– Rany boskie, byłaś na basenie? – woła za mną Val z dyżurki pielęgniarek.

Jestem zbyt zziębnięta i przerażona, żeby jej odpowiedzieć, więc idę szybkim krokiem do swojego gabinetu. Zamykam się w środku i oparta plecami o drzwi próbuję złapać oddech. Od strony biurka dochodzi stłumione wibrowanie. Utykając, dochodzę na drugi koniec gabinetu, wydjmuję z szuflady komórkę na kartę i odbieram. Kropla potu bezgłośnie spada na blat. Desperackie kołatanie serca rozsadza mi pierś, kiedy wsłuchuję się w oddech na drugim końcu linii.

– Jeszcze jeden taki numer, a przyślę ci jego rękę – odzywa się nieznajomy i przerywa połączenie.

Stoję osłupiała z komórką przyciśniętą do ucha. A potem opadam na kolana i wstrząsana konwulsjami wymiotuję do kosza na śmieci.



Margot  
Piątek, 5 kwietnia 2019  
19.28

Stoję w windzie cała mokra od potu. Tak dawno nie robiłam dużych zakupów, że już zapomniałam, jakie męczące jest dźwiganie wypchanych po brzegi siat, ale myśl o porządnej kolacji dodaje mi siłę i wywołuje ślinotok. Chociaż cieszę się z całego tego jedzenia, to sposób, w jaki je zdobyłam, przysparza mi o poczucie winy.

Za pierścionek pacjentki dostałam nędznego tysiaka w lombardzie przy Hammerton Road. Taka cena to rozbój w biały dzień, zważywszy na rozmiary diamentu, ale nie miałam czasu targować się o lepsze oferty. Nick nie może dłużej czekać, a i tak znają mnie już we wszystkich lombardach w mieście. Gdybym znowu się tam zjawiała z takim klejnotem, nawet najbardziej zepsuty lichwiarz zacząłby coś podejrzewać.

Ilekróż myślę o kobiecie, którą okradłam, próbuję uspokoić swoje sumienie, wyobrażając ją sobie, jak robi okropne rzeczy, na przykład kopie psa albo krzyczy na dziecko. Tyle razy skopała tego nieszczęsnego zwierzaka w mojej wyobraźni, że gdyby był prawdziwy, już dawno by nie żył. W mojej torebce zaczyna dzwonić komórka, ale nawet nie sprawdzam, kto dzwoni. To może być tylko Sandy, która upomina się o zaległy czynsz.

Kelvin wpadł w furję, kiedy się dowiedział o pierścionku. Wezwał mnie do siebie i musiałam patrzeć, jak się miota, a jego twarz przybiera coraz głębszy odcień czerwieni. Zaczęłam naprawdę się obawiać, że dostanie apopleksji.

Nie było cię w biurze... Doktor Jones kazała mi się spręzać, więc schowałam pierścionek w swojej szafce i zamknęłam ją na kłódkę. To nie moja wina, że złodziej włamał się akurat do mnie i go ukradł. Złodziej, o którym wiesz od dawna i nie zrobiłeś nic, żeby zapobiec kradzieżom...

Po takim argumentem już niewiele miał do powiedzenia.

Winda zatrzymuje się na trzecim piętrze z przenikliwym dźwiękiem dzwonka. Kiedy wychodzę na korytarz, ktoś nagle chwyta mnie za włosy i mocno szarpie do tyłu. Wydaję zdławiony okrzyk, rozpaczliwie machając rękami, żeby zachować równowagę. Upuszczam torby z zakupami, a ich zawartość wysypuje się na schody i spada z głośnym stukotem, uderzając o balustradę. Otwieram usta do krzyku, ale napastnik popycha mnie na ścianę. Przywieram policzkiem do chropowatego tynku, który wbija mi się w skórę. Silna dłoń zaciska się na moim nadgarstku i wykręca mi rękę do tyłu.

– Gdzie jest kasa dla Nicka? – syczy przez zęby jakaś kobieta.

Niemal dotyka ustami mojego ucha i czuję jej nieświeży oddech.

Zauważam Nicka, który stoi oparty o ścianę niecały metr ode mnie. Trzyma ręce skrzyżowane na piersi i uśmiecha się drwiąco. Od czasu, gdy ostatnio go widziałam, ogolił sobie głowę. Wygląda teraz jak monstualny kręgiel.

– W porządku, mam kasę.

Jęczę głośno, gdy kobieta wykręca mi rękę jeszcze mocniej. Czuję, że zaraz zwichnie mi bark.

– Jestem w ciąży! – krzyczę.

Nie robi to na niej wrażenia, bo dalej mnie trzyma. Z bólu ciemnieje mi w oczach.

– Wystarczy – odzywa się z ociąganiem Nick.

Jego towarzyszka waha się przez chwilę, jakby nie była pewna, czy go posłuchać, ale w końcu mnie puszcza. Obracam się przodem do niej i przywieram plecami do ściany, trzymając się za obolałą rękę.

Z początku oceniam wiek nieznajomej na około czterdzieści lat, ale gdy przyglądam się jej dokładniej, uświadamiam sobie, że jest dużo młodsza. Cerę ma zniszczoną przez wyczerpujący tryb życia, a zęby pokryte brunatnymi plamami, jakby przez wiele lat odpalała papierosy jeden od drugiego. Białka jej oczu są pożółkłe z przepicia i Bóg jeden wie, czego jeszcze.

– Nie zaprosisz nas do środka? – pyta Nick.

Wskazuje głową na drzwi mojego mieszkania i puszcza do mnie oko. Albo nie dotarło do niego, że dwa miesiące po tym, jak wylądowaliśmy w łóżku, jestem w ciąży, albo ma to gdzieś.

Schylam się po torebkę, która podczas szamotaniny spadła na podłogę. Ma urwany pasek z jednej strony. W korytarzu unosi się zapach mleka, które wylewa się z jednej z toreb i wsiąka w wykładzinę. Wyjmuję klucze i podchodzę do drzwi. Nieznajoma kobieta idzie za mną jak cień i wpycha mnie do środka, gdy tylko przekręcam klucz w zamku.

Śmiech Nicka odbija się echem od ścian pustego przedpokoju.

– Kuuurde, to nie była ściema, co? Ty naprawdę jesteś splukana.

Jego cwaniacki uśmieszek przyprowadza mnie o mdłości. I pomyśleć, że kiedyś pozwoliłam mu się dotknąć.

– Kasa – ponagla mnie kobieta, uderzając palcami w otwartą dłoń. – Już!

Przyciskam do siebie torebkę, sięgam do środka i wsuwam roztrzęsione palce do koperty z gotówką, starając się ją ukryć przed chciwym wzrokiem moich gości. Właśnie odliczam należną sumę, kiedy kobieta łapie mnie za nadgarstek i wyrywa kopertę.

– To wszystko zadekowałaś, tak? – mówi, chowając zwitek banknotów do tylnej kieszeni dzinsów.

– O nie! – protestuję. – Jestem winna tylko dwie...

Widzę złoty błysk pierścionków na jej palcach, kiedy uderza mnie pięścią w brzuch. Zginam się wpół i opadam na kolana.

– Potraktuj to jako odsetki.

Zbiera mi się na wymioty i nie mogę złapać tchu. Mam wrażenie, jakby jej cios porzestawiał mi wszystko w środku. Zwijam się na podłodze, rozpaczliwie próbując zaczerpnąć powietrza. Słyszę śmiech, cichy szelest koperty przekazywanej z rąk do rąk i kroki oddalające się w stronę drzwi.

*Ona je zabiła. Uderzyła mnie tak mocno, a ono jest jeszcze maleńkie. O Boże, zabiła moje dziecko.*

– Masz. – Nick wyciąga do mnie rękę i przez chwilę myślę, że chce mi pomóc wstać, ale on obraca w palcach banknot pięćdziesięciofuntowy i rzuca mi go w twarz. – Kup sobie lampę albo coś, tak?

Chichocząc, rusza do drzwi, a jego twarz wciąż wykrzywia ten sam złośliwy uśmieszek. Słyszę cichnące kroki na schodach, aż w końcu zapada cisza. Czuję wpadającą przez uchylone drzwi cierpką woń mleka, a po policzku spływa mi samotna łza frustracji.

Znów jestem w punkcie wyjścia.



Anna  
Zostało 11 godzin  
Piątek, 5 kwietnia 2019  
22.59

Budzę się na sofie, a z moich ust wyrывa się ostre gardłowe chrapnięcie.

Moja głowa pulsuje od bólu, a całe ciało jest nieznośnie rozpalone. Ubranie, w którym zasnęłam, oplata mnie ciasno, krępując ruchy. Na kolację przygotowałam sobie gotowe danie z mikrofalówki i bez powodzenia próbowałam je w siebie wmusić; teraz plastikowy pojemnik i widelec leżą na podłodze wylizane do czysta, a Misiek patrzy na mnie z poczuciem winy, merdając ogonem. Na blacie stolika kawowego spoczywa rozłożona dokumentacja Ahmeda Shabira.

Planowałam morderstwo.

Znam swoje szanse i wiem, że tylko w jeden sposób mogę ocalić Zacka, ale perspektywa odebrania komuś życia jest dla mnie zbyt odrażająca, bym mogła ją rozważać. Uspokajam się w myślach, że planuję to tylko hipotetycznie, żeby się przekonać, czy zadanie, do którego zmuszają mnie porywacze, jest w ogóle wykonalne, ale muszę się bardzo wysilać, żeby uwierzyć we własne kłamstwo. Zdaję sobie sprawę, że z każdą sekundą zbliżam się do chwili, w której będę musiała podjąć tę straszliwą decyzję, a im dłużej teraz się ociągam, tym bardziej pogarszam swoją sytuację. Spoglądam na zegar ścienny: jest jedenasta wieczorem. Za niecałe dwanaście godzin rozpocznie się operacja, podczas której mam uśmiercić pacjenta. Jednak po spotkaniu z Dominikiem i omówieniu procedur bezpieczeństwa moje zadanie wydaje się jeszcze bardziej utrudnione.

Jutro o świcie Ahmed Shabir zostanie pod eskortą wprowadzony tylnym wejściem do szpitala, gdzie będzie czekał na operację w prywatnej sali. Cały blok operacyjny na oddziale kardiochirurgii zostanie zamknięty, a reszta zaplanowanych zabiegów odbędzie się na innych piętrach. Część korytarzy będzie wyłączona z ruchu i strzeżona przez całą dobę.

*Nie myśl o tym teraz. To najmniej ważne.*

Opieram się na rękach, żeby wstać z sofy, i czuję w prawej dłoni coś znajomego. Przejęta strachem wolno opuszczam wzrok. Spomiędzy moich palców sterczą kosmyki włosów. Musiałam je wyskubać we śnie. Cała ta stresująca sytuacja doprowadziła do zaostrzenia mojej trichotillomanii.

Nie potrafię powiedzieć, od kiedy towarzyszy mi ten przymus ani co go wywołało, ale nie przypominam sobie życia bez niego. W moich najwcześniejszych wspomnieniach matka bije mnie po rękach, żebym nie wyrывała sobie włosów. Ta sama kobieta co wieczór, kiedy kładłam się spać, chwytala mnie za podbródek i liczyła na głos moje rżęsy. Kiedy rano było ich mniej, nie wypuszczała mnie z domu i zabierała kieszonkowe. Tak jakbym panowała nad tym, co robie we śnie.

Zdejmuję frotkę z nadgarstka i zgarniam włosy w kucyk, żeby mnie nie kusiły. Spinam je tak mocno, że czuję, jak naciąga mi się skóra na twarzy.

*Panuj nad sobą.*

Podnoszę komórkę leżącą między papierami na stoliku kawowym i widzę na wyświetlaczu ikonkę esemesa.

**Adam:** Jak minął Zackowi dzień? Odezwał się już do ciebie?

Adam nigdy nie był taki troskliwy. Często zdarzało mu się nie odzywać przez tydzień. Ale teraz chce udowodnić Zackowi, że niesłusznie się na niego gniewa, i pokazać mu, dlaczego powinien go uważać za najlepszego ojca na świecie. Już podczas podróży poślubnej odkryłam, że wyszłam za faceta cierpiącego na zaburzenia narcystyczne.

**Ja:** Jeszcze ze mną nie rozmawiał, ale Jeff mówił, że dobrze się bawi. Dajmy mu czas. Tak będzie najlepiej dla niego.

Biorę kilka głębokich oddechów i sięgam po dokumentację pacjenta.

*Skup się na zadaniu.*

Ahmed Shabir nie jest wyjątkowo ciężkim przypadkiem. Sama operacja nie powinna nastręczać trudności, a rokowania są bardzo optymistyczne, co oznacza, że popełnienie błędu pociąga za sobą jeszcze większe ryzyko. Gdyby pacjent niespodziewanie zmarł, koroner zastanawiałby się nad przyczyną zgonu. Poza tym podczas zabiegów cały zespół – anestezjolog, perfuzjonistka, chirurg i ich asystenci – przygląda się temu, co robię. Tuż obok mnie stoi Margot; jest najbliższymi z nich wszystkich i cały czas patrzy mi na ręce. Będę dosłownie otoczona ze wszystkich stron i żaden mój ruch nie ujdzie uwadze obecnych.

Ilekczo przychodzi mi do głowy jakiś sposób na uśmiercenie pacjenta, znajduję również rozwiązanie problemu. Operacja kardiologiczna opiera się na tak wypróbowanych i sprawdzonych technikach, że towarzyszący jej współczynnik śmiertelności nie jest już tak wysoki jak dawniej. Jeżeli następuje kryzys, wszyscy działają wspólnie, żeby go zażegnać. Tylko w jeden sposób mogę zabić Shabira i nie ściągnąć na siebie podejrzeń. Muszę doprowadzić do katastrofy.

Komórka na kartę zaczyna wibrować na szklanym blacie stolika, przywołując wspomnienie mojej ostatniej rozmowy z porywaczem.

*Jeszcze jeden taki numer, a przysył ci jego rękę.*

Błyskawicznie odbieram połączenie i przykładam telefon do ucha.

– H... halo?

– Powiem ci, co masz robić dalej – odzywa się niski głos. – Zapisz wszystko, zapamiętaj, a potem spal.

Chwytam notatnik i wertuję kartki, aż znajduję czystą stronę.

– Dziś w nocy położysz za drzwiami dwa komplety ubrań chirurgicznych. Rano wyślesz mi esemesa z informacją, w której sali odbędzie się operacja, i szczegółowym opisem środków bezpieczeństwa z lokalizacją posterunków włączanie. Dwaj moi ludzie będą czekać na ciebie, żeby się upewnić, czy wykonałaś zadanie. Musisz nawiązać z nimi kontakt, gdy tylko zrobisz swoje. Będą ci towarzyszyć podczas transportu ciała do kostnicy i w drodze potwierdzą zgon pacjenta. Kiedy wszystko pójdzie gładko i nikt niczego nie będzie podejrzewał, zaczniemy wcielać w życie powrót twojego syna.

Moje serce uderza żwawiej.

*Zaczniemy wcielać w życie powrót twojego syna.*

Spoglądam na swoje notatki i znów ogarnia mnie lęk.

– To wcale nie jest takie proste... Przez cały czas wszyscy będą mi patrzeć na ręce. Nawet jeżeli uda mi się uśmiercić pacjenta i nie wzbudzić niczyich podejrzeń, zwykle to jakiś stażysta zaszywa klatkę piersiową, a pielęgniarki myją ciało i przekazują dozorczy, który zawozi je do kostnicy. Opuszczam salę operacyjną na długo przed zakończeniem tych przygotowań. Wyglądałoby to bardzo dziwnie, gdybym sama się tym zajęła.

– Zrobisz wyjątek.



– Nie rozumiesz mnie. Takie nietypowe zachowania przyciągają uwagę. Jeśli mam to zrobić dyskretnie, muszę się trzymać procedur.

Spodziewam się, że mężczyzna przemyśli moje słowa, ale on odpowiada bez chwili wahania.

– Zrobisz tak, jak ci kazałem. Wiesz, co się stanie, jeśli nie będziesz wykonywać poleceń.

Potem przerywa połączenie i na linii zapada głucha cisza.



Rachel  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
08.02

– Ofiara nazywa się Paula Williams.

Wszyscy zebrani kierują wzrok w stronę tablicy za moimi plecami, na której wisi graficzna rekonstrukcja twarzy ofiary. Obok znajdują się również fotografie leżącego na stole sekcyjnym ciała i palców pozbawionych opuszek. Co dziwne, najbardziej wstrząsnęła mną jedna fotografia z miejsca znalezienia zwłok. Widać na niej stopy martwej kobiety – lewa tkwiąca w bucie jest spuchnięta, a prawą pokrywają brunatne plamy i siateczka żył.

– Studnia, w której ją znaleziono, mieści się na opuszczonej farmie w Littlebrook, małej osadzie położonej około pięćdziesięciu kilometrów za miastem. Jak dotąd nie mamy powodu, aby sądzić, że ofiarę coś łączyło z tym miejscem. Najprawdopodobniej sprawca wywiózł tam ciało, żeby nie ściągać na siebie uwagi i zatrzeć ślady.

Przesuwam palcem po mapie, kreśląc linię od Littlebrook do przedmieścia.

– Paula Williams mieszkała w zamożnej dzielnicy na tyłach szpitala w Redwood, gdzie ceny domów nie schodzą poniżej miliona.

– Niektórym to się powodzi – odzywa się półgłosem detektyw sierżant Amy Slater z drugiego końca stołu.

Cienka linia zbyt mocno wyskubanych brwi nadaje jej twarzy szorstki wyraz, ale sądzę, że to zamierzony efekt. Trudno jest kontrolować sytuację, kiedy ma się niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu.

– Ktoś taki raczej nie kończy w studni z przestreloną głową.

– Otóż to – odpowiadam. – Pani Williams była wdową po sześćdziesiątce i miała na sumieniu co najwyżej mandat za nieprawidłowe parkowanie.

– Może jej mąż komuś się naraził?

– Sprawdziliśmy – mówi sierżant Ryan. – W latach osiemdziesiątych pracował w branży naftowej i sprzedał firmę w najbardziej odpowiednim momencie. Obydwoje byli nieskazitelni.

– Kto potwierdził jej tożsamość? – pyta sierżant Anthony Chesnick.

Jest spokojnym facetem, który zawsze otwarcie wyraża swoje opinie. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widziała uśmiech na jego twarzy, ale czuję do niego słabość, którą nie do końca potrafię wyjaśnić. Prawdopodobnie dlatego, że obydwójce jesteśmy najstarsi w tym gronie.

– Zgłosiła się do nas kobieta z lokalnego klubu gospodyń, która zobaczyła jej portret. Podobno ofiara regularnie odbierała ze szkoły dziecko sąsiadki. Udało nam się zabezpieczyć nagrania z monitoringu na trasie między szkołą a domem. Technicy zmontowali dla nas materiał.

Unoszę pilota i na ekranie telewizora ożywa obraz. Starsza kobieta kroczy tak bez troski, jakby nie miała żadnych zmartwień. Jest ubrana w ten sam niebieski sweter, w którym wyłowiono ją ze studni. Nawet na niewyraźnym nagraniu widzę starannie zaprasowane kanty na jej nogawkach. Na ekranie zmieniają się ujęcia, gdy Paula Williams pojawia się w zasięgu różnych kamer przy ulicy. Od pewnego momentu nie jest już sama. Towarzyszy jej mały

chłopiec, uroczy blondasek, który idzie obok niej w podskokach, ale jest już na tyle poważny, że opanowuje się, kiedy mijają ich dzieci w jego wieku. Nagranie nie ma dźwięku, ale widać wyraźnie, że obydwójce są ze sobą życzliwi. Muszą rozmawiać, bo obracają głowy ku sobie, a gdy chłopiec za bardzo zbliża się do jezdni, Paula kładzie mu dłoń na ramieniu.

Potem w kadrze pojawia się pusta ulica, a ze znacznika czasu w prawym dolnym rogu ekranu wynika, że minęło sześć minut, odkąd tamtych dwoje zniknęło z pola widzenia poprzedniej kamery.

– No i gdzie się podziali? – pyta sierżant Slater.

– No właśnie – mówię i odchodzę na bok, żeby odsłonić mapę, na której widnieje przerywana czerwona linia. – To jest trasa, którą codziennie przemierzali. Ostatni raz widzieliśmy ich tutaj, na ulicy po wschodniej stronie parku. Powinni przejść tą drogą przez park i pojawić się tutaj, dwie przecznice od alei, przy której mieszkała pani Williams. Ale nie dotarli do tego miejsca.

– Czy w parku są kamery?

Kręcę głową w odpowiedzi.

– Zastanawiające jest to, że nie dostaliśmy również zgłoszenia o zaginięciu chłopca takiego jak ten – dodaję. – Kobieta nie żyje od czterdziestu ośmiu godzin i dzieciak najprawdopodobniej też nie wrócił do domu, ale nikt ich nie szuka.

Cały zespół skupia teraz uwagę na kadrze z nagrania, wydrukowanym i przypiętym do tablicy. Widnieje na nim sylwetka chłopca zakreślona czerwonym kręgiem, a pod spodem dopisek: „Kto to jest?”.

– Mark, spróbuj dotrzeć do bliskich ofiary i dowiedz się, czy ktoś mógłby zidentyfikować zwłoki. Jeżeli ci się to nie uda, ściągnij tu jej lekarza rodzinnego. Przed południem musimy potwierdzić jej tożsamość.

– Tak jest – odpowiada sierżant Ryan.

– Amy, ty rozejrzysz się po parku. Pojedź tam, kiedy ludzie będą odbierali dzieci ze szkoły, i wypytaj przechodniów, czy rozpoznają tych dwoje i czy zauważyli coś nietypowego w dniu ich zaginięcia.

– Jest sobota – zauważa Slater. – I właśnie zaczęły się ferie świąteczne. Przez najbliższe dwa tygodnie dzieciaki mają wolne.

Zdarza mi się to często, kiedy wgryzam się w śledztwo. Pochłonięta pracą zapominam, że inni ludzie robią sobie przerwy, żeby odpocząć. Ostatniej nocy prawie nie zmrzyłam oka, więc straciłam rachubę czasu. Kiedy dowiedziałam się o tajemniczym chłopcu, zdeterminowana zaczęłam szukać jakichkolwiek informacji i pozwoliłam sobie tylko na krótką drzemkę przy biurku, po której wciąż boli mnie kręgosłup.

– Rzeczywiście. Ale i tak weź paru mundurowych i zróbcie wywiad w okolicy. Pochodźcie po domach przy parku, a jeśli spotkacie kogoś z dzieckiem w wieku tego chłopca, zapytajcie o tych dwoje. Możliwe, że mieszkają w pobliżu i chodzą do szkoły tą samą drogą.

– Tak jest.

– Anthony – zwracam się do Chesnicka. – Dopilnuj, żebym miała co najmniej czterech ludzi do dyspozycji. Podejrzewam, że będą nam dzisiaj potrzebni.

– Tak jest.

– A ja postaram się o nakaz przeszukania – mówię. – Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj będziemy mogli wejść do domu ofiary. Znamy tożsamość ofiary i miejsce porzucenia zwłok, ale nie ruszymy z miejsca, dopóki się nie dowiemy, gdzie doszło do zabójstwa i kto je popełnił. Ale przede wszystkim... – zawieszam głos i wskazuję na zdjęcie przyszpilone do tablicy – musimy ustalić, kim jest ten cholerny dzieciak.



Anna  
zostały 3 godziny  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
07.03

Dwa komplety odzieży chirurgicznej, które zostawiłam za drzwiami, zniknęły. W nocy ktoś się tu zakradł i je zabrał.

Stoję nieruchomo, wpatrzona w wycieraczkę. I pomyśleć, że ktoś obcy stał tuż za progiem, a ja nie miałam o niczym pojęcia. Ci ludzie są teraz jedynym ogniwem łączącym mnie z Zackiem i wydaje mi się, jakby on też tu przyszedł. Był tak blisko, że gdybym otworzyła drzwi, mogłabym go objąć. Chociaż to tylko rojenia, kiedy myślę, jaką szansę straciłam, czuję bolesne klucie w piersi.

Skończyłam planowanie morderstwa o trzeciej w nocy. Żadne z rozwiązań, które przyszły mi na myśl, nie gwarantowało stuprocentowej skuteczności. Analizując każdy z potencjalnych scenariuszy, wyobrażałam sobie, jakie specjalistyczne środki oraz procedury można zastosować w takiej sytuacji, żeby zażegnać kryzys i ratować życie pacjenta. Ale w końcu po długich rozmyślaniach znalazłam sposób. Oczywiście mój plan nie jest pozbawiony ryzyka i do pewnego stopnia opiera się na czystym przypadku, ale może mi się udać. Teraz muszę tylko zdecydować, czy jestem w stanie wcielić go w życie.

Zamykam drzwi i siadam na schodach, przyciskając dłonie do powiek. Od wielu godzin ból rozsadza mi skronie, a wszystkie typowe leki zawodzą. Kiedy próbuję coś zjeść albo wypić, zaraz zbiera mi się na wymioty, a zażywanie środków przeciwbólowych na pusty żołądek tylko pogarsza sprawę. Sen też nie pomaga, bo kiedy zamykam oczy, od razu widzę Zacka. Śni mi się, nawet jeżeli przysypiam tylko na krótką chwilę. Dziesiątki razy patrzę, jak umiera, a czasami udaje mi się go ocalić, ale potem się budzę i znów nie ma go przy mnie.

Zmuszam się, żeby wstać i podejść do lustra. Mam bladą cerę o sinawym odcieniu, a moje powieki są zaróżowione i opuchnięte. Wyglądam teraz jak szkielet obciążony skórą. Wyjmuję z torebki sztuczne rzęsy i otwieram tubkę z klejem. Czuję lekkie pieczenie w nozdrzach, ale z czasem polubiłam ten ostry chemiczny zapach. Robiłam to tyle razy, że machinalnie przesuwam końcówką aplikatora wzdłuż czarnego paska i unoszę go do oka. Patrzę na swoją powiekę i zaczyna mi drżeć ręka.

Została jeszcze jedna rzęsa, której nie wyskubałam.

Stoję przed lustrem i wpatruję się z podziwem w delikatny włos wywinięty lekko ku górze i zwężony na końcu. Wiem, że klej zaraz stężeje, jeśli będę się ociagać zbyt długo. Będę musiała go oderwać i zacząć cały proces od nowa, ale nie mogę oderwać wzroku od tej samotnej ocalałej rzęsy.

Odkładam nylonowy pasek na komodę i unoszę dłoń do oka. Kiedy rzęsa laskocze mnie w opuszki palców, czuję przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz rozkoszy. Robi mi się niedobrze na myśl, że jeden cienki włos ma nade mną taką władzę. Chwytam go mocno i wyrывam ze złością. Tkwi teraz między moimi palcami, wygięty w łuk i zakończony małą białą cebulką. Kładę go na języku i połykam.

Na lewej powiece mam ich więcej – cztery cieniutkie włoski na różnym etapie wzrostu. Wyrывam je z taką samą siłą i widzę, jak delikatna skóra napina się przy każdym szarpnięciu.

Skubię i łykam, skubię i łykam, aż w końcu obie powieki są całkowicie pozbawione włosów. Spodziewam się, że teraz ogarnie mnie ulga, ale niczego nie czuję.

Przyklejam sztuczne rzęsy do powieki i przytrzymuję palcem, a wolną ręką rozsmarowuję klej na drugim pasku. Potem dociskam je oba przez minutę, a kiedy przywierają do skóry, otwieram oczy i patrzę tępo na kobietę w lustrze. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jej nienawidzę. Wraz ze zniknięciem Zacka uszło ze mnie wszystko, dzięki niemu nauczyłam się lubić. Ale całkiem możliwe, że było to tylko jego odbicie, a ja nie miałam w sobie nic, co zasługiwałoby na sympatię.

W mojej torebce wibruje komórka na kartę. Zdażyłam już przywyknąć do panującej w domu ciszy, więc cała się spinam, kiedy słyszę ten niespodziewany odgłos, a moją szyję przenika ból. Nagle cofam się w czasie i znów stoję przyciśnięta do ściany w salonie, dłoń w rękawicze zakrywa mi usta, a dwaj napastnicy napierają na mnie tak mocno, że nie mogę oddychać.

Zbieram się w sobie i sięgam do torebki. Mam teraz trzy telefony – prywatny, służbowy i ten, który dostałam od porywaczy. Nauczyłam się rozróżniać ich sygnały. Ten ostatni brzmi ostrzej niż pozostałe, wydaje bardziej przeszywający, agresywny dźwięk.

Odbieram połączenie. Spodziewam się usłyszeć posępny głos szpakowatego mężczyzny, który powie mi coś, co już wiem – że w ciągu najbliższych kilku godzin ktoś umrze.

– Mamo...

Kiedy słyszę głos Zacka, doświadczam szoku, jakby ktoś mnie zdzielił obuchem w głowę; nagle ogarnia mnie zamroczenie, po którym przychodzi tępy ból. Przyciskam komórkę do ucha, jakbym trzymała w dłoni najcenniejszy skarb.

– Zack?

Mój syn zaczyna płakać, a każdy jego oddech zamienia się w ciche kwilenie. Już sam ten dźwięk sprawia, że czuję pieczenie w gardle i klucie w piersi. Ból głowy nasila się tak gwałtownie, że ledwie trzymam się na nogach. Słyszę w tle basowy pomruk męskiego głosu.

– Ten pan... mówię, że mamy tylko chwilę.

Boże, jak ja ich nienawidzę. Traktują Zacka jak zakładnika, pozwalają mi go usłyszeć na krótką chwilę, by zaraz potem znów nas rozdzielić. Wykorzystują jego strach i rozpacz, żeby zmusić mnie do posłuszeństwa.

– Jak się czujesz? Nie zrobili ci nic złego? Gdzie jesteś?

– Nie wiem... Ja... – Zack przerywa i w tle rozlega się znów niski głos. – Ten pan mówi, że mam cię o coś spytać.

*Powiedz mu, że go zabiję.*

– O co takiego, kochanie? – pytam.

Wsluchuję się w delikatny, ledwie słyszalny oddech Zacka. Nie zdawałam sobie sprawy, że można tak bardzo kogoś kochać, by zachwycać się każdym jego oddechem.

– Ten pan powiedział...

– Co powiedział, kochanie?

– Żebym cię spytał... czy uratujesz tamtego człowieka, czy mnie.

Zakrywam usta drżącą dłonią, żeby stłumić szloch.

– Mamusiu?

Z trudem przełykam ślinę i biorę głęboki wdech.

– Ciebie, kochanie. Zawsze tylko ciebie. Obiecuję, że nie pozwolę, aby coś ci się stało.

W słuchawce znów odzywa się stłumiony niski głos, a potem rozlega się głośny szelest.

– Zack? Zack?

Na linii panuje głucha cisza.

Krzyczę tak głośno, że echo dzwoni mi w uszach. Rzucam telefonem, który z impetem uderza o drzwi i rozlatuje się na kawałki. Słyszę trzask pękającego wyświetlacza.

Opieram się dłońmi o ścianę i stoję z nisko opuszczoną głową. Moje włosy falują rytmicznie, poruszane gorączkowym oddechem. Nigdy nie uważałam się za osobę porywczą, ale ci ludzie obudzili we mnie rozjuszoną bestię. Pragnę ich krwi; chcę ich zabijać powoli, żeby konali w męczarniach i błagali mnie o śmierć. Wszyscy mamy klapki na oczach i wydaje się nam, że wiemy, jacy naprawdę jesteśmy. Ale dopiero cierpienie ujawnia, do czego jesteśmy zdolni.

Oparta o ścianę czekam, aż moje tętno wróci do normy, a oddech się uspokoi. Thumię w sobie emocje, aż w końcu znów staję się oziębiała i skupiam się wyłącznie na czekającym mnie zadaniu.

Żeby wykonać plan bez wzbudzania podejrzeń, muszę do ostatniej chwili działać zgodnie z ustalonymi procedurami. To moja jedyna szansa. Koroner powinien nabrać przekonania, że zrobiłam wszystko tak, jak należy. A w odpowiednim momencie uszkodzę aortę i będę grać na zwłokę, dopóki pacjent nie wykrwawi się na śmierć. Muszę tylko się postarać, żeby nikt nie zauważył, jak robię nacięcie.

A jeżeli ta metoda zawiedzie, wstrzyknę do serca pęcherzyk powietrza. Wystarczy mała kula banieczka, która jest ledwie widoczna gołym okiem, ale kiedy utknie w tętnicy, powoduje śmiertelny zator. Jednak bez względu na to, jaką metodę wybiorę, jedno jest pewne. Ahmed Shabir nie może przeżyć tej operacji.



Margot  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
07.40

Cały czas wypatruję krwi.

Zaraz po przebudzeniu sprawdzam, czy nie ma plam na prześcieradle. Potem w toalecie oglądam swoje majtki, spodziewając się zobaczyć zaschnięte skrępy odchodzące płatami od białej bawełny. Ale na razie nie krwawię. Moje dziecko jest twarde jak ja. Będzie musiało się zahartować.

Siedzę na materacu i wpatruję się w kieszonkowe lusterko, które w zeszłym tygodniu ukradłam z dyżurki pielęgniarek. Zanim Dan się wyprowadził, mieliśmy piękne ścienne lustro sięgające do samej podłogi. Sprzedałam je w sieci za czterdzieści pięć funtów.

Przyglądam się odbiciu swojej twarzy i widzę, gdzie stres odcisnął swoje piętno. W kąciку ust mam opryszczkę, a skóra wokół moich oczu jest wysuszona i tak cienka, że wydaje się przezroczysta.

Wciąż czuję tępe pulsowanie w brzuchu. Rozchyłam szlafrok i oglądam obolałe miejsce, ale jedynym śladem, jaki zostawiła pięść tamtej kobiety, jest niewielkie zasinienie, zapewne odcisk jednego z jej pierścionków.

Sięgam po szczotkę i tak długo przeciągam nią po mokrych włosach, aż zaczyna mnie piec skóra, a po plecach zaczyna mi powoli ściekać strużka wody. Ostre drapanie wyrywa mnie z otępienia. Wreszcie zaczynam się budzić, chociaż opary marihuany, którą wypaliłam zeszłego wieczora, zdają się mnie spowijać nawet teraz i mam wrażenie, że mój umysł nie nadąza za rzeczywistością. Mija kilka sekund, zanim dociera do mnie, że dzwoni moja komórka. Podnoszę ją z materaca i odbieram bez zastanowienia.

– Och – mówi Sandy. – A więc jednak żyjesz?

*O cholera.*

Zamykam oczy i karczę się w duchu.

– Margot? Słyszę twój oddech...

– Cześć – odpowiadam. – Co się dzieje?

Sandy parska ironicznym śmiechem.

– Och, myślę, że wiesz.

Ociągam się przez chwilę, żeby wymyślić jakąś nową taktykę, machinalnie wyskubując włosy owinięte wokół kołców szczotki. Wytworny akcent i wyniosły ton, którym zwraca się do mnie Sandy, świadczą o jej uprzywilejowanym pochodzeniu. Cokolwiek bym jej powiedziała, i tak nie będzie w stanie mnie zrozumieć.

– Przepraszam, że nie odbierałam. Miałam w pracy takie urwanie głowy...

– Szczerze mówiąc, Margot, nie mam ochoty słuchać twoich wyjaśnień, więc nie marnujmy swojego czasu.

A więc koniec z ociąganiem się. Nie dostanę kolejnej szansy. Miałam nadzieję, że Sandy wytrzyma jeszcze trochę, zanim posunie się do jakiegoś drastycznego rozwiązania, ale sądząc po tonie jej głosu, chyba się przeliczyłam. Moje tętno przyspiesza.

– W przyszłym tygodniu zapłacę ci za ostatnie dwa miesiące. Obiecuję.

– Za trzy miesiące, ale twoje obietnice są niewiele warte. Rozumiem, że jesteś w trudnej sytuacji, odkąd rozstałaś się z partnerem, ale nie mogę dłużej się przejmować twoimi problemami osobistymi. Zbyt wiele na tym tracę. – Sandy wzdycha, jakby bolało ją to, co zamierza mi powiedzieć. – Czekam na przelew do niedzieli wieczorem. Jeśli do tego czasu nie dostanę pieniędzy, będę musiała wymienić zamki.

Robi mi się słabo. Sandy jeszcze nigdy nie stawiała mi tak kategorycznych żądań. Przecież powinna wiedzieć, że w końcu dostanie te pieniądze. Ilekroć miałam jakieś zaległości, zawsze je spłacałam. Ale wtedy miałam jeszcze resztki wiarygodności kredytowej i mogłam zaciągnąć kolejną pożyczkę na pokrycie innych zobowiązań. I miałam jeszcze rzeczy Dana, które mogłam sprzedać. A teraz całą moją wypłatę zajmuje bank, a mieszkanie jest już puste. Nie mam już żadnego oparcia; nie mogę liczyć nawet na cierpliwość Sandy.

– Zapłacę ci – mówię.

– Lepiej się postaraj.

Połaczenie dobiega końca. Opuszczam swobodnie rękę, a komórka ląduje w pościeli. Wstaję z materaca i przechodzę z sypialni do salonu, który jest tak samo pusty i ogołocony ze wszystkiego, poza wspomnieniami lepszych czasów. Wystarczy rozejrzeć się dokoła, żeby dostrzec namacalne dowody mojego upadku. Ilekroć przestępuję próg tego mieszkania, chce mi się wyć z rozpaczy.

Nienawidzę tego miejsca. Ale nie mam dokąd pójść.

Wchodzę do przebieralni i wytyżam słuch, próbując złowić jakieś oznaki życia – odgłos kroków, westchnienia, szelest odzieży chirurgicznej naciąganej zmęczonymi rękami. Ale słyszę tylko własny rozgorączkowany oddech. Strach przed utratą dachu nad głową wciąż ścisiska mnie za gardło.

– Cześć wszystkim! – wołam.

Nikt nie odpowiada.

Robię szybki obchód po całym pomieszczeniu, zaglądając do każdej wnęki między rzędami szafek. Upewniwszy się, że jestem sama, przystępuję do pracy. Wyjmuję komórkę i otwieram notatnik, w którym zapisałam szyfry do zamków. Jak na inteligentnych ludzi moi współpracownicy zachowują się bardzo głupio. W ciągu ostatnich kilku tygodni nikt nie zmienił kombinacji cyfr w swoim zamku. Tylko do kilku osób udało mi się podejść na tyle blisko, że mogłam podpatrzeć, jaki wybierają szyfr, otwierając swoje szafki. Ale nawet gdybym miała dostęp do wszystkich szafek, nie znalazłabym w nich dość pieniędzy, żeby spłacić Sandy. Mam jednak nadzieję, że jeśli dostanie przynajmniej część, da mi trochę czasu na zdobycie reszty.

*Muszę coś zrobić.*

Zaczynam od szafki Karin. Zabieram całą gotówkę z torebki, komórkę i markowy zegarek schowany w bucie. Zdesperowana tracę zdolność racjonalnego myślenia i kradnę rzeczy, na jakie nigdy wcześniej bym się nie połakomiła. Ilekroć zaczynam się zastanawiać nad swoim postępowaniem, energicznie kręcę głową, zagłuszając głos rozsądku.

Z szafki Beth zabieram złotą bransoletkę i całą gotówkę włącznie z drobniakami. Upycham swój łup w torebce, która jest już tak ciężka, że pasek wrzyna mi się w rękę. Właśnie chowam do niej cały zapas papierosów Belindy, kiedy słyszę, że ktoś naciska klamkę. Błyskawicznie zatrząskuję szafkę koleżanki i otwieram swoją, po czym wpycham do środka torebkę pobrzękującą jak sakiewka pełna monet.

– Cześć, złotko – mówi Val, zdejmując płaszcz.

– Cześć.



Boję się odwrócić, żeby nie pokazać, jak się rumienię. Wyjmuję z szafki strój operacyjny i rzucam go na ławkę.

– Słyszałaś, co się stało? Jakaś pacjentka pozwała szpital.

Zaczynam zdejmować bluzę przez głowę, dysząc nerwowo, a każdy gorący oddech jeszcze bardziej rozpala moje policzki.

– Podobno zgubiliśmy jej pierścionek zaręczynowy. Był wart aż pięćdziesiąt kawałków.

Na chwilę nieruchomieję z rękami w górze i powiew chłodnego powietrza nieprzyjemnie prześlizguje się po moim odsłoniętym brzuchu. Potem gwałtownie ściagam bluzę z głowy i patrzę na Val. Moje policzki płoną, a kosmyki zmierzwionych włosów opadają mi na twarz.

– Pięćdziesiąt?

– Tak słyszałam – rzuca Val przez ramię.

Czuję z daleka zapach jej kremu, który wciera w dłonie. Cokolwiek to jest, intensywny kwiatowy aromat uderza mnie w nozdrza. Kręci mi się w głowie i zaciskam palce na krawędzi szafki, żeby nie upaść.

*Sprzedalam pierścionek wart pięćdziesiąt kawałków za marny tysiąc.*

– Dyrekcja jest wściekła – ciągnie Val, zsuwając buty. – Nie chciałam być w skórze tego durnia, który go zgubił.

– Ja też – mamroczę.

Moja koleżanka nadal mówi, ale przestaję zwracać uwagę na jej słowa. Zazwyczaj udaje mi się znaleźć wyjście z takich oparów. Mam dobrą nawijkę, jak to ujęła mama. Ale tym razem zabrnęłam za daleko. Odnoszę wrażenie, że wszystkie moje błędy w końcu do mnie wracają.

Naciagam na siebie szpitalną bluzę i od czasu do czasu przytakuję Val, wydając zdawkowe chrząknięcia i westchnienia. Nerwowe napięcie coraz mocniej zaciska się na moim karku.

Wydarzy się coś złego. Czuję to w kościach.



Anna  
Została 1 godzina  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
08.59

Staję przed podwójnymi drzwiami prowadzącymi na oddział kardiochirurgii.

Pora na ostatnią rozmowę z pacjentem.

Przechodziłam tędy mnóstwo razy i nigdy nie zatrzymywałam się przed tymi drzwiami. Nigdy nie miałam czasu, żeby dostrzec rysy i otarcia, które pozostawiły przejeżdżające wózki, albo cienkie pęknięcie biegnące w poprzek szyby w lewym skrzydle.

Po przybyciu do szpitala przez godzinę odtwarzałam w myślach poszczególne punkty mojego planu. Krążyłam po korytarzach z włączonym stoperem, próbując oszacować, ile czasu może zająć ochroniarzowi pełna runda wokół bloku operacyjnego. Chodziłam w swoim tempie, a potem naśladowałam męski chód, stawiając dłuższe kroki. Średnia wyniosła jedną minutę i trzydzieści dwie sekundy. Tyle czasu będę potrzebowała, żeby wywieźć ciało, spotkać się z porывaczami i dotrzeć do windy, którą zjadę do kostnicy.

*Po tym, jak popełnię morderstwo.*

– Przepraszam, pani doktor – odzywa się ktoś za moimi plecami.

Poznaję głos Val, która wraz z drugą pielęgniarką wiezie pacjenta. Usuwa się im z drogi i patrzę, jak mija mnie wózek z przeskakującym na boki jednym z kólek. Przez otwarte drzwi wydobywają się szpitalne odgłosy – ktoś nacisnął dzwonek przy łóżku, a na pokrytej linoleum podłodze skrzypią podeszwy butów.

Biorę głęboki wdech i ruszam przed siebie. Odpowiadam wymuszonym uśmiechem na spojrzenia pielęgniarek i uprzejmie kiwam głową, przechodząc obok łóżek pacjentów, po czym znikam w wąskim korytarzu prowadzącym do prywatnego pokoju. Staję przed drzwiami i zaglądam do środka przez szybę.

Ahmed Shabir siedzi na łóżku i rozmawia z żoną. Mimo napięcia w obliczu zbliżającej się operacji obydwójce uśmiechają się do siebie. Ich dłonie są splecione tak mocno, że pani Shabir ma zbieleiałe kostki.

*Nie mogę tego zrobić.*

– Proszę wejść – odzywa się Ahmed.

Wyrwana z odrętwienia przywołuję na twarz sztuczny uśmiech i naciskam klamkę. Całą uwagę skupiam na pacjencie i jego żonie, więc dopiero po chwili zauważam, że oprócz nich w pokoju jest ktoś jeszcze. W kącie obok drzwi siedzi kobieta, która bez przerwy stuka w klawiaturę laptopa. Na mój widok przerywa pisanie i uśmiecha się do mnie uprzejmie, po czym zerka ukradkiem na ekran smartfona, gdy rozlega się dźwięczny sygnał przychodzącej wiadomości. Witam ją skinieniem głowy i podchodzę do łóżka.

Ahmed Shabir jest przystojnym mężczyzną, ale jego wygląd nie pozostawia wątpliwości co do złego stanu zdrowia. Widać po nim, że cierpi na niewydolność krążenia – ma wyniszczoną twarz, poblądnie splekane wargi i opuchnięte z niewyspania oczy. Każdy oddech kosztuje go wiele wysiłku. Specjaliści od kontaktów z mediami muszą się bardzo starać, żeby informacje

o jego problemach zdrowotnych nie wyciekły do mediów. Ciekawa jestem, jak udaje się im maskować widoczne objawy choroby, kiedy przygotowują go do wystąpienia przed kamerami.

– Dzień dobry – mówię. – Jak samopoczucie?

Moje nozdrza wypełnia woń perfum pani Shabir. Wyczuwam jej napięcie; kobieta zdaje się wręcz emanować niepokojem.

– Podszycie strachem – odpowiada pacjent.

– Ale myślimy pozytywnie – dodaje jego żona.

Zauważam, że lekko ściska dłoń męża.

– To najlepsze podejście – przyznają. – Nie sposób uniknąć obaw, ale pozytywne myślenie jest bardzo ważne.

Kobieta za moimi plecami głośno chrząka i Shabir uśmiecha się do niej z życzliwością.

– Przedstawiam pani Tammy, moją specjalistkę od wizerunku – zwraca się do mnie. – Jest tutaj, żeby opanować sytuację, jeżeli się przekręcę.

– Ahmedzie... – upomina go żona, a na jej twarzy maluje się smutek.

Shabir poklepuje ją po dłoni i patrzy na mnie z dobrodusznym uśmiechem.

– Proszę wybaczyć, pani doktor. Tylko tak sobie żartuję, żeby jakoś to wszystko przetrwać. Niczego złego nie miałem na myśli.

*Czego nie można powiedzieć o mnie.*

W mojej głowie rozbrzmiewa echo przysięgi lekarskiej. Pamiętam, jak recytowałam ją z dumą młodym niewinnym głosem, święcie wierząc w każde słowo.

– Nie wątpię – odpowiadam i sięgam po kartę wiszącą w nogach łóżka. – Teraz wyjaśnię, jak będzie przebiegała operacja, a później, jeżeli nasuną się państwu jakieś pytania, chętnie na nie odpowiem.

– Czy choroba męża pociąga za sobą podwyższone ryzyko? – pyta pani Shabir. – Znaczy jego dziedziczna hipercholesterolemia?

Wzdrygam się, kiedy patrzy mi w oczy. W jej spojrzeniu jest tyle nadziei. Tyle zaufania.

*Nie można mi ufać.*

Ahmed Shabir śmieje się dobrodusznie i gładzi żonę po ręce.

– Kochanie, pani doktor powiedziała, że na pytania odpowie później, kiedy już się dowiemy, co mnie czeka.

Pani Shabir parska nerwowym śmiechem.

– Tak, oczywiście. Przepraszam.

– Ryzyko powikłań jest nieco większe, ponieważ musimy wszczepić pani mężowi trzy pomosty naczyniowe, a to oznacza, że spędzi więcej czasu pod narkozą, podłączony do płucoserca. Jeśli chodzi o dziedziczną skłonność do zmian miażdżycowych, jest wielce prawdopodobne, że w przyszłości pani mąż będzie potrzebował kolejnego pomostowania naczyń wieńcowych.

– Więc jeśli umrę, możesz mieć pretensje do mojego ojca – wtrąca Shabir, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, ale jego żona zachowuje poważną minę.

– Przestań, Ahmedzie. Nie możesz tak nawet myśleć.

Zaczynają mi się trząść ręce. Tak mocno ściskam podkładkę z kartą pacjenta, że bolą mnie nadgarstki. Odchrząkuję i mówię dalej.

– A zatem kiedy będzie pan już znieczulony, najpierw...

– Jakie podacie mu leki? – pyta pani Shabir. – Znaczy żeby go znieczulić?

– Mindy, proszę.

– Nic nie szkodzi – mówię.

Kobieta uśmiecha się do mnie z wdzięcznością.

– Pani mąż zostanie wprowadzony w stan znieczulenia ogólnego za pomocą leku anestetycznego podanego dożylnie. Dostanie również środek rozrzedzający krew, który zapobiega powstawaniu zakrzepów.

– Dziękuję – zwraca się do mnie Shabir, po czym spogląda na żonę. – A teraz dopuść panią do głosu.

Mindy przytakuje i zaciska wargi w powściągliwym uśmiechu, jakby zmuszała się do milczenia.

– Zabieg nie powinien zająć więcej niż trzy godziny. Po zastosowaniu znieczulenia i zaintubowaniu otworzę klatkę piersiową, żeby uzyskać dostęp do serca. Potem podamy panu środki, które sprawią, że pańskie serce na chwilę weźmie sobie wolne, a funkcję krążenia przejmie specjalna aparatura. – Zawieszam głos, gdy widzę, że pani Shabir blednie. – Pani mąż będzie żył przez cały czas. To tak, jakby przełożyć wtyczkę z jednego gniazodka do drugiego. Urządzenie wciąż jest zasilane, tylko prąd płynie z innego źródła.

Ufność w oczach Mindy działa na mnie deprymująco. Odwracam wzrok, ale wciąż czuję na sobie jej spojrzenie. Moje dłonie zaciśnięte na podkładce drżą coraz mocniej.

– Kiedy płucoserce zacznie działać, przystąpię do pomostowania naczyń wieńcowych, wykorzystując żyły wypreparowane z nogi. Po wszczępieniu wszystkich trzech bajpasów wypłuczę płyn kardioplegiczny, żeby przywrócić samodzielne krążenie. Gdy pańskie serce zacznie znowu pracować, zamknę klatkę piersiową i odeślę pana na oddział pooperacyjny. Wprawdzie telewizja kiepsko tam odbiera, ale nasze pielęgniarki są cudowne i otoczą pana najlepszą opieką.

Zmuszam się do uśmiechu, próbując rozluźnić atmosferę, ale jestem na siebie wściekła. Udało mi się trochę uspokoić pacjenta, ale jego żona analizuje uważnie każde moje słowo. Będę miała z nią ciężką przeprawę, kiedy Shabir nie przeżyje operacji.

– No cóż, nie brzmi to aż tak groźnie – odzywa się Ahmed.

Mindy przytakuje, ale w jej oczach wzbierają łzy. Wstaje pospiesznie i podchodzi do okna. Widzę, że jej ramiona drżą.

– Czy będziemy informowani na bieżąco? – pyta Tammy. – Kilku osobom zależy na najświeższych wiadomościach.

Nie podoba mi się ta kobieta, ale to nie jest jej wina. Wykonuje swoją pracę tak, jak ja powinienam wykonywać swoją, ale dodatkowa presja z jej strony i wiszące nade mną poczucie winy sprawiają, że mój głos brzmi odrobinę zbyt ostro.

– Zazwyczaj wyznajemy zasadę, zgodnie z którą brak wiadomości to najlepsza wiadomość, i dzięki temu nikt nie przeszkadza nam w pracy, ale możemy zrobić wyjątek.

– Byłabym wdzięczna – odpowiada Tammy, mierząc mnie chłodnym spojrzeniem.

Obracam się z powrotem do mojego pacjenta. Jego żona wciąż wygląda przez okno i pochlipuje cicho, próbując się opanować. Ahmed Shabir siedzi na łóżku i w milczeniu obraca na palcu ślubną obrączkę. Na drugiej dłoni nosi okazały sygnet ze złotą monetą, którego styl niezbyt pasuje do wizerunku polityka.

– Niestety będzie pan musiał to zdjąć przed operacją.

Shabir spogląda na mnie, wyrwany z zamyślenia.

– Ach tak, oczywiście.

Zdejmuje obrączkę i sygnet, po czym z cichym brzękiem kładzie je na szafce obok łóżka.

– Czy mają państwo jeszcze jakieś pytania?

– Nie, wszystko już wiemy – mówi Shabir.

– No to wkrótce znów się zobaczymy.

Wyciągam do niego rękę. Ma ciepłą skórę; czuję życie promieniujące z jego ciała. Powstrzymuję się wysiłkiem woli, żeby nie wyrwać dłoni z jego uścisku.

– Dziękuję pani. Wiem, że jestem w doskonałych rękach.

Wymuszony uśmiech przyprawia mnie o bolesne klucie w policzkach. Kiwam głową i ruszam w stronę drzwi.

*Nie mogę tego zrobić.*

Jestem w połowie korytarza i czuję napływające do oczu łzy, kiedy dogania mnie pani Shabir.

– Ja tylko chciałam pani podziękować... – mówi.

Mrugam szybko kilka razy i obracam się do niej.

– Och, nie ma potrzeby – odpowiadam z uśmiechem.

– I mam jeszcze jedną prośbę.

Przytłacza mnie cierpienie w jej oczach. Widzę, że ta kobieta darzy swojego męża bezgranicznym uwielbieniem.

– Słucham panią.

– Mogłabym jeszcze raz spytać o wskaźnik przeżycia? Wiem, że omawialiśmy to wszystko podczas wywiadu przedoperacyjnego, ale dzisiaj jestem taka skołowana, że nie mogę polegać na własnej pamięci.

– Rozumiem, ale naprawdę doskonale pani sobie radzi. A zatem zważywszy na ogólny stan zdrowia oraz inne czynniki, jak wiek, waga, palenie tytoniu... pani mąż ma dziewięćdziesiąt procent szans na przeżycie tej operacji.

Pani Shabir patrzy na mnie zdezorientowana, nie do końca pewna, czy właśnie usłyszała dobrą, czy złą wiadomość.

– To bardzo optymistyczne rokowania – dodaję. – Gdyby miała pani jeszcze jakieś pytania, pielęgniarki chętnie...

– Jeszcze jedna rzecz.

Przygryzam policzek od środka.

– Dołoży pani wszelkich starań, żeby się udało, prawda, doktor Jones?

Kobieta ma w oczach taką powagę, że robi mi się słabo od wyrzutów sumienia, a gorycz wypala mi gardło. Z ożywieniem kiwam głową.

– Oczywiście – kłamię. – Pani mąż jest w dobrych rękach.

Mindy Shabir uśmiecha się i chwytą moją dłoń. Wzdrygam się, czując jej dotyk.

– Dziękuję – mówi chrapliwym ze zdenerwowania głosem.

Patrzę na jej długie czarne włosy, które kołyszają się z każdym krokiem, gdy wraca do męża. Wydaje się lżejsza, jakby moje kłamstwa dodały jej skrzydeł.

*Przeze mnie jej życie obróci się w ruinę.*

Strach ścisza mnie za gardło, kiedy wychodzę z oddziału i kieruję się korytarzem w stronę bloku operacyjnego.

Za kilka godzin będzie po wszystkim, a Zack i ja odzyskamy wolność.



Rachel  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
09.50

Oględziny domu ofiary to wstrząsające doświadczenie. I nie chodzi o sam budynek, cegły i zaprawę, rury kanalizacyjne czy szyby w oknach, ale o przestrzeń, w której ktoś mieszkał i pozostawił ślady swojego życia.

Dom Pauli Williams niewątpliwie był dla niej źródłem radości i powodem do dumy. Świadczy o tym nie tylko sterylność czystości, wypolerowane listwy przypodłogowe i śnieżnobiałe falbanki zdobiące ramę jej łóżka, ale również subtelne akcenty, które nadają temu miejscu niepowtarzalny koloryt – porcelanowe figurki na gzymsie kominka, zasłony z kwiatowym deseniem i rodzinne fotografie na ścianie. Ciekawa jestem, co się z tym wszystkim stanie, kiedy pani Williams spocznie na cmentarzu.

Kiedy okazało się, że córka ofiary mieszka w Australii, lekarz rodzinny dokonał identyfikacji zwłok, a sąd od razu wydał nakaz przeszukania posesji. Wciąż dźwięczą mi w uszach słowa lekarza zaskoczonego jej śmiercią.

*Nie pojmuję, jak mogła się wpakować w jakąś aferę. Ta kobieta żyła po to, żeby uprawiać ogródek i lepić garnki w przybudówce. Gdyby ktoś mi powiedział, że spotka ją taki koniec, nigdy bym nie uwierzył. To dla mnie niezrozumiałe.*

– W porównaniu z moim mieszkaniem jest tu tak czysto, że aż mi wstyd – mówi sierżant Ryan, idąc za mną po schodach.

Foliowe ochraniacze na jego butach szeleszczą przy każdym kroku.

– Nie da się ukryć.

– Myślisz, że sprawca tak dokładnie wysprzątał miejsce zbrodni?

Ryan staje obok mnie przed kominkiem. Dziś rano trochę przesadził z wodą po goleniu, której piżmowa woń kłuje mnie w nozdrza.

– Nie, ona nie zginęła w tym domu.

– Skąd wiesz?

– Sąsiedzi usłyszeliby huk wystrzału – wyjaśniam. – Poza tym morderca strzelał z bliska, więc sufit powinien być cały we krwi.

Równocześnie spoglądamy w górę. Na gipsowym stropie nie ma ani jednej plamki.

– Ale czujesz ten zapach? – pytam.

Ryan pociąga nosem.

– Wanilia?

– Tak. I coś jeszcze?

Sierżant znów wciąga powietrze i w skupieniu marszczy czoło.

– Wybielacz?

– Środek dezynfekujący – odpowiadam. – Kiedy tu przyjechaliśmy, wszystkie okna były zamknięte, więc zapach nie mógł się ulotnić, ale jeszcze nie zdążył zwiertrzeć.

– Myślisz, że ktoś tu posprzątał po jej śmierci?

– Zobaczymy, co odkryją technicy.

Ruszam energicznym krokiem w stronę drzwi i wychodzę na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego porannego powietrza. Technicy kryminalistyki przeczesują każdy centymetr kwadratowy wewnątrz i dookoła budynku, szeleszcząc foliowymi kombinezonami przy każdym ruchu. Diane Reed z biura koronera stoi na końcu podjazdu i patrzy na dom. Niesforny kosmyk upiętych w kok srebrzystych włosów opada jej na twarz.

– W takie dni jak ten żałuję, że rzuciłam palenie – mówi, kiedy do niej podchodzę. – Malcolm chyba potrafi wyczuć, kiedy zdarzy się coś złego, i bierze sobie wolny tydzień, żebym to ja mogła się wykazać.

– Doskonale się sprawdzasz na jego miejscu. Mógłby się od ciebie uczyć. Ale jeśli mu powiesz, że usłyszałaś to ode mnie, będę musiała cię zabić.

– Proszę, nie rób tego. On jest zdolny ściągnąć mnie tutaj z zaświatów, żebym odwaliała za niego czarną robotę.

Uśmiechamy się do siebie z ironią, po czym znów ogarnia nas poważny nastrój. Odwracamy wzrok w stronę techników, którzy pracują na trawniku przed domem, a promienie słońca odbijają się od ich białych kombinezonów.

– Znaleźliście już coś?

– Ślady ziemi na schodach, takiej samej jak ta w donicach – mówi Diane. – W donicy po lewej ziemia jest bardziej sypka niż w tej po prawej, jakby niedawno ktoś ją rozrzucił.

– Podczas szamotaniny?

– Albo w środku coś było ukryte.

– A co znaleźli technicy na trawniku?

– Odciski butów. – Diane wskazuje głową na sąsiednią posesję. – Prowadzą w tamtą stronę.

Stojący obok nowoczesny budynek, niemal dwa razy większy od domu ofiary, ma wielkie okna i śnieżnobiałe ściany. Z szybkiego rozpoznania, które przeprowadziłam tego ranka, dowiedziałam się, że domy stojące wzdłuż głównej alei, stylizowane na architekturę wiktoriańską, mają około czterdziestu lat, natomiast dwa budynki w bocznym zaułku są nowe i powstały w ciągu ostatnich pięciu lat. Ten większy jest wart jakieś dwa miliony.

– Wiesz, kto tam mieszka? – pyta Diane.

– Jeszcze nie, ale pewnie ma forsy jak lodu – odpowiadam cierpkim tonem. – Moi ludzie prowadzą wywiad w sąsiedztwie i w ciągu najbliższych godzin powinni coś ustalić.

– Ktokolwiek zostawił te ślady, musiał bardzo się spieszyć. Głębokość odcisków w ziemi świadczy o tym, że biegł. – Diane spogląda w stronę odgrodzonego taśmą wylotu uliczki. – Masz ochotę na krótki spacer?

Przytakuję i ruszam za nią. Diane wyjmuje z kieszeni paczkę papierosów i różową zapalniczkę.

– Prawda jest taka, że wcale nie rzuciłam palenia.

– Wiem, Di. Czuć od ciebie dym.

– Mój najstarszy syn błagał mnie, żebym przestała, więc udaję w nadziei, że sama kiedyś w to uwierzę. I popalam ukradkiem, kiedy mogę.

– Nie oceniam cię – mówię, kopiąc kamień, gdy idziemy zwirową ścieżką. – Dziękuję, że tak szybko wykonałaś autopsję.

Słyszę cichy trzask zapalniczki. Diane wypuszcza z ust biały kłęb dymu i chwytając palcami coś, co przykleiło się jej na czubku języka.

– Nie ma sprawy – mówi. – Szkoda, że nie mamy pocisku.

Jej przewidywania okazały się trafne – kanał w czaszce ofiary wskazuje na to, że morderca oddał strzał z bliskiej odległości z pistoletu samopowtarzalnego kaliber dziewięć milimetrów.

Oczywiście byłabym bardzo zadowolona, gdyby ta broń figurowała w rejestrach, gdyż ułatwiłoby to znacznie wytropienie sprawcy. Jednak najprawdopodobniej pistolet pochodzi z czarnego rynku. Niestety pocisk przebił czaszkę na wylot.

– Mam nadzieję, że jest gdzieś na miejscu zbrodni.

– Najpierw musisz znaleźć to miejsce, kochana.

Diane podaje mi papierosa. Nie paliłam tak dawno, że kiedy gęsty dym wypełnia moje płuca, od razu zaczyna mi się kręcić w głowie. Zwracam papierosa Diane, która znów zaciąga się łapczywie.

Nad naszymi głowami przelatuje samolot, zostawiając na niebie szeroką smugę. Myślę o córce ofiary, która leci z Australii i gnioiąc się w klasie ekonomicznej, przeżywa tragiczną śmierć matki.

– Rachel – odzywa się Diane i przystaje. – Jesteś pewna, że dasz radę poprowadzić tę sprawę?

Też się zatrzymuję. Znów kopię kamień, a potem patrzę, jak toczy się wąskim poboczem w stronę zarośli.

– A dlaczego miałabym nie dać rady?

Owiewa mnie zapach tytoniowego dymu. Żałuję tej chwili słabości, w której zaciągnęłam się papierosem, bo teraz czuję się niemal odurzona.

– Wiesz dlaczego. – Diane wzdycha głośno. – Chodzi o tego chłopca.

Kopię kolejny kamień. Przez chwilę nic nie mówię. Przygotowywałam się na to pytanie, które prędkiej czy później ktoś musiał zadać, ale Diane wzięta mnie z zaskoczenia. Zaciskam mocno szczęki, żeby stawić czoła bolesnym wspomnieniom.

– Poradzę sobie.

Ruszam dalej przed siebie, przysięgając sobie w duchu, że nie powiem już więcej ani słowa na ten temat. Diane dogania mnie po chwili. Kiedy dochodzimy do wylotu uliczki odgradzonej trzepoczącą na wietrze biało-niebieską taśmą policyjną, od strony alei nadchodzi sierżant Chesnick, który ze swoimi ludźmi prowadził wywiad wśród mieszkańców dzielnicy.

– Dowiedzieliście się czegoś? – pytam, gdy zbliża się do nas.

Diane schyla się pod taśmą, żeby zgasić niedopałek.

– Nieźle nam poszło jak na początek – mówi Chesnick. – Sąsiedni dom należy do doktor Anny Jones, która pracuje w tutejszym szpitalu na oddziale kardiochirurgii.

Spoglądam przez ramię w stronę niewielkiego zagajnika, zza którego widać dach szpitala. Między pniami drzew połyskują białe kombinezony techników.

– Czy doktor Jones ma dziecko?

– Tak.

Spoglądam na Diane.

– Jak duże są te ślady na trawniku?

– Rozmiar trzydzieści siedem albo osiem.

*Za duże jak na dziecko, ale mogła je zostawić dorosła kobieta.*

– Czy któryś z sąsiadów ostatnio widział ofiarę? – zwracam się do Chesnicka.

– Dwie osoby spotkały ją w czwartek po południu, kiedy szła odebrać chłopca ze szkoły – odpowiada sierżant.

– Ale nikt nie widział, jak wracają, tak?

– Zgadza się.

*Pasuje do teorii, która zakłada, że obydwoje zostali porwani w drodze powrotnej do domu.*



- Pani Jenny Howard, która mieszka na rogu, dosyć dobrze znała ofiarę. Warto byłoby z nią porozmawiać.

- Dobra robota, Anthony - mówię. - Dzięki.

Obracam się i ruszam z powrotem żwirowym traktem. Tym razem idę przyspieszonym krokiem, bo chcę jak najszybciej obejrzeć z bliska dom sąsiadki ofiary.

- Ktoś tu zwietrzył trop - odzywa się Diane żartobliwym tonem.



Anna  
Zostało 10 minut  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
09.50

Stoję przy umywalce i obserwuję salę operacyjną przez przeszkloną ścianę. Ahmed Shabir leży nieprzytomny na stole i czeka na spotkanie z ostrzem mojego skalpela. Patrzę na jego bose stopy i falującą klatkę piersiową okrytą serwetą chirurgiczną z niebieskiej włókniny z okienkiem, w którym widać skrawek ciała. Doktor Burke wprowadził mu do tchawicy rurkę intubacyjną, a Karin przeprowadza ostatni test płucoserca. Chirurg przygotowuje nogę pacjenta, z której wypreparuje żyły do przeszczepu.

*Wszystko to nie ma sensu. Za kilka godzin ten człowiek będzie martwy.*

Patrzę na moje ręce pokryte mydlinami od czubków palców po łokcie. Mam zaczerwienioną skórę w okolicy paznokci, gdzie za mocno przyciskałam szczotkę. Trzęsą mi się dłonie. Zaczynam pięści i spomiędzy moich palców wydostaje się piana. Coś takiego nigdy mi się nie zdarza. Jestem znana z pewnej ręki. Odkręcam kran i splukuję mydliny.

*Wszyscy zobaczą, że nie mogę zapanować nad drżeniem rąk, i zaczną coś podejrzewać. Zostanę zdemaskowana, Zack zginie, a ja spędzę resztę życia w więzieniu.*

Żeby nie wzbudzać zbędnej sensacji, do zamknięcia każdego z korytarzy prowadzących na blok operacyjny użyto tabliczek ostrzegawczych z informacją o pracach porządkowych. Oddziału ma pilnować David, ochroniarz, który na co dzień ma swój posterunek przy głównym wejściu do szpitala. Wymieniamy uprzejmości każdego ranka i mam cichą nadzieję, że jeśli wpadniemy na siebie w najmniej odpowiednim momencie, mój urok osobisty pozwoli mi jakoś się z tego wyplątać.

Kiedy zrobię już swoje, będzie się liczyć każda sekunda. Chociaż mam do pokonania jedynie sześć metrów korytarza, musi mi wystarczyć zaledwie półtorej minuty, żeby spotkać się z porywaczami i przewieźć ciało do windy, zanim pojawi się David.

*Nie myśl o tym teraz. Najpierw musisz rozwiązać o wiele poważniejszy problem.*

Rozwiązać problem. Te słowa sprawiają, że jeżą mi się włosy na karku.

Czekam chwilę, aż woda ścieknie z moich rąk, i zamykam oczy, przygotowując się do starcia z własnym strachem. I wtedy znów słyszę jego głos.

Mamusiu...

Kręcę głową.

*Nie, to nie jest dobry moment.*

...uratujesz tamtego człowieka czy mnie?

Nie mogę oddychać.

*Dołoży pani wszelkich starań, żeby się udało, prawda, doktor Jones?*

Mam tak silne zawroty głowy, że robi mi się niedobrze.

Jeśli nie uda ci się uśmiercić pacjenta, twój syn umrze zamiast niego.

Otwieram oczy. Moje ręce nie przestają dygotać. Tak mocno zaciskam dłonie, że spod paznokcia wycieka mi krew. Odkręcam kran i patrzę, jak porwana strumieniem wody ciemna

kropelka zatacza kręgi na dnie umywalki i znika w odpływie.

*Pamiętaj o swoim wyborze. Zack ma większe szanse na przeżycie, jest dopiero na początku swojej drogi.*

Osuszam dłonie, zakładam maseczkę i zmuszam się, żeby wejść na salę, zanim opuści mnie odwaga i całe moje ciało każe mi zawrócić i rzucić się do ucieczki.

– Rękawiczki – mówię głośno, trzymając w górze zgięte w łokciach ręce.

Margot pomaga mi nałożyć lateksowe rękawiczki, rozchyłając każdą i przytrzymując w odpowiedniej pozycji, a potem zasłania mi twarz przezroczywą przyłbicą. Powtarzałyśmy te czynności tyle razy, że mogłybyśmy je wykonywać we śnie. Ale ta operacja nie jest taka jak inne i Margot wkrótce się o tym przekona.

Obracam się w stronę stołu operacyjnego, próbując zapanować nad drżeniem nóg.

– No i jak wygląda sytuacja? – zwracam się do wszystkich.

Mój głos jest lekko stłumiony i czuję, jak od udawanego uśmiechu napinają mi się więzadła w szyi.

– Możemy zaczynać, kiedy będziesz gotowa – mówi doktor Burke.

Ton jego głosu nie jest tak szczebiotliwie radosny jak zwykle. Nabieram obaw, że przejrzał moje zamiary, że dostrzegł okrutny błysk w moich oczach, a potem przypominam sobie, jaki jest dzień.

– Ktoś tu nie jest zadowolony, bo musi pracować w weekend.

– Czasem trzeba się poświęcić – odpowiada Burke i puszcza do mnie oko.

– A jak nasz pacjent?

– Wskazania w normie, reaguje prawidłowo.

– Aparatura działa, jak należy?

– Wszystko gotowe – potwierdza Karin.

– Doskonale. A zatem czeka nas dzisiaj potrójne pomostowanie naczyń wieńcowych z prawej tętnicy wieńcowej oraz z gałęzi przedniej zstępującej i gałęzi okalającej lewej tętnicy wieńcowej. Czyli nic nowego, z czym nie mielibyśmy już do czynienia.

Spoglądam na zwiotczałą w stanie znieczulenia twarz pacjenta i podziwiam jego długie grube rzęsy, które z przyjemnością bym wyskubała, gdyby były moje. Jest taki spokojny.

*I już nigdy nie otworzy oczu.*

Ze zdenerwowania zasycha mi w ustach. Kiedy oblizuję wargi, mam wrażenie, że mój język ma fakturę papieru ściernego. Czuję pulsowanie pod żuchwą.

Margot podchodzi do pacjenta i zakleja mu powieki plastrem, a potem delikatnie chwytając brzeg serwety chirurgicznej i zasłania mu twarz.

Biorę głęboki oddech i patrzę na wielką płachtę okrywającą stół operacyjny. O tym, że leży przede mną człowiek, świadczy skrawek klatki piersiowej widoczny w niewielkim prostokątnym otworze i bosa stopy wystające spod przykrycia. Poza tym Ahmed Shabir z zaklejonymi oczami i zasłoniętą twarzą po prostu znikł. Mam przed sobą fałdy niebieskiej włókniny i lamigłówkę do rozwiązania. Moje emocje znikają, ustępując miejsca bezwzględnej logice, i za sprawą tego samego mechanizmu obronnego, który wcześniej służył ratowaniu życia, teraz przygotowuję się do roli zabójcy.

Przypominam sobie, jak Margot, którą spotkałam przedwczoraj w przebieralni, spojrzała na mnie, jakbym była zimną bezduszną maszyną pozbawioną człowieczeństwa.

*Może faktycznie jestem nieludzka.*

Patrzę na klatkę piersiową pacjenta, świeżo ogoloną i bladą jak płótno. Kiedy nacieram płynem antyseptycznym miejsce, w którym wykonam cięcie, czuję pod palcami delikatne

uderzenia serca i ciepło skóry. Ale nie zwracam na to uwagi. Teraz Ahmed Shabir jest dla mnie niczym więcej jak tylko siecią tętnic i zlepkiem tkanek.

– Zaczynamy – mówię, wyciągając rękę. – Skalpel.



Margot  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
10.02

Patrzę, jak doktor Jones w milczeniu przesuwając skalpel po skórze na piersi pacjenta, która rozchyła się niczym nasączone krwią płatki rozkwitającego kwiatu.

– Tampon.

Odsącam krew gazikiem i patrzę, jak doktor Jones przyżęga krwawiące tkanki. W powietrzu unosi się woń przypalonego tłuszczu, do której, co dziwne, zdołałam jakoś się przyzwyczaić.

Ludzka anatomia wciąż nie przestaje mnie zadziwiać. Kiedy tylko zaczyna się operacja, wszystkie moje problemy znikają, a ja skupiam całą uwagę na ciele, jego budowie i niedoskonałościach. Wiele osób zemdłaby na widok żeber bielejących między płatami rozciętej skóry, ale ja przyglądam się im zafascynowana. Mało komu jest dane zobaczyć na własne oczy takie rzeczy, jakie ja oglądam tu na co dzień. Czasami chciałabym w ogóle stąd nie wychodzić, śledzić wzrokiem każde cięcie i podziwiać skurcze bijącego serca. Takie widoki pozwalają mi zapomnieć o wszystkim, co dzieje się po drugiej stronie szpitalnych murów.

– Piła – mówi doktor Jones.

Podaję jej elektryczną piłę oscylacyjną. Salę wypełnia jazgotliwy odgłos, który raz po raz przybiera na sile i opada, gdy metalowa tarcza wrzyna się w kość.

– Rozwieracz.

Wymieniamy się narzędziami i patrzę, jak doktor Jones wsuwa stalowe łopatki między krawędzie rozciętego na pół mostka i rozchyła je powoli, odsłaniając tajemniczy świat ukryty pod skórą i kośćmi. Ukazuje się serce, które pulsuje rytmicznie, osłonięte półprzejrystym workiem osierdziowym. To piękny i zarazem wstrząsający widok.

– Nożyczki.

Wyciągam rękę z nożyczkami, a doktor Jones rozcina cienką błonę. Spomiędzy dwóch warstw białawej włóknistej tkanki wycieka przezroczysty płyn surowiczy, który natychmiast znika w dyszy odsysacza.

Zdrowe serce powinno mieć żywy odcień różu, ale to jest ciemnoczerwone i pokryte żółtymi platkami tłuszczu, które przywierają do niego jak skorupiaki do kadłuba statku. Kiedy patrzę na mięsień nie większy od zaciśniętej pięści, który kurczy się i rozkurcza w głębi klatki piersiowej, wszystkie życiowe problemy wydają mi się błahe. To takie proste i jednocześnie urzekające.

– Aparatura gotowa, Karin? – woła doktor Jones.

– Tak jest.

Asystentka Karin trzyma dwie rurki połączone z płucosercem. Doktor Jones wkłada wenflon w lewy przedsionek, przytrzymując serce, które podryguje, jakby chciało jej się wyrwać z rąk. Drugą rurkę wprowadza do aorty przez niewielkie nacięcie.

– Przechodzimy na krążenie pozaustrojowe.

Sztuczne płucoserce zaczyna pracować i przezroczysta rurka powoli napęlnia się krwią, która wypływa z ciała pacjenta. Serce nadal bije, nawet kiedy nie ma czego pompować.

– Zacisk.

Sięgam po klem naczyniowy, który wygląda jak nożyczki, tylko zamiast ostrzy ma miękkie nakładki z niebieskiego tworzywa. Doktor Jones zaciska go na aorcie, żeby zablokować dopływ krążącej w sztucznym obiegu krwi, która wywołuje skurcze serca.

– Pełny przepływ – oświadcza Karin.

Założenie zacisku całkowicie zmienia sytuację i w sali operacyjnej natychmiast rośnie napięcie. Po zablokowaniu aorty akcja serca powoli ustaje. Zawsze urzekał mnie ten szekspirowski tragizm – żeby uleczyć serce, trzeba je popchnąć ku wrotom śmierci.

– Roztwór potasu – komenderuje doktor Jones.

Chwyta strzykawkę i wbija igłę prosto w serce. Patrzę oniemiała z wrażenia, jak zimny roztwór zaczyna działać, paraliżując mięsień i schładzając tkanki, żeby zapobiec ich rozkładowi, aż w końcu serce całkiem nieruchomieje. Doktor Burke wyłącza respirator. Od tej chwili za krążenie pacjenta odpowiada wyłącznie maszyna.

– Dziękuję – mówi doktor Jones i oddaje mi strzykawkę.

Nasze dłonie stykają się na chwilę i nieruchomieję zaskoczona. Czuję, że trzęsą jej się ręce.

Patrzę, jak chwyta serce pacjenta, podnosi je w klatce piersiowej i obraca, żeby obejrzeć ze wszystkich stron zablokowane naczynia wieńcowe, do których ma wszczepić bajpasy. Serce drga lekko w jej rozdygotanej dłoni. Doktor Jones odkłada je na miejsce i kilka razy wygina dłoń w nadgarstku, rozciągając mięśnie.

Pewnie znów się nie wyspała w nocy. Tak samo jak wczoraj jest blada i ma podkrążone oczy. Nie podejrzewam, aby przyczyna tego drżenia była tak prozaiczna, jak mogłaby przypuszczać większość śmiertelników.

Doktor Jones przeprowadziła setki takich operacji i na pewno ręka nie zdrząłaby jej ze strachu.



Anna  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
11.20

Trzęsą mi się ręce i nie potrafię nad tym zapanować.

Ilekcję chwytam jakiś instrument, wypolerowana stal drży i migoce w jaskrawym świetle, przyciągając uwagę wszystkich. Serce pacjenta dygoce lekko w mojej dłoni, kiedy je chwytam. Cały zespół musiał już zauważyć, w jakim jestem stanie. Pot kropił się na mojej twarzy i ścieka po skroniach gorącymi słonymi strumieniami.

Z radia doktora Burke'a płynie muzyka. W każdy inny dzień nawet nie zwróciłabym na to uwagi, ale dzisiaj mam wrażenie, że piosenka jest ogłuszająco głośna, a jej słowa przeplatają się z tykaniem zegara, który wisi na drugim końcu sali i zdaje się ze mnie szydzić.

„Bądź moim skarbem...”

Tik. Tik. Tik. Tik.

„Moim maleńkim skarbem...”

Tik. Tik. Tik. Tik.

Zaciskam mocno zęby, próbując odciąć się od tych odgłosów, i wbijam wzrok w otwartą klatkę piersiową. Pomostowanie prawej tętnicy wieńcowej przebiegło bez przeszkód. Przeszczep się udał i chociaż pot zalewał mi oczy, a z niewyspania mąciło mi się w głowie, szwy są równe i zgrabne. Ale drugi bajpas na gałęzi okalającej lewej tętnicy wieńcowej przysparza mi więcej trudności. Igłotrzymacz wyslizguje mi się z drżącej dłoni, a nić chirurgiczna poluzowuje się albo płącze, zanim udaje mi się zawiązać węzeł. Podejmuję trzecią próbę, a piosenka z radia wciąż ryczy mi w uszach. Atakuje mnie jedno szczególne słowo. Napięta nić wibruje w moich rękach.

„Skarbie...”

Dosyć.

„Skarbie...”

*Proszę, nie.*

„Skarbie...”

*Nie, nie, nie, nie...*

„Bądź moim maleńkim skarbem...”

– Wyłącz to cholerstwo!

Muzyka natychmiast milknie. W sali zapada cisza. Wszyscy patrzą na mnie.

– Przepraszam – mamroczę. – Muszę się skupić.

Była to chyba najgorsza rzecz, jaką mogłam zrobić. Teraz wszyscy milczą, a w powietrzu wisi atmosfera niechęci. Zgarbiona nad stołem operacyjnym czują na sobie palące spojrzenia, które śledzą każdy ruch moich rozdygotanych rąk.

– Margot – mówię. – Pot.

Instrumentariuszka osusza mi twarz gazikiem.

– Doktorze Burke, parametry.

– Wszystkie reakcje prawidłowe – odpowiada lakonicznie anestezjolog, wyraźnie dotknięty moją reprimendą.

– Dobrze. Kiedy skończę ten przeszczep, uzupełnię roztwór potasu, więc proszę mi przygotować strzykawkę.

W sali znów zapada milczenie, a od napięcia robi się wręcz duszno. Strużka potu ścieka mi po żebrach. Niemal czuję, jak członkowie zespołu wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

*Nie popadaj w paranoję. Skup się.*

Zegar jest teraz jeszcze głośniejszy, a jego tykanie staje się prawie tak samo uporczywe jak pulsowanie w moich skroniach. Mam ochotę zerwać go ze ściany i rozdeptać, żeby szkło pękło pod moimi butami, a mechanizm rozleciał się w drobny mak.

Żyła, którą usiłuję wszczepić, wyslizguje mi się spomiędzy palców. Przygryzam dolną wargę, żeby stłumić narastającą frustrację, i czuję w ustach smak krwi.

– Margot, przytrzymaj to przez chwilę, proszę.

Instrumentariuszka bierze ode mnie igłotrzymacz. Nie mogę nie zauważyć, że w porównaniu ze mną ma bardzo pewny chwyt.

Piecze mnie skóra pod lateksową rękawiczką. Ilekroć coś chwytam, moje mięśnie kurczą się w nerwowych drgawkach. Bolą mnie kości i mam zeszywniałe stawy. Próbuję rozruszać dłoń, zaciskając ją w pięść i prostując palce, ale gdy znów chwytam narzędzie, nie mogę opanować drżenia i ból powraca.

– Dziękuję.

Sięgam do otwartej jamy klatki piersiowej i przekłuwam żyłę łukowatą igłą.

Mamusi... ..

*Nie. Nie teraz. Proszę, nie teraz.*

Zaciskam powieki. Ciężar mojego ciała zdaje się wgniatać mnie w podłogę.

Słyszę jego krzyki, jakby stał tuż obok mnie; słyszę oddechy przechodzące w spazmatyczny szloch i przerywane żalonym kwileniem. Co gorsza zaczynam się zastanawiać, jak wyglądał, kiedy ostatnio rozmawiał ze mną przez telefon, i wyobrażnia podsuwa mi najgorszą z możliwych wizji. Widzę lzy ściekające po jego policzkach i komórkę przyciśniętą do ucha. Widzę, jak wpatruje się w lufę pistoletu wycelowanego w jego głowę.

Ma... ma... mamusi...

– Wszystko w porządku? – pyta Margot.

Stoi tuż obok i patrzy na mnie z troską. Musiałam na chwilę się zawiesić.

– Tak – odpowiadam i z powrotem skupiam uwagę na pacjencie. – Tylko trochę boli mnie głowa.

Przez ostatnie półtorej godziny czuję na karku oddech Margot, dosłownie i w przenośni, ale im bardziej na nią warczę, tym większe okazuje mi zainteresowanie. Jakby doskonale wiedziała, co zamierzam zrobić.

*Nic podobnego. Dziesiątki razy obserwowała mnie przy pracy. Mogłaby się dopatrywać przyczyny mojej nerwowości w statusie pacjenta, ale nawet przez myśl by jej nie przeszło, że chcę go skrzywdzić.*

Ale jej uważne spojrzenie sprawia, że jeżą mi się włosy na karku. Stoi na tyle blisko, że nic nie ujdzie jej uwadze; widzi drżenie moich rąk, czuje zapach mojego potu.

*Po prostu rób swoje, myślę, zmuszając się do skupienia na swoim zadaniu. Jeszcze sporo przed tobą.*





Anna  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
12.30

Wszczepiłam wszystkie trzy bajpasy, żeby ocalić życie pacjenta. Teraz pozostaje mi tylko go zabić.

Jestem potwornie zmęczona. Mam wysuszone oczy, a mięśnie ramion tak spięte, że każdy ruch głowy sprawia mi ból. Muszę skorzystać z toalety i oddałabym wszystko za szklankę wody; tak bardzo zaschło mi w ustach, że z trudem poruszam językiem. Ale nie mogę dłużej zwlekać.

Wszczepiłam wypreparowane żyły do wszystkich trzech tętnic wieńcowych i przepłukałam je roztworem potasu, żeby się upewnić, czy szwy są szczelne. Jednak drugi koniec każdego z pomostów naczyniowych dopiero czeka na połączenie z aortą. Na tym ostatnim etapie operacji serce nie musi być już wyłączone z obiegu. Zakrawa to na okrutną ironię, ale muszę teraz ożywić serce, żeby zatrzymać je na zawsze.

– Zwalniam zacisk.

Zdejmuję klem zacisnięty na aorcie. Strumień krwi wypłukuje roztwór potasu i serce nabiera żywszych kolorów. Powoli, ale pewnie zaczyna bić. Teraz mogłabym pozwolić Shabirowi przeżyć, gdybym zechciała. Mogłabym postąpić, jak należy. Połączyć żyły z aortą i zamknąć klatkę piersiową.

– Częściowy zacisk.

Podaję Margot pierwszy klem, wymieniając go na drugi, z regulowanym rozstawem szczęk, który pozwala na połączenie pomostu naczyniowego z aortą bez całkowitego zamykania przepływu krwi. A ponieważ moim celem jest zabicie pacjenta, zależy mi na pełnej drożności arterii, żeby doprowadzić do jak największej utraty krwi.

Muszę dokonać spustoszenia.

Moje tętno szaleje. Czuję silne pulsowanie w gardle, w skroniach, a nawet w czubkach palców. Zakładam zacisk na aorcie w nieprawidłowy sposób, pozostawiając zbyt duży prześwit.

– Już prawie gotowe. Zostało tylko połączenie pomostów z aortą i możemy się zbierać. Jak parametry?

– Wszystko w normie – odpowiada doktor Burke.

– Natężenie przepływu krwi?

– Pełny strumień – melduje Karin.

– Doskonale – mówię i zwracam się do Margot. – Pot.

Instrumentariuszka osusza gazikiem moją twarz, przyglądając mi się badawczo. Zwykle nie pocę się intensywnie, ale dzisiaj jestem cała mokra. Bluza i spodnie lepia mi się do skóry, a spomiędzy włosów ciekną strużki potu. Zastanawiam się, czy Margot czuje, jak mocno bije mi serce, kiedy dotyka gazikiem mojej szyi.

– Skalpel.

Margot podaje mi skalpel. Kiedy ujmuję go w dłoń, wydaje się cięższy, jakby obarczony konsekwencjami cięcia, do którego zaraz mi posłuży. Stalowe ostrze połyskuje w świetle lamp.

Aby połączyć bajpasy z aortą, muszę wykonać w niej niewielkie nacięcia, które umożliwią przepływ krwi okrężną drogą. Teoretycznie jeśli klem nacyniowy jest założony prawidłowo, powinien skutecznie blokować nadmierny przepływ krwi.

Wszyscy mi się przyglądają. Czuję na sobie ich spojrzenia wędrujące tam i z powrotem między moją twarzą a skalpelem, który trzymam w dłoni. Cały czas jestem pod obserwacją. Nawet jeśli jedno z nich na chwilę odwraca wzrok, pozostali nadal patrzą. Margot jest tak blisko mnie, że czuję bijące od niej ciepło.

– Zaslaniaj mi światło – mówię.

– Kto? – pyta doktor Burke.

– Ty. – Oglądam się przez ramię i patrzę w otwarte szeroko ze zdumienia oczy Margot, po czym znów przenoszę wzrok na otwartą klatkę piersiową. – Cofnij się.

Moja instrumentariuszka odsuwa się nieznacznie.

– Dalej.

Margot ostentacyjnie robi krok w tył. Mogę tylko się domyślać, jaką ma minę, a jej wściekle spojrzenie niemal parzy mnie w plecy.

– Dziękuję.

Czuję, że wszyscy obecni wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Nigdy nie byłam tak opryskliwa i nie podnosiłam na nikogo głosu podczas operacji. Do tej pory moje zdenerwowanie można było uznać za wynik napięcia spowodowanego odpowiedzialnością za stan prominentnego pacjenta. Teraz obawiam się, że mój zespół zaczyna podejrzewać coś poważniejszego.

*Niech oni wszyscy przestaną się na mnie gapić.*

Czuję na sobie spojrzenia Karin i Burke'a. Wnętrze mojej lateksowej rękawiczki jest mokre od potu. Ściskam skalpel, który drży razem z moją dłonią, migocąc w jaskrawym świetle. Powoli wyciągam rękę i zbliżam ostrze do ściany aorty.

– Która godzina? – pytam tak nonszalanckim tonem, na jaki tylko potrafię się zdobyć.

Czuję, jak wszyscy odwracają wzrok w stronę zegara.

I wtedy tnę.

Z długiego i głębokiego nacięcia natychmiast zaczyna chlustać jaskrawoczerwona krew, która rozlewa się wokół serca i opryskuje płuca. Rozlega się zawodzenie aparatury. Wszyscy patrzą na mnie zszokowani, a kakofonia sygnałów alarmowych niemal całkowicie zagłusza ich pytania.

– Co się, do cholery, dzieje? – pyta doktor Burke.

Udaję, że gorączkowo szukam źródła krwawienia w jamie klatki piersiowej. Moje rękawiczki, jeszcze przed chwilą niebieskie, są teraz całe czerwone. Rękawy mojej bluzy pokrywają się krwawymi bryzgami.

– To aorta – odzywam się wreszcie. – O Boże, pękła prawie na pół.

Ogromna ilość wyciekającej krwi sprawia, że z każdą chwilą otwór poszerza się coraz bardziej, a pękające ściany rozwarstwiają się na moich oczach.

– Jest zbyt zniszczona – dodaję, przekrzykując hałas. – Tu nie pomoże zwykle szycie.

– Pacjent traci zbyt wiele krwi – oświadcza Karin.

– Spada saturacja – wtóruje jej Burke.

– Zaczynamy transfuzję, i to szybko – mówię i zwracam się do Margot. – Uciszkaj pęknięcie.

Margot chwyta duży zwitek gazy, żeby przycisnąć go do przerwanej tętnicy i zatamować krwawienie, ale jest za późno. Pęknięcie nadal się powiększa i teraz sięga już do nacięcia,

w którym umieściłam rurkę płucoserca. Uwolniona końcówka rurki zatacza w powietrzu łuk i krew tryska z niej niczym z węża strażackiego na pierś, szyję i twarz Margot, która głośno wzdycha zszokowana.

– No uciskaj, już! – ponagliam ją.

Instrumentariuszka sięga do otwartej klatki piersiowej pacjenta i z całej siły uciska rozdartą tętnicę. Poplamiona krwią przyłbica na jej twarzy paruje od przyspieszonego oddechu. Chwytam rurkę i manewrując pod opatrunkiem, wsuwam ją w aortę najgłębiej, jak się da, żeby zablokować pęknięcie.

– Przytrzymuj ją w miejscu – zwracam się do Margot. – Nie zwalniasz ucisku ani na chwilę.

Biorę nożyczki ze stolika z narzędziami i wycinam otwór we włókninowym obłożeniu na wysokości krocza pacjenta, żeby uzyskać dostęp do tętnicy udowej.

– Co z transfuzją?

– Przetaczamy – odpowiada Karin.

– Saturacja niebezpiecznie spada – odzywa się Burke.

– Włączyć respirator!

Spryskuję pachwinę pacjenta środkiem antyseptycznym i wcieram go w skórę, po czym chwytam skalpel.

– Upływ krwi jest zbyt duży – dodaje Burke.

– Uciskaj mocniej! – wołam, obracając głowę w stronę Margot, która patrzy na mnie ze zgrozą.

– Tu zostały same strzępy! Nie ma czego uciskać!

Po drugiej stronie stołu Karin i jej asystentka przetaczają pacjentowi przefiltrowaną krew. Widzę panikę w jej oczach, gdy nasze spojrzenia spotykają się na chwilę.

– Żadnych postępów – mówi zdyszana. – Facet traci więcej krwi, niż jesteśmy w stanie w niego wpompować.

– Próbuje dalej.

Przecinam skórę w pachwinie i przyżegam krwawiące brzegi rany, a potem nacinam tętnicę udową.

– Podaj mi rurkę. Szybko!

Margot wysuwa rurkę spod opatrunku uciskowego, ale kiedy mi ją podaje, obie zastygamy w bezruchu. Z rurki nie wypływa krew.

W otwartej jamie klatki piersiowej nie widać nic poza krwią, ale wiem, że serce Ahmeda Shabira przestało bić. Nie zauważam pęcherzyków powietrza ani falowania wywołanego skurczami mięśnia. Margot powoli unosi rękę, puszczając zwinięty kłęb gazy, który jest teraz cały czerwony. Z tego, co zostało z aorty, sączy się teraz jedynie cieniutka strużka krwi.

Karin wciąż trzyma worek z krwią do transfuzji. Obok niej stoi doktor Burke i wpatruje się w otwartą klatkę piersiową. Nigdy nie widziałam go tak pobladłego. Opuszczam głowę i przyglądam się sobie. Moja bluza jest zalana krwią, która wolno skapuje na podłogę. Margot wygląda, jakby ktoś rzucił się na nią z nożem. Jej maseczkę i ubranie pokrywają gęsto czerwone plamy i rozbrzydki.

Wszyscy milczą i salę wypełnia jedynie przenikliwe popiskiwanie sygnałów alarmowych. Odkładam skalpel, który z metalicznym brzękiem trąca inne narzędzia, chrząkam i spoglądam na zegar.

– Czas zgonu... dwunasta czterdzieści trzy.



Rachel  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
12.45

– Co pani może nam powiedzieć o doktor Annie Jones?

Jenny Howard siedzi rozparta w fotelu przy okrągłym stoliku, a ja i sierżant Ryan tłoczmy się na niewielkiej sofie stojącej pod oknem wykuszowym. Dotykamy się ramionami, a promienie słońca ogrzewają nam plecy. Na stoliku obok patery z kruchymi maślanymi bułeczkami stoi parujący imbryk z herbatą.

Jenny pociera nos zmiętą chusteczką. Nie przestaje głośno pochlipywać, odkąd do niej przyszliliśmy, ale dotąd nie zauważyłam, aby uroniła choć jedną łzę.

– Anna przeprowadziła się tu z Londynu razem z rodziną jakoś przed rokiem. Od razu się zorientowałam, że są z miasta. Brakowało im poczucia wspólnoty. My tutaj chętnie pielęgnujemy więzi społeczne. Paula i ja byłyśmy sobie szczególnie bliskie. – Pani Howard zawiesza głos dla wzmocnienia efektu dramatycznego i spogląda w stronę okna, jakby chciała się uspokoić. – Ale Anna zawsze traktowała wszystkich z dystansem.

Ryan wbija zęby w chrupiącą bułeczkę i okruszki sypią się na spodeczek. Posyłam mu karzące spojrzenie. Powoli kładzie talerzyk na stoliku.

To nie jest towarzyska wizyta.

– Powiedziała pani, że przeprowadziła się tu z rodziną?

– Owszem. Ma męża Adama i ośmioletniego synka Zacka. Chociaż właściwie powinnam powiedzieć byłego męża. Rozstali się jakiś miesiąc temu. Nie powiem, że bym była zaskoczona, bo to małżeństwo borykało się z poważnymi problemami.

– Dlaczego pani tak sądzi?

Kobieta wzdycha i znów spogląda w okno, rolując w palcach zmiętą chusteczkę. Drobniutkie białe włókna sypią się na jej sweter.

– No cóż, nie utrzymuję z nimi bliskich stosunków, ponieważ Anna jest raczej chłodna, ale ci ludzie spędzają większość życia w pracy. Żal mi tego chłopca. Widuję go często, jak jeździ na rowerze tam i z powrotem po naszej uliczce, żeby czymś się zająć. Chyba od czasu przeprowadzki nie znalazł tu zbyt wielu kolegów.

– Kto się nim opiekuje, kiedy jego rodzice są w pracy?

– Paula... znaczy opiekowała się. Nie wiem, czemu ona tak nadszakiwała tej kobiecie. Zawsze uważałam, że Anna jest wobec niej bardzo niewdzięczna. A Paula tyle dla niej robiła. Moim zdaniem tęskniła za swoimi wnukami, bo jej córka mieszka teraz w Australii, ale chyba wam o tym wspominałam, nie? No więc musiała na kogoś przelać te niespełnione uczucia.

– A co takiego robiła dla doktor Jones?

– Wszystko to, co powinna robić matka Zacka – odpowiada ostrym tonem pani Howard. Zauważa strzępki chusteczki na swetrze i zaczyna je strzepywać. – Gotowała i sprzątała, odbierała chłopca ze szkoły...

– Odbierała go regularnie?

– O tak, dzień w dzień. Anna zawoziła go do szkoły codziennie rano i zostawiała w świetlicy, a Paula przychodziła po niego, kiedy kończył lekcje.

Zapisuję jej odpowiedzi w notatniku. Obok mnie sierżant Ryan chrząka głośno.

– Kiedy widziała ich pani ostatni raz? – pyta. – Znaczy Annę Jones i jej syna?

– We wtorek rano, kiedy szłam odwiedzić Paulę. Właśnie odjeżdżali sprzed domu. Paula wspomniała, że Zack miał wyjechać z wujkiem na święta. Dla mnie to dziwne, żeby matka wyprawiała gdzieś daleko dziecko w takim wieku na całe dwa tygodnie.

– Czy wie pani, kiedy Zack miał wyjechać?

– Wujek zabrał go wczoraj albo już we czwartek. Typowa pracująca matka; kiedy tylko zaczynają się ferie, od razu podrzuca komuś dzieciaka.

Przygryzam lekko czubek języka. Zauważam, że pani Howard nie wyraża opinii na temat ojca Zacka, który również jest zapracowanym człowiekiem, jak wynika z jej relacji.

Kobieta uświadamia sobie swój nietakt.

– Och, wcale nie miałam pani na myśli... oczywiście jeśli ma pani dzieci.

Czuję, jak siedzący obok sierżant Ryan cały się spina. Na krótką chwilę w pokoju zapada milczenie. Chrząkam i zmuszam się do uśmiechu.

– Miałam.

Pani Howard rzędzie mina. Widzę błysk w jej oku i domyślam się, że dopiero teraz mnie rozpoznaje.

– Ojej... najmocniej panią przepraszam. Gdybym tylko zauważyła od razu...

– Proszę, nic się nie stało – mówię, powstrzymując ją ruchem dłoni i szybko zmieniam temat rozmowy. – Czy w ogóle widziała pani Paulę w czwartek?

– W czwartek? – powtarza kobieta, starając się zebrać myśli. – Zwykle widywałam ją każdego ranka, kiedy szła do sklepu po gazetę, ale tego dnia akurat musiałam pojechać wcześniej do miasta, bo miałam umówioną wizytę u okulisty.

– O której pani wróciła?

– Och, chyba jakoś około dziesiątej.

– Czy tego dnia zauważyła pani coś niezwykłego? Jakies nieznanne osoby kręcące się po okolicy? A może samochody, które pojawiły się tu po raz pierwszy?

– No tak, widziałam pod wieczór kilka furgonetek firmy przeprowadzkowej. Jakoś tak wpół do szóstej...

*Kto się przeprowadza o tak późnej porze?*

– Któryś z sąsiadów się przeprowadzał?

– Żaden z tych, których znam – odpowiada pani Howard. – Dlatego wydało mi się to dziwne.

– A może to była firma kurierska? – dopytuje Ryan.

– Pięć samochodów? W takim razie to musiała być duża dostawa.

*Dzięki Bogu za wścibskie sąsiadki*, myślę, starając się nie dać po sobie poznać, że właśnie usłyszałam coś intrygującego. Niektórzy ludzie mają skłonność do ubarwiania rzeczywistości, kiedy znajdują się w centrum uwagi. Pani Howard wygląda mi na jedną z takich osób.

– Może zapamiętała pani numery rejestracyjne? Albo nazwę firmy? Czasami jest namalowana na burcie samochodu.

– Och, niestety niczego takiego nie mogłam zobaczyć. Miałam osłabiony wzrok po badaniu u okulisty. Robiło się ciemno, a ja jestem krótkowidzem...

– A widziała pani, do kogo jadą? – wtrąca Ryan.

Pani Howard zamyślona spogląda w okno.

– Te samochody stąd odjeżdżały – odpowiada po chwili. – Widziałam ich tylne światła.

– To może wie pani, od kogo?

– Przykro mi, ale nie. Tylko mignęły mi przed oczami.

Niewykluczone, że coś jej się pokręciło; być może te furgonetki nie były niczym nadzwyczajnym, tylko pani Howard po prostu nie zna rodziny, która się przeprowadza. Ale zbyt dobrze znam ten typ – osoby jej pokroju są niezmordowane w swej dociekliwości, postrzegają prywatność raczej jako wyzwanie aniżeli przywilej i muszą znać każdą plotkę, jaka pojawi się w obiegu. Przypuszczam, że ta kobieta odsłoniłaby przede mną sekrety każdego domu przy Avenue.

– Dziękuję, że zechciała pani odpowiedzieć na nasze pytania. Gdyby pani coś sobie przypomniała, proszę dzwonić bez wahania.

Kładę wizytówkę na stoliku i patrzę, jak pani Howard po nią sięga, w milczeniu kiwając głową. Kiedy nasze spojrzenia znów się spotykają, widzę w jej oczach ten wyraz współczucia, z którym patrzy na mnie każdy, kto wspomina o moim synu.

– Jeszcze raz proszę przyjąć najszersze przeprosiny, jeśli sprawiłam pani przykrość. Nie rozpoznalam pani od razu. Historia pani dziecka jest tak poruszająca...

– Jak już powiedziałam, nic się nie stało – przerywam jej, bardziej szorstkim tonem niż poprzednio. – I proszę nie wstawać. Sami trafimy do wyjścia.

Patrząc na minę pani Howard, nie sądzę, aby dosyć często zdarzało się jej zaniemówić. Ale pograżone w żalobie matki właśnie tak działają na ludzi – nikt nie wie, co powiedzieć.

– Sądzę, że nie miała nic złego na myśli – odzywa się Ryan, kiedy wychodzimy przed dom.

Najpierw Diane, a teraz Mark. Jakbym słyszała dookoła tupot słońi w składzie porcelany.

– Poproś Chesnicka, żeby kazał swojej ekipie wypytywać ludzi o te furgonetki – mówię, idąc zwirową ścieżką przez ogród. – Musimy potwierdzić, czy ktoś rzeczywiście wyprowadzał się stąd we czwartek i czy widzieli to jacyś świadkowie.

– Tak jest.

Popycham furtkę i wychodzę na ulicę.

– Co się z nim stało? – pyta Ryan. – Znaczy z twoim synem?

Jego pytanie sprawia, że staję jak wryta.

– Głupio mi tak pytać, ale wszyscy na komendzie wiedzą, tylko nie ja, no i...

Słyszę w jego głosie wewnętrzne zmagania – jest zażenowany swoim wścibstwem, ale w równym stopniu rozpiera go ciekawość.

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę cofnąć się myślami w przeszłość. Przypomnieć go sobie. Widzę uroczą roześmianą twarz Jamiego i moje oczy natychmiast wypełniają się łzami. Za każdym razem jego widok boli mnie jak uderzenie pięścią w brzuch.

– Zabrałam go na plażę – mówię chrapliwym głosem. – I zasnęłam, kiedy się bawił. Byłam po nocnej zmianie, a mój były mąż musiał iść do pracy. Kiedy się obudziłam, mojego synka nigdzie nie było. Komuś udało się go uprowadzić, podczas gdy ja spałam tuż obok i... – Zaciskam zęby, żeby stłumić wzbierający szloch, i przez chwilę wstrzymuję oddech. – Już nigdy więcej go nie zobaczyłam.

Wzdycham przeciągle i ocieram łzy. Nie cierpię takich zwierzeń, zwłaszcza w pracy. Kiedy obracam się do Ryana, widzę na jego twarzy taki sam współczujący uśmiech, jakim obdarzyła mnie pani Howard.

– Kiedy wrócimy na komendę, spróbujesz się dowiedzieć jak najwięcej o naszej doktor Jones – mówię. – Pani Howard wspomniała, że Zack wyjechał na ferie z wujkiem, więc na początek ustal, czy Anna albo jej mąż rzeczywiście mają brata. Jej męża też trzeba prześwietlić.

– Podejrzewasz, że zmyśliła tę historię z wyjazdem na ferie?

Spoglądam na dach okazałego domu lekarki widoczny między koronami drzew na końcu zwirowego traktu. To niemożliwe, aby ktoś wiódł tak idealne życie. Nawet jeżeli jest bogaty i cieszy się powodzeniem. Wszyscy mamy coś do ukrycia.

- Nie wiem, o co tutaj chodzi - odpowiadam. - Doktor Jones na pewno mówi prawdę, ale musimy się przyjrzeć całej sprawie z różnych stron.

*Bo coś mi podpowiada, że doktor Jones kłamie.*

- Ach, jeszcze jedno, sierżancie Ryan - dodaję.

- Tak, szefowo?

- Nigdy więcej nie pytaj mnie o mojego syna.



Anna  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
12.53

Woda jest czerwona od krwi. Patrzę, jak powoli zalewa dno umywalki i zatacza kręgi wokół odpływu, unosząc na powierzchni zaróżowione mydliny.

*Naprawdę to zrobiłam. Zabiłam człowieka.*

Powinłam coś czuć. Cokolwiek. Ale nie zdręczam się, nie rozpaczam ani nie doświadczam ulgi. Nie ma we mnie nic, tylko wciąż słyszę to samo uporczywe dzwonięcie w uszach, przejmujące jak krzyk.

Żaden z moich współpracowników nie był w stanie spojrzeć mi w oczy, odkąd ogłosiłam czas zgonu. Mogą mieć do mnie pretensje, że byłam wybuchowa i nie chciałam pracować w zespole, co stanowi jeden z najważniejszych aspektów każdego zabiegu chirurgicznego. Margot doprowadziła się do porządku najszybciej, jak tylko potrafiła, zbyt wściekła, by zaszczyścić mnie spojrzeniem. Nikt się do mnie nie odezwał, kiedy wychodziliśmy z sali operacyjnej. Nawet doktor Burke. Nawet jeśli nie posądzają mnie o nieczyste intencje, mogą nabrać podejrzeń, jeśli przypomną sobie moje nerwowe zachowanie.

*Dosyć. To jeszcze nie koniec – musisz zawiadomić żonę pacjenta.*

Czekam, aż dopadnie mnie poczucie winy, aż rzuci mi się do gardła i zacznie dusić, ale nic takiego się nie dzieje. Z powodu szoku jestem strasznie otepiała. Jedynym wyjątkiem jest pragnienie wyskubywania włosów. Jeszcze nigdy nie odczuwałam go tak intensywnie. Mam ochotę wydzierać sobie włosy garściami.

*Jest już prawie po wszystkim.*

Osuszam ręce i przeglądam się w lustrze, żeby sprawdzić, czy dokładnie zmyłam wszystkie ślady krwi. Nie poznaję własnego odbicia. Przez ostatnie dni postarzałam się o kilka lat. Mam zapadnięte policzki, a moja skóra jest szara jak popiół. Wydaje mi się, że moje dawne ja też nie przeżyło tej operacji. Już nie jestem chirurgiem. Ani beztruską matką.

*Jestem morderczynią.*

Wychodzę z bloku operacyjnego i przystaję po kilku krokach. Musiały zaskrzypieć zawiasy, bo w uchylonych drzwiach na końcu korytarza pojawiają się dwaj mężczyźni. Mają na sobie stroje chirurgiczne, które poprzedniego wieczoru położyłam na wycieracze. Ruszają w moją stronę, rozglądając się czujnie.

– Gdzie jest ciało? – odzywa się ten po lewej.

Mówi opryskliwym tonem i dopiero teraz mam okazję zwrócić uwagę na jego wyraźny obcy akcent, który wskazuje na jakiś wschodnioeuropejski język. Przypominam go sobie – to na niego natknęłam się na podjeździe, kiedy wróciłam do domu tamtego wieczoru. To jest ten młody przystojniak o brązowych oczach.

*A więc mówisz po angielsku.*

Drugiego też rozpoznaję. To ten, który wyszarpnął mi folię spod nóg i wybuchnął śmiechem, kiedy krzywiłam się z bólu. Stoją tak blisko mnie, że czuję ciepło ich oddechów.

– Jeszcze nie jest gotowe – odpowiadam chrapliwym szeptem. – Zrobiłam to, czego żądaliście. Teraz muszę powiedzieć żonie pacjenta, że jej mąż nie żyje.



Robię krok przed siebie, ale silna dłoń chwyta mnie za ramię i okręca w miejscu.

– Masz pięć minut – mówi nieznamy.

Wrywam rękę z jego uścisku i oddalam się korytarzem. Czuję pieczenie w miejscach, gdzie jego paznokcie wbiły mi się w skórę.

Mijam zablokowane przejście i skręcam w stronę oddziału kardiochirurgii. Z każdym krokiem ogarnia mnie coraz silniejsza panika, kiedy przypominam sobie, jak pani Shabir patrzyła na mnie przed operacją. Przypominam sobie jej oczy pełne bólu i paraliżującego strachu.

*Dołoży pani wszelkich starań, żeby się udało, prawda, doktor Jones?*

Zatrzymuję się przed drzwiami, przyciskając dłoń do brzucha.

*Miałam do wyboru życie jej męża albo mojego syna. Jej cierpienie albo moje.*

Biorę głęboki wdech i wchodzę do pokoju. Mindy Shabir siedzi na krześle przy łóżku, zgarbiona i ze zbolaną miną. Tammy, specjalistka od wizerunku, na mój widok ożywia się i odkłada laptopa. Ciche odgłosy towarzyszące jej ruchom wrywają z zadumy panią Shabir, która zauważa mnie stojącą w drzwiach i zrywa się na równe nogi. Potem dostrzega moją minę i w jej oczach pojawiają się łzy.

– Nie...

– Tak bardzo mi...

– Nie! To niemożliwe. Powiedziała pani, że ma dziewięćdziesiąt procent szans na przeżycie. Dziewięćdziesiąt procent!

Ukrywa twarz w dłoniach i zaczyna krzyczeć z rozpaczą, a nogi uginają się pod nią, jakby miała zaraz upaść. Jej krzyk przypomina zawrodość umierającego zwierzęcia; słyhać w nim dziką, niepohamowaną udrękę.

*Zrobiłam to.*

– Pani Shabir... – zaczynam, z trudem wydobywając z siebie głos. Próbuję odchrząknąć, ale moje gardło zaciska się jeszcze mocniej. – Wszczepiliśmy pomosty naczyniowe do wszystkich trzech zablokowanych arterii, ale w końcowej fazie operacji doszło do pęknięcia aorty. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale pani mąż stracił zbyt dużo krwi. Dokładaliśmy wszelkich starań, ale nie byliśmy w stanie go uratować. Jest mi niezmiernie przykro.

Wątpię, czy pani Shabir w ogóle mnie słyszy. Znosi się szlochom tak mocno, że jest bliska hiperwentylacji. Podchodzę do niej i próbuję przesunąć ją delikatnie w stronę krzesła.

– Może pani usiądzie...

– Nie dotykaj mnie!

Kobieta opada na krzesło, zasłaniając twarz dłońmi, na które opadają loki czarnych włosów.

W przeciwległym kącie pokoju stoi Tammy. Jest blada jak ściana i szeroko otwiera usta ze zdumienia.

– Ale przecież... on nie może... – mówi, po czym nagle coś do niej dociera. – Muszę zadzwonić.

Obracam się w stronę drzwi i napotykam spojrzenie Val, która zagląda do środka przez szybę. Przywołuję ją skinieniem głowy i spotykamy się na progu. Wszyscy na oddziale musieli słyszeć hałas i wiedzą, że coś się stało.

– Właśnie ją poinformowałam o śmierci męża – wyjaśniam. – Jest w szoku. Mogłabyś z nią zostać?

– Oczywiście.

– Nie muszę ci przypominać, że wszystko, co usłyszysz w tym pokoju, nie może trafić do wiadomości publicznej.

Pielęgniarka przytakuje znacząco i siada na łóżku obok pani Shabir. Kiedy kładzie jej dłoń na plecach, kobieta natychmiast się rozluźnia. Val obejmuje ją i zaczyna kołysać w tył i w przód.

*Zrobiłam to. Jestem morderczynią.*

Wychodzę na korytarz tak wycieńczona i zszokowana, że prawie się zataczam, idąc przez oddział. Widzę tylko rozmyte kontury i czuję na sobie zaciekawione spojrzenia ludzi, których mijam. Wracam na blok operacyjny i słyszę za plecami skrzypnięcie zawiasów. Z uchylonych drzwi wpatrują się we mnie dwie pary przenikliwych oczu.

Widocznie porywacze już zaczęli się niecierpliwić.

– Co tak długo?

– Wypełniam wszystkie procedury – syczę opryskliwie w odpowiedzi. – Jeżeli nie chcecie, żebym ściągnęła na siebie podejrzenia, nie wtrącajcie się i pozwólcie mi robić swoje.

– Pospiesz się – cedzi przez zęby jeden z mężczyzn i zamyka drzwi z cichym szcęknięciem.

Zza zakrętu korytarza wyłania się David.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Jeśli usłyszał już od kogoś o śmierci Shabira, nie daje tego po sobie poznać. Ale nawet kiedy otrzyma tę informację oficjalnie, nie zejdzie od razu z posterunku i będzie nadal zabezpieczał teren, dopóki ciało nie opuści bloku operacyjnego. Zgodnie z procedurą ma za zadanie pilnować zwłok w kostnicy do momentu zawiadomienia odpowiednich organów. Do tego czasu powinien się uporać z porywaczami.

– Tak – odpowiadam nieco zbyt ostrym tonem.

David przestaje się uśmiechać. Muszę wyglądać na roztrzęsioną, bo przez chwilę przygląda mi się badawczo, a potem rusza dalej przed siebie. Czekam, aż zniknie za zakrętem, i wracam na salę operacyjną.

W środku panuje teraz grobowa cisza. Młody stażysta stoi przy stole operacyjnym i kończy zamykanie klatki piersiowej pacjenta. Dwie pielęgniarki zgarbione opierają się o ścianę i czekają, żeby zawinąć ciało w prześcieradła przed przewiezieniem go do kostnicy. Cała podłoga jest zalana krwią.

– Ja się tym zajmę.

Stażysta wzdryga się na dźwięk mojego głosu.

– Och, ale powiedziano mi, że mam...

– A teraz ja ci mówię, że się wszystkim zajmę – odpowiadam, po czym zwracam się do pielęgniarek, które stoją już na baczność. – Was to też dotyczy. Zrobię całą resztę i zwiozę go na dół. Jeżeli chcecie na coś się przydać, możecie umyć podłogę, kiedy skończę.

Cała trójka wychodzi bez słowa, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, i ciszę zakłóca jedynie szuranie ich butów na podłodze. Nigdy nie byłam tak szorstka, ale najwyraźniej tylko w taki sposób można powstrzymać ludzi od zadawania zbędnych pytań. Będą się krzywić, ale zrobią, co im każę.

Zakładam świeże rękawiczki i podchodzę do ciała, z którego już zdjęto włókninowe serwety. Płaty skóry na klatce piersiowej wciąż są rozchylone, odsłaniają mięsiste tkanki i białą kość mostka, którą stażysta spiął metalowymi szwami.

Kiedy chwytam igłotrzymacz, mój wzrok wędruje w stronę twarzy zmarłego. Jego powieki wciąż są zaklejone plastrem, a zuchwa zwisa luźno po usunięciu rurki intubacyjnej. Zamykam mu usta i odrywam z oczu paski plastra. Zauważam długą czarną rzęsę przyklejoną do jednego z nich i znów ożywa we mnie pragnienie skubania.

*Nie teraz.*

Zgniatam plaster w dłoń i kładę zmiętą kulkę na stoliku z narzędziami.

Ahmed Shabir był naprawdę przystojnym mężczyzną – miał wydatne kości policzkowe, masywną żuchwę i pełne usta. Usta, których jego żona już nigdy nie pocałuje. Pochyliam się, zbliżając usta do jego ucha. Czuję woń środków dezynfekujących i krwi.

– Przepraszam – szepczę.

Staję prosto i mobilizuję całą siłę woli, żeby wziąć się w garść. Nie mogę się rozkleić, dopóki nie doprowadzę wszystkiego do końca. Unikając patrzenia na twarz Shabira, spinam do końca mostek, po czym naciągam płyty skóry i łączę je metalowymi zszywkami chirurgicznymi. Nie ma sensu używać nici, którą koroner i tak musiałby przecinać, chociaż młody stażysta zamknął nacięcie w pachwinie za pomocą tradycyjnego szwu.

Zegar na ścianie wciąż tyka, ale teraz jego tykanie nie brzmi jak szyderstwo, ale stanowi kojące tło w opustoszałej sali. Obrnywam ciało, używając środków higienicznych, które przygotowały pielęgniarki; ścieram każdą plamkę krwi i środka dezynfekcyjnego o brunatnej barwie. Potem owijam ciało we włókninę, przechylając je i podnosząc z niezwykłą ostrożnością. Zazwyczaj potrzeba do tego dwóch osób, więc w niektórych momentach ciężko sapię z wysiłku i przeklinam pod nosem, ale wkrótce efekt mojego straszliwego czynu leży przede mną zawinięty od stóp do głów. Mam za mało siły, by przenieść zmarłego na wózek, który ustawiłam obok stołu operacyjnego, więc przetaczam go, wypowiadając szeptem słowa przeprosin. Okrywam ciało niebieską płachtą i zwalniam stopą hamulec blokujący tylne kółka wózka.

Schylam się, by wyjąć ukryty pod umywalką zegarek ze stoperem, po czym staję przy drzwiach i wyteżam słuch. Słyszę znajome pogwizdywanie i niespieszne kroki Davida, który nadchodzi korytarzem. Wsłuchując się w szuranie jego butów na pokrytej linoleum podłodze, czekam, aż zniknie za zakrętem, a wtedy włączam stoper. Mam jedną minutę i trzydzieści dwie sekundy na dotarcie do windy.

Wypycham wózek na korytarz i widzę dwóch mężczyzn, którzy wychodzą z sąsiedniej sali. Wymieniamy przelotne spojrzenia i w milczeniu ruszamy w stronę wind. Wózek jest mocno wysłużony i każde skrzypnięcie odbija się echem od ścian pustego korytarza. Porywacze idą za mną tak blisko, że niemal deptają mi po piętach.

Zatrzymuję się przed rozsuwanymi metalowymi drzwiami i naciskam guzik, żeby przywołać windę. Serce wali mi jak młotem, a dłoń zaciśnięta na poręczy wózka jest mokra od potu. Zerkam na zegarek: David zjawi się tu za sześćdziesiąt dwie sekundy. Niecierpliwie stukam czubkiem buta w podłogę i słucham klekotania windy, która jedzie powoli w górę szybu.

*Szybciej, szybciej, szybciej.*

Znów sprawdzam czas: zostało pięćdziesiąt sekund. Zaczynam pocić się jeszcze mocniej, kiedy słyszę dobiegający zza zakrętu odgłos kroków Davida i jego pogwizdywanie wielokrotnie przez echo.

Kiedy drzwi windy wreszcie się otwierają, pospiesznie wpycham wózek do środka i blokuję hamulec, po czym sięgam do panelu, by nacisnąć guzik podziemi. Dwaj mężczyźni wślizgują się do środka w ostatniej chwili i stalowe drzwi zasuwiają się za ich plecami. Zostało nam tylko dwadzieścia pięć sekund.

Winda rusza w dół.

– Pokaż go.

Podnoszę niebieską płachtę, odsłaniając twarz i klatkę piersiową Shabira. Widzę, że jego zwiotczała żuchwa znów opadła. Mężczyzna o brązowych oczach chwyta zmarłego za podbródek i bezceremonialnie obraca jego twarz na boki.

– To on – oświadcza.

Jego towarzysz chwyta Shabira za nadgarstek, próbując wyczuć puls. Robi to niewłaściwie – powinien przyłożyć palce do szyi, ale oczywiście nie zamierzam mu tego uświadamiać. Wyjmuje spod bluzy stetoskop i osłuchuje klatkę piersiową, jakby nie przekonał go widok dużych metalowych klamer spinających skórę wzdłuż mostka. W ciasnej kabinie windy jest

tak ciepło, że uderza mnie w nozdrza ostra woń potu i nieświeżych oddechów. Spod płachty, którą okryte jest ciało, wciąż unosi się zapach środka dezynfekującego.

Mężczyzna ze stetoskopem prostuje się i z zadowoleniem kiwa głową.

– Możesz go przykryć – mówi ten o brązowych oczach.

Kiedy pochylam się nad Shabirem, żeby z powrotem zasłonić jego twarz, czuję metaliczną woń krwi. Winda dojeżdża do piwnicy i drzwi rozsuwają się z głośnym skrzypieniem. Zwalniam hamulec i wypycham wózek na korytarz, zmagając się z ciężarem zwłok i zdezelowanych kółek, które rozjeżdżają się w różnych kierunkach. Porywacze zostają w kabinie.

– Skontaktujemy się z tobą, kiedy podejmiemy następne kroki.

Mierzę ich wzrokiem, dopóki nie znikają za zamkniętymi drzwiami windy.



Margot  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
13.25

*Myszę, że widziałam, jak doktor Jones zabiła człowieka.*

Oszołomiona wychodzę z kabiny w toalecie i dostrzegam swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Twarz mam pobladłą z przejęcia, a usta zaczerwienione od nerwowego oblizywania. Minęło czterdzieści pięć minut, a ja wciąż się trzęsę.

Podczas operacji doktor Jones była grubiańska i podnosiła na mnie głos przy każdej okazji. Teraz rozumiem dlaczego. Stałam najbliżej i wszystko widziałam. Kazała mi się cofnąć, żebym nie zobaczyła, jak wykonuje zabójcze cięcie. Ale nie zdawała sobie sprawy, że właśnie w tym momencie zrobiłam z powrotem krok do przodu, bo chciałam być w pogotowiu.

Wciąż mam przed oczami ostrze skalpela przecinające aortę i krew buchającą z rany.

*Muszę komuś o tym powiedzieć. Ale ktoś by mi uwierzył?*

Doktor Jones jest wysoce cenioną specjalistką. Kiedy ogłoszono, że będzie u nas pracować, w szpitalu zapanowała atmosfera radosnego podniecenia. Ostatni raz personel Redwood przeżywał tak bardzo wizytację jakiejś koronowanej głowy. W kręgach medycznych jest prawdziwą sławą. Żeby wystąpić z tak poważnym oskarżeniem, potrzebowalabym niepodważalnego dowodu, a ja jestem tylko świadkiem. Wszyscy inni patrzyli wtedy na zegar i z powrotem obrócili wzrok, dopiero kiedy włączył się alarm.

*Komu wszyscy uwierzą? Renomowanej specjalistce z wieloletnim doświadczeniem czy zwykłej pielęgniarce, która musi kraść, żeby związać koniec z końcem?*

Pluczę ręce nad umywalką i przeglądam się w lustrze, wypatrując ostatnich śladów krwi pacjenta, które mogłam przeoczyć. Nie mogę zapanować nad drżeniem dłoni tak samo jak doktor Jones podczas operacji.

Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, żebym nie spuszczała z niej wzroku. Zachowywała się dziwnie od samego początku operacji i po raz pierwszy zwątpiłam w jej kompetencje. Nie zapomnę widoku jej rozdygotanych dłoni. Była zdenerwowana i nieobliczalna, a kiedy spytała o godzinę, wszyscy spojrzeli na zegar. Wszyscy oprócz mnie. Właśnie wtedy zobaczyłam, jak chwytą skalpel i przecina aortę. Wtedy nie zadrżała jej ręka. Nie westchnęła głośno, jakby to się stało przez pomyłkę. Celowo odwróciła uwagę zespołu, pytając o godzinę, po czym wbiła głęboko ostrze w aortę i wykonała cięcie.

*Zabiła tego człowieka umyślnie.*

Pocieram kark wilgotnymi dłońmi i wsłuchuję się w nerwowe kołatanie swojego serca.

*Muszę komuś o tym powiedzieć.*

Jeszcze raz przeglądam się w lustrze, wycieram ręce i ruszam do wyjścia. Co prawda Kelvin za mną nie przepada, ale jestem pewna, że mi uwierzy, zważywszy na powagę moich oskarżeń. Musi mi uwierzyć.

W korytarzu jest tłoczno od personelu i odwiedzających, którzy kierują się wymalowanymi na podłodze kolorowymi strzałkami prowadzącymi na różne oddziały. Na wpół przytomna idę do biura Kelvina i kiedy mijam szatnię, zauważam coś kątem oka. Przystaję i ponownie spoglądam w stronę drzwi; na progu stoi Kelvin i rozmawia z kimś, kto znajduje się w środku.

– Kelvin, muszę z tobą porozmawiać – mówię, podchodząc do niego. – Coś się stało.

Kelvin obraca się do mnie i jego twarz przybiera surowy wyraz. Patrzy na mnie, jakbym była karaluchem.

– Tak, stało się – przyznaje, po czym odwraca się w stronę drzwi. – Ona tu jest.

Z szatni wychodzi ochroniarz. Poznaję Sonny’ego, który zawsze się uśmiecha albo macha do mnie, ilekroć wpadamy na siebie w pracy. Ale teraz ma poważną minę.

– O co chodzi? – pytam drżącym głosem.

– Pozwolisz ze mną – odpowiada Kelvin.

Zerkam do wnętrza szatni i widzę otwarte drzwi mojej szafki. Serce mi zamiera.

– Ale ja...

– Porozmawiamy w biurze.

Ogarnia mnie panika. Idę za nim w milczeniu i z każdym krokiem moje serce uderza coraz szybciej. Przyspieszam, ilekroć czuję, jak Sonny zaczyna deptać mi po piętach. Próbuję wymyślić jakieś kłamstwo, żeby wywinąć się z matni, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Wiedziałam, że stanie się coś złego. Od rana czułam w trzewiach nerwowe napięcie. Kiedy zobaczyłam, co doktor Jones zrobiła podczas operacji, ludziłam się samolubnie, że to jej czyn był powodem mojego niepokoju, że ogarnęło mnie jakieś dziwne przecucie. Nie miałam pojęcia, że to o siebie powinnam się bać.

Kelvin otwiera przede mną drzwi swojego biura. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie – z gniewu cały wręcz dygoce i ma wypieki na twarzy. Wchodzę do środka i siadam, wciskając roztrzęsione dłonie między uda. Sonny czeka przy drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersi, a Kelvin zajmuje miejsce za biurkiem.

– Po naszej wczorajszej rozmowie długo się zastanawiałem nad tym, co powiedziałaś – zaczyna. – Chociaż twoje wyjaśnienia nie brzmiały zbyt przekonująco, uwierzyłem ci na słowo. Musiałem jednak podjąć bardziej zdecydowane kroki, aby wreszcie schwytać osobę odpowiedzialną za te wszystkie kradzieże. Dziś rano otrzymałem zezwolenie na przeszukanie wszystkich szafek w damskiej szatni. Możesz sobie wyobrazić, jak wielkie było moje zdumienie, kiedy odkryłem, co masz u siebie.

Wskazuje rozłożone na blacie wszystkie przedmioty, które ukradłam.

Nic nie mówię. Czuję się znów jak mała dziewczynka, która została wezwana do gabinetu dyrektora szkoły i musi wysłuchać reprimendy. Przypomina mi się dewiza mojej matki.

*W razie wpadki zaprzeczaj wszystkiemu, nawet jeśli musisz łgać w żywe oczy.*

– Nie masz nic do powiedzenia? – pyta Kelvin.

Patrzy na mnie z taką surowością, że przechodzą mnie ciarki, kiedy napotykam jego spojrzanie. Musi mnie uważać za ostatnią szumowinę. Mogę pożegnać się z pracą. Stracę dach nad głową. Mama byłaby ze mnie dumna.

– Nie stać cię nawet na zwykłe „przepraszam”?

Czuję pieczenie w gardle, ale jakoś powstrzymuję się od płaczu. Nie zamierzam pozwolić, żeby zobaczył moje łzy. Z całej siły ściskam udami dłonie, aż moje nadgarstki bieleją, a palce zaczynają drętwieć.

Kelvin wzdycha.

– Jesteś zwolniona ze skutkiem natychmiastowym. Policja zaraz tu będzie.

Jego słowa są jak cios, który zwała mnie z nóg. Zdaje mi się, że słyszę szyderczy śmiech mojej matki.

– Chyba chciałaś mi coś powiedzieć – dodaje Kelvin. – Co takiego? Bo nie sądzę, że chciałaś się przyznać, prawda?

Zaciskam zęby, żeby się nie rozplakać, i siedzę nieruchomo ze spuszczoną głową.

– Nic ważnego – odpowiadam chrapliwym głosem.

*Teraz na pewno nikt mi nie uwierzy.*



Anna  
Sobota, 6 kwietnia 2019  
16.04

*Kiedy wszystko pójdzie gładko i nikt niczego nie będzie podejrzewał, zaczniemy wcielać w życie powrót twojego syna.*

Uporczywie powtarzam w myślach to jedno zdanie. Przyciskając do piersi komórkę na kartę, chodzę po domu tam i z powrotem, a kamery zainstalowane w każdym kącie śledzą moje ruchy. Moja wolna ręka drży nerwowo, opuszczona wzdłuż tułowia, jakby lada chwila miała wystrzelić w górę wiedziona przemożnym pragnieniem skubania. Od czasu do czasu robię to bezwiednie i dopiero kiedy czuję lekkie pieczenie skóry na głowie, przychodzi opamiętanie. Zdarzyło mi się to już kilka razy i teraz mijam leżące na dywanie długie jasne włosy.

*Jestem morderczynią.*

W moich wspomnieniach bez przerwy powraca widok martwej twarzy Shabira o zwiotczalej zuchwie; przypominam sobie, jak pachniał, kiedy pochyliłam się nad jego ciałem; wciąż widzę samotną rzęsę przyklejoną do plastra. Nie przestaję myśleć o zszokowanej minie Dominica Kellera; powiedziałam mu o śmierci Pacjenta X i patrzyłam, jak kolory odpływają z jego twarzy.

*Może się wydać, co zrobiłam. A jeżeli ktoś widział, jak przecinam aortę? Czy to dlatego wszyscy unikali mojego spojrzenia? Podczas sekcji koroner znajdzie ewidentny ślad cięcia skalpelem, a ja nigdy już nie zobaczę Zacka.*

Przystaję w holu i ukrywam twarz w dłoniach.

Zrobiłam wszystko tak jak zwykle aż do momentu, w którym wykonałam to fatalne cięcie. Każdy z trzech bajpasów wszczepiłam z perfekcyjną dokładnością. Podjęłam wszystkie stosowne kroki, zarówno przed dokonaniem morderstwa, jak i po nim. Istnieje niske prawdopodobieństwo, że aorta będzie nosić ślady celowego uszkodzenia; była tak poszarpana i rozwarstwiona, że Margot nie zdołała zatamować krwotoku opatrunkiem uciskowym. Mimo to wątpliwości wciąż nie dają mi spokoju.

*Powinłam była go znów otworzyć, kiedy zostałam z nim sama, żeby lepiej zatrzeć ślady.*

Rozlega się dzwonek u drzwi.

Zastygam w bezruchu, nie zważając na szczekanie podekscytowanego Miśka, który wbiega do holu. Czy nie powinni wcześniej zadzwonić, gdyby zamierzali odwiedzić Zacka do domu? Ale już sama myśl o jego powrocie pozbawia mnie zdolności logicznego rozumowania. Rzucam się do drzwi i otwieram je na oścież.

Na progu stoi dwoje nieznanomych ludzi. Kobieta w czarnym żakiecie i męskich butach na płaskich podszewkach wygląda na pięćdziesiąt kilka lat, ma szarobrazowe włosy i bładoniebieskie oczy. Mężczyzna stojący obok jest znacznie młodszy i wyższy od niej o głowę. Obydwoje trzymają otwarte skórzane pokrowce z lśniącymi odznakami.

– Doktor Anna Jones? – pyta kobieta.

Nie mogę oderwać wzroku od ich legitymacji policyjnych w foliowych okienkach.

– Tak, to ja.



– Jestem detektyw inspektor Rachel Conaty, a to mój partner, detektyw sierżant Mark Ryan. Możemy wejść?

Jestem zbyt zszokowana, by wydobyć z siebie głos. Policja nie mogła tak szybko dowiedzieć się o nieudanej operacji. W takich przypadkach szpital zwykle przeprowadza własne śledztwo, zanim zdecyduje się na zawiadomienie policji. Dyrekcja nie zaryzykowałaby katastrofy wizerunkowej, która byłaby nieunikniona, gdyby coś takiego wyszło na jaw. Musiałaby mieć ewidentny dowód przestępstwa.

– Doktor Jones?

Jestem w polu widzenia zamontowanej nad drzwiami kamery; niemal czuję jej przenikliwe spojrzenie na czubku głowy. Misiak napiera na mnie z tyłu, próbując precyzyjnie się obok moich nóg, żeby przywitać gości. Wsuwam do kieszeni komórkę na kartę.

– Niestety nie jest to odpowiedni moment.

Inspektor Conaty marszczy czoło.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie poważnego przestępstwa, do którego doszło w tej okolicy, i rozmawialiśmy już z pani sąsiadami – wyjaśnia. – Nie zajmujemy pani wiele czasu.

*Znaleźli ciało Pauli.*

W mojej głowie dźwięczą słowa porywacza.

*Kiedy wszystko pójdzie gładko i nikt niczego nie będzie podejrzewał, zaczniemy wcielać w życie powrót twojego syna.*

*...nikt niczego nie będzie podejrzewał...*

Jeśli wpuszczę do domu tych dwoje, porywacze się o tym dowiedzą. Przyciągam jeszcze bardziej do siebie skrzydło drzwi.

– Przykro mi, ale będziecie musieli z tym poczekać do jutra.

Policjantka nie okazuje żadnych emocji. Jej zaciśnięte usta tworzą prostą cienką kreskę. Za to jej towarzysz zapuszcza żurawia ponad moim ramieniem, próbując zajrzeć do wnętrza domu.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie bardzo poważnego przestępstwa – odpowiada inspektor Conaty beznamiętnym tonem. – Obawiam się, że nie możemy czekać.

Paniczny strach chwyta mnie za gardło, a łzy rozpaczcy napływają mi do oczu. Chrząkam i odchodzę na bok, żeby zrobić przejście.

– No dobrze, ale załatwmy to szybko, bo czekam na ważny telefon.

Niespodziewani goście przestępują próg i przechodzą pod kamerą. Stąpając na drżących nogach, prowadzę ich do salonu, gdzie zajmują miejsce na sofie. Na przemian rozglądają się po wnętrzu, by jedno z nich zawsze miało mnie na oku.

– Ma pani piękny dom – odzywa się kobieta.

– Dziękuję – mówię, siadając w fotelu.

Czuję na sobie spojrzenie kamery, która znajduje się nad głowami moich gości. Muszę się powstrzymać, by nie zerkać w jej stronę błagalnym wzrokiem.

*To nie moja wina.*

– A więc mówi pani, że doszło w okolicy do poważnego przestępstwa?

– Obawiam się, że przynosimy złe wieści – odpowiada Conaty. – Pani sąsiadka Paula Williams została znaleziona martwa wczoraj rano.

Unoszę dłonie do ust. Już nie muszę powstrzymać łez, które wreszcie znajdują ujście i zaczynają ściekać mi po policzkach.

– O mój Boże...

– Rozumiem, że to musi być dla pani szokującą wiadomość.

– Ale jak to się stało? – wyrzucam z siebie urywane słowa. – Kiedy?

– Właśnie to próbujemy ustalić. Wszystko wskazuje na to, że została zamordowana.

– Zamordowana? Nie, to niemożliwe. To był napad rabunkowy albo coś takiego?

– Raczej mało prawdopodobne – odpowiada policjantka. – Czy ostatnio zauważyła pani, że w okolicy kręcą się jacyś obcy ludzie? A może pani Williams zaczęła się dziwnie zachowywać?

Udaję głębokie skupienie, ale jestem w stanie myśleć tylko o kamerach wymierzonych we mnie i w moich gości. Wyobrażam sobie, jak porywacze wpatrują się w monitor, a jeden z nich celuje w pistoletu w głowę mojego dziecka.

– Nie – odpowiadam. – Niczego takiego nie zauważyłam. Paula jest... była zwyczajną przywoitką kobietą. Była niezwykle życzliwa. Staliśmy się sobie bliscy jak rodzina.

– Od pani Howard dowiedziałam się, że Paula Williams pomagała pani w opiece nad dzieckiem.

Serce zamiera mi na myśl, że detektywi rozmawiali z Jenny. Ta kobieta jest wścibską plotkarą i uwzięła się na mnie, kiedy odrzuciłam jej zaproszenie do współpracy z lokalnym klubem książki i strażą sąsiedzką.

– Owszem, Paula zajmowała się czasem moim synem przez godzinę czy dwie dziennie, kiedy było mi trudno pogodzić pracę na pełnym etacie z obowiązkami domowymi. Wprowadziłam się tu stosunkowo niedawno i nie mam innych znajomych. Paula czuła się samotna, odkąd jej córka wyjechała do Australii. Ja potrzebowałam pomocy, a ona towarzystwa, więc wszyscy na tym korzystaliśmy. Będzie nam jej bardzo brakowało.

– Więc odbierała również pani syna ze szkoły, tak?

– Zgadza się.

– A kto odebrał Zacka w ostatni czwartek?

– Paula.

Zauważam, że sierżant Ryan ożywia się, słysząc moją odpowiedź.

– I właśnie tego nie potrafimy wyjaśnić – ciągnie inspektor Conaty. – Otóż według nagrań z monitoringu pani sąsiadka i syn nie dotarli tego dnia do domu.

– Owszem, nie dotarli.

Policjantka marszczy czoło. Jej partner posyła jej skonsternowane spojrzenie, a potem znów przenosi wzrok na mnie.

– Nie jest pani tym zbyt przejęta.

– No cóż, bo w czwartek Paula nie odprowadziła Zacka do domu. Byli umówieni z moim bratem, który zabrał Zacka na ferie świąteczne do Kornwalii.

– Nie mieli żadnego bagażu? – dopytuje Conaty. – Na nagraniach nie zauważyłam, aby nieśli jakąś walizkę.

Mój zmęczony mózg pracuje na najwyższych obrotach i czuję, jak zalewa mnie fala gorąca. Wyrzucam z siebie pierwsze kłamstwo, jakie przychodzi mi na myśl.

– Mój brat przyjechał tu wcześniej po rzeczy Zacka, żeby Paula nie musiała niczego dźwigać – wyjaśniam.

– Ach, tak. A gdzie się spotkali?

Ta kobieta zasypuje mnie pytaniami w tak zawrotnym tempie, że kłamstwa piętczą się w mojej głowie i nie mam nawet czasu, żeby zapamiętać swoją wersję wydarzeń. Poza tym zwraca się do mnie takim tonem, jakby wątpiła we wszystko, co powiedziałam.

*A może nie chodzi w ogóle o ton jej głosu... Może ona po prostu mnie przejrzała?*

– Proszę wybaczyć – mówię, przeczesując włosy dłonią. – To wszystko jest takie przytłaczające, że trudno jest mi zebrać myśli.

Inspektor Conaty uśmiecha się do mnie, ale jej reakcja wygląda na wymuszoną. Zastanawiam się, czy zauważyła, że ja też się zmuszam do uśmiechu.

– Rozumiem – odpowiada. – W takim razie umówmy się w przyszłym tygodniu, kiedy pani ochłonie. Możemy się spotkać na komendzie.

*O tak, w jakikolwiek inny dzień, byle nie dzisiaj.*

– Dziękuję. Myślę, że tak będzie lepiej.

– Potrzebuję tylko numeru telefonu do pani brata, żeby potwierdzić wszystko, co mi pani powiedziała.

Czuję, jak moja mina rzędzie, co natychmiast dostrzega inspektor Conaty. Policjantka zdaje się odczytywać z mojej twarzy każdy przejaw wahania i strachu, każdą zabłąkaną myśl. Znów chwytam się kurczowo pierwszego kłamstwa, jakie przychodzi mi do głowy.

– Obawiam się, że z tym może być kłopot. Tam jest tak słaby zasięg, że Jeff musi jeździć do sąsiedniej wioski, kiedy chce zadzwonić – mówię. – Ale chętnie przekażę mu pani numer przy najbliższej okazji.

– Są jeszcze takie miejsca w tych czasach? Dokąd oni wyjechali?

– Do Maybridge. To bardzo małe miasteczko, właściwie wioska. Mało prawdopodobne, żeby pani o nim słyszała.

Inspektor Conaty waha się przez chwilę, mierząc mnie badawczym wzrokiem. Nie obchodzi mnie, jakie ma podejrzenia. Chcę tylko, żeby tych dwoje sobie poszło. Ukradkiem zerkam w stronę kamery.

*Blagam, nie zabijajcie mojego dziecka.*

– W porządku. – Conaty sięga do kieszeni żakietu i wyjmuje wizytówkę. – Poproszę również o pani numer telefonu, żebyśmy mogły umówić się na komendzie.

Dyktuję jej numer i czekam, kiedy wpisuje go do swojej komórki. Po chwili mój prywatny telefon zaczyna wibrować na szklanym blacie stolika, przyciągając nasze spojrzenia. Obok leży moja służbowa komórka.

*Widzieli, jak trzymałam komórkę na karcie.*

Unoszę wzrok i ciarki przebiegają mi po plecach. Detektywi przyglądają mi się z wyraźnym zainteresowaniem.

– Teraz ma pani mój numer – mówi Conaty.

Omiata wzrokiem dwa telefony leżące na stoliku, a potem spogląda na moją rękę, w której ścisnęłam trzeci, kiedy otworzyłam drzwi.

– Trzy komórki? – dodaje. – Musi być pani bardzo zapracowaną kobietą.

Zastanawiam się, czy widzi ukryty w kieszeni tani aparat, który wręcz parzy mnie w udo.

Moi goście wstają z sofy. Wyczuwam atmosferę napięcia, kiedy odprowadzam ich do drzwi. Inspektor Conaty nie odrywa ode mnie wzroku, analizując moją mowę ciała i wypatrując miejsca, w którym mogłam ukryć trzeci telefon. Zastanawiam się, czy zauważyła, że trzęsą mi się nogi. Otwieram drzwi i do holu wpada chłodny powiew.

– Wkrótce się odezwę, żeby uzgodnić termin pani wizyty na komendzie – rzuca na pożegnanie policjantka. – Gdyby pani sobie coś przypomniała, proszę śmiało dzwonić.

– Dziękuję.

Kiedy goście wychodzą, kiwając głowami na pożegnanie, zamykam za nimi drzwi i od razu zaczynam chodzić nerwowo tam i z powrotem.

*Ta kobieta nie uwierzyła w ani jedno moje słowo. Wiedziała, że wszystko, co mówię, jest kłamstwem.*

Wciąż przechadzam się po holu, odtwarzając w myślach przebieg rozmowy. Słyszę dobiegający z zewnątrz stłumiony warkot silnika i chrzęst żwiru pod oponami. Nagle w mojej

kieszeni zaczyna wibrować komórka. Odbieram natychmiast.

– Nie chodziło im o Ahmeda Shabira – tłumaczę gorączkowo. – Zrobiłam wszystko, czego żądaliście. Oddajcie mi moje dziecko.

Zawieszam głos i czekam, dysząc ciężko, ale w odpowiedzi słyszę tylko trzaski na linii.

– Mieliście go uwolnić, kiedy wykonam zadanie...

– To jeszcze nie koniec – odzywa się męski głos w słuchawce, a pode mną uginają się nogi. – Pamiętaj, że nie tylko miałaś zabić pacjenta, ale też nie wzbudzić żadnych podejrzeń.

Z gardła wyrывa mi się szloch.

– Nie! Zrobiłam wszystko, co mi kazaliście. Wypuśćcie Zacka!

– Zrobimy to, kiedy policja umorzy śledztwo. Postaraj się, żeby nikt cię nie zdemaskował. Od tego zależy życie twojego syna.

Połączenie się urywa.

– Nie!

Osuwam się na podłogę, jakbym nagle straciła władzę w nogach. Zawodzę rozpaczliwie i tak długo walę pięściami w podłogę, aż zdzieram sobie skórę do krwi na ostrych włóknach dywanu. Kiedy w końcu opadam z sił, pokonana zwijam się w kłębek, przyciskając kolana do piersi. Moje łzy spadają bezgłośnie na dywan.

## CZĘŚĆ II



Margot  
Poniedziałek, 8 kwietnia 2019  
08.32

Stoję oparta biodrami o balustradę u szczytu schodów na tyłach posterunku policji. Czuję złożoną we czworo kopię aktu oskarżenia, tkwiącą w tylnej kieszeni dżinsów. Nie wypuścili mnie frontowym wyjściem, bo pewnie nie chcą, żeby menele rzucali się w oczy.

Moje ubranie cuchnie. Musiałam je oddać do depozytu i w zamian dostałam znoszony szary kombinezon, w którym przesiedziałam prawie dwie doby w areszcie. Ale dziś rano znów musiałam założyć te pomięte i przepocone ciuchy. Pamiętam, jak przebierałam się w nie w szpitalu, jak miotałam się po szatni, usiłując pojąć to, czego właśnie byłam świadkiem.

Doktor Jones zabiła Ahmeda Shabira. Odkąd ogłosiła czas zgonu, o niczym innym nie jestem w stanie myśleć. Krążyłam po ciasnej celi, raz za razem odtwarzając w pamięci tamten widok – ostrze skalpela zagłębiające się w aorcie i buchającą krew. To nie był wypadek, co do tego nie mam wątpliwości. Doktor Jones wykonała to cięcie zbyt pewnym ruchem. Musiała wejść do sali operacyjnej z zamiarem pozbawienia życia Ahmeda Shabira.

*Ale dlaczego?*

Słyszę narastający w głębi ulicy warkot silnika i zastygam w bezruchu, przygotowując się na spotkanie z człowiekiem, który ma po mnie przyjechać. Po chwili pojawia się radiowóz, a ja wzdycham z ulgą. Pierwszy raz w życiu czuję zadowolenie na widok glin.

Kiedy mieli mnie wypuścić, strażniczka w areszcie spytała, czy ktoś mógłby po mnie przyjechać, a ja patrzyłam na nią w milczeniu i próbowałam się zmusić, żeby wypowiedzieć jego imię. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo samotna byłam do tej pory – nie przychodził mi do głowy nikt, kto mógłby udzielić mi wsparcia. Policjantka w końcu zasugerowała, żebym wróciła do domu autobusem, ale wtedy wykrztusiłam to imię, żeby ocaliło resztki mojej dumy. Imię, którego nigdy nie powinnam była wypowiadać. To czysty przypadek, że przez ten czas nie zmienił numeru telefonu.

Nie widziałam mojego brata od lat.

Damien wdał się w matkę – traktował każde jej słowo jak wyrocznię i żyje w przekonaniu, że świat jest mu coś winien, dlatego wyciąga rękę po wszystko, na co ma ochotę, nie licząc się z konsekwencjami. Ale w przeciwieństwie do niej nie jest całkiem pozbawiony uczuć. A przynajmniej nie był.

*Jakbyś mówiła o sobie, Maggot.*

Pocieram twarz i czuję mrowienie pod zmęczoną skórą.

*Nie, to coś zupełnie innego. Ja robiłam to, co konieczne, żeby wydostać się z bagna, podczas gdy matka była w swoim żywiole, kiedy ciągnęła rodzinę na dno. W niczym nie jestem podobna do żadnego z nich.*

Zanim Damien się pojawia, słyszę drapieżny ryk silnika w głębi uliczki. Po chwili zza zakrętu wypada czarny mercedes i z piskiem hamulców zatrzymuje się u podnóża schodów.

Patrzmy na siebie przy akompaniamencie basowego pomruku, który wydobywa się spod maski samochodu. W końcu mój brat wita mnie zdawkowym skinieniem głowy. Widzę swoje odbicie w jego lustrzanych okularach przeciwsłonecznych. Jestem przygarbiona i błada ze

zmęczenia. Kiwam głową w odpowiedzi. Serce wali mi jak młotem, kiedy siadam w fotelu pasażera.

– Ja pierdole, ale od ciebie wali, Maggot – mówi Damien i rusza, nie dając mi nawet czasu na zapięcie pasa.

– Też się cieszę, że cię widzę.

Damien opuszcza szybę, żeby przewietrzyć samochód. Pochyla się w moją stronę, sięgając do schowka pod deską rozdzielczą, a opadająca kłapa uderza mnie w kolana. Kiedy wyjmuję paczkę papierosów, przez mgnienie oka dostrzegam leżący w środku pistolet z lufą wycelowaną prosto w mój brzuch.

– Dokąd mam cię podrzucić?

– Do przyjaciółki – zmyślam na poczekaniu, zapinając pas. – Mieszka na końcu London Road. Swoją drogą, ładny wóz. Komu go zwinąłeś?

Mój brat ostro wchodzi w zakręt. Tak mocno zaciskam dłoń na uchwycie nad drzwiami, że drętwięją mi palce.

– A skąd wiesz, że się nie ustatkowałem od czasu, kiedy zniknąłeś?

Uśmiecham się szyderczo.

– Ten, kto ci go malował, spartaczył robotę. Lakier przy zawiasach jest jasnyniebieski.

Damien parska śmiechem i na chwilę odrywa wzrok od drogi, żeby zapalić papierosa. Zaciąga się głęboko i wypełnia samochód kłębam dymu.

– Nic się przed tobą nie uchowa – mówi. – Za co cię przymknęli?

– Za kradzież. Za miesiąc mam rozprawę.

Damien gwizdże przenikliwie.

– Możesz za to dostać nawet siedem lat, wiesz?

– Mniej niż ty byś dostał za kradzież samochodu – odpowiadam.

– Nie jestem taki głupi, żeby dać się złapać.

Przewracam oczami i spoglądam w okno.

– Mówisz, jakbyś nigdy nie siedział.

Zaczynam kipieć ze złości, ale zauważam, że przekomarzamy się tak jak w dzieciństwie. Nie widzieliśmy się od piętnastu lat, ale równie dobrze mogłoby to być piętnaście minut. Niechętnie przyznaję, że tęskniłam za moim bratem, ale nie zamierzam mu o tym mówić. Wiem, że dałoby mu to przewagę nade mną.

– Na pewno nie masz ochoty wpaść na chwilę do domu?

– Do domu? Dalej mieszkasz u matki?

– Teraz jestem tam u siebie – odpowiada Damien.

*Nie, napominam się w myślach. Nie ma sensu wracać do tamtego życia. Nie bez powodu każde z nas poszło własną drogą.*

– Przyjaciółka na mnie czeka.

– Przyjaciółka na mnie czeka – przedrzeźnia mnie Damien, mówiąc przesadnie wytwornym tonem. – Nie spotykasz się już z tym nadzianym kolesiem, do którego od nas uciekałeś?

– Nie widzieliśmy się od lat – mówię. – Mógłbyś spytać, gdzie pracuję i jak mi się układa w życiu, ale ty tylko próbujesz mi dopiec. – Wzdycham i obracam głowę do okna. – I dziwisz się, że nie mam ochoty na rodzinne spotkania.

– Dobra, no to gdzie pracujesz?

Nie odpowiadam, tylko bębnię palcami o krawędź drzwi.

– No weź, przecież chciałeś, żebym zapytał – ponagla mnie Damien.

– Właśnie mnie wylali.

Przez chwilę obydwójce milczymy i wewnątrz samochodu wypełnia głęboki warkot silnika. Potem słyszę, jak mój brat cicho parska. Zaciska usta, próbując stłumić śmiech, ale im bardziej się stara, tym trudniej jest mu się opanować. W końcu zaczyna głośno rechotać i uderzać dłonią w kierownicę. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, wykrzywiam usta w ironicznym uśmiechu. Damien wymierza mi żartobliwego kuksańca i nagle ja też wybucham śmiechem. Zaśmiewam się tak długo, aż zaczyna mnie boleć brzuch i łzawią mi oczy. Dojeżdżamy do London Road i parkujemy nieopodal budynku, w którym mieszkam. Ocieram oczy i zmuszam się, by zachować powagę.

– Brakowało mi tego – odzywa się Damien, zerkając na mnie z rozbawieniem.

Na krótką chwilę zapominam o ostrożności i mam ochotę zarzucić mu ręce na szyję. Oto mój starszy brat siedzi koło mnie w mojej własnej osobie.

– Jedźmy do mnie – mówi. – Zjesz z nami kolację.

Odchrząkuję i siadam prosto.

– Z wami? Czyżbyś poznał kogoś, kto toleruje twoje ściemy?

Damien nie daje się sprowokować.

– Nie wygłupiaj się. Nie zadzwoniłabyś do mnie, gdybyś tego naprawdę nie chciała. Mogłaś wybrać tę przyjaciółkę, do której idziesz. Daj spokój, to tylko kolacja. A skoro pytasz, to owszem, poznałem kogoś. Ma na imię Rick i na pewno by ci się spodobał, gdybyś tylko dała mu szansę.

Damien znalazł drugą połówkę i się ustatkował, a mnie to wszystko umknęło. Zszokowana przyłapuję się na tym, że poważnie rozważam jego zaproszenie.

*Nie, tylko nie daj mu się omotać. On jest taki jak matka.*

Spuszczam wzrok i odpinam pas bezpieczeństwa.

– Dziękuję, ale mam inne plany.

Mój brat chce coś powiedzieć, ale w końcu zaciska mocno szczęki i zdawkowo kiwa głową.

– W porządku.

– I dzięki za podwózkę.

– Nie ma sprawy – odpowiada nonszalancko Damien, kiedy wysiadam z samochodu. – Powodzenia w sądzie.

Idąc w stronę budynku, czuję na plecach jego przenikliwy wzrok. Wchodzę do środka i od razu kieruję się do klatki schodowej, żeby oszczędzić sobie czekania na windę. Powstrzymuję się od płaczu, jakbym znowu była małą dziewczynką.

*Dorośnij, besztam się w myślach, kiedy dochodzę na trzecie piętro i przekopuję torebkę w poszukiwaniu kluczy. Nie wpuścisz go z powrotem do swojego życia, bo nie możesz mu ufać. I doskonale o tym wiesz.*

Nagle zatrzymuję się w pół kroku i wlepiam wzrok w kartkę przyklejoną do drzwi.

Twoje rzeczy są w magazynie. Adres przyślę ci esemesem.

Sandy.

Zrywam kartkę i czytam ją raz za razem, aż w końcu dociera do mnie jej treść. Słyszę szelest zgniatanego papieru, kiedy ukrywam twarz w dłoniach, a do oczu napływają mi łzy.

*Naprawdę to zrobiła. Teraz jestem bezdomna. Bez pracy. Bez dachu nad głową.*

– Nie zastałaś przyjaciółki w domu?

Wzdrygam się wystraszona i szybko opuszczam ręce. Damien stoi przy schodach, oparty o balustradę, z okularami przeciwsłonecznymi na czubku głowy. Musiał mnie śledzić. Kiedy dostrzega moje łzy, jego mina łagodnieje; z twarzy znika kpiący uśmieszek, a w oczach pojawia się współczucie.



– No chodź, pójdziemy na rybę z frytkami. Ja stawiam.

Stoję nieruchomo przed drzwiami, jakbym miała jakieś inne wyjście. Jest mi tak miło, że wreszcie ktoś się o mnie zatroszczył, ale sama myśl o konsekwencjach powrotu do przeszłości, przed którą tak długo uciekałam, działa na mnie paraliżująco. Byłoby już lepiej, gdybym wylądowała w przytułku dla kobiet albo na ulicy. Jeszcze raz spoglądam na kartkę, która zamokła od moich łez.

*Nie mam innego wyjścia.*

Damien przywołuje mnie gestem, a ja robię krok w jego stronę, chociaż każda komórka mojego ciała każe mi uciekać. Kiedy podchodzę do niego, kładzie mi dłoń na ramieniu i przyciąga do siebie.

– Ale najpierw musisz się wykapać, ty śmierdzielu.

Parskam śmiechem, przelękając łzy.

Obecność starszego brata, który troszczy się o mnie, daje mi poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie doświadczyłam od niepamiętnych czasów. Ale kiedy idziemy w dół po schodach, powoli zaczyna ogarniać mnie panika.

Kiedy wrócę do tamtego życia, Damien sprawi, że już nie zdołam się wyrwać.



Anna  
Poniedziałek, 8 kwietnia 2019  
08.40

Przez ostatnie dni bez przerwy się trzęsę. Trzęsę się ze strachu, z wściekłości i z niewyspania. Odrywam wzrok od budynku szpitala, który widzę przez przednią szybę samochodu, wysypuję na otwartą dłoń dwie żółte tabletki i połykam je, popijając wodą z butelki. Tylko dzięki benzodiazepinom udaje mi się zachować spokój.

*Zrobiłam wszystko, czego ode mnie zażądali. Kłamałam, oszukiwałam, z zimną krwią zabiłam człowieka, a oni wciąż trzymają Zacka.*

Przez całą niedzielę miotalam się na krawędzi świadomości, na przemian przytomniejąc i zapadając w podobny do śpiączki stan farmakologicznego odrętwienia. Śniłam o Zacku i wołałam go przez sen tak głośno, że budził mnie własny krzyk. Wracałam do przytłaczającej rzeczywistości i zażywałam leki, żeby zasnąć na nowo. Nawet teraz czuję się jeszcze na wpół przytomna.

Komórka na kartę milczy, ale wiem, że porywacze mnie obserwują. Czuję to za każdym razem, kiedy się budziłam z niespokojnego snu i przenikliwe spojrzenia kamer zdawały się pełzać po mojej skórze.

Opuszczam osłonę przeciwsłoneczną i patrzę w lusterko. Mam na sobie białą bluzkę i eleganckie czarne spodnie, jakby to był najzwyczajniejszy poniedziałek, ale wystarczy przyjrzeć się z bliska moim włosom, by zauważyć, że są okłapłe i wyraźnie przerzedzone od uporczywego wyskubywania. Moja cera wygląda fatalnie nawet pod makijażem, a białka oczu są żarłokowite pod płaczu.

*Weź się w garść. Zack cię potrzebuje.*

Nikt nie może nabrać podejrzeń, że coś jest nie tak. Muszę być silna. Bezwzględna i nieprzenikniona. Jeszcze raz przyglądam się swojemu odbiciu i widzę, jak moje oczy powoli przybierają zacięty wyraz.

*Jeśli nie będziesz wiarygodna, twój syn zginie.*

Zamykam osłonę przeciwsłoneczną, biorę głęboki oddech i wysiadam z samochodu.

Mój fartuch cicho szeleści, a plastikowe chodaki miękko stukają o podłogę, kiedy wchodzę na oddział. W każdy inny dzień zajęłabym się od razu swoimi sprawami, ale dziś przykładam szczególną uwagę do wymuszonych uśmiechów i porannych serdeczności. Staram się konsekwentnie prowadzić grę pozorów, wykorzystując resztki opanowania. Kiedy docieram do dyżurki pielęgniarek, napotykam spojrzenie Val, która ruchem głowy wskazuje w stronę sali chorych.

Moje serce zamiera, kiedy widzę doktora de Silvę pochylającego się nad łóżkiem jednego z moich pacjentów.

– Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Val. – Słyszałaś o Margot?

– Co z nią?

– To ona kradła. Już tu nie pracuje i w sobotę zwinęła ją policja.

– Jezus, nigdy bym się tego po niej nie spodziewała.

To kłamstwo. Jak najbardziej spodziewałam się tego właśnie po niej. Przypominam sobie, ile razy próbowała się ze mną zaprzyjaźnić, kiedy spotykałyśmy się w szatni. Prawdopodobnie chciała odwrócić moją uwagę od otwartej szafki albo zaskarbić sobie moje zaufanie, żebym jej nie podejrzewała, jeśli zrobi się gorąco wokół niej. Sprytna dziewczyna. Ale nie aż tak, żeby uniknąć wpadki.

*Przynajmniej już nie muszę się nią przejmować.*

– Czy doktor de Silva powiedział, dlaczego przejmuje mojego pacjenta?

– Nie, tylko poprosił o kartę – mówi Val. – I był dość mocno wkurzony.

*Co oznacza, że ktoś z góry obarczył go dodatkową robotą.*

– Dzięki.

Podchodzę do de Silvy, gdy ten odwraca się właśnie od łóżka i odhacza punkty na kartce przyklepionej do podkładki. Mojej podkładki.

– Dzień dobry.

Mój kolega unosi wzrok i natychmiast się rumieni.

– Dzień dobry, Anno.

– Wymieniamy się pacjentami? – pytam. – Wiem, że mogą się znudzić, kiedy ich oglądasz dzień w dzień, ale ten jest nowy.

De Silva nawet nie udaje rozbawienia. Współczucie w jego oczach wprawia mnie w zakłopotanie.

– Chyba powinnaś zapytać o to Dominica.

– Mam jakieś powody do niepokoju?

– Po prostu zajrzyj do jego biura, kiedy znajdziesz chwilę – mówi de Silva po chwili wahania, nie odrywając oczu od kartki na podkładce.

Obracam się na pięcie i ze sztucznym uśmiechem ruszam w stronę wyjścia z oddziału. Val odprowadza mnie wzrokiem.

Dominic był wstrząśnięty wiadomością o śmierci Ahmeda Shabira. Przypominam sobie, jak nagle spowaźniał, a jego przygnębiona twarz zdawała się odzwierciedlać wszystkie obawy, które przychodziły mu na myśl – jak śmierć członka parlamentu wpłynie na reputację szpitala i jak ta porażka wizerunkowa odbije się na jego karierze. Bez wątpienia wspominał wszystkie swoje przechwałki i uświadamiał sobie, że teraz powinien odszczekać każde słowo. Ale nie spodziewałam się, że sprawy przybiorą taki obrót, bo tylko w jeden sposób można wytłumaczyć przekazanie pacjenta innemu lekarzowi.

Staję przed drzwiami gabinetu i pukam niepewnie.

– Proszę.

Wchodzę do środka i kiedy Dominic podnosi wzrok znad biurka, na mój widok pośpepny wyraz znika z jego twarzy.

– Witaj, Anno.

– Dzień dobry.

Podchodzę do fotela i siadam. Sądząc po podkrążonych oczach, Dominic nie spał zbyt dobrze. Zastanawiam się, jakie wnioski można by wyciągnąć z mojego wyglądu.

– Doktor de Silva przejmuje moich pacjentów? – odzywam się tonem, który balansuje na granicy pytania i stwierdzenia.

Siedzę wyprostowana i spięta, ale czuję, jak drobne przejawy słabości podkopują moją determinację – od czasu do czasu drga mi powieka, to znów nerwowy tik wykrzywia mi usta.

– Tak. Pomyślałam, że to najlepsze rozwiązanie do czasu, aż poznamy reakcję opinii publicznej.

– A więc jestem zawieszona?

– Nie – odpowiada Dominic, trochę za szybko. – W każdym razie nie z powodu żadnego uchybienia. Nie karzę cię za to, co się stało, bo oczywiście nie miałaś na to wpływu, ale...

– Ale?

– Zarząd uznał, że w zaistniałej sytuacji najlepiej będzie, jeśli pozwolimy ci zdystansować się do sprawy, a sami uporamy się z potencjalnymi konsekwencjami ze strony mediów.

Mój szef najwyraźniej boi się powiedzieć coś niewłaściwego, żeby nie spotęgować zamieszania spowodowanego śmiercią Shabira. Mam ochotę nim potrząsnąć, żeby usłyszeć coś konkretnego.

– Nie musisz obchodzić się ze mną jak z jajkiem. Wolałabym, żebyś mówił bez ogródek.

*Możesz skrócić moje cierpienia.*

Dominic wolno kiwa głową i w końcu spogląda mi w oczy.

– To nie zależy ode mnie – mówi. – Zarząd szpitala zlecił szczegółowe dochodzenie w sprawie śmierci Shabira. Do jego zakończenia zostaniesz tymczasowo zawieszona w obowiązkach służbowych, żeby media nie miały czego się czepiać. Ahmed Shabir był jednym z najwybitniejszych polityków i cieszył się ogromnym poparciem społecznym. Spodziewamy się, że w ciągu najbliższych dni nie opędzimy się od dziennikarzy.

*A więc sprawa nie rozejdzie się po kościach.*

– I lepiej, żeby wtedy mnie tu nie było.

– No właśnie – przyznaje szczerze Dominic.

Spokojnie kiwam głową, ale w duchu krzyczę wniebogłose. Tego nie było w planie.

*Jeśli dochodzenie wykaże moją winę, Zack przyplaci to życiem.*

Moje dłonie zaczynają drżeć, więc wciskam je między uda.

– Czy to dochodzenie... Jestem podejrzana o zaniedbanie czy coś w tym rodzaju?

– Nic podobnego, ale na pewno rozumiesz, dlaczego to jest konieczne. Wszyscy będą nam zadawać pytania, prasa, rząd... Powinniśmy wiedzieć, co się stało.

Dominic nie musi nic więcej mówić. Spuszczam wzrok, żeby zebrać się w sobie i przezwyciężyć panikę, a potem znów spoglądam mu w oczy.

– W takim razie co teraz?

– W trakcie śledztwa zostaniesz przesłuchana, podobnie jak wszyscy członkowie zespołu biorący udział w operacji, z wyjątkiem Margot, którą niestety musieliśmy pożegnać z innego powodu. Koroner przeprowadził sekcję zwłok i zasięgniemy jeszcze opinii niezależnego specjalisty spoza naszego szpitala. – Dominic zawiesza głos, nie kwapiąc się zbytnio do wyłożenia kolejnej kwestii. Obydwoje wiemy, że to nieuchronne, i wstrzymujemy oddech. – Będziesz zawieszona w obowiązkach służbowych na czas trwania dochodzenia. W środku jest data i godzina twojego przesłuchania. – Przesuwa po blacie kopertę w moją stronę. – Gdyby sprawa wykroczyła poza nasze kompetencje... oczywiście mówię czysto hipotetycznie... skontaktuję się z adwokatem.

Czuję nieznośne pieczenie w gardle. Wszystkie mięśnie mam zesztyniałe z napięcia.

– Kiedy to ogłosicie oficjalnie? – pytam beznamiętnym tonem.

– Masz czas do końca dnia na załatwienie swoich spraw.

Przytakuje zdawkowo i zaciskam zęby, żeby się nie rozkleić. Spodziewam się usłyszeć coś pokrępiącego: „Dasz sobie radę” albo „Zadzwoń do mnie, gdybyś czegoś potrzebowała”. Jednak mój szef jedynie odwraca wzrok.

Wstaję w milczeniu i odwracam się do drzwi.

– Anno... bardzo mi przykro.

Nic nie odpowiadam. Nie potrafię wykrztusić z siebie słowa ani zdobyć się na żaden gest. Patrzę tylko na Dominica, kiedy naciskam klamkę i wychodzę na korytarz. Szybkim krokiem wracam do swojego gabinetu, trzęsąc się, jakbym miała wybuchnąć. Wchodzę do środka i opieram się o drzwi.

*A więc teraz zbadają każdy mój ruch. Każde cięcie, które wykonałam. Każde narzędzie, którego użyłam. Powinłam była jednak otworzyć ciało dla pewności, zanim odwiozłam je do kostnicy.*

Rozlega się dzwonek mojej prywatnej komórki, która leży na biurku. Podskakuję wystraszona. Jestem na skraju wytrzymałości nerwowej. Odpycham się od drzwi i podchodzę do biurka na chwiejnych nogach.

Dzwoni inspektor Conaty.

Zastanawiam się, czy zazjechać, aż włączy się poczta głosowa, albo w ogóle wyłączyć telefon, ale wiem, że ta kobieta nie da za wygraną. Jest zdeterminowana tak samo jak ja. Biorę głęboki oddech i odbieram połączenie.

– Halo?

– Mówi inspektor Rachel Conaty. Mam nadzieję, że jest pani w stanie zjawić się dzisiaj na komendzie, żebyśmy mogły dokończyć naszą rozmowę. Jaka godzina pani odpowiada?

– Czy to musi być dzisiaj?

Na linii zapada milczenie. Czekam, wsłuchując się w kołatanie własnego serca.

– Pani sąsiadka została zamordowana – odzywa się policjantka po krótkiej chwili. – Im szybciej przesłuchamy wszystkie osoby z naszej listy, tym większe prawdopodobieństwo, że uda nam się schwytać tego, kto to zrobił. Sprawa jest bardzo ważna.

– Oczywiście. Nie sugeruję, że jest inaczej, tylko... mam dzisiaj bardzo napięty plan.

– Możemy się spotkać w południe? – pyta Conaty.

– Tak, jeśli pani to odpowiada.

– Trafi pani do nas?

– Oczywiście.

– W takim razie do zobaczenia o dwunastej.

W słuchawce rozlega się ciągły sygnał.

Odkładam telefon na biurko i zauważam, że trzęsą mi się palce, a moje dłonie są blade, jakby odpłynęła z nich cała krew. W gabinecie jest tak cicho, że słyszę dzwonienie w uszach.

*A ja w swojej naiwności i desperacji wierzyłam, że zdołam się wywinąć. Ależ byłam głupia.*



Rachel  
Poniedziałek, 8 kwietnia 2019  
09.32

Dziś w nocy śnił mi się ten chłopiec.

Zdjęcie z kamery monitoringu jest ziarniste i niewyraźne; nie widać żadnych szczegółów, a jedynie jasną plamę twarzy i blond włosów odbijających promienie słońca. Ale we śnie widzę wszystko w doskonałej ostrości, a mój umysł posiłkuje się wspomnieniami, więc Zack Jones ma piegi na nosie i jasnoblękitne oczy mojego syna. Byliśmy na plaży i nie mogłam zapanować nad sennością, a kiedy znów uniosłam powieki, jego nigdzie nie było. Zaczęłam wołać jego imię i obudziło mnie echo własnego krzyku. Potem nie mogłam już zasnąć.

Siedzę przy biurku i rozcierając kark, wpatruję się w rozłożone na blacie zdjęcia.

Udało mi się potwierdzić większość informacji, które podała mi Anna Jones. Jej brat Jeff Dunn, psychoterapeuta z Londynu, rzeczywiście ma drugi dom w Kornwalii, a nauczycielka Zacka przyznała, że chłopiec opowiadał o planowanym wyjeździe z wujkiem. Niepokoi mnie jednak, że pan Dunn jeszcze się ze mną nie skontaktował. I nie podoba mi się dziwne zachowanie jego siostry.

Pamiętam, jak podczas naszego pierwszego spotkania zadzwoniłam na jej komórkę. Zrobiła spanikowaną minę, która powiedziała mi wszystko, co chciałam wiedzieć – ta kobieta coś ukrywa.

*Nikt nie potrzebuje trzech komórek.*

Co więcej, kiedy jej powiedziałam, że prowadzimy śledztwo w sprawie bardzo poważnego przestępstwa, odruchowo spojrzała w stronę domu sąsiadki. Wiedziała o śmierci Pauli Williams, zanim jej o tym powiedzieliśmy.

Przeglądałam dokumenty, które Diane przesłała mi faksem. Ślady ziemi znaleziono nie tylko przed wejściem, ale również we wnętrzu domu ofiary. Wyglądało to tak, jakby ktoś przebiegł przez trawnik, przewrócił donicę na ganku i dostał się do środka, a potem starał się posprzątać po sobie. Jeżeli pod donicą był ukryty klucz do domu, nie znaleźliśmy go, kiedy dotarliśmy na miejsce.

*Dlaczego doktor Jones nie wspomniała o tym, że weszła do domu sąsiadki w dniu jej śmierci? Co takiego próbuje ukryć?*

Odgłos otwieranych drzwi wrywa mnie z zamyślenia. Prostuję się w fotelu, kiedy do mojego biura wchodzi nadinspektor George Whitman.

– Dzień dobry, Conaty.

George jest przysadzistym pięćdziesięcioletkiem o siwiejących włosach, ciemnobrązowych oczach i czarnej jak heban skórze. Ma niski głęboki głos i surowe rysy twarzy, ale wystarczy parę drinków, by dała o sobie znać jego kobieca natura. Kiedy raz go zapytałam, dlaczego musi to ukrywać, dostał takiego ataku śmiechu, że zakrzusił się piwem. Policja zdecydowanie ma problemy z równouprawnieniem, bez względu na to, co głoszą wiszące na korytarzach plakaty.

– Dzień dobry, szefie.

– Jak ci idzie?

– Dobrze. W południe przychodzi na przesłuchanie sąsiadka ofiary. Jej opowieść trochę się nie klei i zamierzam to sprawdzić.

– Nieźle jak na początek – mówi George i siada po drugiej stronie biurka. – A masz jakieś inne tropy?

– Żadnego równie obiecującego. Znaleźliśmy na trawniku ślady butów, które wskazują na to, że Anna Jones była ostatnio w domu ofiary. Przyjaźniła się z nią, a jej syn mógł być ostatnią osobą, która widziała Paulę Williams żywą.

– Jej syn... – powtarza George.

Ton jego głosu sprawia, że jeżą mi się włosy na karku.

– Tak jest. Czy to problem?

Mój szef unosi dłonie w geście kapitulacji.

– Nie, absolutnie nie. Chciałbym tylko, żebyś nie zapomniała o innych wątkach.

– Masz na myśli wątki niezwiązane z dziećmi, tak?

George wzdycha ciężko i pochyla się na krzesło.

– Po prostu chodzi mi o to, że powinniśmy brać pod uwagę wszystkie aspekty sprawy.

– Masz jakieś sugestie? Skupiam się na najbardziej niejasnych kwestiach. Dlaczego doktor Jones unika rozmów o śmierci swojej sąsiadki, skądinąd kobiety, która codziennie odbierała jej dziecko ze szkoły? Skąd się wzięły ślady na trawniku ofiary wskazujące na to, że ktoś biegł między dwoma domami? I kto mógłby znać ofiarę lepiej niż jej najbliższa sąsiadka, która widywała ją każdego dnia i powierzała jej opiece swojego syna?

– Ale nie to najbardziej cię gnębi, prawda? – pyta spokojnie George. – Chodzi ci o to, że nie możesz potwierdzić, gdzie jest chłopiec.

– I co w tym dziwnego?

– Żadne z rodziców nie zgłosiło jego zaginięcia, a skupiając uwagę na rodzinie Jonesów, zaniedbujesz tropy wskazujące na przestępczość zorganizowaną. Nie zapominaj, że ofiara miała wyrwane zęby, obcięte opuszki i ślady po więzach na nadgarstkach.

– Moi ludzie zajmują się tym wszystkim.

– A dlaczego nie ty? – pyta mój szef i przez chwilę obydwójce mierzymy się wzrokiem. – Czytałem twoje notatki w aktach sprawy. Nie mówię, że nie powinniśmy podążać tropem, który odkryłaś, ale zależy mi na bardziej kompleksowym podejściu. Jak dotąd nie zwróciłaś uwagi na inne morderstwa o podobnym modus operandi i ewentualne powiązania ofiary ze światem przestępczym.

Wstaje z krzesła i przyglądając marynarce, rusza w stronę drzwi.

– Spróbuj dzisiaj wycisnąć coś więcej z naszej doktor Jones – dodaje. – W razie konieczności skontaktuj się z policją w Kornwalii, żeby ktoś na miejscu sprawdził, co się dzieje z chłopcem. Ale potem przekaz to komuś ze swoich ludzi, bo chciałbym, żebyś zajęła się czymś poważniejszym.

Siedzę w milczeniu przy biurku i nerwowo skubię skórki przy paznokciach.

– Bo chyba nie podejrzewasz, że to doktor Jones wyrwała ofierze zęby i obcięła opuszki, prawda? – pyta George.

Chowam dumę do kieszeni i spoglądam mu w oczy.

– Nie, nie podejrzewam – odpowiadam zduszonym głosem, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

Mój szef usatysfakcjonowany kiwa głową i podchodzi do drzwi, ale zatrzymuje się z dłonią na kłamce.

– Rachel, gdybyś potrzebowała z kimś porozmawiać...

– Nie potrzebuję – przerywam mu szybko. – Zrobię, co każesz.

Zaczynam przekładać rozłożone na biurku akta. Whitman waha się przez chwilę, po czym wreszcie wychodzi. Kiedy zamykają się za nim drzwi, sięgam po telefon i wybieram numer, który mam przed sobą w otwartym skoroszycie.

- Halo, czy rozmawiam z Adamem Jonesem? Z tej strony inspektor Rachel Conaty z wydziału kryminalnego policji w Redwood. Dzwonię, żeby zadać panu kilka pytań na temat pańskiej żony.





Margot  
Poniedziałek, 8 kwietnia 2019  
11.03

Spoglądam na dom, w którym się wychowałam, i ogarnia mnie strach.

Widok jest odrażający – brunatne zwietrzałe cegły na parterze, a na piętrze spleśniony tynk i zzieleniałe od pleśni zacieki pod parapetami. Szyba w oknie mojego pokoju wciąż jest pęknięta. Kiedy słońce przyświeca pod odpowiednim kątem, na przeciwległej ścianie pojawia się tęczkowe widmo. Przed laty wpatrywałam się w nie godzinami.

Damien wysiada z samochodu i zatrzaskuje drzwi. Przewyciężam opór i robię to samo. W powietrzu wciąż unosi się ten sam odór co przed laty. Zza osiedla, na którym bawiliśmy się kiedyś jako dzieci, dochodzi smród gnijącej wody z martwego koryta rzeki. Czasami od strony głównej ulicy wiatr przynosi woń paliwa ze stacji benzynowej, na której Damien uczył mnie kraść. Ale chyba najbardziej przytłacza mnie zastarzały odór dymu tytoniowego wydobywający się z domu. Wydaje mi się, że matka wciąż siedzi w środku i ćmi papierosy, czekając na mój powrót. Gdyby miasto postanowiło zburzyć kiedyś tę rudere, gruz byłby pokryty pomarańczową sadzą.

Idę krok w krok za moim bratem, który obraca klucz w zamku i popycha drzwi ramieniem, żeby zwolnić zatrzaszek. Trzeba było tak robić, odkąd pamiętam.

Damien wchodzi do środka i ściąga buty, a ja muszę przystanąć, bo kręci mi się w głowie od znajomych zapachów. Od progu wita mnie woń tytoniu i trawki zmieszana ze swądem przypalonego tłuszczu, którym przesiąknięte są ściany kuchni. Zdaje mi się, że wciąż słyszę skwierczenie i czuję rozchodzący się po domu aromat smażonego bekonu. To była jedyna rzecz, jaką matka potrafiła przyznać.

– No wchodzi – ponagla mnie Damien.

Wyciągam rękę, żeby przytrzymać mi drzwi, a krótki rękawek jego podkoszulka podjeżdża do góry, odsłaniając kosmyk włosów pod pachą. Wchodzę do przedpokoju i wzdrygam się odruchowo, kiedy drzwi zatrzasują się za moimi plecami.

Wszystko wygląda tak samo jak w dniu mojej wyprowadzki; złuszczona od wilgoci farba na ścianach i przyprawiające o zawrót głowy spiralne ornamenty na suficie. Każda z plam na wytartej i postrzępionej przez brudne podeszwy wykładzinie ożywia moje wspomnienia.

Zsuwam buty i idę za Damienem do salonu. Serce zaczyna mi kołatać, a zapach czerwonych marlboro drapie mnie w gardło. Nagle staję w drzwiach jak wryta, kiedy widzę fotel matki.

Pamiętam ją tak wyraziście, jakby nadal siedziała naprzeciwko mnie z podkulonymi nogami i z dymiącym papierosem w dłoni; wciąż widzę jej różowy szlafrok brudny od popiołu i krótkie zmierzwiłe czarne włosy z siwymi odrostami. Zastanawiam się, co by powiedziała, gdyby mnie teraz zobaczyła.

*Ale się gruba zrobiłaś.*

Damien rozsiada się na kanapie – to ten sam komplet wypoczynkowy, który pamiętam z dzieciństwa – wyjmując długiego skręta z blaszanej papierośnicy i zapala.

– No więc co tam u ciebie? – pyta. – Masz jeszcze tego chłopaka?

Wciąż trzyma w płucach dym i mówi zduszonym głosem.

*Tego nadzianego, z którym od nas uciekłaś* – słyszę w głowie szept matki.

– Rozstaliśmy się – mówię, stojąc jak skamieniała na progu.

*I dlatego postanowiłaś tu wrócić jak zbity pies.*

Odkąd weszłam do tego domu, oddychanie sprawia mi coraz większą trudność, ale kiedy stoję przed fotelem matki – kiedy ją widzę, słyszę jej głos, czuję dym papierosowy i zapach smażonego bekonu – zaczynam się dusić. Spoglądam na Damiena, który balansuje na granicy śmiechu i wzruszenia, po czym obracam się na pięcie i biegnę do wyjścia ile sił w nogach. Udaje mi się wciągnąć haust świeżego powietrza, zanim mój brat zatrząskuje z powrotem drzwi.

– Nie rób tego – mówi, owiewając mnie wonią marihuany. – Jeszcze nie teraz. Daj sobie trochę czasu.

– Nie mogę... oddychać – chrypię.

– Nie było cię piętnaście lat, więc może poświęcisz mi teraz kilka minut, co? – Damien obraca się do mnie i ujmuje moją twarz w dłoń. – Stęskniłem się za tobą.

Wpatruję się w zamek, jakbym chciała go otworzyć siłą woli.

– Weźmiesz kąpiel, odprężysz się, bo jesteś teraz w szoku – mówi mój brat, gładząc mnie delikatnie po plecach. – Zresztą i tak nie masz gdzie się podziać.

Spoglądam w górę, próbując przeniknąć wzrokiem panujący na piętrze mrok. Mój płytki oddech staje się jeszcze szybszy. Jako mała dziewczynka tak bardzo bałam się ciemności, że często w środku nocy zatrzymywałam się sparaliżowana strachem w drzwiach mojego pokoju, bo nie miałam odwagi przejść przez ciemny korytarz do łazienki. Nieraz zsikałam się na progu, żeby potem wrócić do łóżka mokra i rozdygotana. Wiedziałam, że matka wpadnie w szał, kiedy znowu zobaczy kałużę moczu wsiąkającą w wykładzinę.

*I tak nie masz gdzie się podziać.*

– Śmiało – mówi Damien i popycha mnie w stronę schodów.

Jestem zbyt wyczerpana, by mu się opierać, więc kiwam głową i ruszam powoli na górę. Spod moich stóp dobiega znajome skrzypienie desek. Kiedy stoję na najwyższym stopniu, dostrzegam rodzinną fotografię, która wciąż wisi na ścianie. Są na niej matka, Damien i dwa owczarki niemieckie, Penny i Spike, które wtedy jeszcze żyły. Ale mnie nie ma.

Matka mnie wyciąła.

Ciasna kłitka, którą nazywałam swoim pokojem, została dokładnie oczyszczona ze śladów mojej bytności. Na ścianie, gdzie wisały plakaty Nirwany, widnieją teraz jaśniejsze paski po taśmie klejącej, a jednoosobowe łóżko przysunięte do ściany służy jako składowisko gratów – leży na nim zakurzony zegar, zepsuty od niepamiętnych czasów, i piętrzą się kartonowe pudła, które czekają na próżno, aż ktoś je wyniesie na strych. Stożące pod oknem biurko pełni taką samą funkcję. Po wewnętrznej stronie drzwi wisi kilka ciuchów i karteczka samoprzylepna z moim imieniem nagryzłomolonym ręką Damiena.

Przebiegam się, dygocąc z zimna. Leżałam w wannie tak długo, aż woda całkiem wystygła, a czubki moich palców pomarszczyły się jak suszone śliwki. Wilgotne włosy ciągle jeszcze kleją mi się do pleców. Zakładam spodnie dresowe i związuję sznurek w pasie, a potem wciągam przez głowę biały podkoszulek bez rękawów i obszerną bluzę z kapturem, w której cała się zapadam.

Teraz nie pozostaje mi nic innego jak stać na środku pokoju i rozglądać się dookoła. Patrzę na biurko, przy którym kiedyś zdesperowana ślęczałam nad książkami do bladego świtu, żeby zdać egzamin i stąd uciec. I pomyśleć, że wysiłałam się na próżno, bo po wszystkich tych latach znów się tu znalazłam. Odpycham zalegające na łóżku kłamoto i przysiadam na brzegu z ciężkim westchnieniem.

Zostanę samotną matką bez jakiegokolwiek wsparcia, bez pracy, bez dachu nad głową. Z tak sprapraną kartoteką nie zatrudni mnie żaden szpital. Cholera, mogę nawet trafić za kratki.

Kwalifikacje, o które tak bardzo się starałam, są teraz bezwartościowym kawałkiem papieru. Wróciłam do punktu wyjścia.

Kładę dłoń na brzuchu. Jeśli zostanę skazana, moje dziecko przyjdzie na świat w więzieniu. Zabiorą mi je i oddadzą jakiejś dobrze sytuowanej rodzinie, a ja na zawsze pozostanę degeneratką, która nie potrafiła sprostać obowiązkom macierzyńskim. Wyobrażam sobie, że urodzę dziewczynkę, bezbronną i niewinną jak ja, kiedy sama przyszłam na świat. I tak samo jak ja kiedyś moja córeczka również sobie uświadomi, że jej matka jest zwyrodniała – ta przechodząca z pokolenia na pokolenie skaza zniszczy jej dzieciństwo.

Ale to ponure dziedzictwo musi skończyć się na mnie. Zrobię wszystko, żeby to przerwać.

Powstrzymuje mnie jedynie brak pieniędzy. Ludzie mówią, że pieniądze szczęścia nie dają, ale nigdy nie czułam się tak nieszczęśliwa jak teraz, kiedy zostałam bez grosza przy duszy. Uciekłabym, gdyby mnie było na to stać. Nie stawiałabym się w sądzie i zaczęłabym wszystko od nowa pod zmienionym nazwiskiem.

W uszach dźwięczy mi głos matki, powtarzający ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałam, zanim zatrzasnęłam za sobą drzwi.

*Choćbyś nie wiadomo jak daleko uciekła i choćbyś okłamywała się w kółko, że jesteś lepsza od ryszotki, z którego się wywodzisz, ten syf na zawsze pozostanie w twojej krwi. Nie wygrasz ze swoimi genami, Maggot. Ale załóż się, że będziesz próbowała do upadłego.*

Bardzo chciałabym uwierzyć, że była w błędzie. Że myliła się we wszystkim, co mi powiedziała. Ale przecież wróciłam tutaj, w to samo miejsce, w którym zaczęłam swoją wędrówkę. Tak jak mi przepowiedziała.

Jak mogłabym zdobyć pieniądze? Nie wystarczy mi kilka tysięcy funtów. Moje potrzeby sięgają dziesiątek tysięcy.

Nigdy nie zdołałabym ukraść aż tyle, żeby zbierać taką sumę, a gdybym została schwytana i oskarżona o ucieczkę, już nie wyszłabym z aresztu przed rozprawą. Raz mi się udało i nie mogę zmarnować tej szansy.

*Gdybym tylko знаła kogoś, kto ma pod dostatkiem pieniędzy.*

Przywołuję w myślach nazwiska i twarze, po czym kolejno odrzucam każde z nich, aż w końcu pojawia się jedna postać, która spełnia moje wymagania.

*Doktor Anna Jones.*

Jeździ mercedesem, nosi pierścionki z wielkimi diamentami, mieszka w rezydencji na tyłach szpitala. Boże, ta kobieta ma forsy jak lodu. A ja patrzyłam jej na ręce, kiedy popełniła morderstwo.

W mojej głowie powstaje zarys planu. Serce wali mi jak młotem, kiedy w moich myślach pojawia się jedno słowo, które nadaje wszystkiemu ostateczny kształt.

*Szantaż.*

Spoglądam na swój brzuch. Na myśl, że w środku rozwija się życie, przesywają mnie ciarki. To dziecko będzie miało lepszy start niż ja, nawet gdybym miała zapłacić za to najwyższą cenę. Odzyskuję wolę walki, jakby w moich trzewiach na nowo rozpałał się żar.

*Teraz muszę się troszczyć nie tylko o siebie. Jeśli nie zdecyduję się na ten krok, pójdę do więzienia i zabiorą mi to dziecko tak czy inaczej. Oddadzą je takim snobom jak doktor Jones. Czy naprawdę jestem aż tak niegodziwa? Przecież to ona zabiła człowieka. Ja tylko każę jej zapłacić za to, co zrobiła.*

Kiedy zaczynają wzbierać we mnie wyrzuty sumienia, myślę o skalpeli przecinającym aortę Ahmeda Shabira. Przypominam sobie, jak buchająca krew zalewała otwartą jamę klatki piersiowej.

*Doktor Jones przypięczętowała swój los, kiedy wykonała to cięcie.*

W miejscu, gdzie pada rozszczepiony w pękniętej szybie promień słońca, ściana mieni się wszystkimi kolorami tęczy. Wyciągam rękę, żeby jej dotknąć, ale pod palcami czuję tylko

zimny tynk. Przypominam sobie jednak, co czułam, kiedy jako dziecko z niewinnym zachwytem podziwiałam to urzekające zjawisko. Czułam nadzieję.

Wydostanę się stąd. A na razie muszę korzystać z gościnności Damiena, dopóki nie zdobędę pieniędzy na ucieczkę.

Wychodzę z pokoju i stojąc boso na środku korytarza z naręczem brudnych ciuchów, wsłuchuję się w ciszę wypełniającą cały dom. Kiedy się kąpałam, Damien zawołał do mnie z dołu, że jedzie odebrać Ricka. Zostałam sama, co pozwoliło mi się wyciszyć i spojrzeć na ten dom chłodnym okiem. Matka żyje już tylko w moich wspomnieniach, ale kiedy stoję w korytarzu na piętrze, wciąż docierają do mnie jej szept.

Schodzę na dół, wkładam ubrania do pralki i uruchamiam ją, kierując się pamięcią mięśniową. Potem idę do salonu i siadam na sofie, podkulając pod siebie bose stopy, żeby ogrzać zmarznięte palce. Naprzeciwko mnie stoi fotel matki, w którym przez lata odcisnęła się jej sylwetka. W poduszkach widać wygniezione zagłębienia, a podłokietniki są wytarte od jej rąk. Na stoliku obok fotela zawsze leżała paczka czerwonych marlboro, kryształowa popielniczka, którą zwędziła z pubu, i opróżnione do połowy listki tabletek.

Wszyscy wiedzieli, że matka jest uzależniona od leków. Znaczą wszyscy oprócz niej samej. Matka mówiła, że zażywa tabletki przeciwbólowe, bo dokuczają jej zepsute zęby trzonowe, który zrobił się czarny od próchnicy. Pamiętam, że jako dziecko czułam czasami, jak zalatywało jej z ust zgnilizną.

W końcu leki ją zabiły. Niecałe pół roku po tym, jak się wyprowadziłam, zażyła tyle tabletek, że jej serce się zatrzymało, kiedy spała. Podobno Damien usiłował mnie znaleźć, żebym przyszła na pogrzeb, ale już nie wróciłam do domu. Z dnia na dzień zostałam sierotą, bo ojca nigdy nie znałam, a matka zabrała jego tożsamość do grobu – to była ostatnia sprawa, którą mogła wykorzystać przeciwko nam. Może właśnie dlatego wciąż ją widzę i słyszę tak wyraźnie, bo nie widziałam jej martwej i nie zamknęłam naszych relacji, jak należy.

Słyszę zgrzyt klucza w zamku i odgłos uderzenia barkiem w drzwi. Wkrótce po domu rozchodzi się woń smażonej ryby, frytek i octu słodowego.

– Pomyślałem, że nie będziemy z tym czekać do kolacji – woła z kuchni Damien.

Wchodzi do salonu, prowadząc za sobą drugiego mężczyznę, śniadego przystojniaka o długich rzęsach i obciętych na jeża czarnych włosach.

– Rick, poznaj moją siostrę.

– Cześć – odzywa się Rick z uśmiechem. – To ja pójde przygotować nakrycia.

Damien zostaje i patrzy na mnie wyczekująco.

– Jest uroczy – ogłaszam swój werdykt.

*Zbyt uroczy jak na nasze towarzystwo.*

Mój brat uśmiecha się z dumą i podaje mi reklamówkę.

– Masz tu parę rzeczy, które mogą ci się przydać.

W środku znajdują papierosy, dezodorant, szczoteczkę i pastę do zębów. Moją twarz rozjaśnia uśmiech wdzięczności, kiedy dostrzegam pudełko tamponów.

– Dzięki – mówię. – Słuchaj, chciaabym, żebyś potem zawiózł mnie w jedno miejsce.

Damien zdejmuje niewidzialny kapelusz i kłania mi się nisko.

– Coś poza tym, wasza wysokość?

– Chyba tak. Doradzisz mi, jak wydusić od kogoś kupę kasy?

Widzę, jak działają na niego moje słowa – w oczach pojawia się błysk, a usta wykrzywiają się w chytrym uśmiechu. Wyobrażam sobie, że matka też się tak uśmiecha i z aprobatą kiwa głową ze swojego fotela.

*Moja krew.*

- I chciałabym, żebyś skombinował mi samochód.

- Skromne masz wymagania. - Damien parska śmiechem. - Po co ci samochód?

- Żebym mogła szybko przysnąć z miasta, jeżeli zrobi się gorąco. Ile czasu byś potrzebował?

- Domyślam się, że nie masz na niego pieniędzy.

- Mam płacić za kradziony samochód? Nie możesz po prostu go dla mnie... no wiesz?

- Nie pracuję już w terenie - odpowiada mój brat, lekko urażony tym, że mam o nim tak niskie mniemanie. Zastanawia się jednak nad moją prośbą i w końcu kiwa głową z ciężkim westchnieniem. - Znajomy jest mi winien przysługę. Zobaczę, co da się zrobić.

- Dzięki.

- Ale robię to również dla siebie. - Damien puszcza do mnie oko. - Bo chyba odpalisz mi dołą, nie?

Nie ma nic za darmo. Matka wpajała nam tę zasadę. Damien nie pomaga mi bezinteresownie - ma nadzieję, że podzielę się z nim zyskami, jeśli pójdzie mi na rękę. Niestety nie jest na tyle sprytny, żeby się zorientować, że zamierzam go pokonać jego własną bronią.

- Ma się rozumieć - odpowiadam z wymuszonym uśmiechem.



Anna  
Poniedziałek, 8 kwietnia 2019  
11.05

Po wyjściu ze szpitala krążyłam przez parę godzin po Redwood, zastanawiając się, co powiedzieć na przesłuchaniu. Nie mogłam od razu wrócić do domu. Czułam się wtedy, jakbym uciekała, mimo że jeździłam w kółko. Ciekawa jestem, co musieli sobie pomyśleć porywacze, kiedy mnie śledzili.

Skრęcąc z alei w zwirowy trakt i oddycham głęboko, żeby zachować spokój.

*Zack cię potrzebuje. Już i tak zaszłaś daleko dzięki swojej przebiegłości.*

Ale kiedy zbliżam się do domu, mój niepokój narasta. Miejsce, w którym kiedyś czułam się najbezpieczniej, teraz stało się jednym z największych koszmarów. I to już się nie zmienia, nawet kiedy wróci Zack, kiedy znikną kamery i wymienię zamki. Chodząc po domu, już zawsze będę czuła, że ktoś mnie podgląda; już nigdy nie zapomnę zaciśniętej na moich ustach dłoni w skórzanej rękawiczce.

Hamuję gwałtownie, gdy widzę zaparkowany na podjeździe samochód Adama. Mój mąż siedzi na schodach przed drzwiami i patrzy na mnie z furią w oczach.

– O Boże – odzywam się na głos. – Błagam, nie teraz.

Adam wstaje i rusza w moją stronę. Już po samym jego kroku widzę, że jest wściekły.

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery?

Ani chybi rozmawiał z inspektor Conaty. Otwieram usta, żeby uraczyć go pierwszym kłamstwem, ale powstrzymuje mnie nagła myśl.

*Jeśli w domu jest podsłuch, to mogli go zainstalować również w samochodzie. W ten sposób śledzą każdy mój ruch.*

Zatraskuję drzwi, po czym chwytam Adama za rękę i prowadzę w stronę drogi.

– Nie tutaj – szepczę.

Adam wrywa dłoń z mojego uścisku.

– Nasza sąsiadka została zamordowana, a ty nie byłaś łaskawa o tym napomknąć, kiedy ostatnio rozmawialiśmy? – mówi.

– Nie tutaj – powtarzam, patrząc na niego błagalnie.

Odwracam się i ruszam w stronę zagajnika. Adam idzie za mną; słyszę jego dudniące kroki i chrapliwy oddech. Wchodzę między drzewa i zatrzymuję się po kilkunastu metrach.

– Wszystko ci wytłumaczę, ale najpierw musisz się uspokoić.

– Uspokoić się? Z samego rana dzwoni do mnie jakaś policjantka, która wypytuje o ciebie i mówi, że Paula nie żyje, a ja mam się uspokoić?

– Adamie, proszę...

– Zmieniłaś zamki i musiałem siedzieć na wycieraczce jak pies.

– To nie tak...

– Najpierw nie mogę porozmawiać z moim synem, potem ty nie odbierasz telefonu, a kiedy przyjeżdżam, żeby sprawdzić, co się dzieje, nie mogę nawet wejść do domu. I co mam, do

cholery, o tym wszystkim myśleć?

– Jestem obserwowana, rozumiesz?

Mój mąż otwiera usta ze zdumienia i wbija we mnie wzrok. Patrzymy na siebie w milczeniu, które rozprasza tylko dobiegające od strony szpitala wycie syreny ambulansu.

– Straciłaś wątek? – odzywa się wreszcie Adam.

– Wplątałam się w coś, ale to jedno wielkie nieporozumienie.

– A więc uważasz, że ktoś cię obserwuje, tak? – Adam odruchowo cofa się o krok. – Masz paranoję, wiesz o tym?

Patrzy na mnie, jakbym była obłąkana.

– Znasz Ahmeda Shabira? Tego z Partii Pracy?

– Masz mnie za idiotę? Oczywiście, że znam.

– No więc Shabir nie żyje.

Mój mąż wygląda na kompletnie skołowanego.

– Ale co to ma wspólnego z tobą? – pyta.

– Zabiłam go.

– Co?

– Operowałam go w sobotę i nie przeżył.

Widzę, jak Adam się rozluźnia, a jego oddech staje się wolniejszy.

– To nie oznacza, że go zabiłaś, Anno.

*Owszem. Zabiłam go.*

– Jestem zawieszona i szpital prowadzi wewnętrzne dochodzenie – wyjaśniam. – A jeśli będą próbowali zwalić na mnie winę?

– To jest właśnie paranoja – mówi Adam i znów podchodzi do mnie bliżej. – Przecież nie zrobiłaś nic złego.

Gdybym tylko potrafiła uwierzyć we własne kłamstwa, byłoby mi o wiele łatwiej to wszystko znieść.

– Ale inspektor Conaty przyczepiła się do mnie. Kiedy przyszła wypytać o Paulę, byłam tak zestresowana, że musiałam wzbudzić jej podejrzania.

– Myśli, że to ty ją zabiłaś?

– Nie, ale...

– Ale co?

– Nie wiem! – odpowiadam poirytowana. – Po prostu się na mnie uwzięła. Chyba dlatego, że Paula i ja byłyśmy sobie tak bliskie, a ja nie bardzo chciałam o niej rozmawiać. Pewnie pomyślała, że coś przed nią ukrywam.

– W takim razie nie masz czym się przejmować.

Adam w pokrzepiającym geście ściska mnie za ramię. Jego dotyk sprawia, że zaczynają drzeć mi wargi i nagle ogarnia mnie wielka ochota, żeby powiedzieć mu całą prawdę. Tak bardzo chciałabym powierzyć mu wszystkie problemy i zaznać choćby chwili wytchnienia. Ale wiem, co się stanie z Zackiem, jeśli to zrobię.

*Ten facet nie przestanie się mieszać, dopóki nie dopiekę mu do żywego.*

Kiedy Adam zauważa, że jego słowa nie przyniosły mi ulgi, powoli cofa rękę.

– Czyżbyś miała coś do ukrycia? – pyta.

– Nie opowiadaj bzdur. – Cofam się parę kroków i zaczynam nerwowo chodzić tam i z powrotem. – Jestem tym wszystkim przytłoczona, rozumiesz? Niedługo muszę jechać na komendę i odpowiadać na pytania o Paulę, potem czeka mnie przesłuchanie w szpitalu, a lada

chwila dziennikarze zaczną rozkręcać aferę i zamienią moje życie w piekło. Dlatego chociaż ty mógłbyś mi oszczędzić stresu.

– Ja? – obrusza się Adam. – A co ja ci takiego robię?

– Ciągłe wywierasz na mnie presję, bo Zack do ciebie nie dzwoni. Wypytyujesz, kiedy ostatnio z nim rozmawiałam i kiedy się do ciebie odezwie. Mam na głowie dosyć problemów, żeby jeszcze ciebie podtrzymywać na duchu.

Widzę, jak Adamowi rzadnie mina, a w oczach pojawia się poczucie winy.

– No cóż, nie myślałem o tym w taki sposób.

– Zack potrzebuje trochę luzu, tak samo zresztą jak ja. Pozwól mu cieszyć się feriami i nie myśleć o naszym rozwodzie, a mnie pozwól uporać się z tym głównym, w którym tkwię. Kiedy Zack do mnie zadzwoni, dam ci znać. A do tego czasu daj mi spokój. Rozwódzimy się i najwyższy czas zacząć się zachowywać adekwatnie do sytuacji.

Mój mąż prycha z irytacją i odwraca wzrok w stronę drzew.

– To dlatego zmieniłaś zamki? Żeby mi pokazać, gdzie moje miejsce?

– Tak – kłamię bez wahania.

Moja błyskawiczna riposta ma w sobie tyle zajadłości, że niemal wykrzywiam twarz w bolesnym grymasie.

– No proszę. Więc teraz już wszystko jasne. – Adam kręci głową, po czym rusza z powrotem w stronę domu i przedzierając się między drzewami, rzuca do mnie przez ramię: – Blokujesz mi przejazd.

Ręce dygocą mi od napięcia, kiedy z nim idę. Po jego spiętych ramionach i długich krokach widzę, jak bardzo jest wzburzony.

– Adamie – odzywam się, kiedy dochodzimy do podjazdu.

Mój mąż przystaje i odwraca się do mnie. Jego oczy są szkliste od łez. Wzdrygam się na ten widok; dotąd bardzo rzadko pozwalał, abym go oglądała w takich chwilach słabości.

– Jeśli ta policjantka znowu do ciebie zadzwoni, powiedz jej, żeby załatwiała swoje sprawy bezpośrednio ze mną i ciebie w to nie mieszała – mówię. – Nie chcę, żeby doprowadzała do kolejnych nieporozumień między nami. A jak się nie odczepi, to po prostu nie odbieraj telefonu.

– Chcesz, żebym jej unikał? Czy to nie będzie wyglądało podejrzanie?

– Uwierz w siebie. Potrafisz kłamać jak z nut, jeśli tylko zechcesz.

Widzę, że mu dopiekłam. Moje słowa są pełne jadu, który wzbierał we mnie, odkąd podjęliśmy decyzję o rozstaniu. Zawsze starałam się nie podnosić głosu i ostrożnie dobrać słowa na wypadek, gdyby słyszał nas Zack, ale teraz nie ma go w pobliżu, więc w końcu daję upust swojej złości.

Adam przygryza dolną wargę, jakby powstrzymywał się od odpowiedzi, i przytakuje energicznie.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że nie mówisz mi prawdy? – odzywa się, stojąc przy otwartych drzwiach samochodu.

Moje tętno przyspiesza. Krzyżuję ręce na piersi.

– Nie powinienesz mnie mierzyć swoją miarą.

Uruchamiam silnik i wycofuję na podjazd przed domem Pauli, żeby zrobić miejsce Adamowi. Tak mocno zaciskam na kierownicy rozdygotane dłonie, że bieleją mi kostki. Patrzę, jak mój mąż odjeżdża i przyspiesza na zwirowej drodze, pozostawiając za sobą tuman kurzu.

Powoli opuszcza mnie napięcie. Wzdycham i spoglądam na zegar na desce rozdzielczej. Już pora jechać na komendę.





Rachel  
Poniedziałek, 8 kwietnia 2019  
11.49

– Czy mogłaby pani przedstawić się do mikrofonu?

– Anna Jones.

Kobieta mówi rzeczowym tonem. Siedzi wyprostowana przy stole naprzeciwko mnie, spięta, ale spokojna. Ubrana w elegancką bluzkę i spodnie, ma starannie ułożoną fryzurę, a mimo to coś w jej wyglądzie odbiega od normy. Zauważam, że ma zaczerwienione oczy. Albo jest niewyspana, albo płakała.

– Dziękuję pani za przybycie. Zdaję sobie sprawę, że podczas naszego pierwszego spotkania była pani zszokowana. Czy dzisiaj czuje się pani na siłach, żeby odpowiedzieć na kilka pytań?

– Tak – odpowiada beznamiętnie doktor Jones.

– Znakomicie.

Kładę dłonie na blacie i pochylam się do przodu. Obok mnie siedzi sierżant Ryan.

– Proszę mi opisać relacje, które łączyły panią z Paulą Williams. Chciałabym również się dowiedzieć, co robiła pani w czwartek czwartego kwietnia. Mam nadzieję, że dzięki temu uda nam się ustalić, co spotkało pani sąsiadkę.

– Oczywiście, bardzo chętnie pomogę. Chociaż niestety w ostatni czwartek w ogóle nie widziałam Pauli.

– A kiedy ostatni raz się widziałyście?

– Poprzedniego dnia około szóstej wieczorem, kiedy wróciłam z pracy.

Odpowiedź pada niezwłocznie. Moja rozmówczyni nie zastanawia się ani przez chwilę, a jej spojrzenie nie ucieka w bok, jakby próbowała odświeżyć pamięć. Zachowuje się tak, jakby wcześniej przećwiczyła sobie wszystko, co zamierza mi powiedzieć.

– Paula tak jak zwykle odebrała Zacka ze szkoły i ugotowała dla nas obiad. Kiedy wróciłam do domu, Zack odrabiał lekcje w salonie przy włączonym telewizorze, a Paula czytała książkę. Widok jak co dzień.

Doktor Jones sprawia wrażenie niezwykle opanowanej. Mówi spokojnym monotonnym głosem, z kamienną miną wypowiadając pozbawione modulacji słowa. Wydaje się obojętna, chociaż rozmawiamy o jej zamordowanej przyjaciółce. Nie wyobrażam sobie, aby ta kobieta w ogóle mogła się z kimś przyjaźnić.

– Płaciła jej pani za te przysługi?

– Nawiazywałam wiele razy do kwestii wynagrodzenia, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Jej córka wyprowadziła się do Australii, a mąż zmarł krótko przed tym, jak zamieszkaliśmy obok niej. Paula chciała czuć się potrzebna. Sama to powiedziała.

– Poszczęściło się pani. Wielu ludzi byłoby gotowych zabić za taki układ.

Specjalnie używam tego słowa, żeby zaobserwować reakcję doktor Jones i widzę drżenie w kąciu jej ust.

– Jak się ze sobą zaprzyjaźniłyście?

– Wydaje mi się, że już o tym mówiłam...

– Więc teraz proszę powiedzieć jeszcze raz, żebyśmy to mieli w zeznaniach.

Doktor Jones przez chwilę mierzy mnie wzrokiem i widzę w jej oczach narastającą frustrację.

– Przez mojego syna – odpowiada. – Z początku Paula i ja tylko wymienialiśmy pozdrowienia, ot, zwykła sąsiedzka etykieta. Ale Zack, który często jeździł na rowerze po naszej drodze dojazdowej, zaczął ją zagadywać, kiedy pracowała w ogródku. Taki był początek naszej zażyłości.

– Inna pani sąsiadka... – udaję, że nie mogę sobie przypomnieć nazwiska i zerkam do notatnika – ...Jenny Howard, opisała Zacka jako samotnego chłopca, który nie ma zbyt wielu kolegów.

Zauważam, że moja wzmianka powoduje pęknięcie w starannie spreparowanej fasadzie. Moja rozmówczyni mruży oczy, a jej usta znowu lekko drgają.

*Nie znosi być krytykowana jako matka. Oto jak można jej nadeprnąć na odcisk.*

– Może coś w tym jest – odpowiada. – Niedawno się przeprowadziliśmy. Ale nie wiem, co to ma wspólnego ze śmiercią Pauli.

Kolejny unik. Zmienia temat za każdym razem, gdy wspominam o jej synu.

*Dlaczego ta kobieta tak niechętnie rozmawia o swoim dziecku?*

– Pomyślałam tylko, że pani Williams mogła mieć podobne spostrzeżenia i to właśnie ją skłoniło, żeby się z nim zaprzyjaźnić – wyjaśniam.

– Być może. – Anna Jones uśmiecha się uprzejmie, ale jej oczy pozostają obojętne.

– Stąd moje przypuszczenie, że dzięki temu zaprzyjaźniła się pani ze swoją sąsiadką.

– Owszem, zaczęłyśmy ucinać sobie dłuższe pogawędki, a Zack i ja machaliśmy do niej co rano, kiedy siedziała przy oknie i piła kawę. Paula zauważyła, że trudno jest mi pogodzić pracę na pełnym etacie z obowiązkami domowymi, i zaoferowała mi pomoc. Od tego się zaczęła nasza przyjaźń. Zbliżyliśmy się do siebie, zwłaszcza kiedy rozstałam się z mężem.

– W takim razie Paula Williams odgrywała bardzo istotną rolę w pani życiu. Powierzała jej pani swoje dziecko, a ona codziennie dla was gotowała i sprzątała. To musiał być całkiem poważny układ.

– Korzystny dla nas wszystkich – zaznacza doktor Jones.

– Wspomniała pani, że machaliście do Pauli Williams codziennie rano – odzywa się sierżant Ryan. – Czy robiliście to nadal, kiedy pani Williams zaczęła opiekować się Zackiem?

– Tak.

– Ale powiedziała nam pani przed chwilą, że ostatni raz widziałyście się w środę wieczorem. Czy w takim razie nie machaliście do niej w czwartek rano czwartego kwietnia?

Doktor Jones unosi wzrok i zastanawia się przez chwilę.

– Racja, to właśnie wtedy widziałam ją po raz ostatni.

– Czyli rano w dniu jej śmierci, tak? – pytam.

– Zgadza się. Zack i ja pomachaliśmy do niej, idąc do samochodu, a ona nam odmachwała. Przepraszam, to trwało tak krótko, że wyleciało mi z głowy.

– Czy kiedykolwiek wchodziła pani na trawnik swojej sąsiadki, żeby się przywitać? – Ryan znów przejmuje pałeczkę. – Albo żeby podejść do jej okna i porozmawiać?

Anna Jones marszczy czoło.

– Nie przypominam sobie – mówi. – A czemu pan pyta?

– Nasi technicy znaleźli ślady butów, które ciągną się od pani domu przez trawnik ofiary do jej drzwi. Coś pani wiadomo na ten temat?

Widzę, jak doktor Jones nerwowo przelyka ślinę.

– No... nie... Nie mam pojęcia.

– Jaki rozmiar buta pani nosi?

– Trzydzieści siedem – odpowiada kobieta z wyraźnym oporem.

– Czyli taki sam jak ślady znalezione na trawniku.

– A to ciekawe.

– Ślady są odcisnięte z dużą siłą, jakby ktoś biegł.

Anna Jones jest wyraźnie skolowana. Widzę w jej oczach skupienie, gdy usilnie szuka jakiegoś wytłumaczenia.

– Ach, no tak! Oczywiście, to moje ślady!

– Tak? – pyta z zaciekawieniem Ryan.

– Mój pies się wymknął, kiedy rano wychodziłam w pośpiechu z domu. Pobiegłam za nim, żeby go złapać.

– Czy tego ranka stało się jeszcze coś, co wyleciało pani z głowy? – wtrącam.

– Bardzo się spieszyłam. Jestem samotną matką i pracuję na pełnym etacie. Poranki zawsze są stresujące.

– Rozumiem.

Zerkam w notatki, próbując ukryć frustrację. Ta kobieta na wszystko znajduje usprawiedliwienie.

– Pani Howard wspomniała również, że w dniu śmierci Pauli Williams zauważyła furgonetki firmy przeprowadzkowej, które jechały od strony pani domu – dodaję. – Czy coś pani o tym wiadomo?

Moja rozmówczyni nieznacznie rozszerza oczy, ale szybko odzyskuje rezon i uśmiecha się ironicznie.

– Pani Howard jest... specyficzna – wyjaśnia. – Lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. Wziąłabym poprawkę na wszystko, co mówi.

– Zapamiętam. Ale wciąż nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Z twarzy doktor Jones znika uśmiech.

– Jestem w trakcie rozwodu i mój mąż właśnie wtedy zabierał część swoich rzeczy.

– I może to potwierdzić?

– Jeśli ma to aż tak wielkie znaczenie dla waszego śledztwa... Tak, z całą pewnością może.

Jeśli chodzi o protekcyjnalne traktowanie, ta kobieta nie ma sobie równych. Jest w tym tak dobra, że zaczynam w sobie wątpić.

– Przed wyjazdem Zacka do Kornwalii Paula Williams miała go odprowadzić na spotkanie z pani bratem, tak?

– Zgadza się.

– Gdzie mieli się spotkać?

– Przy barze Kathleen's Diner. To w połowie drogi między szkołą a zjazdem z autostrady.

– A dlaczego pani brat nie przyjechał po Zacka do szkoły? – pytam.

W oczach Anny Jones pojawia się strach, jakby dotarło do niej, że nie przygotowała sobie gładkiej odpowiedzi na to pytanie.

– Nie rozumiem.

– Skoro jechał z Londynu do Redwood, dlaczego nie odebrał Zacka bezpośrednio ze szkoły, żeby nie fatygować opiekunki?

– Jeff miał przed sobą długą podróż, więc to logiczne, że nie chciał nadkładać drogi. Dzięki takiemu rozwiązaniu mógł uniknąć stania w korkach i oszczędzić trochę czasu. Po prostu zgarnął Zacka i wrócił na autostradę.

– Za to pani Williams musiała sporo się nachodzić jak na kobietę w jej wieku.

Doktor Jones marszczy czoło.

– Raczej nie sądzę. Proszę wybaczyć, ale pani ma około pięćdziesiątki, tak? Nie byłaby pani w stanie przejść kilku kilometrów raz na jakiś czas?

– To zależy, czy z konieczności, czy tylko z tak błahego powodu jak ten – odpowiadam.

Widzę, że moja rozmówczyni zaczyna pękać; jej policzki oblewają się rumieńcem, a żyła na szyi wyraźnie nabrzmiewa.

– O ile dobrze pamiętam z naszej poprzedniej rozmowy, wcześniej umówiła się pani z bratem na przekazanie bagażu. Czy to znaczy, że pani brat pofatygował się tu specjalnie z Londynu po walizkę i wrócił do domu, a potem jeszcze raz przyjechał do Redwood i odebrał Zacka z baru bliżej autostrady, żeby oszczędzić dziesięć minut, które zająłby mu dojazd do szkoły?

Anna Jones krzyżuje nogi w defensywnym odruchu, a jej ramiona napinają się tak, jakby nerwowo wykręcała sobie dłonie pod stołem.

– Proszę wybaczyć, ale nie do końca rozumiem – mówi. – Co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Pauli?

Kolejny unik. Pochylam się nad stołem, na tyle blisko, że czuję jej perfumy. Mają kwiatowy, ale wyrazisty aromat.

– O ile nam wiadomo, pani syn i brat widzieli Paulę Williams jako ostatni – mówię. – Pani sąsiadka nie dotarła z powrotem do domu, co pozwala przypuszczać, że w drodze powrotnej trafiła na kogoś, kto ją porwał. Dlatego tak bardzo zależy nam na ustaleniu, dokąd mogła pójść i co ją do tego skłoniło. No więc jak zorganizowała pani przekazanie bagażu?

Oczy doktor Jones zaczynają nerwowo drgać, co świadczy o intensywnym wysiłku umysłowym. Wiem, że cokolwiek teraz od niej usłyszę, nie będzie autentycznym wspomnieniem, ale spreparowanym naprędce kłamstwem.

– W zeszłym tygodniu mój brat miał jakąś sprawę do załatwienia w pobliżu Redwood i wtedy się z nim umówiłam.

– Ale na pewno Zack potrzebował niektórych rzeczy przez cały ten tydzień. Na przykład szczoteczki do zębów.

– Lubię myśleć perspektywicznie. Taki już mam charakter i wiąże się to również z moją pracą. Dlatego kupiłam mu podróżny zestaw przyborów toaletowych i zapasową szczoteczkę do zębów. Jeśli coś zgubi, nic wielkiego się nie stanie, bo to wszystko jednorazówki. Mój brat może to potwierdzić, kiedy do pani zadzwoni.

– A skoro o nim mowa, to dlaczego jeszcze nie zadzwonił?

Moja rozmówczyni rumieni się jeszcze bardziej, a na jej szyi wykwitają czerwone plamy.

– Przepraszam, ale nie sądziłam, że jest to aż tak ważne – odpowiada z przekąsem. – Prowadzicie śledztwo w sprawie morderstwa, więc nie miałam pojęcia, że tak bardzo panią interesuje, jak mój syn spędza ferie. Dziś wieczorem przekażę Jeffowi pani numer.

– Od soboty nie rozmawiała pani z synem ani z jego opiekunem?

Doktor Jones piorunuje mnie wzrokiem. Jej oczy palają wściekłością. Wiem, że wystarczy jeszcze parę razy ją przycisnąć, żeby w końcu pękła.

– Jestem kardiochirurgiem, pani inspektor, i nie mam zbyt wiele wolnego czasu. W sobotę przeprowadziłam bardzo ciężką operację, a kiedy wróciłam do domu, odwiedziło mnie dwoje detektywów i dowiedziałam się, że jedna z moich najbliższych przyjaciółek nie żyje. A do tego przez cały zeszły tydzień negocjowałam warunki mojego rozwodu. Potrzebowałam trochę

czasu, żeby sobie to wszystko poukładać w głowie. Ale kiedy już wiem, jakie to ważne, dziś wieczorem poproszę Jeffa, żeby się z panią skontaktował. A teraz chce pani dowiedzieć się czegoś jeszcze o mojej sąsiadce? Czy dalej będziemy rozmawiać o mnie? Bo chyba przyszedłem tu po to, żeby wam udzielić informacji na temat Pauli, a nie zaspokajać pani zainteresowanie moim życiem.

Napięcie wisi w powietrzu, kiedy nawzajem mierzymy się wzrokiem.

– Kiedy tylko potwierdzimy, że Jamie przebywa we wskazanym przez panią miejscu, możemy przejść do kolejnej kwestii – mówię.

Doktor Jones marszczy czoło i spogląda na siedzącego obok mnie Ryana. Kątem oka widzę, jak sierżant nachyla się do mnie.

– Zack – odzywa się półgłosem. – Ten chłopiec ma na imię Zack.

Uświadamiam sobie swoją pomyłkę i spuszczam wzrok, zbyt zakłopotana, by spojrzeć komuś w oczy. Moje policzki płoną rumieńcem.

– Przepraszam. Pomyliłam się.

Chciałabym zapaść się pod ziemię. Jedna chwila nieuwagi i opadło całe napięcie, które udało mi się zbudować. Cała uwaga, jaka do tej pory skupiała się na przesłuchiwanej, przeniosła się teraz na mnie. Mark Ryan siedzi spięty i czuję, że znacząco straciłam w jego oczach. Moja rozmówczyni przygląda mi się badawczo z ironicznym uśmieszkiem.

– Wystarczy na dziś – mówię. – Jeśli będziemy mieli więcej pytań, odezwiemy się do pani. Do tego czasu proszę skontaktować się z bratem. Chciałabym jak najszybciej z nim porozmawiać, żebyśmy mogli ruszyć dalej.

– Dobrze – odpowiada doktor Jones, wstając od stołu. – Mnie też na tym zależy.

– Mój kolega odprowadzi panią do wyjścia.

Po chwili szcękają zamykane drzwi i zostaję sama w pokoju przesłuchań.

*Ten chłopiec ma na imię Zack*, powtarzam w myślach raz za razem, żeby wbić to sobie do głowy.

Jamiego już nie ma.



Anna  
Poniedziałek, 8 kwietnia 2019  
12.57

Silnik gaśnie już trzeci raz.

– Psiakrew!

Uderzam dłońmi o kierownicę i zerkam niespokojnie w lusterko, kiedy z tyłu rozlega się klakson. Przeklinając półgłosem, po omacku chwytam w palce kluczyk, który tkwi w stacyjce. Zapala się zielone światło. Stojący za mną kierowca znowu trąbi. Kiedy silnik wreszcie zaczyna pracować, naciskam gaz i szybko odjeżdżam.

Moje kłamstwa zaczynają mnie osaczać. Namnożyło się ich tyle, że coraz trudniej jest mi zapamiętać, co komu powiedziałam. Żeby przekonać jedną osobę do mojej wersji wydarzeń, muszę okłamać kilka innych. Nakręcam niekończącą się spiralę oszustw. Jestem jak pająk, który uwiązał we własnej sieci.

Inspektor Conaty wie, że coś jest nie w porządku. Podczas naszej rozmowy dawała mi do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno moje słowo. Znajdowała w mojej historii luki, z których sama nie zdawała sobie sprawy. Ilekroć otwierałam usta, grałam jedynie na zwłokę, żeby przemyśleć kolejny krok. Nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że wszystko, co mówię, nieuchronnie prowadzi mnie do zguby. Że każde kłamstwo, do którego się uciekam, żeby uniknąć kary, ostatecznie zostanie wykorzystane przeciwko mnie.

Wzdrygam się, kiedy w mojej torebce zaczyna wibrować komórka na kartę.

*Sledź mój samochód i już wiedz, że byłam na komendzie policji.*

Zjeżdżam do najbliższej zatoczki parkingowej, gorączkowo przeszukując torebkę.

– Halo? – mówię zdyszana.

– Przyjedziesz dzisiaj na spotkanie – odzywa się w słuchawce niski głos. – O dziesiątej wieczorem w Littlebrook na starej opuszczonej farmie. Skręcisz przy drogowskazie na szosie prowadzącej do wioski, miniesz bramę i zatrzymasz się dopiero przy stajni. Nie spóźnij się.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale połączenie się urywa. Siedzę oszołomiona, a przenikliwy sygnał dobiegający ze słuchawki rozsadza mi ucho. Upuszczam telefon i opieram głowę na kierownicy.

Czy porywacze myślą, że współpracuję z policją? Nie zdążyłam wyjaśnić, że stosuję się do ich żądań i próbuję odwrócić od siebie uwagę. Jeśli mnie podejrzewają, że zdradziłam, mogą skrzywdzić Zacka. A może nawet już to zrobili. Nie słyszałam jego głosu, od kiedy wypełniłam swoje zadanie.

*A jeżeli pozostawienie Shabira przy życiu było moją jedyną kartą przetargową? Jedyńm sposobem na ocalenie Zacka? A jeżeli porywacze go zabili, kiedy tylko zrobiłam, co mi kazali?*

Mój oddech staje się coraz płytszy, aż w końcu zaczynam się dusić.

*Uspokój się. Zack cię potrzebuje.*

Zamykam oczy i odchylam się na oparcie fotela. Powoli wciągam powietrze, a moje tętno wraca do normy. Kiedy unoszę powieki, widzę przed sobą migocące iskry. Mój wzrok spoczywa na budce telefonicznej, która stoi na rogu ulicy.

Jeff.

Odpinam pas bezpieczeństwa, wyjmuję portfel z torebki i otwieram drzwi. Natychmiast uderza mnie panujący na zewnątrz hałas – samochody przemykają obok z warkotem, piszczącą hamulce, gdy na skrzyżowaniu zapala się czerwone światło. Podbiegam do budki i zamykam się w środku.

Wnętrze cuchnie moczem, a sam automat telefoniczny klei się od brudu. Podnoszę słuchawkę, wpycham kilka monet w szczelinę i wybieram numer, naciskając poczerńiałe klawisze.

– Halo?

– Cześć, Jeff. Mówi Anna.

– Anna? Skąd dzwonicz?

Odgłosy w tle nie pozostawiają wątpliwości, że mój brat spaceruje nad morzem. Z oddali dobiega szum fal, a od czasu do czasu słychać świst wiatru.

– Z budki telefonicznej. Posłuchaj, nie mam zbyt wiele czasu

– Wszystko u ciebie w porządku? Masz taki głos, jakbyś...

– Coś się wydarzyło i potrzebuję twojej pomocy – mówię.

– Rozumiem – odzywa się Jeff spokojnym tonem terapeuty.

Nie cierpię, kiedy mnie traktuje, jakbym była jego pacjentką.

– Podam ci numer telefonu pewnej policjantki, która chce z tobą rozmawiać.

– Policjantki?

– Jestem w poważnych tarapatkach – wyznaję. – To naprawdę nie są żarty. Nie mogę o tym z nikim rozmawiać, ale musisz mi zaufać. Sama nie dam sobie z tym rady.

– Z czym nie dasz sobie rady? – pyta mój brat. – Anno, zaczynam się o ciebie bać.

Czy mogłabym mu powiedzieć? Zostawiłam w samochodzie wszystkie komórki. Nie ma tu kamer ani podsłuchu. Jednak paraliżuje mnie myśl, że mogę w ten sposób narazić życie mojego syna. Chce mi się płakać z bezsilności.

– Ta policjantka chce z tobą rozmawiać, ponieważ myśli, że Zack jest teraz pod twoją opieką.

Jeff nie odpowiada od razu. W tle rozlega się krzyk mewy, a potem Leila coś mówi. Mój brat musiał zasłonić dłonią mikrofon, bo kiedy zwraca się do córki, słyszę tylko jego stłumiony głos.

– Dlaczego ta policjantka tak myśli? – odzywa się do mnie po chwili.

– Bo tak jej powiedziała. Zack jest w niebezpieczeństwie i żeby go ocalić, muszę udawać przed policją, że nic mu nie grozi.

– Nie rozumiem...

– Nie musisz niczego rozumieć – przerywam mu wzburzona, po czym wzdycham ciężko, próbując zapanować nad ogarniającym mnie gniewem. – Żeby ocalić Zacka, muszę wszystkim mówić, że wyjechał z tobą do Kornwalii.

– A gdzie tak naprawdę jest?

– Tego nie mogę ci powiedzieć.

– Nie oczekuj ode mnie, że będę okłamywał policję, nie wiedząc nawet, dlaczego to robię. Anno, jestem naprawdę zaniepokojony...

– Ufasz mi? – pytam.

Pełna napięcia czekam na odpowiedź. Słyszę szcęk zamykanych drzwi i odgłosy morskiego wybrzeża cichną.

– Oczywiście.

– W takim razie proszę, zrób to dla mnie.

– Ale Anno...

– Zrób to, jeśli kochasz Zacka, jeśli mnie kochasz. I nie pytaj, dlaczego cię o to proszę. Wszystko ci wyjaśnię, ale dopiero kiedy Zack będzie bezpieczny.

– Chcesz, żebym popełnił przestępstwo – oponuje mój brat. – Jeśli okłamię tę policjantkę, a potem sprawa wyjdzie na jaw, mogę iść do więzienia. Leila zostanie bez ojca.

– A jeśli tego nie zrobisz, już nigdy nie zobaczę Zacka – mówię drżącym głosem, przehykając łzy. – Proszę, Jeff. Błagam cię. Wiem, że dużo od ciebie żądam, ale nie narażałabym cię, gdybym miała inne wyjście. Proszę cię...

– Tato! – woła Leila. – Chciałabym jeszcze wyjść.

Czekam, wstrzymując oddech.

*Proszę, Jeff. Zgódź się.*

– Rozmawiam z ciocią Anną, córeczko. Zaraz do ciebie dołączę.

Słyszę, jak drzwi się otwierają i zamykają. Mój brat wzdycha przeciągle. Kiedy Leila była w pobliżu, jej widok musiał chwytać go za serce, ale teraz, kiedy odzywa się ponownie, ma całkiem inny głos. Już nie brzmi tak sceptycznie, jest łagodniejszy, bardziej uległy.

– No dobra... Zgoda.

Wzdycham z ulgą. Nareszcie mogę zaczerpnąć powietrza.

– Dziękuję.

W słuchawce rozlega się przerywany sygnał. Otwieram portfel. Drobnych wystarczy mi tylko na dwie minuty rozmowy.

– Masz coś do pisania? – pytam. – Zostało mi niewiele czasu, a muszę ci podać numer tej policjantki i podyktować wszystko, co masz jej powiedzieć.

Budzę się gwałtownie, przejęta grozą, i wciągam haust powietrza. Prześladowają mnie coraz gorsze koszmary.

Kiedy jestem sama w domu, prawie cały czas śpię. W przeciwnym razie doprowadzałabym się do objędu, chodząc tam i z powrotem po holu i czekając na wiadomość od porywaczy. Kiedy zasypiam, odcinam się od rzeczywistości, ale ilekroć się budzę, świadomość mojego beznadziejnego położenia uderza mnie tak dotkliwie, jakbym do tej pory z niczego nie zdawała sobie sprawy.

Podpalam na łokciach rozglądam się dokoła, mrużąc zmęczone oczy. Widzę wszystko jak przez mgłę i czuję kurz na języku. Leżę na kanapie w salonie. Żaluzje są opuszczone, ale żadna z lamp się nie pali. Jedyнным źródłem światła jest telewizor. Najwyraźniej tabletki nasenne ścięły mi z nóg.

Opuszczam stopy na podłogę i siadam z łokciami wspartymi na kolanach. Pocieram powieki tak długo, aż zaczynają mnie piec. Leki wyciszają szum w mojej głowie i tłumią ból w klatce piersiowej, ale im więcej ich zażywam, tym trudniej jest mi potem dojść do siebie. Lekarz zapisał mi je tuż przed przeprowadzką, kiedy moje małżeństwo przechodziło najgorszy kryzys, ale nie zdecydowałam się wtedy na rozpoczęcie kuracji w obawie, że ucierpi na tym moja praca. Biorę głęboki wdech i przeczesuję włosy palcami. Widzę, jak długi cienki kosmyk spada na dywan. Powtarzam ten ruch i czuję nerwowe drżenie dłoni, która przesuwana się po głowie. Kiedy cofam rękę, spomiędzy palców zwisają mi długie jasne włosy, które musiałam wyskubać przez sen. Ogarnia mnie wstyd i mam wielką ochotę znowu zamknąć oczy i zapaść się w ciemną otchłań, gdzie nie dosięgną mnie ból i poczucie winy.

Moje spojrzenie wędruje w stronę telewizora. Dźwięk jest wyciszony tak bardzo, że głos prezentera dociera do mnie jako stłumione pomruki, ale wiadomości przesuwające się na pasku u dołu ekranu mówią same za siebie.



Z ostatniej chwili: nie żyje Ahmed Shabir, lat 40, deputowany z okręgu Redwood. Przyczyną śmierci są komplikacje podczas operacji serca. Wkrótce poznamy oświadczenie premiera.

Wpatruję się w ekran i śledzę wzrokiem słowa, które raz za razem przesuwają się przed moimi oczami: *nie żyje Ahmed Shabir*. Sięgam po leżącego na stoliku do kawy pilota i pogłaśniam dźwięk.

– Ta tragiczna wiadomość pociąga za sobą spekulacje, jakoby choroba serca pana Shabira była utrzymywana w tajemnicy, ponieważ mogłaby wpłynąć na jego reelekcję w wyborach parlamentarnych oraz starania o stanowisko przewodniczącego Partii Pracy...

Z transu wyrywa mnie ujadanie Miśka, który reaguje na pukanie do drzwi. W pierwszym odruchu myślę o reporterach. Czyżby już koczowali przed moim domem? Tak się dzieje, kiedy media ogłaszają jakąś sensacyjną wiadomość. Ale przecież w telewizji nikt nie wymienił mojego nazwiska.

*Uspokój się. Nie wybiegaj myślami tak daleko naprzód.*

Ale trybiki w mojej głowie nie przestają się obracać.

Wstaję z sofy, wyobrażając sobie zgraję reporterów, którzy czekają, żeby zasypać mnie pytaniami. A jeżeli to detektywi? Jeżeli obejrzeni wiadomości i nabrali wobec mnie dodatkowych podejrzeń?

*Moje kłamstwa zaczynają mnie osaczać.*

Przystaję przed lustrem w holu, żeby przygładzić zmierzwione włosy, a potem otwieram drzwi. W półmroku stoi tylko jedna osoba. Kąciki jej ust unoszą się w pełnym zakłopotania uśmiechu.

To Margot.



Margot  
Poniedziałek, 8 kwietnia 2019  
20.25

Drzwi otwierają się powoli i w wąskiej szczelinie widzę wycinek twarzy. Doktor Jones marszczy czoło, kiedy mnie rozpoznaje, po czym otwiera drzwi na oścież.

Wygląda okropnie. Ma rozczochrane włosy i zmięte ubranie, jakby przed chwilą się obudziła, a jej szkliste oczy spoglądają na mnie półprzytomnie, chociaż coś w jej postawie mówi mi, że nie jest pijana. Moja matka była uzależniona od leków, więc bez trudu potrafię rozróżnić wszystkie objawy zamroczenia.

– Co tu robisz?

Wszystko, co zamierałam powiedzieć, wyleciało mi z głowy. Wprawdzie jestem złodziejką, ale szantaż to dla mnie zupełnie inne rzemiosło, do którego trzeba mieć stalowe nerwy i wyżyć się skrupułów. Owszem, jest to poniekąd forma kradzieży, ale dokonując jej, muszę patrzeć ofierze prosto w oczy.

Moja przysła ofiara wzdycha z irytacją, jakby samo patrzenie na mnie było dla niej stratą czasu. Natychmiast opuszcza mnie poczucie winy.

– Wiem, co zrobiłaś – wyrzucam z siebie.

Z jej czoła znikają zmarszczki, a oczy wyraźnie się powiększają. Dostrzegam w niej teraz te drobne oznaki wrażliwości, które zazwyczaj tak dobrze maskuje. Pies wystawia głowę między jej kolanem a futryną i przygląda mi się z otwartym pyskiem, z którego zwisa różowy język.

– Co?

– Podczas operacji. Wszystko widziałam.

Anna patrzy na mnie, jakby nie miała pojęcia, o co mi chodzi, ale w jej oczach pojawia się wyraz paniki, którego nie jest w stanie ukryć. Jej gardło pulsuje nerwowo, kiedy przełyka ślinę.

– Co widziałaś, Margot? – pyta, po czym wychodzi na zewnątrz i zamyka za sobą drzwi.

– Jak zabiłaś Ahmeda Shabira.

Przez długą chwilę wbija we mnie wzrok. Stoi nieruchomo jak jeleń na środku drogi oślepiony blaskiem reflektorów.

– Widziałam, jak to robisz – dodaję. – Jak bierzesz skalpel i przecinasz jego...

– Dostyc – przerywa mi Anna podniesionym głosem. – Zaczekaj tu.

Wraca do środka, a ja stoję przed drzwiami, przestępując niepewnie z nogi na nogę. Wkrótce znów się pojawia z psem na smyczy. Cofam się, kiedy się do mnie zbliża.

– Co robisz?

– Chodź ze mną – odpowiada, kierując się w stronę zagajnika.

Nie tak sobie to wszystko wyobrażałam. Myślałam, że powiem jej, co wiem i czego oczekuję w zamian za milczenie, a ona zgodzi się spełnić moje żądania i będzie po sprawie. Ale jej udało się jakimś cudem przejąć kontrolę nad sytuacją.

– No chodź – ponagla mnie szeptem.

Żwir chrząści mi pod butami, kiedy idę za nią w ciemności.

– Uważaj na pobocze.

Potykam się na niewielkim uskoku biegnącym wzdłuż drogi i ocieram sobie kolana. Z zażenowania dostaję wypieków.

– Dokąd idziemy? – pytam, otrzepując się z ziemi.

– W ustronne miejsce.

Blask księżycy oświetla nam drogę, gdy zbliżamy się do zagajnika. Anna znika między pniami drzew. Zatrzymuję się, kiedy tracę ją z oczu.

– Już wystarczy – wołam.

Słyszę, jak suche gałązki trzaskają pod jej podeszwami, kiedy idzie z powrotem w moją stronę. Zatrzymuje się metr ode mnie; stoję na skraju zagajnika, a ona w cieniu między drzewami. Spuszcza psa, który zaczyna buszować po krzakach z nosem przy ziemi.

– Domyślam się, że przysłaś mnie szantażować.

– No, tak jakby – odpowiadam.

– I myślisz, że ktoś ci uwierzy?

Blask księżycy prześwituje co chwilę między kołyszącymi się na wietrze koronami drzew i pada na jej twarz. Przez sekundę widzę, jak szczyrzy zęby, wykrzywiając usta w ohydny grymasie.

– Załóżmy, że powiesz komuś z dyrekcji szpitala, co rzekomo widziałas. Czy możesz być pewna, że twoja historia okaże się wiarygodniejsza od mojej? Jak myślisz, kto budzi większe zaufanie? Ceniona specjalistka o nienagannej renomie? Czy zgorzkniała była pracownica zwolniona dyscyplinarnie z powodu kradzieży?

Krzyżuję ręce na piersi.

– Dyrekcja szpitala rzeczywiście może zająć takie stanowisko, ale policja podejdzie do sprawy bez uprzedzeń, kiedy złożę zawiadomienie – odpowiadam. – Wtedy twój dorobek zawodowy już nie będzie wyglądał tak nieskazitelnie. A mając policję na karku, koroner przeprowadzi sekcję nieco dokładniej i odkryje wyraźny ślad cięcia, które wykonałaś. O ile już nie czuje presji, odkąd media zaczęły trąbić o śmierci Shabira. Nadal sądzisz, że nikt mi nie uwierzy, jeśli znajdą się ewidentne dowody?

Podmuch wiatru zwiewa mi włosy na twarz. Odgarniam je i niedbale zakładam za uszy.

– Różnica między nami polega na tym, że ja na kłamstwach nic nie zyskam, a ty możesz wszystko stracić – mówię dalej. – Swojego syna, pozycję zawodową, majątek. Śledczy też zwróca na to uwagę.

Anna nie odpowiada. Próbuję przeniknąć wzrokiem ciemność w nadziei, że uda mi się wypatrzyć jej twarz i coś z niej wyczytać.

– Czego chcesz? – odzywa się wreszcie.

– Pięćdziesięciu kawałków.

Odpowiada mi wybuch śmiechu, tak gwałtowny, że wzdrygam się wystraszona.

– Chyba sobie kpisz.

– W ciągu roku zarabiasz ponad dwa razy tyle. Masz dom, który kosztuje fortunę, nie mówiąc o mercedesie prosto z salonu. Nawet nie poczujesz tego wydatku.

– Mylisz się.

– To już twoje zmartwienie. Jutro do dwunastej w południe chcę dziesięć tysięcy zaliczki.

– A jeżeli odmówię?

– To pójdę na policję, a potem do prasy, gdzie na pewno dobrze płacą za takie wiadomości. Zarobię na tym tak czy inaczej, nieważne jak. Od ciebie zależy, czy ty nie będziesz stratna.

Wyteżam wzrok, ale w ciemności majączy tylko od czasu do czasu jasna plama, gdy na jej twarz pada blask księżycy, który przenika między poruszonymi wiatrem gałęziami.

– Masz wybór – dodaję. – Albo odżałujesz pięćdziesiąt kawałków, albo trafisz do więzienia. Zastanów się, ile warta jest dla ciebie wolność. Na ile wycenisz swoją dumę, kiedy twój syn zostanie bez matki?

Odwracam się i ruszam w stronę żwirowego traktu.

– Jutro o dziesiątej zadzwonię na twój służbowy telefon i powiem ci, gdzie się spotkamy – rzucam przez ramię.

– Nie – protestuję gwałtownie Anna. – Nie dzwoń do mnie. Umówmy się o jedenastej na tyłach szpitala. Koło śmietnika.

– W porządku – odpowiadam. – Tylko się nie spóźnij.

Moje serce wciąż kołacze z przejęcia, kiedy odchodzę z uśmiechem na twarzy.

*Jutro w południe będę bogatsza o dziesięć tysięcy.*

Nie mogę się powstrzymać i wybucham radosnym śmiechem.



Anna  
Poniedziałek, 8 kwietnia 2019  
21.50

Dojeżdżam do stajni na farmie w Littlebrook i ogarniam wzrokiem duże drzwi z desek, zza których prześwituje palące się w środku światło. Zatrzymuję się obok zaparkowanych rzędem samochodów. W jednym z nich rozpoznaję audi, które śledziło mnie kilka dni temu, kiedy jechałam na posterunek policji.

Zaciskam kurczowo dłonie na kierownicy i czuję nerwowe pulsowanie w czubku głowy. Na ubraniu mam drobne jasne włosy, które wyskubałam sobie z przedramienia podczas jazdy. Z każdej strony czuję presję – osaczają mnie porywacze, dyrekcja szpitala, policja, a teraz jeszcze Margot – i mam ochotę krzyknąć tak długo, aż to wszystko się skończy.

Chociaż Margot nie budziła mojego zaufania, nie przypuszczałam, że byłaby zdolna posunąć się do szantażu. Gdy tylko sobie przypomnę, z jaką wyższością na mnie patrzyła, stojąc przed moim domem, ogarniają mnie mdłości.

*Ale nie wszystko naraz.*

Przyjechałam wcześniej. Miałam się nie spóźnić, ale nie jestem pewna, czy porywaczom nie będzie przeszkadzało, że zjawiłam się przed czasem. Siedzę nieruchomo, wsłuchując się w cykanie świerszczy i dobiegające z oddali poszczekiwanie mundżaków. Próbuję się uspokoić i zapanować nad drżeniem, ale nie mogę przestać sobie wyobrażać, co może mnie spotkać na tym odludziu.

Kiedy zegar na desce rozdzielczej pokazuje 21.58, wyłączam silnik i wysiadam z samochodu.

Noc jest chłodna, ale czuję się cała rozpalona. Mam spocone dłonie, a moje serce tłucze się jak oszalałe. Nawet chrzęst żwiru pod moimi podeszwami brzmi złowrogo. Kiedy zbliżam się do drzwi, odgłos moich kroków sprawia, że dobiegający ze środka gwar rozmów cichnie. Uderzam knykciami w twardą deskę.

– Wchodź – odzywa się męski głos.

Naprzeciwko wejścia stoi w półokręgu dziesięciu mężczyzn. Wszyscy są ubrani w czarne garnitury i białe koszule. Przyglądają mi się w milczeniu.

– Zamknij drzwi – mówi szpakowaty mężczyzna o niebieskich oczach, którego już poznałam.

Stoi pośrodku grupy z szelmowskim uśmiechem na twarzy. Ręce drżą mi ze strachu, a jednocześnie mam ochotę rzucić mu się do gardła.

*Ten potwór więzi mojego syna.*

Odwracam się i zamykam za sobą drzwi.

– Zrobiłam, co mi kazaliście – mówię.

– Tak, zrobiłaś. Ale teraz musisz się z tego wywinąć.

Dziesięć par oczu lustruje mnie uważnie. Trzęsę się coraz bardziej; przesywają mnie gwałtowne dreszcze, które wędrują w dół kręgosłupa i rozchodzą się po nogach. Trzymam złączone kolana i tak mocno zaciskam pięści, że trzaskają mi stawy.

– Tracisz kontrolę nad sytuacją. Policja węszy wokół ciebie, a szpital prowadzi wewnętrzne dochodzenie. Chyba nie sądzisz, że nam się to podoba.

– Wcale nie tracę kontroli – dukam przez zaciśnięte gardło. – Robię wszystko, co w mojej mocy.

– Ale nikt ci nie odpuszcza. Wciąż jesteś pod lupą.

Mężczyzna podchodzi bliżej, miażdżąc podeszwami zeschnięte żdźbła słomy rozrzucone na posadzce. Wszystkie moje mięśnie tężeją. Kiedy wyciąga rękę zza pleców, kulę się, czekając na uderzenie. Zauważa moją reakcję i uśmiecha się drwiąco.

W dłoni trzyma czarną kartonową teczkę na dokumenty.

– Użyj tego, żeby zastopować śledztwo w sprawie śmierci twojej sąsiadki – mówi. – A co do śmierci Shabira... policja będzie się kierować wynikami wewnętrznego dochodzenia, tak?

– Myślę... że tak właśnie będzie.

– W takim razie musisz wszystkich przekonać, że to był tylko nieszczęśliwy wypadek.

Wypowiadając te słowa, przesywa mnie tak groźnym spojrzeniem, że rumienię się i odwracam wzrok. Czuję na twarzy jego gorący oddech.

– Patrz na mnie – rozkazuje surowym tonem. – I obiecaj, że ich przekonasz.

Przytakuję skwapliwie, patrząc mu w oczy.

– Tak, przekonam ich.

– Wtedy darujemy życie tobie i twojemu synowi. Czy muszę ci przypominać, co się stanie, jeżeli tego nie zrobisz?

Kręcę głową.

– Możesz iść.

Szpakowaty macha lekceważąco ręką w moją stronę, po czym obraca się na pięcie i odchodzi. Pozostali mężczyźni przyłączają się do niego i ruszają długim korytarzem między pustymi boksami, na którego końcu znajdują się drugie otwarte na oścież drzwi.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? – pytam drżącym głosem. – Że mój syn nie jest już martwy, a ja nie robię tego na próżno?

Szpakowaty zawraca. Widzę jego poczerwieniałą ze wściekłości twarz, kiedy zbliża się do mnie szybkim krokiem. Cofam się wystraszona i opieram plecami o drzwi, a wtedy on otwiera je kopniakiem. Zataczam się do tyłu i upadam na ziemię, wzniecając tuman kurzu. Wypuszczam z dłoni teczkę, a wiatr porывa rozrzucone kartki.

Mężczyzna łapie mnie za poły kurtki i podnosi brutalnym szarpnięciem.

– Co robisz? – krzyczę, kiedy zaczyna mnie wlec w ciemność.

Zaciskając dłoń na moim kołnierzu, trzyma mnie również za włosy i szarpie tak boleśnie, że łzawią mi oczy. Próbuję mu się wyrwać, ale chwytą mnie mocniej. Wchodzimy na skąpany w księżycowej poświacie plac. Kiedy dostrzegam ciemny kształt studni, uginają się pode mną nogi. Przypominam sobie martwe oczy Pauli leżącej w mętnej wodzie. Czarny otwór po kuli na jej czole.

To tutaj porzucili jej ciało.

– Nie! Błagam, nie! Przepraszam!

Powłóczę nogami, niepewnie stawiając kroki, a zimne powietrze więźnie mi w gardle. Beładnie wymachuję rękami i uderzam o twardy chwyt pistoletu, który tkwi za paskiem mojego prześladowcy. Wyobrażam sobie, jak Paula z przestrzeloną głową wpada z pluskiem do wody.

– Robię wszystko, czego żądacie!

Jesteśmy już tak blisko, że widzę mech porastający cegły i czuję odór zgnilizny. Krzyczę ze strachu, kiedy mężczyzna popycha mnie w stronę studni. Zawisam nad ciemną czeluścią,

szlochając rozpaczliwie, i tylko dłoń zaciśnięta na kołnierzu mojej kurtki i włosach chroni mnie przed upadkiem. Oparta biodrem o twardą cembrowinę patrzę bezradnie, jak od ściany odrywają się kawałki zwietrzałych cegieł i długo spadają, by wreszcie zniknąć na dnie.

– Poznajesz? – szepcze mi do ucha szpakowaty.

Niespodziewanie opuszcza mnie gwałtownym ruchem o parę centymetrów. Wydają okrzyk przerażenia. Gdyby teraz rozluźnił chwyt, byłoby po mnie. Cała dygoce, a moje łzy spadają w głąb studni.

– Tak!

Mężczyzna nadal trzyma mnie mocno za kołnierz, dysząc mi do ucha. Jego oddech pachnie papierosami i jakimś cierpkim słodkawym alkoholem.

– Nie będziesz zadawać pytań – syczy. – Zrobisz, co ci każę, albo kiedyś znajdą cię tam na dole razem z twoim dzieciakiem. Czy to jasne?

Szybko kiwam głową.

– Tak – odpowiadam, z trudem wydobywając z siebie głos przez ściśnięte gardło.

Czuję silne szarpnięcie do tyłu i osuwam się bezwładnie na ziemię. Podnoszę się niezdarnie. Gdy w końcu siadam oparta plecami o cembrowinę, łzy ciekną mi po twarzy, a pierś faluje od przyspieszonego oddechu. Widzę znikającą w mroku sylwetkę mojego prześladowcy.

– Nie róbcie mu krzywdy! – wołam za nim, a mój głos odbija się echem od pobliskich drzew.

Zamykam oczy i trzęsę się skulona, próbując uspokoić oddech. Wsłuchuję się w warkot silników niknący w oddali, aż wreszcie zapada cisza, którą rozprasza tylko cykanie świerszczy.

A więc po to kazali mi tutaj przyjechać. Żeby zobaczyć, co mnie czeka, jeśli ich zawiodę.

Przeraża mnie myśl, że Zack jest w rękach tych okrutnych ludzi, narażony na ich wybuchy gniewu.

A ja nie potrafię mu pomóc.

Z zamyślenia wyrывa mnie jakiś szelest. Odwracam wzrok tam, skąd dochodzi. Jedna z kartek, które przyniósł mi w teczce szpakowaty, uwięzła między wysokimi trzciniami i trzepocze na wietrze. Zrywam się, żeby ją zabrać, zanim odleci.

Podchodzę z kartką w miejsce oświetlone blaskiem księżyca. Trzymam w ręku kserokopię artykułu zamieszczonego na pierwszej stronie gazety. Mrużąc oczy, kilka razy czytam nagłówek, a potem przyglądam się zdjęciom pod spodem. Jedno przedstawia małego chłopca, a na drugim jest ktoś, kogo już poznałam.

Moja twarz wykrzywia się w chytrym uśmiechu, a w gardle wzbiera mi nerwowy śmiech.

Teraz wszystko się zmieni.



Margot  
Wtorek, 9 kwietnia 2019  
09.45

– Tak po prostu dadzą mi samochód? Naprawdę?

Siedzę w fotelu pasażera i spoglądam z niedowierzaniem na mojego brata, który prowadzi. Czuję od niego delikatną woń trawki, gdy przez uchylone okno wpada mocniejszy powiew.

– Niezupełnie – odpowiada Damien. – To ja dostanę ten samochód i prześlę go tobie.

Wkłada w usta dwa papierosy, zapala je i podaje mi jeden z nich, na chwilę odrywając wzrok od drogi. Mam ochotę wyrwać mu kierownicę, ilekroć widzę, jak się rozprasza.

– Ta twoja lekarka naprawdę zabiła pacjenta?

– Widziałam to na własne oczy – odpowiadam.

Zaciskam dłoń na uchwyty nad drzwiami, kiedy wchodzimy w ostry zakręt.

– Jest niebezpieczna?

– Tylko dla tych, którzy jej ufają. A ja się do takich nie zaliczam.

– No ale skoro załatwiła tego gościa, to pewnie z tobą zrobiłaby to samo bez zmruczenia oka.

Prycham pogardliwie i zaciągam się papierosem.

– Ona nie stanowi zagrożenia, bo sama najbardziej się boi. A ten facet był nieprzytomny. Nie miałaby odwagi tego zrobić, gdyby mógł się bronić – mówię. – Dlaczego mam czekać w samochodzie?

– Tak jest bezpieczniej.

– Bezpieczniej z czyjej perspektywy?

– Z czyjej perspektywy – przedrzeźnia mnie mój brat. – Do kogo z takimi tekstami? Wysławiasz się jak ułożona paniusia.

Przewracam oczami i spoglądam na długą podmiejską drogę ciągnącą się na obrzeżach Redwood.

– Daleko jeszcze?

– Pierwsza przecznicza w lewo i jesteśmy na miejscu – odpowiada Damien i zerka na mnie. – Ale nie wysiadaj, mówię poważnie.

– Jasne, słyszałam.

Mój brat jest niespokojny, co zdarza się niezwykle rzadko. Ostatni raz widziałam go wystraszonego, kiedy miał dwanaście lat i właściciel sklepu, który znalazł w jego plecaku kradzione puszki cydru, wykopał go za drzwi. Może po prostu umie lepiej to maskować niż ja. W każdym razie teraz jest wyraźnie podenerwowany.

– Posłuchaj, jeśli to zbyt duży problem albo będziesz miał przeze mnie jakieś zobowiązania, mogę jakoś inaczej skombinować ten samochód.

– Nie, daj spokój. Chcę ci pomóc.

*Nie łudź się, że robi to dla ciebie. Robi to dla pieniędzy.*



Zanim się wyprowadziłam, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mój brat jest podobny do matki. Mówi jak ona, śmieje się jak ona; nawet jego zęby zaczynają tak samo żółknąć i pokrywają się nikotynowymi plamami. Pewnie ma też w sobie wrażliwość ukrytą głęboko pod maską twardziela i chojraka. Ale tak to już jest w naszej rodzinie; żeby chronić własną skórę, wykorzystujemy wszystkich dokoła, nawet swoich bliskich. Bo czyż nie tak właśnie postępuję, mając go fałszywą obietnicą zysku?

Nad ciągnącym się wzdłuż drogi żywopłotem góruje sterta złomu. Blachy połyskują w słońcu, które przez chwilę prześwituje spomiędzy chmur. Damien zwalnia i skręca w lewo przy wielkiej tablicy z napisem „Art. metalowe. Najwyższa jakość”, która jak na ironię jest zardzewiała. Pod napisem widnieje okrągły emblemat z dwoma splecionymi węzami, których głowy stykają się pośrodku. Może ktoś tu się zna na metalach, ale budowanie marki nie jest jego mocną stroną.

Jedziemy długim wyboistym traktem, klucząc między dziurami. Na końcu drogi wznosi się wielka hala magazynowa otoczona ścianą sprasowanych samochodów, które piętrzą się jeden na drugim. Przy wjeździe na rozległy plac stoi budka strażnicza. Mój brat zatrzymuje się obok niej i opuszcza szybę.

– Jestem umówiony z Jaxem – mówi.

Ochroniarz w budce przytakuje i macha dłonią na znak, że można wjeżdżać.

– Kto to jest Jax? – pytam.

– Im mniej wiesz, tym lepiej.

Kiedy parkujemy obok sterty złomu, otwierają się drzwi magazynu i ze środka wychodzi trzech mężczyzn w czarnych garniturach.

– Czekaj tu, dopóki cię nie zawołam – rozkazuje mi Damien surowym tonem, po czym wysiada, trzaskając drzwiami.

Patrząc za nim, jak idzie przez plac, a potem wita się z tamtymi trzema w groteskowym męskim stylu; wszyscy poklepują się nawzajem i ściskają sobie dłonie, zamaszycie potrząsając rękami, żeby zademonstrować swoją siłę. Spoglądam na zegar na desce rozdzielczej; dochodzi dziesiąta. Za godzinę spotkam się z doktor Jones i będę bogatsza o dziesięć tysięcy.

*Muszę przestać ją tak nazywać. To brzmi tak, jakby wciąż była moją przełożoną. Anna Jones bardziej pasuje do morderczyni.*

Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. To Damien macha do mnie. Jego trzej znajomi zniknęli, za to ktoś zaparkował na placu czarne audi, lśniący czystością najnowszy model A3. To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek mogłam nazywać swoją własnością. Trzej mężczyźni zniknęli.

Tak długo starałam się żyć uczciwie – odcięłam się od rodziny, poszłam do szkoły, urabiałam sobie ręce po łokcie i to wszystko po to, by w końcu wrócić tam, skąd uciekłam. Ale cokolwiek by mówić, wystarczyło tylko poprosić, żebym dostała taki wóz.

Wysiadał i odpędzał od siebie posępną myśl, która pojawia się w mojej głowie.

*A może Damien ma rację.*

Parkuję przy ulicy nieopodal szpitala i dalej ruszam piechotą. Prawie przez całą drogę byłam podekscytowana, ale kiedy dojeżdżałam na miejsce, zaczął ogarniać mnie niepokój. Jednym z warunków mojego zwolnienia jest zakaz zbliżania się do szpitala w innym celu niż konieczność uzyskania pomocy medycznej. Jeśli ktoś mnie tu zobaczy, resztę czasu dzielącego mnie od rozprawy spędzę w areszcie.

*A może właśnie o to chodzi Annie? Może chce mnie zwabić w pułapkę?*

*Nie, to nie leży w jej interesie. Nie popadaj w paranoję.*

Kiedy zbliżam się do kontenerów na śmieci, czuję unoszącą się w powietrzu nieświeżą woń. Mijam przybudówki, w których przeprowadza się analizy próbek krwi i wycinków, po czym wychodzę zza rogu.

Anna już na mnie czeka.

Prezentuje się znacznie lepiej niż wczoraj. Umyła włosy, założyła porządne ciuchy i teraz nawet jej cera sprawia wrażenie zdrowszej. Jej policzki różowieją w cieniu okularów przeciwsłonecznych, ale hardo unosi głowę, a zaciśnięte w wąską kreskę usta nadają jej twarzy chłodny i nieprzyjazny wyraz.

– Spóźniłaś się – mówi.

Zaciskam i rozluźniam dłonie. Jak wiele bym dała, żeby wytrzasnąć z niej tę arogancję.

– Masz pieniądze?

Anna sięga do torebki i wyjmuje kopertę. Od razu widzę, że jest wypełniona pieniędzmi, które wybrzuszą się pod cienkim papierem. W ustach wzbiera mi ślina. Wyrwam jej kopertę z ręki, zaglądam do środka i przeliczam pięćdziesięciofuntowe banknoty.

– To jakiś żart? Tu jest tylko pięć tysięcy.

– Na resztę musisz sobie zapracować – odpowiada spokojnie Anna.

Natychmiast ogarnia mnie złość. Tak długo panowałam nad sobą, powstrzymywałam się od uszczypliwości i pokornie przyjmowałam wszystkie ciosy, których nie szczędziło mi życie. Ale jej nieszalancja doprowadza mnie do granic wytrzymałości. Doskakuję do niej i popycham ją na najbliższy kontener.

– Chyba mnie nie rozumiałaś – syczę, przyciskając przedramię do jej szyi. – Nie będziemy negocjować. Albo dajesz mi kasę, albo składam zawiadomienie. Taki był układ.

Anna się uśmiecha. Rozjuszona tą bezczelną reakcją napieram na nią mocniej i widzę, jak żyły nabrzmiewają jej na czole.

– Nie zrobisz tego – chrypi przez ściśnięte gardło.

– Chcesz się przekonać?

Anna sięga ponad moją ręką, która wciąż spoczywa na jej szyi, i zdejmuje ciemne okulary. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy.

– Wiem, że tego nie zrobisz, bo za dużo masz do stracenia. Nie kierujesz się poczuciem przyzwoitości, w przeciwnym razie już dawno poszłabyś na policję. Zależy ci tylko na pieniądzach. Ale w głębi ducha nie jesteś złą osobą, chociaż bardzo starasz się to ukryć. Nie wiem, co cię skłania do tak desperackich kroków, ale najwyraźniej tkwisz w niezłym gównie. Widzę, że na gwałt potrzebujesz tych pieniędzy, i dostaniesz je, jeśli spełnisz moje warunki.

Przez chwilę analizuję swoje położenie, aż w końcu ją puszczam, wydając jęklivy pomruk frustracji.

– Jesteś najbardziej wkurzającą osobą, jaką znam – cedzę przez zęby.

– Nawzajem.

Zapalam papierosa, osłaniając płomień zwiniętą dłonią, i zaciągam się głęboko. Tymczasem Anna poprawia fryzurę i przesuwa delikatnymi palcami po szyi – w miejscu, gdzie ją przycisnęłam, ma zaczerwienioną skórę.

– Jeśli chcesz moich pieniędzy, musisz wiedzieć o wszystkim, z czym się zmagam – mówi. – Ale kiedy ci o tym powiem, klamka zapadnie. Nie będziesz mogła się wycofać.

Jeżeli moje kłopoty popchnęły mnie do szantażu, to ona musi być w naprawdę poważnych tarapatkach, skoro posunęła się do morderstwa. Patrzę na kopertę z pieniędzmi, którą trzymam w drżącej dłoni. Pięć tysięcy nie wystarczy, żeby zacząć nowe życie.

– No dobra – mówię. – Opowiadaj.

– Ja nie żartuję, Margot. Jeśli wszystkiego się dowiesz, też będziesz w tym tkwić. Tego nie da się odwrócić. – Anna wpatruje się we mnie intensywnie przez dłuższą chwilę, aż wreszcie uznaje moje milczenie za oznakę przyzwolenia. – Podnieś bluzkę.

– Co?

– Powiedziałaś, żebyś podniosła bluzkę. Muszę sprawdzić, czy mnie nie nagrywasz.

Parskam nerwowym śmiechem, żeby ukryć rozdrażnienie i niepokój, ale ona czeka w milczeniu. W końcu przewracam oczami i zadzieram bluzkę pod samą szyję, odsłaniając stanik.

– Odwróć się – rozkazuje Anna, kręcąc palcem w powietrzu.

Ręka mnie świerzbi i chętnie zmiotłabym z jej twarzy ten wyraz pewności siebie. Zamiast tego obracam się posłusznie i podciągam bluzkę, żeby pokazać plecy.

– Dobrze. A teraz daj mi swoją komórkę.

Teraz naprawdę mam ochotę jej przywalić. Wydaje mi komendy, jakbym była psem. Siad. Leżeć. Turlaj się. Patrzę na nią z wściekłością w oczach.

– Możesz mieć włączony dyktafon – wyjaśnia Anna zniecierpliwionym tonem. – Oddam ci ją, kiedy skończymy rozmawiać.

Wyszarpuję telefon z kieszeni i wciskam jej do ręki. Patrzę, jak wodzi palcem po wyświetlaczu, żeby się upewnić, czy nie próbowałam jej podejść, a potem wyłącza zasilanie i chowa aparat do torebki.

Wyraźnie usatysfakcjonowana wzdycha przeciągle, jakby zastanawiała się, od czego zacząć.

– Kiedy wróciłam z pracy w zeszły czwartek, w dniu operacji Petera Downinga, w moim domu czekali na mnie jacyś nieznajomi – mówi. – Ci ludzie zabili moją sąsiadkę i porwali mojego syna. Powiedzieli, że jeśli chcę go odzyskać żywego, mam dopilnować, żeby Ahmed Shabir umarł na stole operacyjnym. Próbowałam się sprzeciwić, ale nie miałam innego wyjścia. To dlatego zrobiłam to, co zrobiłam. Żeby ratować moje dziecko.

Słucham jej zaskoczona. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie czegoś takiego. Przez kilka ostatnich dni Anna była wyjątkowo zgrzyliwa. Czyżby dlatego, że porwano jej syna?

– Bzdury – pry cham lekceważąco. – I co, mam ci uwierzyć na słowo? Mogłaś sobie zmyślić taką bajeczkę, żeby wzbudzić moje współczucie i przeciągnąć mnie na swoją stronę.

Anna w milczeniu wyjmuje z torebki swoją komórkę i pokazuje mi zdjęcie na wyświetlaczu. Zdjęcie przedstawia śpiącego chłopca. Z początku myślę, że dzieciak leży na posłaniu z rozgrzebanych koców, ale kiedy przyglądam się uważniej, widzę brudną betonową posadzkę i ścianę z gołych pustaków. Wszystko jest oświetlone surowym światłem lampy błyskowej, a w dłoni chłopca tkwi wenflon, do którego prowadzi znikająca za kadrem rurka.

Otwieram usta ze zdumienia.

*A więc to prawda.*

Anna chowa telefon. Znow przejmuję kontrolę nad sytuacją, a jej chłodne opanowanie sprawia, że wydaje się nieludzka.

– Spełniłam ich żądania, ale oni wciąż go przetrzymują – mówi. – Moje zadanie polegało nie tylko na uśmierceniu pacjenta. Muszę się z tego wywinąć, nie wzbudzając podejrzeń. Tymczasem zainteresowanie ze strony policji i mediów niepokoi porywaczy. Nie oddadzą mi syna, dopóki sprawa nie przycichnie.

Jej twarz nie zdradza żadnych emocji, a głos zachowuje jednostajną tonację. Albo nie chce okazywać przy mnie słabości, bo uważa mnie za zagrożenie, albo jest najbardziej opanowaną osobą, jaką w życiu spotkałam.

– Zainstalowali kamery w moim domu, lokalizator w samochodzie i podsłuch w komórkach. Jeżeli się dowiedzą, że ci o tym wszystkim powiedziałam, zabiją nie tylko mnie

i mojego syna... ale również ciebie. Mówiłam poważnie, że tego nie da się odwrócić.

Czuję nagły skurcz w żołądku, jakbym dostała kopniaka w brzuch.

– Że co? Nie uprzedzałaś, że coś mi grozi. – Zgniatam niedopałek czubkiem buta i odwracam się, żeby odejść. – Nie wciągaj mnie w swoje bagno.

Anna łapie mnie za rękę i przyciąga z powrotem do siebie. Kiedy się odwracam, niemal stykamy się nosami. Czuję, jak zaciska mocno dłoń na moim nadgarstku.

– Teraz już za późno – syczy. – Jeśli piśniesz choćby słówko, ci ludzie zabiją nas obie. Nie oszczędzą też mojego syna, chociaż ma dopiero osiem lat, Margot. Osiem – mówi chrapliwym szeptem, a w jej oczach wzbierają łzy, kiedy wspomina o swoim dziecku. – Mówiłam ci, że nie będziesz mogła się wycofać.

Wrywam rękę z jej uścisku i odchodzę kilka kroków od niej, przeczesując włosy palcami.

– Skoro zauważyłaś, że już siedzę po uszy w gównie, to po jaką cholerę dokładałaś mi jeszcze coś od siebie? – pytam. – Tak się nie godzi.

– Ale z ciebie hipokrytka. Sama tutaj przysłaś, żeby mnie wykorzystać, a kiedy ja robię to samo, uderzasz w moralizatorski ton.

Wkładam do ust kolejnego papierosa, ale tym razem za bardzo drżą mi ręce i nie mogę go zapalić. Bezskutecznie pstrykam zapalniczką, wgniatając przycisk tak mocno, jakbym chciała go zmiażdżyć. Anna dotyka mojej ręki. Jej dłoń jest zimna, ale przynajmniej się nie trzęsie. Wyłuskuję zapalniczkę z moich palców i zapala za pierwszym razem.

– Musimy współpracować – mówi spokojnie. – Tylko w ten sposób obie wygramy.

Patrzę jej w oczy i czuję, jak filtr papierosa rozmaka w moich ustach.

*Nie ufaj jej, przestrzegam się w myślach.*

Zbliżam czubek papierosa do płomienia i cofam się o krok, wdychając trujący dym.

– No dobra... Kim oni są? Kto porwał twoje dziecko?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Anna i oddaje mi zapalniczkę. – Chciałabym, żebyś tego właśnie się dowiedziała.

– Ja?

– Mówiłam ci, że oni śledzą każdy mój krok. Teraz jeszcze policja depcze mi po piętach, a szpital prowadzi wewnętrzne dochodzenie w sprawie śmierci Shabira. Gdziekolwiek się ruszę, jestem pod obserwacją, ale ty nie masz tego problemu. – Anna zerka na zegarek i jej twarz wyraźnie blednie, a oczy wypełnia troska. – Zostało nam niewiele czasu. Masz dobrą pamięć?

Przemawia z taką pewnością siebie, że każde jej zdanie brzmi dobitnie i nagłaco, jakby pstrykała palcami, domagając się ode mnie błyskawicznej odpowiedzi. Ale nie okazuje mi takiego szacunku, jakby uważała mnie za równą sobie. Ilekroć coś mówi albo na mnie patrzy, daje mi wyraźnie odczuć, jak bardzo jest przekonana o swojej wyższości.

– Całkiem niezłą. A co?

– No to słuchaj. Chcę, żebyś ustaliła, w co takiego wplątał się Shabir i komu zależało na jego śmierci. Jestem pewna, że ma to związek z jego kampanią antynarkotykową i tymi wszystkimi urzędnikami, którzy mu podlegali. Jeżeli się dowiemy, komu mógł się narazić, dotrzemy do ludzi, którzy porwali mojego syna. Dostarczę ci kopię jego dokumentacji medycznej. Może znajdziesz tam jakieś wskazówki, ale poza tym musisz działać na własną rękę. Dostaniesz drugie pięć tysięcy, kiedy dowiesz się, co kombinował Shabir, a pozostałe czterdzieści, kiedy odzyskam syna.

Mysłałam, że Anna po prostu zapłaci mi za milczenie, tymczasem ona wciągnęła mnie w swoją rozgrywkę. To wszystko rozegrało się tak szybko, że nawet nie jestem pewna, czy w ogóle zgodziłam się jej pomóc.

*Powinłam była wziąć te pięć kawałków i spadać.*

– Teraz już nie masz odwrotu – przypomina mi Anna, która prawdopodobnie zauważyła panikę w moich oczach. – Powiedziałam ci coś, co może narazić mojego syna na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Mój wewnętrzny głos krzyczy, każe mi uciekać. Nie mam do niej aż tyle zaufania, żeby jej pomagać. Doszłoby do tego, że zaczęłabym się bać własnego cienia.

– Skąd ci ludzie mieliby się dowiedzieć, że cokolwiek mi powiedziałaś? Mogłabym pójść w swoją stronę i udawać, że o niczym nie wiem.

– Bo jeśli zdecydują się mnie zabić, powiem im przed śmiercią, kim jesteś, co wiesz i gdzie cię szukać. Będziesz się ukrywała przez resztę życia. Swoją próbą szantażu naraziłaś mnie i mojego syna na śmiertelne niebezpieczeństwo, a tego ci nie zapomnę.

To była pułapka od samego początku. Anna wcale nie dała mi się zastraszyć. Byłam naiwna, łudząc się, że jest inaczej. Jest zbyt inteligentna, zbyt wyrachowana. Nie byłabym zaskoczona, gdyby ukuła cały ten plan już wczoraj, kiedy rozmawialiśmy w tym lasku za jej domem. Mam wrażenie, że cały czas wyprzedza mnie o krok.

– A więc możesz teraz pójść w swoją stronę i uciekać, dopóki cię nie dopadną – ciągnie Anna. – Albo możesz współpracować ze mną, a potem spokojnie wyjechać z miasta bogatsza o pięćdziesiąt tysięcy. Masz godzinę na podjęcie decyzji. Jeśli postanowisz mi pomóc, kupisz dwie komórki na kartę i wrócisz tu z nimi o wpół do pierwszej.

Oszolomiona przyglądam się jej w milczeniu, gdy oddaje mi mój telefon, po czym zakłada z powrotem okulary przeciwsłoneczne i rusza w stronę szpitala.

– Dokąd się wybierasz?

– Na przesłuchanie w sprawie śmierci Shabira. Wróć tutaj z kopią jego dokumentacji. Jeżeli się zjawisz, dalek działamy razem.

– A jeżeli nie?

Anna przygląda mi się zza ciemnych szkieł, jej wzrok przeszywa mnie na wylot. Zawsze jej nienawidziłam, ale teraz uświadamiam sobie, że ona też musi mnie nienawidzić.

– To życzę ci dużo szczęścia, bo będziesz go potrzebowała – odpowiada.

Oddała się szybkim krokiem i znika za rogiem, zostawiając mnie samą przy kontenerach na śmieci z wypalonym do filtra papierosem między palcami.



Rachel  
Wtorek, 9 kwietnia 2019  
11.30

– Conaty – zwraca się do mnie nadinspektor Whitman, stojąc w drzwiach swojego gabinetu.  
– Pozwól na słówko.

Stoją właśnie obok biurka sierżanta Ryana i czuję na sobie zaintrygowane spojrzenia obecnych w sali kolegów. Wszyscy dobrze wiemy, że ton głosu nadinspektora nie zwiastuje niczego dobrego. Idę do jego gabinetu z uniesioną głową i nie rozglądam się na boki.

– Usiądź – mówi George, przyglądając dłonią krótko przystrzyżone włosy. Patrzy, jak zamykam za sobą drzwi i siadam naprzeciwko niego, po czym wydaje przeciągłe westchnienie.  
– Nie ma sensu owijać w bawełnę, więc przejdę od razu do rzeczy. Dziś rano, kiedy byłaś w terenie, dostałem skargę na ciebie. Zadzwoniła do mnie pewna osoba, która twierdzi, że ją nękaasz.

Otwieram usta ze zdumienia.

– Co? Kto taki?

– Doktor Anna Jones.

Nie mogę się powstrzymać i parskam śmiechem.

– Żartujesz sobie, nie?

Mój szef wbija we mnie surowe nieubłagane spojrzenie.

– Jest zaniepokojona twoją kondycją psychiczną – dodaje.

– Moją kondycją psychiczną?

– Obawia się, że przenosisz swoją osobistą tragedię na jej dziecko.

Doktor Jones należy do osób, które wykorzystują swoją dominującą osobowość, żeby przejąć kontrolę nad otoczeniem. Samą swoją obecnością potrafi skupić na sobie uwagę. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby wykorzystwała tę taktykę, rozmawiając przez telefon z Whitmanem.

– To niedorzeczne, szefie. Niczego takiego nie robię. Ja tylko wykonuję swoją pracę.

– Niezupełnie, Conaty – odpowiada nadinspektor i podnosi leżącą na biurku teczkę z aktami sprawy Pauli Williams. – Nikt nam nie zgłosił porwania dziecka. Mamy tu morderstwo, którego okoliczności wyraźnie wskazują na powiązania z przestępczością zorganizowaną. Ale ty zamiast ścigać sprawcę popadłaś w obsesję na punkcie tego chłopca, który, jak wynika z zeznań obojga jego rodziców i aktualnego opiekuna, nie jest zaginiony. Mimo to nadal podążasz tym tropem, chociaż ci powiedziałem, żebyś odpuściła. Dlaczego?

Rzuca z powrotem teczkę na blat.

– Naprawdę nie wiesz? Jeśli wierzyć ich zeznaniom, to brat i syn doktor Jones jako ostatni widzieli ofiarę żywą. Według nagrań z monitoringu Paula Williams nie dotarła z powrotem do domu, co oznacza, że po drodze spotkała kogoś, kto ją porwał. Dlatego tak ważne jest ustalenie wszystkich szczegółów towarzyszących jej zniknięciu. A jeśli mam być szczerą, niewiele mnie obchodzi, co mówią krewni dzieciaka. Nikt z organów ścigania nie potwierdził miejsca jego pobytu.

– I tak oto przechodzimy do drugiej skargi.

– Ty naprawdę sobie ze mnie żartujesz.

– Odebrałem wiadomość z posterunku w Kornwalii. Podobno do nich wydzwaniasz i strofujesz funkcjonariuszy.

– Strofuję? Oczekuję tylko, żeby wypełniali swoje obowiązki. Udali się pod wskazany adres, do domu brata podejrzanego, ale nikogo nie zastali. Kiedy im kazałam obserwować dom, dopóki ktoś się nie zjawi, wypiełam się na mnie.

– Nie możesz oczekiwać, że ktoś ci przydzieli dwóch swoich ludzi, żeby cały dzień tkwili w terenie z powodu dzieciaka, który nie figuruje jako zaginiony. Ciężka budżetowa dotknęła ich jeszcze bardziej niż nas i, możesz w to wierzyć albo nie, oni też tam mają swoje śledztwa.

– Chodziło mi o kontrolę warunków życia tego chłopca.

– Który nie figuruje jako zaginiony! – powtarza nadinspektor podniesionym głosem.

Wzdrygam się lekko, ale widzę, że jego twarz powoli łagodnieje; wzdycha i spuszcza wzrok, jakby próbował zapanować nad emocjami i zebrać myśli.

– Przesłuchałem nagranie twojej rozmowy z doktor Jones – przerywa w końcu milczenie. – Nazwałaś tego chłopca imieniem swojego syna.

Serce zamiera mi w piersi. Wiedziałam, że to się na mnie zemści. Pot spływa mi po żebkach i kropki się nad górną wargą. Czuję, jak wilgotnieją mi dłonie.

– To była najzwyklejsza pomyłka.

– Za mocno się angażujesz i zacierają ci się granice – mówi George. – Ostrzegam cię po raz ostatni. Jeżeli znowu usłyszę o podobnych zachowaniach, przekażę to śledztwo komuś innemu.

Wpatruje się we mnie, a jego frustracja powoli ustępuje miejsca trosce. Bierze z biurka plik teczek z dokumentami i kładzie je przede mną.

– To są stare sprawy z takim samym modus operandi, które pasują do tego morderstwa – dodaje. – Zajmij się tym i niczym więcej. Taki jest zakres twoich obowiązków od samego początku.

Wiem, że powinnam milczeć, ale nie mogę się powstrzymać.

– Doszły mnie słuchy, że to nasza doktor Jones operowała Ahmeda Shabira – wyrzucam z siebie bez zastanowienia. – To nie może być przypadek, że jej sąsiadka została zamordowana na krótko przed śmiercią tak ważnego...

Nadinspektor przerywa mi gestem dłoni.

– Jeśli zaczniesz szerzyć teorię spiskową na temat śmierci Shabira, natychmiast cię zawieszę i wyślę do psychiatry – ostrzega mnie i nie przestając patrzeć mi w oczy, znów podnosi z blatu akta sprawy Pauli Williams. – Jeżeli się dowiem, że coś kombinujesz, skopię ci tyłek, zrozumiano?

Przez chwilę wytrzymuję jego spojrzenie, ale w końcu daję za wygraną i kiwam głową.

– Dobrze – mówi Whitman. – A teraz bierz się do roboty.

Wstaję i ruszam do wyjścia, trzęsąc się z bezsilnej złości. Kiedy wracam do wspólnej przestrzeni biurowej, wszyscy patrzą na mnie wyczekująco. Pewnie myślą, że tak samo jak oni utknęłam w martwym punkcie. W odpowiedzi posyłam im gniewne spojrzenie i widzę, jak po kolei spuszczają wzrok. Wchodzę do mojego gabinetu i stanowczym ruchem zamykam za sobą drzwi.

Doktor Jones wykorzystała moją tragedię przeciwko mnie. Na krótką chwilę opuszcza mnie zawodowa bezstronność i czuję do niej nienawiść. Moją pierś rozsadza kipiący gniew. Wiem, że coś się stało z jej synkiem. Czuję to, tak jak potrafi tylko poczuć matka zaginionego dziecka. Tego chłopca spotkało coś złego i obie doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. Tylko dlaczego

doktor Jones robi wszystko, żeby to zataić? Która matka nie chce zawiadomić policji o zaginięciu swojego dziecka?

Jej brat Jeff zachowuje się tak samo podejrzanie jak ona. Kiedy w końcu udało mi się porozmawiać z nim przez telefon dziś rano, znajdował wymówki, żeby wykręcić się od wszystkiego, o co go prosiłam. Tak samo jak Anna Jones.

*Owszem, patrol może przyjechać, ale nie obiecuję, że nas zastanie. Mamy w planach wiele atrakcji i nie zamierzam psuć dzieciakom ferii przesiadywaniem w domu. Niestety nie mogę przyjechać z Zackiem na posterunek. To spory kawałek stąd, a mój samochód jest w warsztacie. Wjechałem na kamień i uszkodziłem zawieszanie. Nie, nie może pani z nim teraz porozmawiać. Właśnie drzemie po porannym pływaniu. Byłoby najlepiej, gdyby pozwoliła nam pani wypoczywać w spokoju.*

Obydwoje mają kłamstwo we krwi. Są w tym naprawdę doskonali. Ale jeśli doktor Jones myśli, że pozbędzie się mnie, wykorzystując zaginięcie mojego dziecka, to grubo się myli. Teraz jeszcze bardziej zależy mi na odnalezieniu jej syna.

Nie odpuszczę, dopóki się nie dowiem, co go spotkało.

Sięgam po telefon, wybieram numer i patrzę przez szklaną ścianę na sierżanta Ryana, który podnosi słuchawkę przy swoim biurku.

– Wpadnij do mnie na chwilę – mówię.

Rozłączam się, nie czekając na odpowiedź. Widzę, jak mój podwładny wstaje.

– Zamknij drzwi – polecam mu, kiedy wchodzi do mojego biura.

– O co chodzi, szefowo? – pyta Ryan, siadając naprzeciwko mnie.

Jest wyraźnie zaniepokojony.

– Chciałabym, żebyś nadal pracował nad tropem Zacka Jonesa.

Po jego minie widzę, że opuszcza go pewność siebie. Całe jego ciało się napina.

– Ale...

– Jeżeli nic nie znajdziesz, dam sobie spokój, ale zapewnienia opiekunów tego dzieciaka to dla mnie za mało. W razie wypadki to ja dostanę opieprz, nie ty. Zgadzasz się?

Ryan zerka przez ramię w stronę drzwi, jakby szukał wsparcia, albo nawet zamierzał uciec. Dać nogę, zanim przekabacę go na swoją stronę.

– Co miałbym zrobić?

– Ustal, czy wujek rzeczywiście zabrał chłopca do Kornwalii. Na trasie powinny być setki kamer. Poszukaj jego numeru rejestracyjnego na monitoringu ze stacji benzynowych albo w fotoradarach. Nie da się przejechać takiego dystansu samochodem z dwójką dzieci i nie zatrzymać się po drodze. Jeśli nie znajdziesz niczego podejrzanego, dam sobie spokój.

Ryan słucha mnie ze spuszczoną głową.

– Zrobi się, szefowo – odzywa się.

– Popatrz na mnie – mówię i czekam, aż uniesie wzrok. – Jestem ci naprawdę wdzięczna.

– Ja tylko wykonuję rozkazy.

Uśmiech znika z mojej twarzy. Jestem pewna, że właśnie tak będzie się tłumaczył, jeśli sprawa wyjdzie na jaw.





Anna  
Wtorek, 9 kwietnia 2019  
11:50

Siedzę na korytarzu, zaciskając mocno dłonie na uchwycie torebki.

Tyle razy utrwalalam w pamięci moją historię, że mogłabym ją wyrecytować przez sen, ale teraz już nie powinnam jej powtarzać, żeby moje zeznania nie brzmiały zbyt sztucznie. Muszę wypowiadać każde kłamstwo z głębokim przekonaniem, okazywać emocje i robić pauzy, jakbym wracała myślami do prawdziwych wspomnień. Starać się wypaść jak najbardziej naturalnie, a nie wygłaszać bez chwili zastanowienia gładko wyćwiczone kwestie. Nie mam pojęcia, kiedy nauczyłam się tak dobrze kłamać.

Od rana wszystko przebiega zgodnie z planem. Po przebudzeniu nie czułam się przytłoczona brzemieniem strachu. Margot powinna popsuć mi samopoczucie swoim szantażem, ale szybko sobie uzmysłowiłam, że tak naprawdę spadła mi z nieba. Dała mi możliwość przejścia kontroli nad sytuacją. Sama niewiele mogę zdziałać, będąc pod ciągłą obserwacją, ale ona ma nieograniczoną swobodę ruchu. I skorzysta z niej, bo jej sytuacja jest prawie tak samo beznadziejna jak moja. A jeśli chodzi o inspektor Conaty, pomogła mi informacja, którą dostarczyli mi porywacze.

Naprawdę niezmiernie mi przykro z powodu jej syna, powiedziałam nadinspektorowi Whitmanowi. To musiał być dla niej straszny cios, ale nic nie usprawiedliwia napastliwej postawy wobec mnie i mojej rodziny. Na pewno rozumie pan moje niezadowolenie.

Wyjaśniłam, że jeśli zrobiłam na inspektor Conaty wrażenie niechętniej do współpracy albo zdenerwowanej, było to wynikiem stresującej pracy. Tutaj wspomniałam o operacji Ahmeda Shabira i zaznaczyłam, że jestem zobowiązana do zachowania tajemnicy lekarskiej. Whitman przeprosił mnie wylewnie i obiecał, że zajmie się tą sprawą. Potem pozostało mi podjąć gotówkę z banku i czekać, aż Margot wejdzie w zastawioną pułapkę.

Szczerze współczuję tej policjantce, ale przede wszystkim muszę ratować mojego syna. Conaty chce pomóc Zackowi, ale nie zdaje sobie sprawy, że grzebiąc w naszym życiu, naraża go na niebezpieczeństwo. Zrobię wszystko, żeby ją powstrzymywać, nawet gdybym musiała zrujnować jej karierę.

Po telefonie na komendę poszłam do łazienki, wyrzuciłam do muszli tabletki uspokajające, a potem spałam włosy w koński ogon, żeby luźno zwisające kosmyki nie prowokowały mnie do skubania. Nie mogę znowu się rozkleić, muszę być opanowana. Użalanie się nad sobą i destruktywne mechanizmy obronne do niczego dobrego mnie nie doprowadzą. Teraz jestem potrzebna Zackowi.

Otwierają się drzwi i na progu staje Keith Montague, dyrektor do spraw medycznych.

– Możemy zaczynać przesłuchanie, doktor Jones.

Odsuwa się na bok, żeby zrobić mi przejście, i odsłania długi stół, przy którym czekają na mnie członkowie zarządu szpitala. Wszyscy zerkają z zaciekawieniem, kiedy wstają i ruszają w stronę otwartych drzwi. Montague posyła mi nikły uśmiech; nie jestem do końca pewna, czy na znak solidarności, czy współczucia.

Wychodzę z toalety. Pod pachami mam zwinięte chusteczki higieniczne, a moje policzki wciąż czerwienią się od stresu. Prawie cały makijaż spłynął mi z twarzy wraz ze strumieniami potu. Odpowiedziałam na wszystkie pytania w spokojny i racjonalny sposób, używając wszystkich słów i sformułowań, które sobie przećwiczyłam, ale moje ciało nie potrafi kłamać.

*W takiej sytuacji każdy byłby kłębkiem nerwów, winny czy nie.*

Powtarzam sobie te słowa raz za razem w nadziei, że w końcu w nie uwierzę. Jednak wciąż słyszę echo ostatniego pytania, które mi zadano.

*Czy jest coś, co w twojej ocenie powinnaś była albo mogłaś zrobić inaczej?*

Nie, odpowiadam sobie, idąc korytarzem. Zrobiłabym to wszystko jeszcze raz, gdybym musiała.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, nagrzane duszne powietrze uderza mnie niczym gorąca fala. Słońce praży tak mocno, jakby w zeszłym tygodniu wcale nie było chłodno. Idąc chodnikiem prowadzącym na tyły szpitala, zerkam na zegarek i przyspieszam kroku. Jestem spóźniona dwadzieścia minut na spotkanie z Margot. Jeśli w ogóle przyszła.

Kiedy dochodzę do śmietnika, chusteczki pod moimi pachami są już całkiem mokre, a twarz mam pokrytą kropelkami potu. Biorę głęboki wdech i wychodzę zza rogu.

Nie ma jej.

*Psiakrew.*

Zaczynam przechadzać się nerwowo tam i z powrotem. Narasta we mnie wściekłość i powstrzymuję się, żeby nie kopnąć kogoś z kontenerów na śmieci.

*A byłam taka pewna, że uda mi się nakłonić ją do współpracy. Ale ona oczywiście uciekła, tchórzliwa gnida.*

Chociaż próbowała mnie szantażować, dostrzegłam w niej promyk nadziei – była jedyną osobą, na którą miałam wpływ. Teraz nie wyobrażam sobie, jak mogłabym uwolnić Zacka bez jej pomocy.

Czuję, że coś upada mi pod nogi. Spoglądam w dół i widzę tłącą się niedopałek. Przede mną stoi Margot ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

– Już spanikowałaś? – pyta, uśmiechając się ironicznie.

Mam ochotę odetchnąć z ulgą, ale wiem, że sprawiłoby jej to zbyt dużą satysfakcję.

– Nie schlebiaj sobie. Po prostu martwię się posiedzeniem zarządu.

– Tak, jasne – mówi Margot z przekąsem. – A ja miałam trochę czasu, żeby sobie to wszystko przemyśleć.

Moje tętno przyspiesza.

*Co znowu?*

– Narażasz moje życie, wciągając mnie w tę aferę.

– Nie znalazłabyś się w takiej sytuacji, gdybyś nie próbowała mnie szantażować.

Margot prychna pogardliwie i wodzi językiem po górnej wardze, jakby powstrzymywała słowa, które cisną się jej na usta. Podchodzi bliżej i zatrzymuje się metr przede mną.

– Jeśli chcesz, żebym załatwiła twoje sprawy, pięćdziesiąt tysięcy nie wystarczy.

– Nie mam już więcej pieniędzy.

– Nie chodzi mi o pieniądze – oświadcza Margot i patrzy na mnie w milczeniu, potęgując napięcie.

Zaczyna robić mi się niedobrze.

– Och, na litość boską, wykrztuś to wreszcie!

– Chcę twoje pierścionki.

– Moje...

Otwieram usta ze zdumienia i natychmiast karczę się w myślach za ten przejaw słabości. Właściwie nie powinno mi na nich zależeć; dostałam je od kłamcy i oszusta. Ale chodzi o zasady. Te pierścionki symbolizują całe życie Zacka.

– Chyba nie będą ci już potrzebne – dodaje Margot. – Dasz mi pierścionek zaręczynowy, kiedy znajdę coś na Shabira, i obrączkę, kiedy będzie już po wszystkim.

Przepelnia mnie nienawiść, gdy widzę, jak na jej twarzy pojawia się odrażający uśmiech.

– Zgoda, ale będziesz musiała sobie na to wszystko zapracować. Tu masz całą dokumentację Shabira – mówię, wręczając jej gruby skoroszyt. – Do wieczora chcę wiedzieć, w co był zamieszany.

– Co? Chyba sobie kpisz. Jak niby mam...

– Nie obchodzi mnie to. Jeśli chcesz moją biżuterię i pieniądze, to się postaraj. Mój syn już nie może dłużej czekać. Kupiłaś komórki?

Margot podaje mi czarne kartonowe pudełko.

– Podładowałam ją trochę w samochodzie. Zapisałam ci mój numer.

Biorę od niej pudełko nieco zbyt energicznym ruchem i chowam je do torby.

– W porządku.

Stoimy naprzeciwko siebie w niezręcznym milczeniu, nie mamy pojęcia, co powiedzieć. Obie przedstawiłyśmy swoje warunki i każda z nas wie, czego oczekuje druga. I nie mamy do siebie nawzajem za grosz zaufania.

– No cóż, nie ma co zwlekać – odzywam się w końcu. – Masz dzisiaj dużo pracy.

Spojrzenie Margot staje się jeszcze bardziej wrogie. Patrzę za nią, gdy odchodzi bez słowa i znika za rogiem.

Nie mam zamiaru dawać jej więcej pieniędzy – nie mogłabym, nawet gdybym chciała. Dopóki nie dojdzie do podziału majątku, nie mogę sprzedać niczego wartościowego i chociaż mam swoje oszczędności, są zbyt skromne, aby zaspokoić żądania Margot. Mogłam podjąć z banku tylko dziesięć tysięcy. Na razie dałam jej połowę, a resztę zostawiłam sobie, żeby móc ją uciszyć, kiedy zacznie domagać się więcej. Ale to wszystko, co ode mnie dostanie. Teraz muszę tylko zadbać o to, żeby miała dużo zajęć; powinna być zbyt zaabsorbowana, aby zauważyć, co się dzieje, zanim będzie za późno. Obiecałabym jej wszystko, gdybym tylko dzięki temu mogła odzyskać Zacka. Zastanawiam się, czy ona też zamierza mnie wykiwać.

Jeżeli chcę z tego wyjść obronną ręką, muszę przewidzieć każde posunięcie, jakie planuje Margot. Cały czas muszę być o krok przed nią.



Margot  
Wtorek, 9 kwietnia 2019  
13.16

Parkuję przy krawężniku przed domem Damiena i zastanawiam się, jak smakuje więzienne jedzenie. Czy rzeczywiście jest tak obrzydliwe, jak wszyscy opowiadają.

*Powinłam się wycofać z tego układu, iść na policję i przyznać się do tego, co zrobiłam. W cokolwiek wpakowała mnie Anna, prawdopodobnie za kratkami będę bezpieczniejsza niż na wolności.*

Wyobrażam sobie, jak chodzę po celi, opierając dłonie na krzyżu, żeby zmniejszyć wagę ciężowego brzucha. Chciałabym jak niektóre kobiety mieć przy sobie partnera, który wymasowałby mi opuchnięte stopy; chciałabym jeść tylko produkty ekologiczne, żeby zapewnić mojemu dziecku najbardziej pożywną dietę. Ale jedyne, na co będę mogła liczyć, to szemrana towarzyszka w celi i ohydna breja z więziennej kuchni.

*O nie, zdobędę pieniądze i ucieknę stąd. Nie pozwolę, żeby moje dziecko mnie znienawidziło.*

Anna okazała się o wiele bardziej wyrachowana i zacięta, niż przypuszczałam. Zawsze wiedziałam, że brak jej ludzkich uczuć, ale nie zdawałam sobie sprawy, jaka jest przewrotna i jak szybko potrafi zachwiać równowagę sił, przejmując kontrolę nad sytuacją. Nie wiem, jak według niej mam do wieczora ustalić, dlaczego komuś mogło zależeć na śmierci Shabira. Przecież to niewykonalne. A może na tym właśnie polega jej plan – jeżeli zawiodę, będę miała pretekst, żeby mi nie zapłacić.

Udowodnię jej, że mnie nie docenia.

Wysiadam z samochodu i pukam do drzwi domu. Otwiera mi Damien, szczerząc poźółtkę od nikotyny zęby. Po jego głupekowatym uśmiechu i szklistych otumanionych oczach widzę, że jest kompletnie naćpany. To też zasługa matki, która pierwszy raz dała nam zapalić trawkę.

– Zapraszam – mówi Damien, naśladowując wytworny ton, i zamaszystym gestem zaprasza mnie do środka. – Właśnie robię lunch.

– Dopadła cię gastrofaza? – pytam, przestępując próg.

W domu czuć woń marihuany i smażonego bekonu, tak jak w czasach, kiedy matka urzędowała w kuchni.

Mój brat chichocze jak mały chłopiec.

– Świętujemy.

– Rick jest w domu?

– Tak – odpowiada mój brat i wyciera spocone dłonie w podkoszulek. – Siadaj, przyniosę ci kanapkę.

Rick leży półnagi na sofie i zaciąga się skrętem.

– Kogo ja widzę? – mówi. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

Po jego minie widzę, że jest tak samo odurzony jak Damien. Zastanawiam się, czy oni w ogóle kiedyś pracują.

– Mam nadzieję, że bardzo nie narzekaliście.

Przechodzę przez salon i siadam na podłodze przed telewizorem.

– Siadaj koło mnie – zachęca mnie Rick, z trudem próbując się podnieść do pozycji siedzącej.

– Tu jest mi dobrze.

– Nie wygłupiaj się.

Rick poklepuje sofę, a gdy tylko zajmuję miejsce obok niego, podaje mi skręta. Moje nozdrza atakuje ostra woń zatechłego potu.

– Nie, dzięki.

Rick wzrusza ramionami i zaciąga się ponownie.

– Słyszałem, że wymyśliłaś, jak szybko się wzbogacić...

– A jakże. – Damien wchodzi do salonu i kładzie mi tacę na kolanach; talerz grzanek z bekonem i szklanka coli, której brunatny kolor przywodzi mi na myśl zepsuty ząb matki. – Wcinaj.

– No więc jaki masz plan? – pyta Rick.

Kiedy unosi skręta do ust, zauważam sygnet na jego palcu. Wygląda znajomo, ale nie potrafię sobie przypomnieć, gdzie go widziałam.

– Możesz mu powiedzieć – woła przez ramię mój brat, wracając do kuchni. – On jest jednym z nas.

*Jednym z nas.*

Ogarnia mnie wstyd na myśl, że mogę mieć coś wspólnego z tymi ludźmi. Wsuwam dłoń pod koszulkę i gładzę się po brzuchu.

*Nie jesteście tacy jak oni.*

– Słyszałeś w wiadomościach o tym polityku? – pytam.

– O tym, co mu serce nawaliło? No jasne.

– Raczej lekarka nawaliła – wtrąca Damien, który wraca z dwoma kolejnymi talerzami. – Maggot widziała na własne oczy, jak ta kobieta zabiła pacjenta na stole operacyjnym.

Ricky otwiera usta ze zdumienia.

– Nie może być.

– A pani doktor jest nadziana, nie, Maggot?

Przytakuję.

– Pomyślałam, że mogę na tym skorzystać – mówię.

Damien z uznaniem kiwa głową i rozsiada się w fotelu matki. Nawet kiedy uśmiecha się zadowolony z siebie, nie jest do niej podobny ani trochę.

– I jak się udało spotkanie? – pyta.

Wyciąga rękę do Ricka i bierze od niego skręta. Kiedy ich dłonie się spotykają, zauważam, że obaj noszą takie same sygnety. Widziałam już taki u kogoś, ale przesiąknięte trawką powietrze i pełen emocji poranek sprawiają, że moja pamięć mnie zawodzi.

– Wszystko poszło zgodnie z planem.

Gdybym się przyznała, jak bardzo zawałam i dałam się zdominować, Damien mógłby zważyć w mój plan. Nie wspominam też o pierścionkach Anny, bo nie zamierzam się nimi dzielić. Wiem, że jego troska jest podszyta chęcią zysku, ale wciąż jestem zdana na niego.

– Dała ci zaliczkę?

*A więc dlatego zadaje mi te wszystkie pytania. Chce wiedzieć, czy mam coś dla niego.*

– Tak, ale na razie ukryłam pieniądze w bezpiecznym miejscu.

Rick marszczy czoło.

– A tutaj nie jest bezpiecznie?

*Nie.*

– To bystra dziewczyna. – Damien odgryza kęs kanapki i keczup ścieka mu po brodzie. – Dostaniemy swoją dolę, kiedy przyjdzie na to czas. Maggot wie, co robi, nie?

Uśmiecha się do mnie, ale jego oczy mają poważny wyraz. Subtelnie daje mi do zrozumienia, gdzie jest moje miejsce; uświadamia, co mnie czeka, jeśli wystawię ich do wiatru.

– Jasne – odpowiadam nieśmiało.

Mój brat spogląda na Ricka, nie przestając szczerzyć zębów w uśmiechu.

– Widzisz? Mówiłem ci, że wyrosła na ludzi. W końcu przyłożyłem rękę do jej wychowania.

Chwytam kanapkę i zaczynam jeść. Bekon jest tak mocno spieczony, że drapie mnie w przełyku. Kiedy Rick unosi dłoń do ust, znów zerkam na jego sygnet.

*Już wiem, gdzie widziałam taki sam.*

Na sygnecie widnieją dwa splecione węże, które stykają się głowami jak do pocałunku. Podobny motyw znajdował się na szyldzie złomowiska, ale ja widziałam go jeszcze wcześniej, zanim to wszystko się zaczęło. Ahmed Shabir miał identyczny sygnet. Zwróciłam na niego uwagę przed operacją, kiedy leżał na szafce obok łóżka razem z obrączką ślubną. Zastanawiałam się, ile mogłabym za nie dostać, dlatego zapadły mi w pamięć.

*Dlaczego człowiek pokroju Ahmeda Shabira nosił taki sam sygnet jak te dwie szumowiny?*

– Pracujecie razem na złomowisku? – pytam.

– Tak – odpowiada Rick z pełnymi ustami i kiwa głową w stronę Damiena. – Tam się poznaliśmy.

– Jak dostałeś tę robotę?

– Kolega kolegi mi załatwił. Jego wujek Fahim jest tam szefem. Kiedy się dowiedział, ile lat handlowałem prochami...

– Rick – przerywa mu Damien tonem przestrogi.

A więc to nie jest dziupla. Ci ludzie działają w branży narkotykowej, a samochody to tylko działalność uboczna.

– A jak się nazywa ten szef? – pytam najbardziej nonszalanckim tonem, na jaki potrafię się zdobyć. – Może go znam.

– Wątpię. Nazywa się Shabbar.

– A nie Shabir?

– Nie, na pewno Shabbar. Pewnie kojarzy ci się z tym politykiem.

– Właśnie – mówię i znów sięgam po kanapkę. – Coś mi się pokreśliło.

Shabir. Shabbar. Podobieństwo tych nazwisk nie może być zwykłym zbiegiem okoliczności. Ale dlaczego szanowany członek parlamentu miałby się zadawać z takimi ludźmi?

Rick znowu unosi do ust rękę z kanapką i kątem oka dostrzegam błysk na jego palcu. Wiedziona nagłym impulsem unoszę nogę, przechylając tacę i wylewam na niego colę z mojej szklanki.

– Och, przepraszam!

Rick zszokowany patrzy, jak cola wsiąka w jego spodnie i rozlewa się po talerzu, tworząc brunatną kałużę, w której pływają kawałki rozmakającego chleba. Potem przenosi wzrok na Damiena i obaj wybuchają śmiechem. Mój brat tarza się po dywanie. Rick czerwony na twarzy ociera łzy. Prawdopodobnie nie byłoby mu tak do śmiechu, gdyby nie był naćpany.

Biorę od niego talerz ociekający colą i kładę na tacy, którą upuściłam na podłogę. Dyskretnie zerkam na jego dłoń, aby się upewnić, czy jest wystarczająco mokra. Teraz sygnet powinien łatwo się ześliznąć.

– Chodź się przebrać – mówię. – Trzeba cię doprowadzić do porządku.

Podaję mu rękę i odchylam się do tyłu, ciągnąc go, kiedy o ciężale dźwiga się z kanapy. Bez trudu udaje mi się zsunąć sygnet z jego palca.

– Nie gniewasz się? – pytam.

– Jasne, że nie. To było przekomiczne. No chodź.

Bierze mnie w objęcia i przywieram policzkiem do jego piersi lepkiej od coli. Próbuję się uwolnić, a twarz czerwienieje mi z wysiłku, ale wiję się bezsilnie w jego uścisku, co tylko wywołuje kolejne salwy śmiechu. Przez chwilę przepętnia mnie nienawiść. W końcu Rick mnie wypuszcza, mierzwi mi włosy, po czym wychodzi z salonu, potykając się i chichocząc po drodze.

Chowam jego sygnet do kieszeni, chwytam torebkę i ruszam do wyjścia.

– To wygląda jak ucieczka z miejsca wypadku – mówi mój brat ze śmiechem.

– Przepraszam, ale muszę znowu wyjść. Zobaczmy się później.

– Ale podzielisz się z nami tą kasą, Maggot, prawda?

Damien już się nie uśmiecha. Przeszywa mnie wzrokiem, a jego twarz przybiera zacięty wyraz. Nie musi nawet się odzywać, żeby wzbudzić strach. Czuję, że mam gęsią skórę na przedramionach.

– No jasne.

– To dobrze.

Damien puszcza do mnie oko i znów się uśmiecha samymi ustami. Czuję ciarki na plecach, kiedy odpowiadam mu wymuszonym uśmiechem i wychodzę. Kiedy mój brat się zorientuje, że znikłam z pieniędzmi, postawi sobie za punkt honoru, żeby się na mnie odegrać.

Z tej drogi nie będzie odwrotu.



Margot  
Wtorek, 9 kwietnia 2019  
17.10

Siedzę w bibliotece przed monitorem komputera i pulsujący ból rozsadza mi głowę. Przez kilka godzin przeglądałam doniesienia prasowe, komunikaty policyjne i archiwalne artykuły. Tak długo studiowałam dokumentację medyczną Ahmeda Shabira, że znam ją teraz tak dobrze jak własną. Mimo to wciąż nie nasuwają mi się żadne wnioski.

Wciskam głęboko słuchawki w uszy i odtwarzam materiał wideo. Shabir wypowiada się w telewizyjnym panelu dyskusyjnym, przyrównując narkomanię do epidemii, która szerzy się w naszym kraju, i apelując do rządu o przeprowadzenie koniecznych reform.

*Jakim cudem człowiek, który był tak zdeklarowanym przeciwnikiem handlu narkotykami, mógł mieć coś wspólnego z Fahimem Shabbarem i jego firmą?*

Idąc za sugestią Anny, przejrzałam także opublikowane w sieci statystyki. Media wychwalały Shabira za wzrost liczby aresztowań i wyroków skazujących w sprawach o handel narkotykami, jednak z danych statystycznych wynikało, że liczba zgonów spowodowanych przedawkowaniem pozostawała taka sama. Narkotyki nadal trafiały do miasta tak jak dawniej mimo kampanii wymierzonej w handlarzy.

*To nie ma sensu.*

Opierając łokcie na blacie, pochylam głowę i przeczesuję włosy palcami. Jeśli do wieczora nie znajdę niczego, moja zapłata przypadnie, a bez pieniędzy nie mam szans na ucieczkę. Znowu wyobrażam sobie, jak przechadzam się po celi, podtrzymując ciężarny brzuch, przytłoczona brzemieniem odpowiedzialności. Jeszcze raz spoglądam na otwarty skoroszyt.

W aktach Ahmeda Shabira nie znalazłam niczego alarmującego. Pacjent nie zmieniał nazwiska od momentu założenia kartoteki, a informacje, które podawał podczas wizyt lekarskich, okazały się prawdziwe – wszystko znajdowało potwierdzenie w internetowej bazie danych zawierającej jego archiwalną dokumentację medyczną, począwszy od szkoły podstawowej aż po studia na Uniwersytecie Oksfordzkim. Jeżeli dziennikarze szukali jakichś brudów w jego przeszłości, wysilali się na próżno. Na papierze był czysty jak łąka. Ból rozsadza mi czaszkę, a nad moją głowę warczy rozklekotany klimatyzator, przyprowadzając mnie o gęsią skórę. Sięgam po leżący na stole sygnet Ricka i wsuwam go na palec, podziwiając złoty ornament. Według tego, co znalazłam w sieci, splecione węże symbolizują dobro i zło, które równoważą się w każdym z nas; coś w rodzaju moralnego jin i jang. Trudno sobie wyobrazić dobrego dilerka narkotykowego, ale z pewnością niektórym z nich taka koncepcja pozwala uspokoić sumienie.

*Nazwiska Shabbar i Shabir brzmią zbyt podobnie. To nie może być zbieg okoliczności, nie w obliczu tajemniczej śmierci polityka na stole operacyjnym. Właśnie tu musi tkwić rozwiązanie zagadki.*

Przyciskam mocno palce do skroni i staram się połączyć w myślach wszystkie tropy. Sięgam po dokumentację Shabira i studiuję ją jeszcze raz, patrząc na te same słowa, które czytałam już kilkanaście razy. Chorobę wykryto u niego, kiedy miał dwadzieścia pięć lat, a w trzydziestym roku życia rozpoczął leczenie. Przeglądam dobrze znaną diagnozę hipercholesterolemii i nagle nieruchomieję, przyciskając palec do kartki, na której widnieje wzmianka o ojcu pacjenta.



*Ahmed nie zmienił nazwiska. Ale mógł to zrobić jego ojciec.*

Poruszam myszą, budząc monitor do życia i otwieram stronę „Gazette” zawierającą archiwum rejestrów publicznych, w których sprawdzałam, czy Ahmed Shabir zmienił nazwisko. Sama interesowałam się tą procedurą, kiedy byłam młodsza i marzyłam o tym, żeby definitywnie odciąć się od mojej przeszłości. Ale kiedy wreszcie mogłam sobie pozwolić na opłaty, miałam pracę, w której wszyscy przyzwyczaili się do mojego nazwiska, a mój chłopak ani myślał zwracać się do mnie innym imieniem. Wprowadzam dane ojca Shabira i rozpoczynam wyszukiwanie. Żadnych trafień.

*Cholera.*

Byłam pewna, że jego ojciec to właściwy trop. Ponownie zaglądam do skoroszytu i skupiam się na adnotacji dotyczącej dziedzicznego charakteru hipercholesterolemii oraz jej objawów i przebiegu u ojca pacjenta. Moją uwagę przykuwa data pierwszej diagnozy – grudzień 1977 roku, czyli zaledwie miesiąc po tym, jak ojciec Ahmeda przybył do Anglii. Jego choroba była już w zaawansowanym stadium, zatem musiał wcześniej się leczyć. Zerkam na datę urodzenia Ahmeda Shabira – polityk przyszedł na świat pół roku po tym, jak jego rodzina osiedliła się w naszym kraju. Trzy ważne wydarzenia dzieli tak niewielki odstęp czasu, że ich zbieżność trudno uznać za czysty przypadek.

Gdyby tylko udało mi się przejrzeć kartotekę ojca Ahmeda. Ale już nie pracuję w szpitalu i nie mam dostępu do bazy danych. Zastanawiam się, kogo mogłabym poprosić o pomoc, ale każdemu, kto przychodzi mi na myśl, coś ukradłam. Wtedy przypominam sobie o Val. Była załamana, kiedy przed Bożym Narodzeniem zginęła jej broszka. Dostała ją od matki i była do niej bardzo przywiązana. Nie ukradłabym jej, gdybym o tym wiedziała, ale teraz mam nadzieję, że obietnica zwrotu bezcennej pamiątki skłoni Val do współpracy.

Spoglądam na zegarek. Val powinna być jeszcze w pracy. Na oddziale nie nosi przy sobie komórki, więc wybieram numer dyżurki pielęgniarek i przyciskam komórkę do ucha, nerwowo stukając stopą o podłogę. W słuchawce odzywa się głos, którego nie rozpoznaję.

– Zastałam Val? – pytam.

– A kto mówi?

– Jej córka – odpowiadam bez namysłu.

– Zaczekaj, poszukam jej.

Słucham melodyjki na linii, starając się nie zwracać uwagi na ogarniające mnie wyrzuty sumienia. Oczywiście nie mam szans na odzyskanie broszki. Sprzedałam ją od razu i przepadła bezpowrotnie. Ale jeśli teraz mój podstęp się uda, będę mogła uciec z moim nienarodzonym dzieckiem i pomóc Annie odzyskać syna.

*Robię to w imię wyższego dobra.*

– Cześć, kochanie – mówi Val. – Wszystko w...

– Nie rozmawiasz z córką – przerywam jej. – Margot z tej strony, ale nie odkładaj słuchawki. Mam coś, na czym ci zależy.

– Na początek zwróć mi moje pieniądze. Naprawdę masz tupet, żeby tu dzwonić, kiedy...

Znów wchodzę jej w słowo.

– Chcesz odzyskać swoją broszkę?

– Jasne, że chcę, ty... – Val gryzie się w język.

Jestem ciekawa, jakim wyzwiskiem zamierzała mnie uraczyć.

– W takim razie chciałabym, żebyś kogoś dla mnie sprawdziła w systemie.

– Wiesz, że nie mogę.

– Owszem, możesz – odpowiadam. – Wszystko zależy od tego, jak ważna jest dla ciebie ta broszka.

Val milczy pogrążona w rozterce. W tle słyszę odgłosy dobiegające z oddziału i czuję ukłucie tęsknoty.

– Kogo mam sprawdzić? – odzywa się w końcu moja koleżanka.

– Nazywa się Sadiq Shabbar. Chcę wiedzieć, czy kiedykolwiek leczył się u nas i czy występował pod innym nazwiskiem.

– Jeśli to zrobię, oddasz mi moją...

– Powiem ci, jak ja odzyskać – mówię.

– W porządku. Zaczekaj.

Serce kołace mi w piersi, gdy słucham, jak Val zaczyna stukać w klawiaturę komputera.

– Brak innego nazwiska – oświadcza po chwili. – Nie leczył się u nas od siedemdziesiątego szóstego. Żadnych adnotacji od tamtego czasu.

*No to kłapa.*

Rodzice Ahmeda musieli wyjechać za granicę, zmienić nazwisko i wrócić jako państwo Shabbirowie, żeby nie pozostawić śladu w archiwach państwowych. A pół roku później na świat przyszedł ich syn. Genialne rozwiązanie.

– Co z moją broszką? – szepcze Val do słuchawki.

– Sprawdź na rogu Simmons Way.

– Co... co to ma znaczyć?

– Tam jest lombard, w którym ją opchnęłam.

– Och, ty złodziejska...

Rozłączam się, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

To nie mógł być przypadek, że rodzina powiązana z narkotykowym syndykatem zmieniła nazwisko zaledwie kilka miesięcy przed narodzinami syna.

*Czyżby zrobili to specjalnie dla niego, żeby mógł zostać politykiem i ostatecznie pogrążyć rodzinny biznes? Nie, to tylko pozory. Liczba aresztowań wprawdzie wzrosła, ale statystyki pozostały takie same.*

Odpowiedź sama ciśnie mi się na usta, zdaje się szczytać mnie w czubek języka. Rozwiązanie zagadki jest tak blisko, że wystarczy tylko sięgnąć ręką i wyciągnąć je spomiędzy zębów.

*Wygląda to tak, jakby cała konkurencja znalazła się pod ostrzałem, żeby jeden gang mógł zdominować rynek.*

Kiedy sobie to uświadamiam, muszę się powstrzymać wysiłkiem woli, żeby nie zacząć skakać i krzyczeć z radości. To nie jest ironiczne zrzządzenie losu, ale misternie zaplanowany spisek. Któż mógłby podejrzewać, że członek parlamentu zabiegający o surowsze kary za handel narkotykami sam jest uwikłany w ten proceder? Shabbarowie musieli przygotowywać go od małego na swoją wtyczkę w rządzie. Najwyraźniej miał za zadanie rozpętać kampanię antynarkotykową, która wyeliminuje konkurencję i zapewni jego rodzinie niepodzielną dominację w branży.

*Kto lepiej potrafi znaleźć luki w represyjnych przepisach niż ktoś, kto przyczynił się do ich wdrożenia?*

Spoglądam na monitor komputera i otwieram zakładkę z jednym z artykułów. W nagłówku autor nazywa Shabira nadzieją na przyszłość Partii Pracy. Redwood było punktem wyjścia dla jego szeroko zakrojonej kampanii. Shabir wykorzystał swoją władzę na szczeblu lokalnym, żeby kontrolować napływ narkotyków do Londynu, ale gdyby został liderem swojej partii, a później premierem, zyskałby wpływy o nieograniczonym zasięgu.

*Byłby w stanie pozbyć się wszystkich gangów sprowadzających narkotyki do kraju. Shabbarowie stali się potentatami przemytu i dystrybucji na skalę międzynarodową.*

Wpatruję się w skoroszyt z dokumentacją medyczną, a potem znów przenoszę wzrok na monitor i czytam słowo za słowem, aż w mojej głowie krystalizują się ostateczne wnioski.

*Wszystko, co powiedział Ahmed Shabir podczas swojej działalności politycznej, było kłamstwem.*

Konkurenci chcieli jego śmierci, żeby chronić swoje interesy, co oznacza, że Anna odegrała w całej tej aferze jedynie drugorzędną rolę; zmusili ją do uległości, porywając jej syna. Taki sam los spotkałby każdego lekarza przydzielonego do przeprowadzenia tej operacji. Oczywiście musieli zadbać, aby zgon wyglądał jak następstwo powikłań chorobowych, w przeciwnym razie policja wszczęłaby niezwykle skrupulatne śledztwo, żeby zaspokoić oczekiwania społeczeństwa. Ale śmierć na stole operacyjnym podczas skomplikowanego zabiegu, który przeprowadzała ceniona specjalistka, nie dawała podstaw do jakichkolwiek podejrzeń.

W mojej torebce zaczyna dzwonić komórka na kartę, ale nie mam śmiałości odebrać połączenia w bibliotece. Zbieram swoje rzeczy i wychodzę. Jestem głodna i zmęczona, ale adrenalina dodaje mi sił, kiedy zbiegam po schodach do holu. Dzwonek rozlega się ponownie, kiedy jestem przy drzwiach.

– Rozgryzłam go – mówię zdyszana, wychodząc na ulicę.

Anna milczy, a ja myślę z satysfakcją, że musiałam ją zaskoczyć. Widocznie nie spodziewała się po mnie takiej przenikliwości.

– Nie będziemy o tym rozmawiać przez telefon – odzywa się wreszcie.

– Kupiłam komórki na kartę – odpowiadam i wkładam do ust papierosa. – Są bezpieczne.

– Wolę nie ryzykować. Spotkajmy się w tym zagajniku koło mojego domu. Ale nie wjeżdżaj w aleję, tylko zaparkuj gdzieś dalej i wyślij mi esemesa, kiedy dojdiesz na miejsce.

Anna rozłącza się od razu, więc nie mam czasu, żeby cokolwiek powiedzieć.

Siadam na ławce przed biblioteką, zapalam papierosa i wydycham obłok dymu. Czuję, jak wzbiera we mnie złość. Dlaczego Anna tak nalegała na zakup tych komórek, a teraz nie chce z nich korzystać? Prawdopodobnie obawia się, że porywacze mogą jakoś ją podsłuchiwać. Albo podejrzewa, że ją nagrywam.

*Nie ufa mi ani trochę. I słusznie, bo ja też jej nie ufam.*

Wymiję telefon i trzymając w ustach tłącego się papierosa, piszę wiadomość.

**Ja:** Przynies następną ratę, jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć.

Przez kilka minut czekam, ale odpowiedź nie przychodzi.

Docieram na skraj zagajnika i wysyłam Annie esemesa.

Noc jest cieplejsza od poprzedniej. Wkładam dłoń do torebki i dotykam koperty z gotówką, którą dostałam przed południem. Kiedy powiedziałam Damienowi, że ukryłam pieniądze w bezpiecznym miejscu, nie miałam się zbytnio z prawdą. Cały czas trzymam swoją zdobycz przy sobie. Ani myślę się z nią rozstawać; nie chcę, żeby ktoś ją znalazł, zwłaszcza że mogłaby trafić w ręce mojego brata i Ricka. Rozchyłam kopertę i gładzę kciukiem plik banknotów.

Przed domem zapala się światło i na podjazd pada wydłużony cień. Po chwili dostrzegam na progu zarys kobiecej sylwetki. Trzaskają zamykane drzwi, a wiatr niesie ciche pobrzękiwanie kluczy. Anna znika w cieniu. Wypatruję jej, wyteżając wzrok, ale pojawia się dopiero trzydzieści metrów ode mnie, gdy szybkim krokiem przedziera się przez zarośla. Słyszę ziajanie i dostrzegam u jej boku jasną sylwetkę psa.

– Masz pieniądze? – pytam.

Anna pokazuje mi białą kopertę.

– Najpierw mi powiedz, czego się dowiedziałaś.

– Nie – odpowiadam. – Ostatnio umawialiśmy się na dziesięć kawalków, a przyniosłaś mi tylko połowę. Takie podejście nie budzi zaufania.

Anna wzdycha z rezygnacją i wręcza mi kopertę.

– Masz tu pięć tysięcy – mówi, a kiedy wyjmuję komórkę z kieszeni i włączam latarkę, żeby przeliczyć pieniądze, dodaje zniecierpliwionym tonem: – Nie mamy na to czasu.

– Ty nie masz. Mnie się nie spieszy.

Zaczynam wolno przesuwać banknoty między czubkami palców i liczę półgłosem. Anna przylgąda mi się z rękami skrzyżowanymi na piersi, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

– Jezu, nie możesz szybciej?

Chowam kopertę do torebki i wyłączam latarkę. Kiedy światło gaśnie, mam przed oczami jasną plamę i dopiero po chwili mój wzrok znów przyzwyczaja się do ciemności.

– Czego się dowiedziałas?

– Nie chcesz najpierw mnie przeszukać? – pytam. – Sprawdzić, czy nie mam dyktafonu?

– Właśnie dostałaś okup. Jeżeli nagrywasz tę rozmowę, obciążasz również siebie. Zaczynaj wreszcie mówić.

– Wyciągnij rękę – mówię, wyjmując z kieszeni sygnet Ricka.

Anna ma chłodną dłoń, a jej skóra jest miękka w dotyku. Wyobrażam sobie, jak co wieczór naciera się drogimi kremami.

– Co to jest?

– Taki sam sygnet, jaki widziałam u Ahmeda Shabira przed operacją.

Anna wstrzymuje oddech, a ja zastanawiam się nieskromnie, czy zrobiłam na niej wrażenie.

– Poświeć mi.

Znowu sięgam do kieszeni po komórkę. Złoty sygnet połyskuje w świetle latarki, kiedy Anna obraca go w palcach.

– Ja też widziałam taki u Shabira. Czy te węże coś oznaczają?

– Symbolizują dobro i zło w każdym człowieku. Choć oczywiście w niektórych przypadkach taka równowaga moralna to rzecz względna – mówię, po czym zabieram sygnet i wyłączam światło. – Ale przypominam sobie, że jeszcze gdzieś widziałam ten motyw. Za miastem jest złomowisko, które ma na szyldzie taki sam znak.

– Znaczy, że co? Shabir ma udziały w przetwórstwie metali? Ta informacja nie pomoże mi odzyskać syna.

– Nie, to tylko przykrywka – odpowiadam. – Shabir ma udziały w handlu narkotykami.

Nawet w mroku widzę, że mina Anny się zmienia. Z przyjemnością patrzę, jak z jej twarzy znika wyraz pewności siebie.

Opowiadam jej o wszystkim, czego się dowiedziałam. O tym, że ojciec Ahmeda Shabira zmienił nazwisko, a także o powiązaniach Damiena z szemranymi interesami Fahima Shabbara.

– Stąd mam ten sygnet – oświadczam na koniec. – Mój brat dla nich pracuje.

– Więc byłaś w ich siedzibie?

– Tak, dziś rano.

Anna przez chwilę zastanawia się w milczeniu. Nie podoba mi się, kiedy nic nie mówi. Przekonałam się już, że potrafi obrócić wszystko na swoją korzyść.

– Niestety nadal nie wiem, kim są porywacze i gdzie przetrzymują Zacka – odzywa się w końcu.

– Ale mamy kontakt, dzięki któremu możemy to ustalić.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No cóż, jeśli do nich pójdziemy i wyjaśnimy, co się stało, pomogą ci odzyskać twojego syna.

Anna wybucha śmiechem.

– Rzeczywiście świetny pomysł – mówi z przekąsem. – Miałabym się przyznać krewnym Ahmeda Shabira, że go zabiłam? Ach, no i przy okazji poprosić, żeby uwolnili Zacka, jeśli nie sprawi im to kłopotu?

– Zrozumięją, że nie miałaś wyboru. Że byłaś tylko narzędziem i wykorzystano cię, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Jeśli im powiemy, co naprawdę się stało i kto za tym stoi, będą nam wdzięczni. Musimy to zrobić jeszcze dziś.

W odpowiedzi Anna prychna ironicznie, ale na tym poprzestaje i znów zaczyna się zastanawiać.

– A może poprosiłabyś brata, żeby to zrobił? – proponuje.

– Żebyś miała czyste ręce? Nie ma mowy. Zresztą mój brat za darmo nie kiwnie palcem. Masz na zbyciu drugie pięćdziesiąt kawałków?

Wymowne milczenie nie pozostawia wątpliwości co do odpowiedzi.

– Ale i tak nie mam gwarancji, że ci ludzie pomogą mi odzyskać mojego syna – odzywa się Anna. – Ryzyko jest zbyt duże.

– A masz jakieś inne wyjście?

Obie wzdrygamy się, kiedy zaczyna dzwonić jej komórka. Przenikliwy dźwięk niesie się echem między drzewami.

– To oni – mówi Anna całkowicie zmienionym głosem. Zazwyczaj tak władcza i pewna siebie, teraz wygląda na autentycznie przerażoną. – Ani słowa.

Odbiera połączenie i przykłada telefon do ucha. Słyszę stłumiony pomruk męskiego głosu. Niski i burkliwy ton.

– Spaceruję z psem.

*Jeżu, oni rzeczywiście śledzą każdy jej ruch.*

Mężczyzna znów coś mówi. Chociaż stoję daleko, brzmienie jego głosu przyprawia mnie o ciarki.

– Nad wszystkim panuję – zapewnia rozmówcę Anna. – Wykorzystałam informację, którą mi daliście. Ta policjantka już nie będzie mnie...

Przerywa w pół zdania i gwałtownie wciąga powietrze. Ponieważ mój wzrok zdążył już przywyknąć do ciemności, widzę wyraźnie każdy szczegół jej twarzy – szkliste oczy, które połyskują w blasku księżyca, rozchylone usta. Słyszę, jak pociąga nosem i powstrzymuje się od płaczu.

– Och, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Gdy przy ziemi rozlega się ciche skomlenie, kucam i zaczynam głaskać psa, próbując go uciszyć. Anna wypuszcza smycz z dłoni, odwraca się i odchodzi kilka kroków. Widzę, jak ociera łzy.

– Wiem, że się boisz, skarbie, wiem o tym. Ale robię wszystko, co tylko mogę, żebyś wrócił do domu. Kocham cię, rozumiesz? Kocham cię całym moim...

Nagle przerywa i słyszę tylko szum wiatru w koronach drzew. Pies znowu zaczyna skomleć; czuję na twarzy jego oddech. Przestałam go głaskać, zbyt zaabsorbowana tym, co dzieje się na moich oczach.

– Tak, wiem. – Anna znów mówi takim tonem, jakim zwracała się do porywacza. – Jeszcze dzisiaj pojedę do szpitala i spróbuję się dowiedzieć, co ustalono w trakcie dochodzenia. Zostanę tam do rana, jeśli będzie trzeba.

Potem milknie i prawie przez minutę słucha swojego rozmówcy.

– Tak – odzywa się wreszcie. – Wiem, jaka jest stawka.

Rozmowa musiała dobiec końca, bo Anna opuszcza rękę i chowa telefon do kieszeni. Nie odzywa się, tylko pociąga nosem i ociera załzawione policzki. Pies, który najwyraźniej znudził się moim towarzystwem, spogląda na swoją panią, merdając ogonem. Gdy w końcu Anna odwraca się do mnie, jest już spokojna, a jej twarz znów ma chłodny, zacięty wyraz.

– Pojedziemy do nich dzisiaj – mówi.

Wstaję i oddaję jej smycz.

– Rozmawiałaś ze swoim synem?

– Tak – odpowiada Anna beznamiętnym tonem. – Zainstalowali mi lokalizator w samochodzie, więc pojedziesz za mną do szpitala i tam przesiądę się do ciebie.

– W porządku – mówię łagodnie i widzę, jak Anna się pręży, słysząc współczucie w moim głosie. – Zaparkowałam przy Straight Road – dodaję oschle. – Daj mi dziesięć minut, żebym tam doszła. Potem możesz wyjeżdżać.

Anna przytakuje, zaciskając mocno szczęki, po czym rusza w stronę domu.

– Nie zapomniałaś o czymś? – pytam.

Anna przystaje i gdy dociera do niej, co mam na myśli, energicznym ruchem ściąga z palca pierścionek i rzuca mi go pod nogi. Potem odchodzi, prowadząc psa, który podskakuje beztrudnie przy jej nodze. Pierwszy raz widzę, jak okazuje ludzkie emocje, ale tłumy je w ciągu kilku sekund i z powrotem ukrywa się za maską chłodu.

Kłękam i podnoszę pierścionek, wpatrując się w duży diament połyskujący w księżycowej poświacie. Czuję, że metal jest jeszcze ciepły, kiedy wsuwam go na palec.

Zastanawiam się, co jeszcze Anna przede mną ukrywa, skoro tak dobrze potrafi maskować cierpienie i strach.



Anna  
Wtorek, 9 kwietnia 2019  
20.09

Parkuję przed szpitalem, zostawiam w schowku obie komórki z podsłuchem i ruszam piechotą w stronę budynku.

Po raz pierwszy robię coś wbrew poleceniom porywaczy i czuję taki niepokój, że jestem bliska obłądu. Wzdrygam się ze strachu, gdy słyszę najlżejszy szmer – każdy trzask pękającej gałązki albo szum wiatru sprawia, że błyskawicznie obracam głowę w stronę źródła hałasu, spodziewając się zobaczyć ukrytych w cieniu prześladowców. Przecież już wcześniej mnie śledzili.

Wyjmuję komórkę na kartę i piszę esemesa do Margot.

**Ja:** Spotkajmy się przy śmietniku za szpitalem, tam gdzie wcześniej.

Nie byłam w stanie spojrzeć jej w oczy, kiedy się rozstawałyśmy pod moim domem. Słyszała, jak rozmawiam z Zackiem, i potem patrzyła na mnie ze współczuciem, ale nie potrafi udawać. Nadal bezdusznie realizuje swój plan, nadal próbuje oskubać mnie z pieniędzy i bez skrępułoby wyciąga rękę po moją biżuterię. Dla mnie jest tak samo perfidna jak porywacze. Tak samo zepsuta i bezwzględna.

Mijam róg budynku i dyskretnie spoglądam przez ramię, żeby się upewnić, czy nikt mnie nie śledzi. Z każdym wydechem próbuję wyrzucić z siebie wściekłość, która zdaje się rozsadzać mnie od środka i rozlewa się niczym żar po całym ciele. Ciekawa jestem, co powiedziałałyby mój brat, gdyby mi się przyjrzał fachowym okiem.

*Jesteś na nią wściekła, bo widziała, jak pozwalasz sobie na słabość. Bo nie byłaś tak doskonała, jak chciałaby twoja matka.*

Myślę, że jestem wściekła na Margot z wielu różnych powodów.

Dochodzę do kontenerów na śmieci i stojąc w ciemności, wsłuchuję się w ciche pogwizdywanie wiatru. Wracam myślami do Zacka. Był taki przerażony, kiedy rozmawiałam z nim przez telefon. Mówił bełkotliwie, odurzony środkami uspokajającymi, które pompowali w niego porywacze. Musiał być zdezorientowany, gdy zapadał w sen i odzyskiwał przytomność, a jakiś obcy człowiek przytykał mu do ucha telefon, w którym słyszał mój głos dobiegający jakby z innego świata. Ścisła mnie w gardle, kiedy wyobrażam go sobie, jak leży z tkwiącym w żyle wenflonem na brudnym posłaniu w kącie jakiejś zimnej piwnicy.

Z zamyślenia wyrывa mnie odgłos nadjeżdżającego samochodu. Wąską drogę prowadzącą na tyły szpitala rozjaśnia blask reflektorów i ogarnia mnie lęk na myśl, że porywacze wpadli na mój trop i przyjechali tu swoim czarnym audi, którym już kiedyś mnie śledzili. Wstrzymuję oddech i czekam, aż samochód zbliży się na tyle, bym mogła rozpoznać jego markę.

Moje serce zamiera, gdy widzę na osłonie chłodnicy emblemat złożony z czterech kótek. Ze ściśniętym gardłem zaglądam przez okno do wnętrza.

Za kierownicą siedzi Margot.

Wzdycham z ulgą i czuję, jak powoli uchodzi ze mnie napięcie wywołane panicznym strachem. Kiedy otwieram drzwi, uderza mnie woń dymu papierosowego i tanich perfum.

– Nikt cię nie śledził? – pytam, siadając w fotelu pasażera.

– Nie. – Margot rusza, nie czekając, aż zapnę pas. – Droga wolna.

Samochód wydaje się zbyt elegancki jak na kogoś, kto musi kraść, żeby związać koniec z końcem, i dzień w dzień przychodzi do pracy w tym samym ubraniu. Nie mam ochoty z nią rozmawiać więcej, niż to konieczne, ale ciekawość nie daje mi spokoju.

– Jakim cudem stać cię na taki wóz?

Margot wyjeżdża z bramy szpitala na drogę i wciska gaz tak mocno, że przyspieszenie wgniata mnie w oparcie fotela.

– Nie stać mnie. Dostałam go od Shabbarów.

– Ot, tak ci go dali? – pytam zdziwiona. – Dlaczego?

– Zajmują się również kradzieżą samochodów – wyjaśnia Margot. – Mój brat dla nich pracuje. Poprosiłam go o samochód, więc mi załatwił.

Nie wzięłam pod uwagę zagrożenia, jakie stanowią jej kontakty z rodziną Shabbarów. Jeżeli zatrudniają jej brata, a ona dostaje od nich w prezencie nowe audi, prawdopodobnie ma z nimi bliższe relacje, niż była skłonna przyznać.

*A jeżeli to pułapka?*

– Nie wiedziałam, że twój brat ma takie dojsia – mówię.

– Mój brat nie ma pojęcia o powiązaniach Ahmeda Shabira z jego szefem, jeżeli to masz na myśli – wyjaśnia Margot. – Przypuszczam, że mało kto o tym wie. Kiedy usłyszał nazwisko Ahmeda, nawet nie zmrużył oka. Mój brat lubi się przechwalać, więc na pewno by o tym wspomniał.

– Więc mu powiedziałaś, co zrobiłam...

Margot przez chwilę milczy; zapewne jest zła na siebie o to, że się wygadała. Zerka na wyświetlacz nawigacji i skręca w lewo.

– Już dawno – odzywa się w końcu. – Gdyby wiedział, że Ahmeda coś łączy z Shabbarami i gdyby powiedział swojemu szefowi, co zrobiłaś, do tego czasu doświadczyłabyś już konsekwencji.

Zastanawiam się, jak może być tak pewna swoich przekonań. Tak ślepo wierzyć we własne osady. Sama nie potrafię podjąć żadnej decyzji bez gruntownego jej przemyślenia.

– Mówiłaś, że ma długi język.

– Chyba że bardziej oplaca mu się milczeć.

– Dzielisz się z nim zyskami?

– Tak mu się wydaje – odpowiada Margot. – Ale kiedy dostanę od ciebie resztę, zabieram całą kasę i znikam.

*Jeżeli potrafi oszukać własnego brata, wystawiłaby mnie do wiatru bez wahania.*

Z piskiem hamulców zatrzymujemy się przed skrzyżowaniem na czerwonym świetle, które odbija się w jej oczach, nadając im krwawy poblask. Przyglądam się jej kątem oka. Gdyby nie budziła we mnie takiej niechęci i nie była taka niechlujna, prawdopodobnie uznałabym ją za ładną. Ale chociaż stara się sprawiać wrażenie twardej, zdradza ją wyraz oczu. Jest tylko wystraszoną małą dziewczynką.

– Pozwalają ci rozmawiać z Zackiem? – pyta.

Nie podoba mi się, kiedy wypowiada imię mojego syna. W jej ustach brzmi jak fałszywa nuta. Odwracam wzrok i patrzę na drogę.

– Tylko kiedy chcą mi przypomnieć, jaka jest stawka.

Wzmianka o Zacku burzy moją chłodną równowagę. Czuję, jak przepelnia mnie smutek, a strach wypęła z ukrycia. Ale potem zauważam mój pierścionek zaręczynowy na palcu Margot i cały smutek znika w płomieniach gniewu.



*Nie trać koncentracji*, napominam się w myślach i wciąż patrzę przed siebie, kiedy zmienia się światło na skrzyżowaniu.

– Jaką mamy pewność, że po prostu mnie nie zabiją? – pytam.

– Nie mamy.

Potem już żadna z nas się nie odzywa.

– Jesteśmy na miejscu – oświadcza Margot.

Moje serce uderza tak szybko, że słyszę w uszach szum krwi. Wycieram spocone dłonie w nogawki spodni i czuję rozrzucone na udach drobne włoski, które po drodze wyskubałam z przedramion.

Jedziemy wyboistą drogą i samochodem rzuca na wszystkie strony. Od gwałtownych wstrząsów soki żołądkowe podchodzą mi do gardła. Tak mocno zaciskam dłoń na uchwycie nad drzwiami, że bieleją mi palce.

Margot wciąż ma zaciętą, nieobecną minę, ale jej oczy wydają się większe niż wcześniej. Kiedy sięga do drążka zmiany biegów, drży jej ręka. Patrzę w milczeniu, jak wyjmuje z kieszeni złoty sygnet i wsuwa go na palec.

Zatrzymujemy się obok budki, w której siedzi ochroniarz. Wisząca nad jego głową żarówka przyciąga cmy i chmary innych owadów, które uderzają w przeszklone ściany. Mężczyzna odsuwa szybę, rozgniatając kilka z nich.

– Jestem umówiona z Jaxem – zwraca się do niego Margot.

Mówi spokojnym i zdecydowanym tonem, ale chociaż próbuje panować nad sobą, tłumione z trudem dreszcze wstrząsają pojedynczymi włosami, które sterczą z jej kucyka. Ten widok sprawia, że zaczyna mnie swędzieć skóra na głowie i czuję przemożną chęć skubania.

Ochroniarz spogląda na prawą dłoń Margot i przyzwalająco kiwa głową, gdy dostrzega na jej palcu złoty sygnet, który polyskuje w świetle żarówki. Kiedy ruszamy dalej, przykłada do ucha telefon.

– Kto to jest Jax? – pytam.

– Nie wiem, ale mój brat powołał się na niego, kiedy tu byliśmy.

– Wiedziałaś, że ten sygnet działa jak przepustka?

– Nie, ale warto było spróbować.

Nic dziwnego, że jej życie potoczyło się w taki sposób. Margot podejmuje wszystkie decyzje pod wpływem impulsu, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Kiedy sobie to uświadamiam, nasza nocna wyprawa wydaje mi się jeszcze bardziej ryzykowna. Już chcę powiedzieć Margot, żeby zawróciła, ale ona parkuje obok dużego budynku, przy którym wznoszą się niczym mur sterty rdzewiejących samochodów. Odruchowo chwytam ją za nadgarstek, kiedy ktoś otwiera drzwi budynku i długi prostokąt światła rozlewa się po wyboistym placu.

– To jest zbyt niebezpieczne – szepczę. – Musi być jakiś inny sposób.

Margot spogląda mi w oczy i wolno odgina moje palce, żeby uwolnić rękę.

– Właśnie tacy ludzie przetrzymują twój syna.

Jej słowa przyprawiają mnie o skurcz żołądka.

*Jak mogę się bać, kiedy Zack przeżywa coś dużo gorszego? Na pewno nie pozwolę, żeby Margot okazała się odważniejsza ode mnie.*

W milczeniu kiwam głową i sięgam do klamki.

Noc jest chłodna i bezwietrzna. Kiedy wyjeżdżaliśmy z miasta, zaczęło padać i sterta złomu lśni od wilgoci. Krople deszczu ściekają po sprasowanych wrakach i uderzają blachę, wygrywając dźwięczne akordy. W świetle padającym z otwartych drzwi trzej mężczyźni

wyglądają jak czarne, pozbawione twarzy sylwetki. Margot wysiada z samochodu i rusza w ich stronę. Idę krok za nią.

– Który to Jax?

Ten stojący pośrodku kiwa głową. Kiedy podchodzę bliżej, widzę w mroku rysy ich twarzy. Mężczyzna zwany Jaxem ma włosy czarne jak noc i głęboko osadzone oczy o nieprzeniknionym spojrzeniu.

– Musimy porozmawiać z Fahimem – mówi Margot.

– Jeżeli masz jakiś problem z samochodem, załatwisz to ze mną.

– Nie chodzi o samochód, tylko o Ahmeda.

Jax otwiera szerzej oczy, ale trwa to tylko sekundę.

– O kogo?

– Naprawdę chcesz, żebym mówiła o tym przy nich? – Margot wskazuje głową na jego towarzyszy. – Mój brat pracuje dla was, ale nie ma pojęcia, kim on jest... znaczy kim naprawdę jest. Domyślam się, że nie wszyscy są tutaj wtajemniczeni w tę sprawę, nie?

Na twarzach dwóch pozostałych mężczyzn maluje się wyraz dezorientacji. Margot jest bardzo pewna siebie, ale widzę, że trzyma ręce za plecami i nerwowo obraca sygnet na palcu.

– Wejdźcie do środka i zamknijcie drzwi – rozkazuje Jax swoim kompanom.

Obaj wciąż mają zakłopotane miny, ale przytakują posłusznie i wracają do budynku. Na placu zostaje tylko nasza trójka.

– Mów – odzywa się Jax.

Kiedy stoi przed nami sam, wydaje się wyższy. Dopiero teraz zwracam uwagę na jego szerokie ramiona.

– Śmierć Ahmeda nie była przypadkowa – zaczyna Margot.

Jax mierzy ją badawczym spojrzeniem, a potem przenosi wzrok na mnie. Musimy wyglądać co najmniej dziwnie.

– Możesz to odwodnąć?

Margot unosi rękę i wskazuje kciukiem za siebie.

Na mnie.

– To ona go operowała i zadbała, żeby nie przeżył – mówi.

Truchleję ze strachu. Jax patrzy mi prosto w oczy i czuję, jak moje nogi zaczynają dygotać.

– Ale tak naprawdę jest niewinna – ciągnie Margot. – Zmusili ją do tego wasi konkurenci. Porwali jej syna i zagrozili, że go zabiją, jeśli nie będzie wykonywała ich poleceń. Wykorzystali ją, żeby pozbyć się Ahmeda i uniknąć wpadki. To oni mają na rękach jego krew, nie ona.

Jax nadal przeszywa mnie nienawistnym spojrzeniem.

– Czekajcie tu – mówi.

Wali pięścią w drzwi, a gdy te się otwierają, natychmiast wchodzi do środka.

– Pilnujcie ich – rozkazuje swoim towarzyszom i znika w głębi budynku.

Dwaj mężczyźni wychodzą na plac.

Nie mogę zebrać myśli, a każdy oddech przychodzi mi z trudem. Stoję zastygła w bezruchu i próbuję zapanować nad drżeniem nóg i przemożną chęcią ucieczki. Margot stoi zwrócona do mnie plecami i milczy. Oddałabym wszystko, żeby spojrzała na mnie, żeby mnie zapewniła, że jej szalony plan ma sens, ale ona patrzy tępo przed siebie i wciąż obraca sygnet na palcu.

Z wnętrza budynku dobiega stłumiony łoskot. Jakby kilka par ciężkich butów uderzało o coś, co rezonuje jak metalowe schody. Kroki z każdą chwilą stają się coraz głośniejsze, aż w końcu zagłuszają kołatanie mojego serca.

Otwierają się drzwi i z budynku wychodzi czterech mężczyzn. Wszyscy mają na głowach czarne kominiarki i idą prosto na mnie.

– Co robicie? – krzyczy Margot.

Nagle tracę ją z pola widzenia, gdy otaczają mnie czterej zamaskowani mężczyźni; silne dłonie zaciskają się na moich nadgarstkach, ramionach i karku. Okręcają mnie w miejscu tak szybko, że rozwiane włosy smagają mnie po twarzy. Na plac wjeżdża czarny SUV. Kiedy ktoś naciąga mi na głowę płócienny worek, nie mogę powstrzymać krzyku przerażenia.

– Ale ona jest niewinna! – powtarza Margot. – Hej! Przecież mówię, że ona...

Jej głos nagle milknie. Teraz słyszę tylko własny oddech i szuranie butów po ziemi, gdy moi prześladowcy gdzieś mnie prowadzą. Dochodzę do samochodu i potykam się, uderzając piszczelą o metalowy próg.

Nie mogę oddychać.

– Wstawaj – krzyczy jeden z mężczyzn tuż nad moim uchem.

Po omacku sięgam przed siebie i natrafiam na dłonie, które wpychają mnie do samochodu. Siedzę na tylnej kanapie ściśnięta między dwoma barczystymi mężczyznami. Słyszę, jak zatraskują się drzwi i zaczyna pracować silnik. Otoczona złowieszcym milczeniem odjeżdżam w nieznaną.



Rachel  
Wtorek, 9 kwietnia 2019  
20.34

Ludzie na komendzie szemrają po kątach. Szemrają na mój temat.

Z początku myślałam, że ulegam paranoi. Że w najzwyczajniejszych spojrzeniach dopatruję się wścibstwa i traktuję zbyt osobiście zachowanie kolegów, którzy przerywają rozmowy, ilekroć wchodzę do pokoju. Ale potem w toalecie usłyszałam swoje nazwisko. I imię mojego syna.

*Conaty ma obsesję na punkcie tego dzieciaka, nie? Jakby nie widziała na własne oczy tej martwej kobiety. Przecież ona prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa, na litość boską.*

*Zgadza się. Tak jakby widziała Jamiego w tym chłopcu. W sumie to smutne. Czytałaś ten artykuł, który ci wysłałam?*

*Tak. Przesrana sprawa. Ale jeśli ona nie umie sobie z tym poradzić, to chyba powinna zmienić pracę, nie?*

Jeden z głosów należał do sierżant Slater z mojego zespołu. Obie funkcjonariuszki pożegnały się ze mną, uśmiechając się sztucznie, kiedy wychodziły po skończonej pracy.

Teraz zostałam sama, co z jednej strony jest błogosławieństwem, ale z drugiej utrudnia mi życie. Nikt mi się nie przygląda, kiedy pracuję; mogę wyjść do toalety albo zaparzyć sobie kawę i nie czuć się wykluczona przez własnych podwładnych. Ale panująca w biurze cisza sprawia, że mój umysł pracuje na podwyższonych obrotach i powoli, lecz nieuchronnie zaczynają nachodzić mnie wątpliwości.

*A jeśli one mają rację?*

Zawsze ufałam swoim osądom. Kiedy intuicja coś mi podpowiadała, podążałam za jej głosem. Ale kiedy Jamie zaginął, natychmiast zaczęłam wątpić, czy byłam dobrą matką. Dobra matka nie straciłaby dziecka w taki sposób. Dobra matka nie przestałaby go szukać, nawet gdyby wszyscy zmęczeni się tą historią i wrócili do swoich spraw. Wątpliwości rozprzestrzeniają się na wszystkie aspekty mojego życia. Ale jednej rzeczy jestem całkowicie pewna – jeżeli szybko nie znajdę jakiegos sensownego tropu, sprawa będzie nadawała się do umorzenia.

Nie znamy miejsca zbrodni. Nie mamy narzędzia zbrodni. Żadnych podejrzanych. Paula Williams była zwykłą, średnio zamożną kobietą, która cieszyła się życiem na emeryturze, aż pewnego dnia ktoś ją porwał i znaleziono jej ciało w studni. Nie istnieje żaden wyraźny powód, dla którego komuś mogłoby zależeć na jej śmierci. W billingu jej telefonu i na koncie bankowym nie znaleźliśmy śladów wskazujących na to, że padła ofiarą wymuszenia albo miała problemy finansowe. Nie zaprzyjaźniła się ostatnio z nikim, kto mógłby żywić wobec niej ukryte zamiary, i nie miała zatargów z sąsiadami. Nie była związana z żadnym mężczyzną i nie utrzymywała kontaktu z dawnymi współpracownikami, których mogliśmy przesłuchać. Na jej ciele nie było śladów napastowania seksualnego. Wszystkie potencjalne przyczyny jej śmierci, jakie przychodzą mi do głowy, mogą mieć związek tylko z jej małym podopiecznym.

Wzdycham ciężko, a mój oddech porusza kartkami rozłożonymi na blacie biurka. Ostatnio prawie wcale nie śpię, a kiedy zdarzy mi się zasnąć, nawiedzają mnie koszmary, w których biegam po plaży i krzyczę na ludzi, pytając, czy widzieli mojego syna. Praca chroni mnie przed

bezczynością i daje powód, abym nie zmruryła oka, ale sprawia również, że moje sny są jeszcze straszniejsze, gdy w końcu zasypiam. Błędne koło, z którego nie potrafię się wyrwać.

Z akt sprawy wystaje fotografia ciała Pauli. Wyjmuję ją i omiatam wzrokiem niegdyś ładną twarz, oszpeconą przez bezżębne dziąsła i dziurę po kuli na środku czoła. Zauważam odłamek czaszki zaplątany we włosy. Tego rodzaju spustoszenie zostawiają po sobie członkowie organizacji przestępczych dobrze obeznani ze swoim fachem. Działalność takich ludzi zazwyczaj podpada pod dwie kategorie – dystrybucja narkotyków i handel żywym towarem.

Od dawna istniały podejrzenia, że mój Jamie padł ofiarą tej drugiej branży.

W oczach wzbierają mi łzy. Dotykam palcami powiek i przyciskam je mocno. Gdy tylko zobaczyłam tego chłopca na nagraniu, urzekły mnie jego bez troskie podskoki i ufność, z jaką podawał Pauli rękę, kiedy odbierała go ze szkoły. Na samą myśl, że ktoś mógłby skrzywdzić taką niewinną istotę, czuję gorycz w gardle. Chociaż przyciskam palce do powiek, nie mogę powstrzymać łez, które spływają mi po policzkach i wypełniają bruzdy wokół ust. Wszystko, co przeżywałam, kiedy Jamie zaginął, powoli wypływa z powrotem na powierzchnię.

– Szefowo?

Wzdrygam się wystraszona i obracam głowę w stronę drzwi. Na progu stoi sierżant Ryan.

– Co tu robisz? – pytam, pospiesznie wycierając twarz. – Myślałam, że wróciłeś do domu.

– Postanowiłem trochę dłużej posłuchać. Zająłem się tym, o co mnie prosiłaś.

Jeżeli ma dla mnie złą wiadomość, nie wiem, jak ją przyjmę. Prostuję się w fotelu, przygotowując się na cios.

– No i masz coś?

Ryan podaje mi kartonową teczkę, którą wcześniej trzymał za plecami. Zaglądam do środka i moje tętno przyspiesza.

– Wszystko wskazuje na to, że miałaś rację z tym dzieciakiem – mówi sierżant.



Anna  
Wtorek, 9 kwietnia 2019  
20.45

Jedziemy od około dwudziestu minut, ale wciąż nikt się nie odzywa.

Nie mogę oddychać. Mam wrażenie, że moje płuca się zatkały i duszę się powietrzem, którego nie mogę wypuścić. Kiedy wyjeżdżaliśmy ze złomowiska, ktoś skrępował mi ręce plastikową opaską, która tak mocno uciska moje nadgarstki, że czuję pulsowanie w opuszkach palców. Ale jest to najmniejsze z moich zmartwień.

Zacka musiało spotkać to samo. Worek na głowie i skrępowane ręce. Wyobrażam sobie, jak plastikowa opaska wrzyna się w jego delikatną skórę. Słyszę jego przyspieszony oddech. Na pewno był sparaliżowany strachem.

*Jeśli umrę, nikt się nie dowie, co spotkało Zacka. Jedyną wtajemniczoną osobą jest Margot. Ale ją też mogą zabić.*

Pozwalam sobie na łzy, które pod osłoną czarnego worka spływają mi po twarzy i zawisają na podbródku. Nie mogę przestać myśleć o tym, że Zack bał się tak samo jak ja teraz.

*Ci ludzie nigdy go nie uwolnią. Nikt nie wie, gdzie go szukać. Jeśli zginę, a Margot ucieknie, nikt się nie dowie, co się z nami stało.*

Oddycham coraz płycej, a powietrze pod workiem na mojej głowie robi się gorące. Słyszę chrzęst żwiru pod oponami. Samochód zaczyna zwalniać i po chwili zatrzymuje się z piskiem hamulców. Otwierają się drzwi i czuję lekkie kołysanie, kiedy mężczyźni wysiadają. Przeszywa mnie dreszcz strachu, gdy czyjaś dłoń zaciska się na moim ramieniu.

– Wsiadaj.

Przesuwam się po siedzeniu, uderzam głową w obramowanie drzwi i wysiadam, niepewnie szukając oparcia dla nóg. Chłodny podmuch przyciska mi do twarzy tkaninę worka. Czuję, jak moje łzy stygną.

– Idziemy.

Ktoś prowadzi mnie po żwirowej nawierzchni, a potem wyczuwam pod podszewkami wilgotną od deszczu trawę. Słyszę, jak mężczyźni rozmawiają w jakimś obcym języku, którego nie rozumiem. Moje serce przyspiesza i uderza coraz mocniej. W ustach czuję metaliczny posmak.

*A jeżeli Margot popełniła błąd i ci ludzie są w zmoiwie z porywaczami, którzy przetrzymują Zacka? A jeżeli wpakowałam się w pułapkę?*

Tracę równowagę na śliskiej trawie i twarde palce wbijają mi się w ciało, gdy jeden z prześladowców stawia mnie z powrotem na nogi. A może zaraz wyprowadzą mnie na środek polany, każą mi klęknąć i przystawią lufę do potylicy?

– Proszę... – Słowa z trudem przechodzą mi przez ściśnięte ze strachu gardło. Biorę głęboki wdech i dławię się powietrzem. – Nie zabijajcie mnie. Mój syn...

– Cicho.

– Błagam...

Milknę, gdy tuż obok rozlega się głośnie łomotanie i jeden z mężczyzn silnym szarpnięciem zatrzymuje mnie w miejscu. Czuję piekący ból w nadgarstku, na którym zaciska dłoń i wykonuje obrotowy ruch podobnie jak Jeff, kiedy wykręcał mi ręce w dzieciństwie. Nogi trzęsą mi się tak mocno, jakbym zaraz miała upaść.

Słyszę szcęk odsuwanego rygla i skrzywienie zawiasów.

– Idziemy.

Potykam się, ruszam przed siebie i odruchowo rozchylam skrępowane dłonie. Wzdrygam się, gdy z tyłu dobiega łoskot zamykanych drzwi, który rozchodzi się zwiłokrotniony echem. W ustach mam tak sucho, że śluzówka po wewnętrznej stronie policzków przywiera mi do zębów. Ze wszystkich stron otaczają mnie odgłosy ciężkich kroków. Milczę, dygocąc ze strachu, ale spod czarnego worka wydobywa się mój chrapliwy urywany oddech.

Nagle ktoś popycha mnie brutalnie. Zataczam się do tyłu z głośnym krzykiem i ładuję na krzesło.

– Przepraszam – mówię drżącym głosem. – Nie dali mi wyboru. Mój syn...

Czyjaś ręka zrywa worek z mojej głowy i mrużę oczy osłepiona jaskrawym białym światłem. Widzę przed sobą czterech zamaskowanych mężczyzn, którzy stoją przy metalowych drzwiach wyposażonych w solidne zasuwki.

Niespokojnie rozglądam się dokoła. Pod nogami mam posadzkę z ciemnoszarego betonu; betonowe są również ściany i sufit, z którego zwisa na kablu goła żarówka. Wyobrażam sobie, że właśnie w takim pomieszczeniu uwięziono mojego syna.

O Boże, a jeżeli ci ludzie rzeczywiście są współnikami porywaczy i trafiłam w to samo miejsce, w którym przetrzymują Zacka? Mówiąc o wszystkim Margot, złamałam jedną z podstawowych zasad i teraz będę musiała ponieść konsekwencje.

Otwierają się metalowe drzwi i do pomieszczenia wchodzi jakiś mężczyzna. Również nosi kominiarkę i czarny garnitur, ale góruje nad pozostałymi. Podchodzi do mnie i staje tak blisko, że czuję na twarzy jego ciepki gorący oddech. Rozpięta pod szyją koszula odsłania śniadą skórę, a z otworu kominiarki spoglądają na mnie przenikliwe brązowe oczy. Mam wrażenie, że widziałam już kiedyś takie oczy, i powoli dociera do mnie, kogo mi przypominają.

To jest Fahim Shabbar.

A ja zabiłam jego bratanka.

Rozchylam usta i zbieram się na odwagę, żeby wydobyć z siebie głos.

– Ja nie chciałam – jąkam się rozpaczliwie. – Ale oni zagrozili, że zabiją mojego syna, jeżeli tego nie zrobię. Nadal go przetrzymują. Mój syn ma na imię Zack. Ma tylko osiem lat...

Spuszczam głowę i zalewam się łzami, ale mężczyzna chwyta mnie za podbródek i zmusza, żebym spojrzała mu w oczy.

– Jacy oni? – pyta.

– Nie mam pojęcia. Nie powiedzieli mi, kim są.

Fahim zaciska mocniej palce na mojej twarzy. Patrzy na mnie z taką nienawiścią, że kulę się pod jego palącym spojrzeniem.

– Opisz ich.

Próbuję sobie przypomnieć tamten dzień, w którym zastałam intruzów w moim domu, ale pamięć odmawia mi posłuszeństwa. Mam pustkę w głowie. Zamykam oczy i staram się odtworzyć w myślach jak najwięcej szczegółów.

– Ten, który ze mną rozmawiał... Był biały, około czterdziestki, miał czarne włosy siwiejące na skroniach i niebieskie oczy. Mówił z obcym akcentem, tak jak oni wszyscy. Mogli pochodzić z Europy Wschodniej, ale nie potrafię określić, z jakiego kraju. I mieli tatuaże.

Fahim obraca głowę i mówi coś do pozostałych mężczyzn w swoim ojczystym języku.

– Wie pan, co to za jedni?

– Tak.

Moje serce uderza żwawiej.

– Oni mają mojego syna! Jestem gotowa zrobić wszystko, żeby go...

– Skąd wiesz, kim jestem? – przerywa mi Fahim.

Czuję na podbródku jego puls, spokojny i miarowy.

– Próbowałam się dowiedzieć, kim są porywacze, żeby uwolnić Zacka, ale w tym celu musiałyśmy ustalić, komu zależało na śmierci Ahmeda. Nie powiem nikomu, kim jesteście i czym się zajmujecie. Chcę tylko odzyskać moje dziecko.

– Musiałyście ustalić? Znaczy ty i siostra tego Barnesesa, tak?

Przytakuję żywiłowo.

– Ona widziała podczas operacji, co zrobiłam, i zażądała pieniędzy za milczenie. Chcę nawet moją obrączkę ślubną. Obiecałam dać jej to wszystko, pod warunkiem że mi pomoże.

Fahim zerka na moją obrączkę, wolno kiwa głową i puszcza moją twarz.

– Zabić ją – mówi.

Odwraca się, a jeden z zamaskowanych mężczyzn rusza w moją stronę, wyjmując pistolet spod marynarki.

– Nie, nie, nie, nie! Błagam! Muszę uwolnić mojego syna!

Fahim otwiera metalowe drzwi, tymczasem jego podwładny staje obok mnie i odciąga zamek pistoletu. Słyszę metaliczny szczełk, gdy nabój wślizguje się do komory.

– Zrobię wszystko! Proszę!

Zimny wylot lufy dotyka mojego czoła. Strach przesywa mnie niczym impuls elektryczny. Łzy ciekną mi po policzkach i zaczynam gwałtownie szlochać, wykrzywiając twarz w grymasie rozpacz. Bez namysłu wyrzucam z siebie pierwszy argument, jaki przychodzi mi na myśl. Słowa same wyrrywają się z moich ust.

– Mogę wam pomóc! – krzyczę. – Choroba Ahmeda była dziedziczna!

Kątem oka widzę, jak palec mężczyzny napina się na spuście i zaciskam powieki.

– Czekaj.

Dyszę ciężko, a krew dudni mi w uszach. Słyszę odgłos zbliżających się kroków i otwieram oczy, gdy silna dłoń znów zaciska się na moim podbródku.

– Co powiedziałaś? – pyta Fahim.

Przygląda mi się badawczo, a zaciekawienie nadaje jego oczom wręcz maniackalny wyraz. Nie zwraca uwagi na moje łzy, które spływają mu po palcach.

*To moja jedyna szansa.*

– Choroba Ahmeda była dziedziczna – powtarzam, patrząc na niego z desperacką nadzieją w oczach. – Gdyby u pana albo kogoś z pańskiej rodziny wystąpiły podobne objawy, ale nie moglibyście skorzystać oficjalnie z pomocy medycznej, ponieważ jesteście przestępcami... – Przerywam i mrugam kilka razy. – Ze względu na to, czym się zajmujecie, mogłabym wam pomóc.

– W jaki sposób? – pyta zniecierpliwiony Fahim.

Jego nieruchome przenikliwe oczy wpatrują się we mnie ze skupieniem.

– Leczenie farmakologiczne. Zabieg chirurgiczny. Wszystko, co byłoby konieczne. Znalazłabym skuteczny sposób.

Patrzę na niego błagalnie, ogarniając wzrokiem te części jego twarzy, które mogę zobaczyć. Zauważam, że ma długie grube rzęsy jak jego bratanek.

– Zrobię wszystko, żeby odzyskać moje dziecko – dodaję. – Nikomu nie powiem, kim pan jest. Nie mogłabym, nawet gdybym chciała. Obciążylabym samą siebie. Zależy mi tylko na



ocaleniu mojego syna.

Fahim przygląda mi się badawczo, jakby czegoś szukał w moich oczach; patrzy na ślady łez i drżące wargi. W końcu powoli rozluźnia chwyt i czuję, jak w policzkach, które ugniatał palcami, znowu zaczyna krążyć krew.

– Chodź ze mną – mówi i znika za moimi plecami.

Przez chwilę siedzę nieruchomo i dociera do mnie, jak bliska byłam śmierci. W końcu zmuszam się, żeby wstać z krzesła. Nogi uginają się pode mną, a przed oczami latają mroczki.

– Dokąd idziemy? – pytam, obracając się powoli.

Fahim stoi przy drzwiach.

– Odwiedzić chorego – odpowiada.

Pstryka palcami i jeden z mężczyzn znów zakłada mi worek na głowę.

Na zewnątrz siąpi deszcz i wieje chłodny wiatr. Znów idziemy po śliskiej trawie i po chwili wchodzimy do jakiegoś budynku. Mężczyźni, którzy mnie tu przywieźli, niemal depczą mi po piętach. Podeszwy ich butów skrzypią na drewnianej podłodze.

Fahim chwytą mnie za skrępowane nadgarstki i kładzie moje dłonie na poręczy. Ostrożnie stawiam stopy na schodach, dygocąc cała z przejęcia.

*Po prostu rób, co ci każą. Zrób wszystko, co konieczne, żeby się stąd wydostać. Od tego zależy życie Zacka.*

Docieram do końca poręczy na piętrze i idę dalej za Fahimem, który chwytą mnie za rękę i prowadzi w głąb długiego korytarza. Po kilkunastu krokach przystaje i puka do drzwi. Jego towarzysze stoją tak blisko mnie, że przez tkaninę worka czuję na karku gorący oddech. Fahim znów pstryka palcami. Ktoś chwytą mnie za nadgarstek, czuję dotyk chłodnego metalu, plastikowa opaska pęka z trzaskiem i powoli zaczynam odzyskiwać krążenie w dłoniach.

Skrzypią otwierane drzwi.

– Wejź do środka, ale nie zdejmuj worka, dopóki ci nie powiem.

Ostrożnie przestępuję próg, lekko rozchylając ręce na boki. W powietrzu unosi się szpitalna woń środków dezynfekcyjnych. Słyszę trzaskanie płonącego drewna i jakiś syczący odgłos.

– Możesz zdjąć – mówi Fahim.

Powoli unoszę rękę i ściągam worek z głowy. Znajduję się w pokoju o wysokim stropie i ścianach pokrytych drewnianymi panelami. Przed okazałym kominkiem stoją dwa fotele, a wysokie okna są zasłonięte grubymi storami.

Na łóżku przede mną leży mężczyzna. Jest mniej więcej w moim wieku i wygląda na śmiertelnie chorego. Jego pierś unosi się i opada z wyraźnym wysiłkiem, a spod maski tlenowej wydobywa się syczący odgłos – ten sam, który usłyszałam już na progu. Ma bladą twarz i patrzy na mnie w milczeniu.

– To mój drugi bratanek – wyjaśnia Fahim, stając u mojego boku. – Kuzyn Ahmeda. Jest poszukiwany listem gończym. Gdyby poszedł do szpitala, obudziłby się w kajdankach.

Obok chorego stoi kobieta, która przygląda mi się uważnie. Ona również ukrywa twarz pod kominiarką, ale widzę jej piękne brązowe oczy i opadające na ramiona czarne włosy.

– To jego pielęgniarka – dodaje Fahim.

Kobieta wita mnie skinieniem głowy i wręcza mi skoroszyt.

– To moje notatki – mówi. – Mam nadzieję, że będą pomocne.

Odnosi się do mnie z chłodną rezerwą. Zauważam, że trzyma pacjenta za rękę, a na palcu ma pierścionek z dużym diamentem. Najprawdopodobniej jest jego żoną.

– Siadaj – rozkazuje mi Fahim. – I czytaj.

Moje ubranie jest wilgotne od deszczu, więc siadam blisko kominka i drżącymi z zimna rękami otwieram skoroszyt. Kartki są pokryte drobnym odręcznym pismem, ale po tylu latach pracy w zawodzie lekarza daję sobie z nim radę bez trudu. Staram się czytać najszybciej, jak potrafię, zdając sobie sprawę, że jestem obserwowana. Skupiam się na notatkach, a zajęcie, na którym się znam, przynosi upragnioną ulgę moim skołatanym nerwom. Pacjent przyjmuje kilkanaście różnych leków, jednak żaden z nich nie wystarczy, aby długo utrzymać go przy życiu.

– Od jak dawna chory jest w takim stanie? – pytam.

– Od dziewięciu miesięcy – odpowiada pielęgniarka. – Miał takie duszności, że nie mógł utrzymać się na nogach.

– Zdarzały się omdlenia?

– Tak.

– Z notatek wynika, że udało się przeprowadzić angiografię, tak?

Kobieta przytakuje, po czym z małej szafki przy łóżku wyjmuje zdjęcie rentgenowskie, podchodzi do mnie i wręcza mi je. Oglądam kliszę pod światło. Cztery główne tętnice wieńcowe wykazują oznaki zwężenia, jednak nie na tyle zaawansowanego, aby pacjent był aż tak osłabiony.

– To badanie było wykonane jakiś czas temu, prawda?

– Zeszłej wiosny.

Z tego wynika, że zaledwie w ciągu roku stan arterii znacznie się pogorszył. Podchodzę do łóżka i oddaję skoroszyt pielęgniarce.

– Mogę?

Kobieta podąża wzrokiem za moim spojrzeniem i gdy widzi, że patrzę na jej stetoskop, kiwa głową i zdejmuje go z szyi. Leżący na łóżku pacjent przygląda mi się uważnie.

– Czy mogłabym pana osłuchać? – pytam.

Mężczyzna mruga szybko dwa razy.

– To oznacza „tak” – wyjaśnia pielęgniarka.

– Jest zbyt osłabiony, by mówić?

– Ma gorszy dzień. Czasami bywa lepiej.

Wkładam słuchawki do uszu i przytykam membranę do piersi pacjenta. Jego serce bije niepokojąco szybko jak na kogoś, kto leży w łóżku; spodziewałabym się takiego tętna, gdyby przebiegł kilka kilometrów. Przykładam palce do jego tętnicy szyjnej.

– Proszę wybaczyć, jeśli mam trochę chłodne ręce – mówię z delikatnym uśmiechem.

Jest to moje typowe podejście podczas badania, które pomaga rozluźnić się pacjentom, ale teraz moje słowa pozostają bez odzewu. Osłuchuję serce chorego przez całą minutę, nie zważając na tykanie zegara w kącie pokoju, bębnienie deszczu o szyby okien i groźne spojrzenie Fahima. Doliczam się stu trzydziestu uderzeń, do tego w nieregularnym rytmie. Ten człowiek powinien znaleźć się w szpitalu. Kiedy znów spoglądam na jego twarz, ma zamknięte oczy. Domyślam się, że często zapada w sen z powodu niedotlenienia.

– Jego stan jest bardzo poważny – oświadczam. – Należy go poddać operacji i to możliwie jak najszybciej.

Fahim prowadzi mnie z powrotem w stronę kominka. Czuję jego ciężką dłoń na plecach, gdy idę przez pokój, i moje serce znów zaczyna kołatać. Siadam w fotelu naprzeciwko niego.

– Sądzisz, że uda ci się go uratować?

– Tak – odpowiadam. – Ale musiałabym mieć odpowiedni sprzęt i ludzi do pomocy.

Mój rozmówca przygląda mi się w milczeniu przez długą chwilę, a migotliwy blask płomieni odbija się w jego oczach. Widzę, że zмага się z wątpliwościami i próbuje zapanować nad

gniewem.

– Nie powtórzyłabym... tego, co się stało.

Fahim nie przestaje na mnie patrzeć i kulę się mimowolnie, przytłoczona jego spojrzeniem.

– Tylko czy mogę ci zaufać? – odzywa się w końcu.

– Mogłabym zadać to samo pytanie. Nie mam gwarancji, że kiedy przeprowadzę operację, i tak nie każe mnie pan zabić.

Fahim kiwa głową, jakby brał taką możliwość pod uwagę. Z przerażenia ściska mnie w łożądku, gdy uświadamiam sobie, jak niewiele znaczy dla niego moje życie. Mógłby mnie zamordować bez zmrżenia oka.

– Mogę uratować pańskiego bratanka, panie Shabbar – mówię. – Ale pod warunkiem, że pan uratuje mojego syna.

– Ach, więc teraz negocjujemy? – odpowiada Fahim ironicznym tonem. – A wydawało mi się, że chcesz przeprowadzić tę operację, żebym nie wpakował ci kulki w głowę.

Przypominam sobie zimny dotyk lufy na czole i ciężko przełykam ślinę.

– Zależy mi tylko na moim synu.

Znow zapada milczenie. W pokoju słychać tylko trzask płonących polan, tykanie zegara i syczenie tlenu, którym oddycha pacjent.

– Dobrze – mówi w końcu Fahim. – Zoperuj go, a ja w zamian uwolnię twojego syna.

Otwieram usta, żeby mu podziękować, ale on dodaje:

– Wiesz, co się stanie z tobą i twoim dzieckiem, jeśli mój bratanek nie przeżyje?

*Zginiemy.*

Kiwam głową i dociera do mnie, że jedynie zamieniłam jedno zagrożenie na inne.

Ale przynajmniej dzięki temu Zack i ja mamy jakąś szansę.

– Kto porwał Zacka? – pytam. – Kto nam to zrobił?

– Jeden z naszych konkurentów, niejaki Wołkow. Dzięki swoim wpływom Ahmed pomógł nam rozkręcić interes, ale Wołkow i jego krewniacy byli stratni, więc postanowili się odegrać. Widocznie myśleli, że jeśli posłużą się tobą, ujdzie im to na sucho.

*Więc tym byliśmy dla nich Zack i ja? Narzędziem do wyrównania rachunków?*

– Kiedy pan może go uwolnić? Grozi mu niebezpieczeństwo... On jest jeszcze dzieckiem i tak bardzo się boi...

– Wszystko zależy od operacji – odpowiada Fahim. – Im wcześniej ją przeprowadzisz, tym szybciej odzyskasz syna. Wszystko zależy od ciebie.

Patrzę na niego tępo, zastanawiając się nad wyjściem z matni, w którą sama się wpakowałam. Nie mogę ot tak przeprowadzić niezaplanowanej i przygotowanej naprędce operacji, a zwłaszcza uniknąć pozostawienia śladów. Potrzebowałabym dostępu do sali operacyjnej, pomocy odpowiedniego personelu, środków farmakologicznych. Jestem teraz zawieszona, więc już moja obecność w szpitalu sama w sobie byłaby alarmująca.

Fahim patrzy na mnie wyczekująco. Zerkam w stronę pacjenta i na próżno próbuję wyperswadować sobie coś, co zamierzam i tak za chwilę powiedzieć. Pamiętam, jaka myśl tłukła mi się w głowie, zanim weszłam do tego pokoju.

*Po prostu rób, co ci każą. Zrób wszystko, co konieczne, żeby się stąd wydostać. Od tego zależy życie Zacka.*

– Dziś w nocy – mówię. – Zrobimy to dziś w nocy.

Pielęgniarka szepcze coś w języku, którego nie rozumiem, ale Fahim ucisza ją gestem dłoni, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Pański bratanek jest w tak poważnym stanie, że może umrzeć w ciągu najbliższych kilku dni – oświadczam, starając się mówić jak najbardziej pewnym siebie tonem. – Już dawno powinien się poddać operacji. Im szybciej ją przeprowadzimy, tym większą będzie miał szansę na przeżycie.

*A ja szybciej odzyskam mojego syna.*

Fahim długo patrzy mi w oczy, a ja znoszę jego spojrzenie i nie poddaję się napięciu. Pielęgniarka wbija wzrok w jego plecy i znów się odzywa.

– Musimy jej zaufać – odpowiada Fahim po angielsku. – To nasza jedyna nadzieja.

Czuję przyływ ulgi i łzy napływają mi do oczu.

Jest szansa, że Zack wróci do domu. Nie wiem, jak dokonam tego wszystkiego, ale jeżeli operacja się uda, Shabbarowie rozprawią się z porywaczami, po czym jedni i drudzy znikną z naszego życia, a inspektor Conaty zostawi mnie w spokoju, kiedy zobaczy, że Zack jest bezpieczny. Pozostaje mi jedynie mieć nadzieję, że wewnętrzne dochodzenie zakończy się pomyślnie dla mnie. Jeszcze tylko jedna rzecz nie daje mi spokoju. Sprawa, którą muszę doprowadzić do końca.

– Mamy jeszcze jeden problem – mówię. – Coś, o czym musimy porozmawiać w cztery oczy.

Fahim zwraca się do pielęgniarki w swoim ojczystym języku. Kobieta piorunuje mnie wzrokiem i wychodzi bez słowa. Dopiero kiedy zamykają się za nią drzwi i zostajemy sami ze śpiącym pacjentem, zaczynam mówić.



Margot  
Wtorek, 9 kwietnia 2019  
22.30

Stoję w ciemności wstrząsana dreszczami i wciąż piecze mnie twarz, w którą oberwałam od Jaxa, kiedy nie chciałam się zamknąć. Przewróciłam się i poharatałam sobie kość policzkową na betonie, ale całą siłę upadku przyjął na łokieć, który jutro będzie cały siny.

Teraz dwaj kumple Jaxa nie spuszczaają mnie z oka.

Minęły już jakieś dwie godziny, odkąd zabrali Annę. Z początku myślałam, że wywieźli ją gdzieś i zabili. Wyobrażałam sobie, jak umiera, podczas gdy ja sterczę na tym placu i zastanawiam się, kiedy zrobią to samo ze mną. Ale kiedy z czasem trochę się uspokoiliłam, dotarło do mnie, że gdyby chcieli ją zlikwidować, mnie spotkałby taki sam los. Nie zostawiliby mnie tutaj. Tymczasem wciąż na coś czekamy.

Muszę do toalety i mam sucho w gardle. Mniej więcej godzinę temu spytałam, czy mogłabym usiąść w samochodzie, żeby się ogrzać, ale oni tylko patrzyli na mnie w milczeniu. No więc stoję tutaj, trzęsąc się z zimna, palę papierosa za papierosem i rzucam pety pod nogi.

Obracam się, gdy za moimi plecami rozlega się warkot silnika. Snopy światła z reflektorów skaczą w górę i w dół, kiedy samochód toczy się po wyboistej drodze.

*To pewnie ona. Przywieźli ją z powrotem. Albo ją zabili i teraz jadą po mnie.*

Na końcu traktu samochód skręca w lewo, jakby kierowca chciał ominąć budynek, a potem zatrzymuje się gwałtownie. Serce zamiera mi w piersi. To nie jest SUV, którym odjechała Anna, ale porsche cayman z zeszlóroczną rejestracją. Jeszcze jeden kradziony wóz.

*O psiakrew, przeklinam w myślach, kiedy widzę, kto wysiada z samochodu.*

– Co ty tu robisz, do jasnej cholery? – Damien podchodzi do mnie szybkim krokiem, a tuż za nim idzie Rick. – Hej, zadałem ci pytanie.

Jest taki wściekły, że oczy niemal wychodzą mu z orbit. Zauważa otarcie na moim policzku i natychmiast patrzy na facetów, którzy mnie pilnują.

– Wy to zrobiliście?

– Jax – odpowiada ten po lewej. – Sprawiała problemy.

Mój brat przenosi wzrok z powrotem na mnie, trzęsąc się z wściekłości.

– Jakie problemy?

– Trudno to wyjaśnić – odpowiadam.

Damien chwytą mnie za ramiona.

– Mówiłem ci, żebyś tu nie wracała.

Kiedy zbliża do mnie twarz, widzę, że ma rozszerzone źrenice i ślady białego proszku na nozdrzach. Zerkam na Ricka, który wydaje się tak samo naćpany.

– Gdzie się gapisz? – krzyczy Damien i potrząsa mną. – Patrz na mnie. Co tu robisz?

– Zaraz! – Rick łapie mnie za nadgarstek. – To mój sygnet.

Wyrrywam rękę i kulę się, kiedy mój brat znów podnosi na mnie głos. Czuję na twarzy jego gorący oddech.

– Odpowiadaj! Ale już!

Nagle omiata nas snop mocnego światła. Mrużąc oczy, spoglądamy w stronę drogi, na której pojawia się kolejny samochód. Kiedy milknie silnik i gasną reflektory, rozpoznaję sylwetkę czarnego SUV-a.

To nim odjechała Anna.

Otwierają się drzwi i z samochodu zaczynają wysiadać zamaskowani mężczyźni. Spodziewam się zobaczyć między nimi Annę, ale z każdą chwilą moja nadzieja słabnie.

*O Boże, oni naprawdę ją zabili. Wywieźli ciało na jakieś pustkowie i porzucili.*

Z samochodu wysiada jeszcze jedna postać. Jest ciemno, więc początkowo nie odróżniam jej od pozostałych. Dopiero po chwili zauważam, że nie ma na głowie kominarki, ale czarny worek. Gdy jeden z facetów go zrywa, rozpoznaję jasne włosy Anny. Wyrywam się Damienowi i podbiegam do niej. Nikt nie próbuje mnie zatrzymać. Anna wydaje się dziwnie spokojna, ale jest blada jak ściana.

– Wszystko w porządku?

Przyglądam się jej uważnie, ale nie dostrzegam siniaków ani śladów krwi. Anna przytakuje, a jej wzrok przeslizguje się po moim policzku.

– Musimy jechać – mówi nagłym tonem, po czym odwraca się i odchodzi bez słowa.

– Ale zaczekaj. Co się stało? Myślałam, że...

Oglądam się przez ramię. Damien i Rick patrzą na mnie oszołomieni.

– Margot!

Anna stoi koło mojego samochodu i najwyraźniej czeka, aż wpuszczę ją do środka. Spoglądam jeszcze raz na mojego brata, który wciąż musi być na mnie wściekły o to, że się tu zjawiłam. Powinam z nim porozmawiać, wyjaśnić mu, że to było konieczne ze względu na pieniądze, ale wyczuwam narastające zniecierpliwienie Anny. Nie mogę sobie pozwolić, żeby znowu stracić ją z oczu.

Ruszam w stronę mojego samochodu, nie zwracając uwagi na Damiena, który woła mnie po imieniu.

– No i co się stało? – pytam, sadowiąc się za kierownicą. – Zrobili ci coś?

Uruchamiam silnik i zawracam, ale Anna odzywa się dopiero w połowie wyboistego traktu.

– Nic mi nie jest.

– Czego od ciebie chcieli?

Anna patrzy w okno, jakby nie usłyszała mojego pytania. Roztacza silną woń potu, a jej noga podryguje nerwowo.

– Czego od ciebie chcieli? – powtarzam surowym tonem, kiedy wyjeżdżamy z drogi gruntowej na asfalt.

– Pomogą mi odzyskać mojego syna – odpowiada Anna. – Ale najpierw musimy coś zrobić.

– No to świetnie... – mówię ostrożnie, zaniepokojona jej zachowaniem. – Co takiego musimy zrobić?

Anna milczy. Siedzi ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, dziwnie spokojna, jakby była w narkotycznym transie. Cokolwiek ją spotkało, jeszcze nie całkiem doszła do siebie.

– Ahmed Shabir miał kuzyna – odzywa się wreszcie. – Ten człowiek potrzebuje naszej pomocy.

*Potrzebuje naszej pomocy? O czym ona, do cholery, mówi?*

– Masz na myśli operację? – pytam.

– Tak.

– No i co w tym nadzwyczajnego? Codziennie wszczepiasz bajpasy. Możesz go przyjąć na oddział i...

– Muszę to zrobić nieoficjalnie – przerywa mi Anna i w końcu obraca wzrok w moją stronę. – I to jeszcze dzisiejszej nocy.

– Zaraz, zaraz... Co? – Wybucha śmiechem, rozbawiona niedorzecznością jej słów. – Niby jak? Nie mamy anestezjologa, perfuzjonisty ani... nikogo nie mamy. We dwie nie przeprowadzimy operacji na otwartym sercu.

– Musimy znaleźć jakiś sposób – odpowiada Anna rzeczowym tonem.

– Posłuchaj, rozumiem, że chcesz odzyskać syna, ale chyba nie wszystko sobie przemyślałaś. Jak zamierzasz utrzymać to w tajemnicy?

– Przerabialiśmy to już z Ahmedem Shabirem i teraz zrobimy tak samo. Przewieziemy pacjenta tylnym wejściem, zamkniemy blok operacyjny pod pozorem sprzątanania i zajmujemy jedną z sal, żeby nikt nie próbował z niej korzystać. Dlaczego miałoby się nam nie udać?

Nie jestem pewna, czy Anna naprawdę w to wierzy, czy tylko próbuje przekonać samą siebie, że jej pomysł ma szansę powodzenia. Tak czy inaczej brzmi jak obłąkana. Jej wygląd pogłębia to wrażenie – ma rozszerzone źrenice i nie może zapanować nad drżeniem rąk.

– Naprawdę? A co z wszystkimi badaniami? Krew, EKG, rentgen, echo, mapowanie żył i tak dalej. Wystarczy jedno, żeby pozostawić ślad, a jeśli ich nie wykonasz, nie będziesz wiedziała, z czym się mierzysz, w każdym razie nie do końca. Zamierzasz działać po omacku?

– Jeśli będę zmuszona, to tak!

Zjeżdżam na pobocze i naciskam hamulec. Zawisamy na pasach, kiedy gwałtowne szarpnięcie rzuca nas do przodu.

– Czy ty siebie słyszysz? Przecież to istne szaleństwo.

– Tylko w taki sposób mogę ocalić Zacka – odpowiada Anna stanowczo. – A dla ciebie to jedyny sposób na zdobycie pieniędzy.

Wpatruję się w nią, rozwścieczona i jednocześnie zafascynowana jej uporem. Trudno o bardziej szalone przedsięwzięcie, na jakie mogłybyśmy się porwać. Jeżeli zostaniemy zdemaskowane, Anna straci prawo wykonywania zawodu, a w mojej kartotece przybędzie kolejne przestępstwo. Asystowanie przy potajemnej operacji w szpitalu, z którego zostałam zwolniona? Wolę nawet sobie nie wyobrażać tych wszystkich zarzutów o lekkomyślne narażenie pacjenta na niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, które mogłabym usłyszeć.

Ale jeśli nie zdobędę tych pieniędzy, i tak pójdę do więzienia.

– To co, uważasz, że jesteś w stanie same wszczepić bajpasy?

– Jasne, że nie.

– W takim razie jak zamierzasz to zrobić? Bo nikt przy zdrowych zmysłach ci w tym nie pomoże, nawet gdybyś mu przystawiła pistolet do głowy.

Anna obraca się w fotelu i spogląda mi w oczy.

– Przestań się zachowywać tak, jakbyśmy miały jakiś wybór. Obie w tym tkwimy. Zanim wpadłaś na swój genialny pomysł, groziło nam tylko jedno niebezpieczeństwo, a teraz ściągnęłyśmy sobie na głowę dwa gangi. Jeśli nie przeprowadzę tej operacji i wyjdzie na jaw, że doprowadziłam do śmierci Ahmeda Shabira, porywacze zabiją mojego syna, a potem przyjdą po nas. Ale jeśli zaryzykuję i operacja się uda, Shabbarowie uwolnią Zacka i rozprawią się z ludźmi, którzy go porwali. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Ty dostaniesz pieniądze, a ja odzyskam dziecko. To nasze jedyne wyjście. Dlatego tak długo będziemy siedziały w tym samochodzie, aż wymyślimy jakiś plan, bo nie widzę dla nas innego rozwiązania. A ty?

Jej pierś unosi się i opada w szybkim tempie, a oczy mają desperacki wyraz. Odwracam wzrok i patrzę na skapaną w blasku księżycy drogę.

- Zapominasz o jeszcze jednym scenariuszu - mówię.

- Mianowicie?

- Że przeprowadzimy operację i pacjent umrze...

Obie siedzimy w milczeniu, wyobrażając sobie konsekwencje. Wątpię, aby Shabbarowie puścili Annie płazem śmierć drugiego członka rodziny.

- No cóż, w takim razie musimy zrobić wszystko, żeby do tego nie doszło, nie?





Anna  
Środa, 10 kwietnia 2019  
00.34

Kiedys myślałam, że ludzie przesadzają, opowiadając o sytuacjach, w których postrzegali świat spoza swojego ciała, ale w ciągu ostatnich kilku godzin doświadczyłam właśnie czegoś takiego. Przyglądałam się swoim ryzykownym i nierozważnym posunięciom, ale na próżno usiłowałam przemówić sobie do rozsądku i powstrzymać samą siebie, więc pozostawało mi tylko patrzeć bezsilnie, jak mimo błagań dalej robię swoje. Myślę tylko o uwolnieniu Zacka i desperacka siła napędza każdy mój kolejny krok.

Po tym, jak wreszcie ustaliłyśmy z Margot plan działania i zadzwoniłyśmy do Fahima Shabbara, o wpół do dwunastej w nocy dostałyśmy się do szpitala tylnym wejściem w zachodnim skrzydle i natychmiast przystąpiłyśmy do pracy. Ukrywając twarze pod maseczkami ochronnymi, zaczęłyśmy wdrażać te same środki bezpieczeństwa, jakie zastosowano podczas operacji Ahmeda Shabira. W korytarzach ustawiliśmy tabliczki informujące o pracach porządkowych i oznaczyłyśmy jedną z sal operacyjnych jako nieczynną, żeby nikt nam nie przeszkadzał. W sali przygotowaliśmy niezbędne instrumenty i urządzenia oraz wszystkie środki farmakologiczne, które mogłyby okazać się potrzebne. Margot rzeczywiście ma wprawę w gromadzeniu rzeczy, które nie są jej własnością.

Teraz pozostaje nam tylko czekać na przybycie pacjenta.

Siedzę w sali operacyjnej i wsłuchuję się w tykanie zegara. Miarowy rytm mechanizmu nie nadaża za nerwowym kołataniem mojego serca. Są ze mną dwaj ludzie Shabbara, którzy mają za zadanie pilnować, żebyśmy trzymały się planu. Poznają po głosie, że ten siedzący po lewej wiół mnie na spotkanie z Fahimem. Obaj są muskularnymi brunetami o śniadej skórze tak jak ich szef. Mają na sobie ubrania chirurgiczne i maseczki, które im dałam, gdy tylko przyjechali. Nie podoba mi się, jak obserwują podejrzliwie każdy mój ruch, ale są nam potrzebni, żeby zastawić pułapkę na dyżurnego anestezjologa. Modłę się w duchu, żebyśmy nie trafili na doktora Burke'a.

Odtwarzam w myślach cały plan, uporczywie analizując wszystkie te punkty, w których może coś nawalić. Dopiero teraz, kiedy strach ustępuje miejsca zmęczeniu i mam chwilę na zastanowienie, uświadamiam sobie, w jakim pośpiechu układałyśmy swój plan. Niestety w tak krótkim czasie nie udało się nam dopiąć wszystkiego na ostatni guzik. Ale dziś mam niepowtarzalną szansę, by nie wzbudzić podejrzeń porywaczy, którzy spodziewają się, że spędzę tę noc w szpitalu. Poza tym pacjent jest w tak poważnym stanie, że muszę go jak najszybciej operować, w przeciwnym razie nie przeżyje najbliższego tygodnia.

*A Zack nie może czekać ani chwili dłużej.*

Teraz albo nigdy.

Z głośnym skrzypieniem otwierają się drzwi przebieralni przylegającej do sali operacyjnej. Gwałtownie obracamy głowy w tamtą stronę, a jeden z mężczyzn odruchowo sięga po ukryty pod bluzą pistolet.

Na progu stoi Margot. Ledwie wzdycham z ulgą, a już wstrzymuję oddech w pełnym napięciu oczekiwaniu.

– Burke właśnie skończył operację – oświadcza Margot.

Zerkam w stronę mężczyzn. Ten, którego poznaję po głosie, kiwa głową.

– Wezwij go – mówię.

Margot odpina pager od paska i wysyła wiadomość. Potem obie kłękamy i unosimy ręce, a uzbrojeni ludzie Shabbara stają za naszymi plecami.

*Nikt przy zdrowych zmysłach ci w tym nie pomoże, nawet gdybyś mu przystawiła pistolet do głowy.*

Właśnie tak zareagowała Margot, kiedy pierwszy raz wspomniałam o operacji. Oczywiście myliła się, ale podsunęła mi pewien pomysł. Każdy byłby gotów nam pomóc, gdyby mógł w ten sposób ocalić siebie albo swoich bliskich. Właśnie tak sama znalazłam się w tym bagnie.

Serce kołaczę mi w piersi, krew pulsuje w żyłach, a zdrętwiałe kolana zaczynają mrowić.

*To wszystko dla Zacka.*

Nie mogę złapać tchu, gdy czuję z tyłu głowy twardy wylot lufy. Powtarzam sobie, że to tylko część planu, że nic mi nie grozi, ale na samą myśl o wymierzonej we mnie broni kurczą mi się płuca, tętno przyspiesza, oddech staje się coraz płytszy, kręci mi się w głowie i...

Do sali wchodzi doktor Burke.

Moje serce zamiera.

Burke staje jak wryty. Rozdziawiając usta ze zdumienia, patrzy na mnie i na Margot, a potem przenosi wzrok na uzbrojonych napastników. Jego spojrzenie zatrzymuje się na pistolecie wymierzonym w moją głowę.

– Co... co tu się dzieje? – pyta drżącym głosem.

– Na kolana – rozkazuje cyngiel, który stoi za plecami Margot, po czym robi krok przed siebie i celuje mu w głowę. – Powiedziałem, na kolana.

Burke kłęka obok mnie i patrzy mi w oczy. Trzęsie się tak mocno, że jego bluza lekko faluje.

– Czego chcecie?

– Dziś w nocy doktor Jones przeprowadzi operację, a ty jej pomożesz – mówi uzbrojony mężczyzna. – Masz z nią współpracować, a potem zapomnieć o wszystkim, co tu zobaczysz. Jeśli będziesz trzymał język za zębami, nikomu nic się nie stanie. Zrozumiałeś?

Burke patrzy na niego otępiałym z przerażenia wzrokiem. Wygląda, jakby za chwilę miał się rozplakać albo zacząć krzyczeć. Facet za moimi plecami przeładowuje broń. Wzdrygam się, słysząc szczęk metalu.

– Tak! Jasne! – skwapliwie odpowiada Burke wyrwany z transu. – Tylko nie róbcie nam krzywdy.

– Wiem, że jesteś przerażony – zwracam się do niego. – Ja też się boję, ale jeśli mamy wyjść z tego cało, musimy zachować spokój i zaufać sobie nawzajem. Damy radę.

Burke patrzy na mnie. Jest nabuzowany adrenaliną i oczy niemal wychodzą mu z orbit.

– To jak, zaufasz mi?

Mój kolega próbuje odpowiedzieć, ale nie potrafi wydobyć z siebie głosu. Jego wzrok spoczywa na pistolecie wymierzonym w moją głowę.

– Posłuchaj, Burke... – mówię stanowczo. – Ci ludzie wiedzą, gdzie mieszkamy. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Oni wiedzą, gdzie mieszkają nasze dzieci.

Widzę, jak krew odpływa z jego twarzy.

– Twoja córka ma pokój od frontu – wtrąca jeden z ludzi Shabbara. – Z różowymi zasłonami w oknach, zgadza się?

Poczucie winy przyprawia mnie o mdłości, bo to ja zdradziłam mu ten szczegół, który poznałam przypadkiem – w zeszłym roku Burke zaprosił mnie i Adama na przyjęcie gwiazdkowe i szukając toalety, otworzyłam niewłaściwe drzwi. A teraz odpłacałam mu się za jego gościnność w tak perfidny sposób. Ale gdybym musiała, zrobiłabym to jeszcze raz. Groźenie jego dziecku jest jedynym sposobem na ocalenie mojego.

- Musimy przeprowadzić tę operację - mówię, zniżając głos do szeptu. - A potem musimy trzymać język za zębami.

- Będę milczał jak grób - odpowiada Burke. - Obiecuję.

Dzwoni komórka i mężczyzna stojący za moimi plecami odbiera połączenie. Rozmawia z kimś w swoim ojczystym języku, a gdy kończy, w sali zapada absolutna cisza. Wszyscy czekają w napięciu.

- Już tu są.



Anna  
Środa, 10 kwietnia 2019  
00.48

Eskortuje mnie jeden z ludzi Shabbara. Gdy w milczeniu jedziemy na dół windą, zastanawiam się, kim był dla niego Ahmed. Ciekawa jestem, jak bardzo mnie nienawidzi.

Zjeżdżamy na parter i idziemy długim korytarzem zachodniego skrzydła w stronę drzwi. Niosę trzy dodatkowe komplety odzieży chirurgicznej, a idący tuż za mną mężczyzna obserwuje każdy mój ruch.

Kiedy zaczynałam pracować w Redwood, szpital właśnie przeszedł renowację. Cała frontowa część budynku otrzymała nowy wystrój; we wszystkich ogólnie dostępnych pomieszczeniach wymieniono podłogi i pomalowano ściany. Jednak na tyłach szpitala nie widziano ekipy remontowej od dziesięcioleci, gdyż wyjście w zachodnim skrzydle służy tylko do przyjmowania dostaw zaopatrzenia i potajemnych przerw na papierosa. Nowoczesny system monitoringu również nie sięga tak daleko, co oznacza, że nie uchwyci nas żadna z kamer.

Drzwi rozsuwają się automatycznie i owiewa mnie chłodne powietrze. Pacjent jest już na miejscu. W pustej zatoczce rozładunkowej stoi czarna furgonetka z pracującym silnikiem, gotowa odjechać w każdej chwili, gdyby pojawiły się kłopoty.

– Idź tam.

Twarda ręka dotyka moich pleców, popychając mnie bezceremonialnie. Podchodzę do samochodu i wzdrygam się, gdy zaglądam do środka przez okno po stronie pasażera. W fotelu siedzi mężczyzna w takiej samej kominiarce, jakie widziałam wcześniej; z otworów spoglądają na mnie ciemne oczy. Opuszcza szybę, a ja wręczam mu szpitalne ubrania. Widzę, jak kładzie sobie na kolanach jeden z kompletów, a pozostałe podaje komuś, kto siedzi z tyłu. Kiedy okno się zamyka, wracam do budynku.

Po chwili otwierają się drzwi po stronie pasażera i z samochodu wysiada ten sam mężczyzna. Ma na sobie strój chirurgiczny, który mu przyniosłam, a dolną połowę jego twarzy zasłania maseczka ochronna. Otwiera drzwi z tyłu furgonetki i wytacza składane nosze, na których leży pacjent z maską tlenową na twarzy. Ze środka wysiadają jeszcze dwaj mężczyźni, również w szpitalnych przebraniach. Kiedy wiozą pacjenta w stronę wejścia, zauważam, że jednym z nich jest sam Fahim Shabbar.

– Nie sądziłam, że zjawi się pan tu osobiście – mówię.

– Nie pomyślałaś, że zechcę mieć cię na oku, kiedy będziesz operowała kolejnego członka mojej rodziny? A podobno lekarze są tacy inteligentni.

Idę korytarzem w stronę windy, otwierając pochód, i staram się nie okazywać zdenerwowania. Zaledwie kilka godzin temu ten człowiek kazał mnie zabić. Pamiętam luźną pistoletu przyciśniętą do mojego czoła i zginający się na spuście palec zamaskowanego zbira. W obecności Shabbara cały czas ocieram się o śmierć. Wystarczy tylko jedno jego słowo.

– Wszystko jest przygotowane? – pyta Fahim.

– Tak – odpowiadam, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

– Nadal nie jestem przekonany co do zaangażowania kolejnej osoby.

– Nie mogę przeprowadzić operacji bez anestezjologa, panie Shabbar.  
– Na górze nie zwracaj się do mnie po nazwisku. Ten cały Burke wie, co się stanie, kiedy puści farbę?

*Tak, zabijesz go. Zabijesz nas wszystkich.*

– Wie. Uświadomiłam mu to – odpowiadam i pochylam się nad pacjentem leżącym na noszach. – Dobrze się pan czuje?

Pacjent kiwa głową, ale w jego oczach widzę strach. Wciąż nie jest pewny, czy może mi zaufać. Po tym, co zrobiłam, wcale mu się nie dziwię.

Rozsuwają się metalowe drzwi windy i wszyscy wchodzimy do środka, tłocząc się wokół noszy. W ciasnej przestrzeni wkrótce robi się duszno i nagle doświadczam upiornego *déjà vu* – przypominam sobie, jak odwoziłam ciało Ahmeda Shabira do kostnicy i towarzyszyli mi dwaj porywacze. Wspomnienie jest tak żywe, że czuję ich gorące oddechy i zapach krwi, który wypełnił wnętrze windy, kiedy odsłoniłam zwłoki. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek przeżyję coś podobnego.

Kiedy docieramy na salę operacyjną, czuję wyraźną atmosferę strachu. Panika zdaje się brzęczeć niczym naelektryzowane powietrze. Burke wciąż dygocze, a Margot ma oczy wielkie z przerażenia. Kiedy ustawiamy nosze obok stołu operacyjnego, Burke natychmiast wkluwa się w żyłę pacjenta, żeby podać mu kroplówkę.

– Proszę tam zaczekać – zwracam się do Fahima i jego ludzi, wskazując wzrokiem kąt sali. – Potrzebujemy tu więcej przestrzeni.

– Jeśli będziecie coś kombinować... – zaczyna Fahim groźnym tonem.

– Nie będziemy – odpowiadam stanowczo.

Margot zakłada lateksowe rękawiczki i pochyla się nad pacjentem.

– Teraz podamy panu znieczulenie, dobrze? – mówi, patrząc mu w oczy. – Zapewniam, że chcemy panu pomóc i nic poza tym. Obudzi się pan w domu, bezpieczny i dużo silniejszy niż teraz. Brzmi nieźle, prawda?

Mężczyzna przytakuje nerwowo, ale widzę nieufność w jego oczach. Rozgląda się dokoła, jakby kogoś wypatrywał. Spoglądam na Fahima Shabbara.

– Myślę, że pacjent chce z panem pomówić.

Shabbar podchodzi do bratanka, nachyla się i chwyta go za rękę. Kiedy obaj wypowiadają niezrozumiałe słowa, które brzmią jak modlitwa, myślę o kolejnych posunięciach. Gdy tylko pacjent znajdzie się w stanie narkozy, doktor Burke wprowadzi mi do tchawicy rurkę intubacyjną, Margot okryje go serwetami chirurgicznymi i przygotowuje miejsca dostępu operacyjnego, a ja osobiście wypreparuję żyłę do przeszczepu.

Spoglądam na Margot. Jeżeli jest wystraszona, dobrze to ukrywa, a ja cieszę się, że mogę teraz na niej polegać. Potrzebuję jej spostrzegawczości i jej siły. Kiedy wykonam pierwsze cięcie, nie będzie już odwrotu. Pacjent musi przeżyć albo wszyscy zginiemy. Zack przypadnie bez wieści. W moich rękach spoczywa teraz los tylu ludzi, a wszystko się rozstrzygnie, nim wstanie dzień.

Gdy Fahim odchodzi od stołu, skinieniem głowy daję znak Burke'owi, który wstrzykuje do wenflonu środek anestetyczny i pochyla się nad pacjentem.

– Proszę teraz policzyć od dziesięciu do jednego.

– Dziesięć... – charczy pod maską tlenową chory. – Dziewięć...

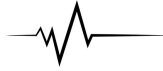
Do ośmiu już nie dochodzi, bo jego gałki oczne obracają się w górę czaszki, a powieki opadają.

*Teraz nie ma odwrotu.*

Przechodzę na drugi koniec stołu operacyjnego i odsłaniam nogi pacjenta, żeby przystąpić do preparowania żył. Kiedy podnoszę serwetę, serce zamiera mi w piersi. Moim oczom

ukazują się grube spuchnięte łydki i obrzękłe stopy o przebarwionej na fioletowo skórze, pod którą zebrała się krew. Kątem oka widzę, jak Margot tężeje. Obydwie doskonale wiemy, o czym świadczą takie objawy. Niemal słyszę w głowie jej głos.

*A mówiłam, że nie powinnaś działać po omacku.*



Anna  
Środa, 10 kwietnia 2019  
01.10

– Od jak dawna jego nogi tak wyglądają? – pytam.

Staram się zachować jak najbardziej swobodny ton. Wiem, że gdy Fahim zauważy moją słabość lub nawet najlżejszy przejaw braku orientacji, natychmiast stanie się jeszcze bardziej podejrzliwy. Nie mogę sobie pozwolić na utratę tej odrobiny zaufania, jaką zdołałam w nim wzbudzić, zwłaszcza na tak wczesnym etapie, kiedy jeszcze nawet nie sięgnęłam po skalpel. Jeśli mam przeprowadzić tę operację bez przeszkód, nie mogę wytrącić go z równowagi.

– Od jakichś czterech miesięcy.

– Zdarzał mu się suchy kaszel?

– Tak – odpowiada Shabbar po chwili zastanowienia. – I to nawet często.

– A czy duszności się nasilały, kiedy leżał?

– Tak... A po co w ogóle te pytania?

– Po prostu kontynuuję rozpoznanie. Nie ma powodu do niepokoju – kłamie. – Margot, skalpel.

Wykonuję pierwsze cięcie i zaczynam preparować żyłę do przeszczepu. Z potwierdzonych przez Shabbara objawów wynika, że pacjent nie tylko ma zwężone naczynia wieńcowe, ale również cierpi na zaciskające zapalenie osierdzia. Worek osierdziowy wskutek stanu zapalnego stał się zwłókniały i zamiast zgodnie ze swoim przeznaczeniem chronić serce uciska je, utrudniając jego pracę.

Jedyną skuteczną metodą leczenia tej przypadłości jest perikardiektomia, czyli częściowe lub całkowite usunięcie osierdzia. Co więcej, jest to jedyny sposób, który umożliwi mi wszczepienie bajpasów. Jednak każda z tych dwóch operacji opiera się na zupełnie innych procedurach. Pomostowanie aortalno-wieńcowe wymaga użycia płucoserca, natomiast perikardiektomię przeprowadza się na bijącym sercu, aby utrzymać nieprzerwane krążenie. Gdyby wskutek usunięcia worka osierdziowego doszło do krwawienia, powinnam o tym wiedzieć przed założeniem szwów, a zastosowanie krążenia pozaustrojowego wyklucza taką możliwość. W innym przypadku mogłabym przeprowadzić zabieg pomostowania bez zatrzymywania krążenia, ale wiąże się to z dodatkowym ryzykiem, a ten pacjent jest zbyt osłabiony. Jeśli narażę jego serce na jeszcze większe obciążenie, może nie przeżyć operacji.

*Powinnam była wykazać się większą skrupulatnością, oceniając jego stan. Gdybym zbadła go dokładniej, mogłabym przewidzieć te komplikacje. Ale ja chciałam jak najszybciej wyrwać się z tej matni.*

Kończąc wycinać ostatnią żyłę i układam w myślach plan działania. Postanawiam odwleć użycie płucoserca, aby najpierw usunąć worek osierdziowy, a następnie przejść na krążenie pozaustrojowe i wszczepić bajpasy. Gdy po skończonym zabiegu przywrócimy akcję serca, zaczekamy tak długo, jak to będzie możliwe, aby się upewnić, czy nie wystąpi krwawienie po perikardiektomii. Oczywiście pod warunkiem, że zostanie nam trochę czasu w rezerwie i nie wystąpią inne niespodzianki.

Zaszywam nacięcie w nodze pacjenta, a Margot zabiera wypreparowane odcinki żył i przenosi je na drugą stronę stołu operacyjnego.

– Doktorze Burke – mówię spokojnie, zdając sobie sprawę, że Fahim łowi każde moje słowo. – Pomostowanie będzie musiało trochę zaczekać.

– A to dlaczego? – odzywa się Shabbar. – Powiedziałaś, że możesz to zrobić...

– Bo mogę, ale jest jeszcze inna sprawa, którą najpierw muszę się zająć, kiedy serce pracuje samodzielnie.

– Co to znaczy inna sprawa?

– Obrzęk nóg, suchy kaszel i problemy z oddychaniem, które nasilają się w pozycji leżącej... są to objawy zaciskającego zapalenia osierdzia – wyjaśniam. – Worek osierdziowy, który ma chronić serce, uciska je, utrudniając jego pracę, ponieważ stał się zwłókniały i twardy wskutek stanu zapalnego. Nie jest to poważny problem, ale musimy nieco zmienić plany. – Wyciągam rękę w stronę Margot, która czeka w pogotowiu, aby podać mi skalpel, po czym znów zwracam się do Fahima: – Teraz niekoniecznie musi pan mi patrzeć na ręce.

Kiedy trzymam skalpel w dłoni, odzyskuję poczucie kontroli. Wolno przesuwam ostrze, po czym rozchyłam płaty skóry i mięśnie, odsłaniając białą kość mostka. Oddaję skalpel Margot, która od razu wręcza mi piłę oscylacyjną. Fahim wzdryga się, gdy salę wypełnia dźwięk silnika elektrycznego. Rozcinam mostek od góry do dołu, cały czas myśląc z niepokojem o zaawansowaniu zmian chorobowych, jakie zobaczę po otwarciu klatki piersiowej. Gdy kończę cięcie, odkładam piłę i wyciągam rękę po rozwieracz.

– Czy ten dodatkowy zabieg jest ryzykowny? – dopytuje Shabbar.

Pierwszy raz opiekun pacjenta towarzyszy mi podczas operacji i nie mogę powiedzieć, abym była tym zachwycona.

– Cóż, prawdopodobieństwo infekcji jest większe – odpowiadam, wkładając łopatkę rozwieracza między krawędzie rozciętego mostka. – Może dojść do przemieszczenia serca...

– W takim razie nie możesz ryzykować.

– Alternatywą jest śmierć pacjenta – oświadczam beznamiętnym tonem. – Chce pan, żebym ratowała jego życie?

Shabbar przeszywa mnie wzrokiem, a jego policzki czerwieńszą z gniewu.

– Oczywiście.

– Więc niech mi pan pozwoli wykonywać moją pracę. Gdziekolwiek indziej może pan ze mną zrobić wszystko, ale w tej sali podczas tej operacji to ja podejmuję decyzje. Od tego zależy życie pacjenta. Czy to jasne?

Przez chwilę patrzymy sobie nawzajem w oczy. Jego przenikliwe spojrzenie sprawia, że oblewa mnie fala gorąca, ale nie odwracam wzroku. Czuję, jak Burke drży z napięcia, a Margot wstrzymuje oddech. W końcu Fahim potakująco kiwa głową. Wzdycham z ulgą.

– Dziękuję panu.

Rozsuwam łopatkę rozwieracza, powoli odsłaniając wnętrze klatki piersiowej. Zazwyczaj w tym momencie od razu przystępuję do pracy, a Margot podaje mi przygotowane narzędzia. Teraz jednak stoimy nieruchomo naprzeciwko siebie po obu stronach stołu operacyjnego i patrzymy w głąb otwartej jamy, a potem wymieniamy przerażone spojrzenia.

Najprawdopodobniej mam przed sobą najcięższy przypadek zaciskającego zapalenia osierdzia, jaki w życiu widziałam.





Margot  
Środa, 10 kwietnia 2019  
02.10

– Wolniej – mówi doktor Jones, dotykając moich palców, w których trzymam pęsetę. – Nawet jeśli ci się wydaje, że jesteś zbyt delikatna, rób to jeszcze delikatniej. To serce ma wyjątkowo osłabione ściany.

Oslabione to niedopowiedzenie. Nie dość, że worek osierdziowy zaciska się wokół serca, to jeszcze jest zwapniały i przywiera do jego powierzchni. Wydaje się, że nie sposób go usunąć, nie naruszając mięśnia sercowego.

– Staram się, jak mogę, ale...

– Żadnych ale – przerywa mi szorstko doktor Jones. – Po prostu rób swoje.

*...ale to wcale nie jest łatwe, kiedy serce wciąż bije.*

Ileokroć odrywam kawałek osierdza, muszę się zgrać z rytmicznymi skurczami serca, żeby przez przypadek nie ukuć go czubkiem pęsety. Gdybym pociągnęła zbyt szybko albo szarpnęła za mocno, mogłabym rozerwać serce na strzępy. Na domiar złego tętno jest nieregularne, więc bardzo trudno przewidzieć rytm uderzeń. Wprawdzie pacjent jest dopiero po czterdziestce, ale ma serce osiemdziesięcioletka, który przez całe życie wypalał dwie paczki papierosów dziennie.

Zerkam na zegar – jest kwadrans po drugiej w nocy. Jestem tak zestresowana, że pulsujący ból rozsada mi głowę. Czterdzieści pięć minut temu zaczęliśmy usuwanie worka osierdziowego i jesteśmy dopiero w połowie – jeszcze nawet nie dotarliśmy do zwężonych naczyń wieńcowych. Jeśli nie skończymy operacji przed szóstą, równie dobrze możemy się rozsiaść i czekać, aż ktoś tu wejdzie i przyłapie nas na gorącym uczynku.

Shabbar i jego ludzie stoją w kącie i przyglądają się nam bez przerwy. Fahim cały czas patrzy na Annę, obserwując na przemian jej ręce i oczy. Odrywa od niej wzrok tylko po to, by spojrzeć na mnie albo na doktora Burke'a, który siedzi roztrzęsiony przy swojej aparaturze.

Nasz anestezjolog wygląda na kompletnie przerażonego; wpatruje się tępo przed siebie i nerwowo stuka czubkiem buta w pokrytą linoleum podłogę. Chwytam jego spojrzenie i mrugam do niego, próbując dać mu do zrozumienia, że wszystko będzie dobrze. Burke odpowiada bladym uśmiechem, po czym znów popada w stan odrętwienia graniczący z katatonią.

Oczywiście rozbudzam w nim tylko złudną nadzieję – nie mam pojęcia, czy wyjdziemy z tego cało. Nawet jeżeli pacjent przeżyje operację, ci ludzie i tak mogą nas zabić. Wyobrażam sobie huk wystrzałów i łoskot upadających ciał.

Mój oddech staje się coraz płytszy.

*Nie myśl o tym. Przestań panikować, po prostu oddychaj.*

Trudno się dziwić, że doktor Jones jest spięta. Choć zwykle zachowuje swobodną postawę, dziś nie potrafi przezwyciężyć napięcia, dlatego wszystkie jej mięśnie są zeszywniałe ze strachu. Oddycha tak płytko, że maseczka na jej twarzy prawie wcale się nie wydyma.

– Margot – mówi, unosząc głowę, i nasze spojrzenia spotykają się na krótką chwilę. – Skup się.

Wzdrygam się na dźwięk jej głosu i oblewam się rumieńcem.

Świadomie unikałam pewnych części osierdzia, ale te najłatwiejsze do usunięcia już zniknęły. Ścisłam pęsetę i koncentruję się na obszarze graniczącym z prawym przedsionkiem serca. *Powoli*, powtarzam sobie w myślach i dostosowując moje ruchy do tętna pacjenta, chwytam delikatnie pasemko zwłókniałej tkanki. Kiedy zaczynam je odrywać, rytm uderzeń serca nagle się zmienia, a moja dłoń nie nadąża za niespodziewanym skurczem. Wciąż trzymam fragment osierdzia przywierający do ściany prawego przedsionka, która rozrywa się pod wpływem oporu. Z rany natychmiast bucha ciemna krew i rozlewa się wokół serca. Kardiomonitor zaczyna piszczeć przeraźliwie.

– Co zrobiłaś? – warczy doktor Jones.

– To nie moja wina. Dostał palpitacji, a potem...

– Daruj sobie wymówki. Dawaj odsysacz, szybko.

Odkładam pęsetę i zaczynam odsysać krew, która wypełnia jamę klatki piersiowej i zalewa rozdarcie w ścianie przedsionka. Doktor Jones chwytą igłotrzymacz i nić chirurgiczną. Już ma przystąpić do zaszywania rany, ale obie zastygamy w bezruchu, gdy rozlega się niezbyt głośny, lecz ogłuszający szcęk naboju wprowadzanego do komory.

Unoszę wzrok. Za plecami Anny stoi Fahim Shabbar i mierzy jej w głowę z pistoletu. Doktor Burke zaczyna szlochać. Zerkam w jego stronę i widzę, jak jeden z cyngli przystawia mu lufę do czoła. Trzeci stoi za moimi plecami.

– Jeśli on umrze, zabiję cię – mówi Fahim. – Wszystkich was zabiję.

Ścisną mnie w żołądku, a oczy mam pełne łez. Sygnał kardiomonitora staje się coraz głośniejszy. Jest tak przenikliwy, że nie mogę zebrać myśli.

*Nie chcę umierać.*

Łzy ciekną mi po twarzy, gdy patrzę w przerażone oczy doktor Jones i widzę, jak usiłuje zapanować nad strachem. Fahim przyciska jej pistolet do potylicy.

– No już, zrób coś!

Anna wydaje cichy jęk i zaciska powieki, a jej usta poruszają się pod масечką, kiedy zaczyna myśleć na głos. Powoli jej oddech się uspokaja, a ciało przestaje dygotać. Gdy otwiera oczy, znowu jest skupiona i opanowana.

– Burke – odzywa się zdecydowanym tonem. – Podaj wskazania.

Słyszę, jak anestezjolog porusza się na krześle.

– Ciśnienie szybko spada.

– Podaj Nitropress i zwiększ dawkę betablokerów. Zbij ciśnienie do najniższej wartości i przygotuj się do transfuzji albo przejścia na krążenie pozaustrojowe, gdyby okazało się potrzebne. A ty, Margot, na litość boską, odsysaj.

Spoglądam w dół. Jama klatki piersiowej jest wypełniona krwią, która przelewa się i chlupoce spieniona z każdym skurczem serca. Zanurzam w niej dyszę odsysacza, a doktor Jones wbija zakrzywioną igłę w ścianę przedsionka i zaczyna zszywać rozerwany mięsień.

– Spada objętość krwi – woła doktor Burke.

– Zaczynaj transfuzję. Wpompuj w niego wszystko, co mamy.

Lufa pistoletu ociera się o tył mojej głowy, przypinając mnie o taki szok, że zaczynam szlochać.

*Nie chcę umierać. Nie chcę, żeby umarło moje nienarodzone dziecko.*

– Margot, popatrz na mnie – krzyczy doktor Jones. – Nie myśl o niczym innym, tylko o pacjencie. Bez ciebie nie dam sobie rady. A teraz się skup.

Mrugam kilka razy, żeby strząsnąć łzy, a potem spoglądam w otwartą jamę klatki piersiowej i odsysam krew. Wciąż płacząc i po chwili znów widzę wszystko jak przez mgłę, więc mrugam,

nie przestając pochlipywać. Słyszę, że doktor Jones coś mówi, ale jej głos ma metaliczne brzmienie i zdaje się dobiegać z oddali.

– Objętość krwi jest niska, ale już nie spada – oświadcza Burke. – Ciśnienie powoli się stabilizuje.

Po rozlanej krwi prawie już nie ma śladu, a rozdarcie w ścianie prawego przedsionka jest zaszyte. Niebezpieczeństwo powoli mija. Wzdycham z ulgą i czuję, jak moje ramiona się rozluźniają. A wtedy aparatura znów zaczyna piszczeć.

– Migotanie przedsionków – woła Burke.

Spoglądam w dół i widzę, że serce nie bije normalnie – dygoce lekko, ale jego skurcze są zbyt słabe, aby pompować krew.

– Margot, dawaj łyżki.

Odwracam się, żeby sięgnąć po defibrylator i spoglądam prosto w wylot lufy. Łzy zalewają mi oczy i po omacku szukam przycisków, tymczasem mężczyzna przykłada mi pistolet do skroni.

– Skup się, Margot – woła doktor Jones, przekrzykując sygnał kardiomonitora. – Pamiętaj, myśl o pacjencie.

*Myśl o pacjencie, myśl o pacjencie...*

Powtarzam w myślach te słowa i uruchamiam urządzenie, czując na skórze coraz mocniejszy ucisk lufy. Dziwne ciepło rozlewa się po moich udach. Obracam się, żeby podać elektrody Annie, i omal nie przewracam się na czymś śliskim.

– Ustaw na sto.

Obracam potencjometr i czekam na komendę. Impuls elektryczny wstrząsa sercem, ale nie przywraca prawidłowego tętna.

– Ustaw na dwieście.

Widzę, jak całe ciało Anny odskakuje do tyłu, odrzucone siłą potężnego wyładowania. Wszyscy skupiają wzrok na monitorze, w napięciu obserwując pofalowane linie i czekając, aż zmieni się rytm skurczów.

*Jeśli on umrze, zabiję cię. Wszystkich was zabiję.*

Samotna łza spływa wolno po moim policzku.

I wtedy serce pacjenta odzyskuje normalny rytm. Wszyscy obecni w sali wzdychają z ulgą. Shabbar i jego cyngle opuszczają broń, a gdy wycofują się z powrotem do kąta, poziom adrenaliny od razu opada. Całe moje ciało wiotczeje z wycieńczenia.

Zerkam w dół i widzę ciemną plamę na nogawkach moich spodni. Kiedy straciłam równowagę, podając Annie elektrody, pośliznęłam się na własnym moczu, który spłynął bezgłośnie na podłogę. Dostownie posiadałam się ze strachu.

– Dobra robota – odzywa się doktor Jones. Mówi zdecydowanym, władcym tonem, ale w oczach wciąż ma niepokój, a jej ręce się trzęsą, kiedy podaje mi z powrotem elektrody. – Tyle udało nam się zdziałać, jeśli chodzi o perikardiektomię, ale to wystarczy, żeby serce mogło pracować bez ucisku. Zostało nam trzy i pół godziny na wszczepienie pomostów naczyniowych. Burke, przygotuj płucoserce. – Spogląda na mnie ponad otwartą klatkę piersiową i wyciąga dłoń w zakrwawionej rękawiczce. – Margot, skalpel.

Sięgam do stolika z instrumentami i czuję, jak uchodzą ze mnie resztki energii.

Operacja, z powodu której tu jesteśmy, nawet jeszcze się nie zaczęła.



Margot  
Środa, 10 kwietnia 2019  
05.00

Doktor Jones kończy wszywać ostatnią żyłę, kiedy zegar pokazuje piątą.

Nigdy nie czułam się tak zmęczona. Serce kołace mi w piersi, a język i zęby mam lepkie od szlamu. Moje spodnie są już suche, a tkanina przywiera do ud jak druga skóra.

Anna też wygląda na zmęczoną. Ma przekrwione białka, a jej oczy stały się jeszcze bardziej zapadnięte i podkrążone. Ale to właśnie dzięki niej jakimś cudem ciągle się trzymamy. Jeszcze zeszłego wieczoru nie znosiłam tej kobiety, a teraz skłamałabym, mówiąc, że jest mi zupełnie obca. Ona chyba też ma podobne odczucia, bo tej nocy traktowała mnie z większą życzliwością niż podczas którejkolwiek z dotychczasowych operacji. Widocznie trauma zbliża ludzi, nawet jeśli tak bardzo różnią się od siebie.

Fahim Shabbar jest nadal czujny i obserwuje każdy nasz ruch, za to jego ludzie zaczęli przestępować z nogi na nogę, żeby rozruszać drętwiejące mięśnie.

Doktor Burke wygląda, jakby tej nocy postarzał się o dziesięć lat; ma bladą twarz, a worki pod jego oczami są jeszcze bardziej opuchnięte. Nasze spojrzenia się spotykają, ale jesteśmy zbyt zmęczeni, by zmusić się do uśmiechu, więc przez chwilę patrzymy na siebie z wdzięcznością, po czym znów odwracamy wzrok.

Wkrótce na zewnątrz zrobi się jasno. O szóstej zacznie się przyjmowanie pacjentów na oddział, a pielęgniarki będą się przygotowywały do przekazania zmiany. Mamy niecałą godzinę na zaszycie pacjenta i opuszczenie sali. Przez krótką chwilę wydaje mi się, że wszystko jest tak, jak powinno być – doktor Jones kończy operację, ja jej asystuję, a doktor Burke siedzi na swoim stanowisku. Ale potem dostrzegam stojących w kącie uzbrojonych mężczyzn i wracam do rzeczywistości, która przyprawia mnie o dreszcze.

– Burke – woła doktor Jones. – Myślę, że jesteśmy gotowi do odłączenia pompy.

*Już prawie po wszystkim, myślę i ogarnia mnie uczucie ulgi.*

Anna czeka na sygnał od Burke'a, a gdy cała krew splywa z powrotem do układu krążenia pacjenta, sięga do zacisku na aorcie. Puszczą krótki strumień krwi, żeby wypłukać roztwór potasu i mięsień sercowy zaczyna powoli przybierać jaśniejszy kolor. Wszyscy czekamy, wstrzymując oddech i wpatrując się w otwartą jamę klatki piersiowej. W końcu serce zaczyna pracować.

A potem otwierają się drzwi sali operacyjnej.



Anna  
Środa, 10 kwietnia 2019  
05.11

Na progu stoi David z ochrony szpitala.

Widzę, jak w ciągu zaledwie kilku sekund zmienia się wyraz jego twarzy, wyrażając skrajnie różne emocje. Najpierw zmieszany marszczy czoło, kiedy odkrywa, że w sali trwa operacja, a potem mimo maseczki rozpoznaje mnie – godny zaufania stały element scenerii – i jego twarz się rozluźnia. A potem zauważa stojących w kącie nieznanym.

Wszyscy milczą zaskoczeni. Zapada cisza, którą zakłóca jedynie popiskiwanie aparatury i syk respiratora. W sali panuje takie napięcie, że każdy dźwięk zdaje się rozdzierać powietrze niczym preraźliwy krzyk. David nie zdaje sobie z tego sprawy, ale właśnie podpisał wyrok na nas wszystkich.

Serce zamiera mi w piersi, gdy widzę kątem oka, jak Fahim sięga po broń.

– Możemy ci jakoś pomóc? – zwracam się do Davida.

Ochroniarz odrywa wzrok od otwartej klatki piersiowej i napotyka moje spojrzenie.

– Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać. Sprawdzalem tylko, czy ekipa sprzątajaca skończyła i można otworzyć oddział. Nie spodziewałem się...

– Nie pomyślałeś, że tak jak ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, ktoś zamknął oddział, żeby zapewnić prywatność ważnemu pacjentowi?

Widzę, jak David traci pewność siebie. Przygląda się leżącemu na stole mężczyźnie i czuje na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Znowu ściąga brwi, kiedy przychodzi mu do głowy kolejna myśl.

– A czy ktoś z ochrony nie powinien zabezpieczać korytarzy? – pyta.

Jestem w równym stopniu zirytowana jego dociekliwością, jak i przerażona. W szpitalnej hierarchii znacznie przewyższam go rangą i zapewne wie, że stąpa po cienkim lodzie, traktując mnie w ten sposób. Ale skoro to robi, musi coś podejrzewać.

Margot stoi ze spuszczoną głową. Gdyby David ją rozpoznał, nie miałby już wątpliwości, że coś jest nie tak. Trudno wyobrazić sobie powód, dla którego instrumentariuszka zwolniona dyscyplinarnie parę dni temu miałaby wrócić do pracy, żeby asystować mi podczas operacji.

Zerkam nad jej ramieniem na Shabbara i jego ludzi, którzy zaczynają się coraz bardziej niecierpliwic. Fahim wbija we mnie wzrok. Nic nie mówi, ale jego przesłanie jest oczywiste.

*Pozbądź się go albo ja to zrobię.*

– Może trudno ci w to uwierzyć, ale doskonale sobie tu radzimy bez twojej pomocy – odpowiadam i mierzę Davida surowym spojrzeniem. – I szczerze mówiąc, wcale mi się nie podoba to przesłuchanie podczas operacji. Dla własnego dobra nie powinienes zapominać, gdzie jest twoje miejsce. Chyba że mam o tym porozmawiać z twoim przełożonym?

David toczy wzrokiem po sali. Rumieni się zaskoczony moją szorstką reakcją.

– Nie, doktor Jones – mówi, po czym rusza do wyjścia, ale nagle przystaje i znowu obraca się w moją stronę. – A czy pani nie jest zawieszona?

Napięcie w sali wzrasta jeszcze bardziej. Mój puls przyspiesza, a policzki płoną, gdy Fahim mierzy mnie surowym spojrzeniem. Margot dygoce, wlepiając wzrok w otwartą klatkę piersiową pacjenta. Tymczasem doktor Burke wierci się na krześle, wbijając wzrok w Davida, a jego usta drżą, jakby zbierał się na odwagę, żeby coś powiedzieć.

*Boże, on zaraz coś palnie.*

– Davidzie, nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale najlepiej będzie, jeśli już sobie pójdziesz – odzywam się podniesionym głosem. – Nie jesteś upoważniony, żeby wchodzić do sali operacyjnej, która staje się przez to mniej sterylna, i zawracać chirurgowi głowę swoimi pytaniami. Jeśli nie chcesz stracić pracy, radzę ci zamknąć drzwi z tamtej strony i wrócić do patrolowania korytarzy.

David stoi w drzwiach osłupiały. Mój apodyktyczny ton wyraźnie nim wstrząsnął. Patrzę na niego z taką złością, że znów się rumieni i w końcu pęka.

– Przepraszam, doktor Jones – mówi. – Zagalopowałem się.

Wychodzi na korytarz i drzwi już zaczynają się za nim zamykać.

– Davidzie...

Wszyscy natychmiast obracamy wzrok w stronę stanowiska anestezjologa. Doktor Burke patrzy w ślad za ochroniarzem i wciąż ma otwarte usta po tym, jak zawołał go po imieniu.

*Zabijesz nas wszystkich, ty pieprzony tchórze.*

David znów staje w drzwiach, a Fahim Shabbar w końcu traci cierpliwość i sięga pod bluzę. Wyobrażam sobie, jak z głowy ochroniarza tryska krew, a jego ciało upada z łoskotem na podłogę.

– Doktorze Burke – warczę. – Naprawdę powinniśmy się skupić na operacji. Od tego zależy życie pacjenta. W domu czeka na niego córka, więc nie skazujemy jej na niepotrzebny stres.

Burke kuli się na dźwięk słowa „córka”. Patrzę mu w oczy z taką zaciekłością, że pieką mnie policzki i pulsują żyły na karku. Z jednej strony Fahim przeszywa mnie wzrokiem, a z drugiej czuję na sobie badawcze spojrzenie Davida. Mam wrażenie, jakbyśmy wszyscy grali w rosyjską ruletkę i zastanawiali się, kto pierwszy odpadnie.

Doktor Burke kiwa głową i spogląda na ochroniarza.

– Chciałem tylko powiedzieć... żebyś się nie przejmował tym wszystkim – mówi. – Nie wyciągniemy żadnych konsekwencji. Dostałeś nauczkę i to wystarczy, jasne?

David kiwa głową.

– Dziękuję – mówi z poważną miną, po czym zwraca się do mnie: – Przepraszam, to była długa noc i trochę przesadziłem.

Zmuszam się do uśmiechu.

– W porządku, zapomnijmy o tym. Jeśli o mnie chodzi, nie przypominam sobie, aby cokolwiek się tu dzisiaj wydarzyło.

– Dziękuję, doktor Jones.

David obraca się i wychodzi, ale jestem zbyt przerażona, aby pozwolić sobie na rozluźnienie. Dopiero kiedy drzwi zamykają się z trzaskiem i w sali zapada cisza, wydaję przeciągłe westchnienie. Uczucie ulgi jest tak silne, że muszę przygryźć wargi, żeby się nie rozpłakać.

Fahim Shabbar kilkoma susami doskakuje z pistoletem w dłoni do anestezjologa i rzuca nim o ścianę. Wiem, że powinnam jakoś zareagować, powstrzymać go, ale jestem tak wściekła na Burke'a, że niemal z satysfakcją patrzę, jak zaczyna szlochać ze strachu i wzywa matkę na pomoc.

*Niewiele brakowało, a wszyscy byśmy przez niego zginęli.*

– Doktor Jones – odzywa się Margot nagłym tonem, wyrывая mnie z zamyślenia.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Proszę odłożyć broń – zwracam się stanowczo do Fahima. – Jeszcze nie skończyliśmy operacji.

Fahim ma furię w oczach i spodziewam się, że lada chwila huknie wystrzał i białe kafelki pokryją się krwawymi rozbryzgami. W końcu jednak opuszcza pistolet i wraca do swoich towarzyszy. Burke nadal stoi oparty o ścianę i pochlipuje cicho. Powinam mu współczuć, zrozumieć, że próbował nas uratować. Tylko że wszyscy omal nie przyplaciliśmy tego życiem. Omal nie zabił Zacka.

Dopiero kiedy znów spoglądam w dół, żeby przystąpić do zamknięcia klatki piersiowej pacjenta, w pełni dociera do mnie to, co widzę – bijące serce, które nabiera zdrowych kolorów dzięki swobodnemu przepływowi krwi i przestrzeni zapewniającej nieskrępowane ruchy.

Pacjent będzie żył.



Anna  
Środa, 10 kwietnia 2019  
09.19

Budzę się w pokoju Zacka.

Orientuję się, gdzie jestem, kiedy jeszcze leżę z zamkniętymi oczami. Otacza mnie jego zapach – unosi się w powietrzu, jest nim przesiąknięta pościel. Pociągam nosem, wtulając twarz w poduszkę, która pachnie już bardziej mną niż Zackiem, bo każdej nocy tulę ją do piersi, jakby to on leżał obok mnie.

Fahim Shabbar go uwolni. Obiecał mi to, kiedy wieźliśmy pacjenta do tylnego wyjścia w zachodnim skrzydle, przed którym czekała czarna furgonetka.

Wciąż wydaje mi się to nierealne. Odkąd mi go odebrano, cierpienie wywołane rozłąką tak głęboko we mnie wrosło, że teraz już nie wyobrażam sobie, abym mogła bez niego normalnie funkcjonować, nawet kiedy Zack wróci do domu. Chyba będę musiała nauczyć się żyć z tym uczuciem, choć jako chirurg żałuję, że nie da się go wyciąć.

Zanim spotkałam Shabbarów, cały czas myślałam tylko o uwolnieniu Zacka. Teraz stało się to realną perspektywą. Zaczynam się zastanawiać, co będzie dalej, kiedy już go odzyskam. Nie dość, że przeżył straszną traumę, będzie musiał zachować ją w tajemnicy, tłumić w sobie wszystkie bolesne wspomnienia, mając tylko mnie za powierniczkę. Będzie zmuszony cały czas kłamać tak jak ja do tej pory i na pewno zapyta mnie dlaczego.

*Bo mamusia jest morderczynią.*

Morderczynią. Tego nie da się wyrazić w łagodniejszy sposób, nie da się usprawiedliwić. Nie, po prostu zabiłam człowieka; patrzyłam, jak się wykrwawia, czekałam z zapartym tchem, aż ujdzie z niego życie. Czy Zack mnie znienawidzi, kiedy się dowie, co zrobiłam? Kiedy mu powiem, że popełniłam morderstwo, żeby go ocalić?

Czy mój syn będzie się mnie bał?

Gdy tylko wróciłam do domu i przyłożyłam głowę do poduszki Zacka, odezwała się moja sceptyczna natura, odzierając mnie z nadziei niczym okrutne dziecko, które wyrывa nóżki owadom. A co, jeżeli Shabbarowie nawalą? Jeżeli ich nieudana interwencja skłoni porywaczy do zabicia Zacka?

Pocieram oczy i czuję pod palcami nagie, pozbawione rzęs powieki. Spałam zaledwie godzinę albo coś koło tego, ale budzę się tak rześka i przytomna, że aż przyprawia mnie to o frustrację. Wiem, że nie będę w stanie wypocząć, jak należy, dopóki Zack nie wróci do domu.

Wszystkie moje komórki leżą na szafce obok łóżka. Sięgam po nie i włączam kolejno, ale nie widzę żadnych powiadomień. Wstaję, przyglądam pościel i strzepuję wygniecione poduszki, czując na sobie spojrzenie kamery, która nieustannie śledzi moje ruchy. Zaskakująco szybko przyzwyczaiałam się do tego, że z każdego kąta patrzą na mnie czyjeś oczy. To dziwne, ale dzięki nim czuję się mniej samotna, chociaż ich obecność powinna działać na mnie przytłaczająco.

Niepokoji mnie brak wiadomości od porywaczy, ale pocieszam się myślą, że uwierzyli w moje kłamstwo o poszukiwaniach wyników wewnętrznego dochodzenia. Gdyby znali



prawdę, nie siedzieliby beczynnie. To nie w ich stylu. Już dawno by tu przyjechali, żeby rozprawić się ze mną. A może śledzili tej nocy każdy mój ruch i teraz czekają, jakie kłamstwa im zaserwuję, żebym jeszcze bardziej się pograżała?

Rozlega się dzwonek do drzwi i słyszę ujadanie Miśka, który zbiega na dół po schodach.

*A jeżeli to porywacze?*

Zaczynam nerwowo chodzić tam i z powrotem po pokoju pod czujnym okiem kamery.

*A może to Shabbarowie? Czy przywieźli Zacka?*

Schodzę na dół, a moje serce uderza tak szybko, że kręci mi się w głowie. Jediną osobą, którą spodziewam się teraz zobaczyć, jest Zack. Ktoś znowu naciska dzwonek i Misiek szczeka jeszcze głośniejsze. Na drżących nogach podchodzę do drzwi i zbliżam oko do wizjera.

Na ganku stoi dwójka detektywów.

Z rozczarowania robi mi się słabo na ich widok. Tak bardzo pragnęłam zobaczyć Zacka, prawie jakbym próbowała zaczarować rzeczywistość, że już zaczęłam sobie wyobrażać, jak tulę go do siebie, czuję jego ciepło i wdycham jego zapach. Zamykam oczy i wdycham przeciągle, starając się ukryć ból zawodu. Potem chwytam obrożę Miśka i otwieram drzwi.

– Tak?

Sierżant Ryan wzdyga się, słysząc mój nieprzyjazny ton, za to jego partnerka ma niewzruszoną minę.

– Doktor Jones – mówi inspektor Conaty. – Chcielibyśmy zaprosić panią na komendę.

– O co chodzi tym razem?

Nienawidzę ich za to, że zjawili się tu zamiast mojego syna. Odnoszę się do nich opryskliwie, a moje spojrzenie ciska gromy. Powinnam ich potraktować bardziej uprzejmie, sprawiać wrażenie niewinnej i skonsternowanej, ale nie potrafię zapanować nad gniewem.

– Powiedziałałam wam już wszystko na temat Pauli i bardzo mi przykro, ale nic więcej nie wiem – dodaję i mierzę wzrokiem policjantkę od stóp do głów. – A czy pani w ogóle powinna tu przychodzić? Wydawało mi się, że pani zwierzchnik potraktował moją skargę poważnie.

– Nie przychodzimy w sprawie Pauli Williams – odpowiada Conaty, nie próbując nawet ukryć zadowolenia. – Chodzi nam o pani syna.

– Ile razy mam powtarzać, że Zack jest w Kornwalii? Proszę mnie posłuchać, bardzo mi przykro z powodu tego, co panią spotkało. Z pewnością bardzo trudno jest się otrząsnąć po takiej tragedii, ale to nie oznacza, że może pani mnie nękać, próbując chronić mojego syna nie wiadomo przed czym, żeby sobie wynagrodzić własne zaniedbania.

Conaty przestaje się uśmiechać z wyższością.

– Mamy pewne dowody, które podważają pani wersję wydarzeń – mówi. – Musi pani z nami jechać na posterunek.

Zadaje ostatni cios i w jej oczach znów pojawia się błysk satysfakcji, kiedy widzi panikę na mojej twarzy. Nabieram głęboko powietrza i wstrzymuję oddech, żeby zapanować nad emocjami.

– Jestem aresztowana?

– No cóż... – Conaty waha się przez chwilę. – Nie...

– W takim razie możecie zaczekać – oświadczam. – Muszę wziąć prysznic i się ubrać.

Potem zatrzaskuję drzwi z taką siłą, że blaszana osłonka wizjera jeszcze długo wiruje.



Rachel  
Środa, 10 kwietnia 2019  
11.05

Coś sprawiło, że doktor Jones ma za sobą nieprzespaną noc. Nawet jej makijaż nie jest w stanie ukryć cieni pod oczami i chorobliwie bladej cery. Odnoszę wrażenie, że skurczyła się od naszego ostatniego spotkania – jej sylwetka jest drobniejsza, rysy twarzy wyrazistsze i nawet włosy wydają się cieńsze. Kiedy otworzyła nam drzwi, prawie jej nie poznałam.

Odkąd weszła do pokoju przesłuchań, nie odzywała się zbyt wiele, a jej arogancka postawa, jaką powitała nas dziś rano, znikła bez śladu. Jednak jej napięte mięśnie i kamienna mina jasno dają do zrozumienia, że nadal jest pełna rezerwy.

Bez słowa kładę przed nią teczkę z dokumentami.

– Mam ją otworzyć? – pyta.

Kiwam głową.

– Proszę.

Już dawno zauważyłam, jak wielką wagę doktor Jones przywiązuje do samokontroli. Kiedy jest opanowana, przechodzi samą siebie we wszystkim, na czym jej zależy. Ale teraz widzę, że jej determinacja zaczyna słabnąć. Nerwowo obliczuje wargi i otwiera teczkę. Dostrzega, co jest w środku, i robi się blada jak ściana.

– Proszę powiedzieć do mikrofonu, co pani widzi – mówię.

Zauważam, że drży jej dolna powieka. Niemal słyszę, jak obracają się trybiki w jej głowie.

– Widzę zdjęcie, na którym mój brat prowadzi samochód, a obok siedzi jego córka – odpowiada doktor Jones. – To jest zdjęcie z fotoradaru.

– Proszę odczytać datę i godzinę.

– Czwarty kwietnia, szesnasta trzydzieści.

– Czy widzi pani w samochodzie jakieś inne osoby?

Jej powieka znowu drży, a rozpięty kołnierzyk bluzy podryguje ledwo zauważalnie w rytm przyspieszonych uderzeń serca.

– Na ujęciu pod takim kątem nie. Nie widzę nikogo więcej.

– To zdjęcie zrobione na autostradzie M3 w dniu, w którym pani syn rzekomo wyjechał do Kornwalii. Ale jak pani widzi, nie ma go w samochodzie. Dlaczego?

Doktor Jones wodzi różowym koniuszkiem języka po dolnej wardze.

– Nie wiem, co powiedzieć – mówi. – Mój syn jest w Kornwalii. Jest pani pewna, że to zdjęcie z dnia jego wyjazdu?

– Sama pani widzi datę i godzinę na odbitce. Pani brat mieszka w Londynie, zgadza się?

– Tak...

– I przyjechał z Londynu do Redwood, zabrał pani syna, a potem pojechał do Kornwalii, tak?

– Tak...

– W takim razie nie miałby raczej powodu, aby jechać tam bez niego.

Anna Jones ma panikę w oczach. Wie, że jej wersja wydarzeń właśnie się posypała. Pochyliła się nad blatem i uważnie ogląda zdjęcie. Żadna kochająca matka nie kłamałaby, gdyby jej dziecko zaginęło. A po obejrzeniu tych materiałów nie mam wątpliwości, że Zacka Jonesa spotkało coś złego, a jego matka za wszelką cenę próbuje to ukryć.

– To zdjęcie wcale nie dowodzi, że nie ma go w samochodzie. Jest wykonane pod takim kątem, że nie widać tylnych siedzeń. Leila jedzie z przodu, bo ma chorobę lokomocyjną, a Zack może siedzieć z tyłu.

– Mamy również to – odzywa się sierżant Ryan i powoli unosi okładkę skoroszytu, odsłaniając kadry z nagrań monitoringu. – Na podstawie znacznika czasu na zdjęciu z fotoradaru mogliśmy ustalić, kiedy pani brat znajdował się w innych punktach na trasie, i odszukać materiały z tych miejsc.

Widzę, jak doktor Jones wodzi wzrokiem po zdjęciach. Nachylam się nad stołem i układam je w porządku chronologicznym.

– To są kadry z kamery monitoringu na stacji benzynowej między węzłem 4A a węzłem 5 na autostradzie A3 – mówię, wskazując pierwszą odbitkę. – Tutaj samochód pani brata wjeżdża na parking... Tutaj parkuje... Tutaj pani brat i Leila wysiadają z samochodu, tylko we dwoje, a tu idą w stronę budynku. Tutaj widzimy ich przy toaletach, a tutaj kupują coś do jedzenia i kawę na wynos. Wracają na parking po dwudziestu dwóch minutach.

Anna Jones nie odrywa oczu od zdjęć, a jej mózg pracuje na podwyższonych obrotach.

– Chciałabym zobaczyć całe nagranie – mówię.

Daję Ryanowi znak dyskretnym skinieniem głowy, po czym nachylam się do mikrofonu i zgłaszam jego wyjście. Kiedy zamykają się za nim drzwi, w pokoju zapada cisza. Zazwyczaj w tym momencie podejrzani ulegają i zaczynają pękać – drapią się nerwowo, wycierają spoczone dłonie w nogawki albo łapczywie piją wodę, żeby ugasić pragnienie. Ale doktor Jones nie robi żadnej z tych rzeczy. Siedzi nieruchomo i w milczeniu wpatruje się w rozłożone na stole zdjęcia, jakby próbowała załatać dziury w swojej wersji wydarzeń.

*Dlaczego ta kobieta tak bardzo się stara nam udowodnić, że jesteśmy w błędzie?*

Gdyby jej syn nie zaginął, od początku byłaby o wiele bardziej skłonna do współpracy. Zadzwoniłaby do brata zaraz po pierwszym przesłuchaniu, żeby wszystko wyjaśnić. Gdyby rzeczywiście doszło do nieporozumienia, robiłaby wszystko, żeby rozwiązać nasze wątpliwości. Ale chociaż nie potrafię przejrzeć motywów, które nią kierują, jej reakcje mówią same za siebie. Ta kobieta coś przed nami ukrywa.

Wraca sierżant Ryan i stawia przed nią laptopa, a ja obwieszczam jego powrót do mikrofonu i pokazuję Annie Jones, jak odtwarzać nagranie. Potem w milczeniu przyglądam się jej oczom, w których odbija się blask monitora.

– O, tutaj mój brat odchyła się w fotelu i patrzy do tyłu – mówi, naciskając pauzę, po czym cofa nagranie i obraca laptopa monitorem w naszą stronę. – Mówi coś do Zacka, a kamera jest ustawiona pod takim kątem, że nie widać tylnego siedzenia za fotelem Leili, tak jak na zdjęciu z fotoradaru. I naprawdę to są te wasze dowody? Ściągnęliście mnie tutaj po raz drugi i próbujecie przekonać, że mojemu synowi coś grozi, bo nie uchwyciła go kamera?

Ma rację. Na nagraniu Jeff obraca się w stronę tylnego siedzenia. Jednak nic nie wskazuje na to, że z kimś rozmawia. Równie dobrze mógłby sięgać po portfel.

Zamykam laptopa, a sierżant Ryan zabiera go ze stołu.

– Nawet gdyby tak było, dlaczego pani brat zostawił Zacka w samochodzie? – pytam. – Nie było go przez ponad dwadzieścia minut.

Doktor Jones odchyła się do tyłu na krzesło. Czymkolwiek zamierza mydlić mi oczy, jest na tyle pewna siebie, żeby się rozluźnić.

– Zack jest bardzo nerwowym dzieckiem – oświadczam. – Po naszym rozwodzie stał się jeszcze wrażliwszy. Nie lubi zatłoczonych miejsc, a kiedy jest zestresowany, nie może się

załatwić w publicznej toalecie. Zawsze mamy z tym problem.

– To znaczy, że pani syn nie korzystał z toalety w czasie pięciogodzinnej podróży?

– Przejrzeliście monitoring ze wszystkich stacji na tej trasie?

Czuje, że siedzący obok mnie Ryan tężeje.

– Nie – odpowiada.

– W takim razie skąd macie pewność, że nie skorzystał z toalety na innym postoju, wcześniej albo później? Chociaż całkiem prawdopodobne, że wstrzymywał moczu przez całą drogę. Przez tę swoją przypadłość nie potrafi się rozluźnić. Tak samo jest podczas lotów. Jego ojciec i ja próbujemy mu w tym pomóc.

*Na litość boską, ta kobieta potrafi na wszystko znaleźć wytłumaczenie.*

– W takim razie dlaczego pani brat nie kupił Zackowi nic do jedzenia? – pytam i podnoszę ze stołu zdjęcie, na którym Jeff i Leila stoją przy kasie na stacji benzynowej. – Tutaj widać zawartość koszyka. Dwie kanapki, dwa napoje, dwie paczki czipsów.

Doktor Jones z ciężkim westchnieniem zakłada nogę na nogę.

– Mój syn cierpi na nietolerancję laktozy – wyjaśnia, kładąc splecione dłonie na kolanie. – Reaguje nawet na śladowe ilości nabiału, które dostają się do żywności podczas produkcji. Rano przygotowałam mu kanapki na drogę i Paula zabrała je ze sobą, kiedy poszła go odprowadzić.

– Nie mogli mu kupić nawet nic do picia?

– Cóż, na to pytanie trudno mi odpowiedzieć, ponieważ nie było mnie tam z nimi. To naprawdę niedopuszczalne, że mimo mojej skargi ściągnęła mnie pani tutaj z tak błahego powodu. Utrzymuje pani, że mój syn... został porwany? Na jakiej podstawie? Bo miał swój prowiant i wujek nie kupił mu nic do jedzenia? – Anna Jones pociera palcami grzbiet nosa i kręci głową. – Ile razy mam pani powtarzać? Mój syn jest w Kornwalii.

Nie mam wątpliwości, że kłamie. Niestety jest w tym wręcz niezrównana. Jej umysł pracuje tak szybko, że nie jestem w stanie wziąć jej z zaskoczenia. Ale nie zamierzam pozwolić, by znówu mi się wymknęła.

– Skoro już mowa o monitoringu, udało nam się również zabezpieczyć nagrania z baru w Redwood, o którym pani wspomniała – mówię. – Zgodnie z planem Paula Williams miała się spotkać z pani bratem w Kathleen's Diner i przekazać mu Zacka, ale żadne z nich nie pojawiło się w zasięgu kamer. Może pani to wyjaśnić?

– Oczywiście. Nie powiedziałam, że mieli się spotkać w barze, tylko przy barze.

Czuje, że Ryan zerka na mnie, ale nie mogę oderwać wzroku od przesłuchiwanej. Próbuję sobie przypomnieć, jakich dokładnie słów użyła.

– Wszystko jest na nagraniu – dodaje doktor Jones, wskazując głową dyktafon.

– Co to znaczy „przy barze”? Jeżeli nie spotkali się w środku, to gdzie?

– Żeby wszystko było jasne. – Anna Jones kręci głową z niedowierzaniem. – Przekreśliła pani to, co powiedziałam ostatnio, żeby dopasować moje zeznania do swojej wersji wydarzeń i wezwać mnie na kolejne przesłuchanie? W dodatku po tym, jak złożyłam skargę na pani zachowanie i obsesję na punkcie mojego dziecka?

Musiła dobrze się przygotować na każde posunięcie, jakiego spodziewała się z naszej strony. Jej defensywna postawa świadczy niezbicie o tym, że próbuje zataić prawdę, jednak udaje jej się w ten sposób zablokować każdy nasz ruch.

– Zostawimy panią na chwilę – mówię, po czym nagrywam informację o naszym wyjściu z sali przesłuchań i wciskam pauzę.

Wstając z krzesła i wraz z sierżantem Ryanem, który idzie krok za mną, wychodzimy na korytarz.

– Ona ma gotową odpowiedź na każde nasze pytanie – mówię, gdy zamykają się za nami drzwi.

Przechadzając się nerwowo tam i z powrotem, unoszę głowę i napotykam spojrzenie Ryana, który w milczeniu stoi pod ścianą. Dostrzegam cień zwątpienia na jego twarzy.

– Nie wystaw mnie teraz do wiatru, Mark.

– Nie mam takiego zamiaru. Ale może jej odpowiedzi brzmiały wiarygodnie, bo są prawdziwe.

– A więc jej wierzysz? Po tym, jak się tam zachowywała?

– Nie wiem – odpowiada Ryan, przyglądając włosy dłonią. – Może ona nie kłamie.

Przyglądam mu się, jakbym siłą woli próbowała go przekonać do swoich racji, aż zaczyna się rumienić i spuszcza wzrok.

– Mark, ja wiem, że się nie mylę. A ona w pewnym momencie wreszcie zacznie przeczyć sama sobie. Nie możemy teraz się poddać. Proszę...

Ryan spogląda mi w oczy. Widzę, że targają nim rozterki, a jego twarz ma zatroskany wyraz.

*Przecież nie zwariowałam. Ta sprawa śmierdzi od samego początku.*

– W porządku – odzywa się w końcu Ryan i wskazuje głową na drzwi.

Wzdycham z ulgą.

– Dziękuję ci. Nie pożałujesz.

Kiedy wracamy do pokoju przesłuchań, doktor Jones siedzi spokojnie na krześle, przyciskając wyprostowane plecy do oparcia, a jej dłonie spoczywają nieruchomo na udach. Włączam z powrotem dyktafon i nagrywam informację o naszym powrocie.

– Dziękuję za cierpliwość – mówię, siadając przy stole. – Chcielibyśmy zadać pani jeszcze kilka pytań.

– O co jeszcze chcecie pytać? Powiedziałam wam już wszystko, co wiem.

– Zaczniemy od Ahmeda Shabira – odpowiadam i widzę, jak rzędzie jej mina. – Operowała go pani, prawda?



Margot  
Środa, 10 kwietnia 2019  
10.40

Pierwszą rzeczą, która przyciąga moją uwagę po przebudzeniu, jest pulsujący ból w policzku. Zaraz potem przypominam sobie wszystko, co się wydarzyło ostatniej nocy – jak oberwałam w twarz na złomowisku, jak ci zamaskowani ludzie wywieźli gdzieś Annę, a potem trzymali nas na muszce, kiedy asystowałam jej przy operacji. Na samą myśl o lufie pistoletu, która ocierała się o moją potylicę, natychmiast oblewam się potem.

Zamykam oczy i powoli biorę głęboki wdech.

*Jest już po wszystkim. Wkrótce Anna odzyska swojego syna, a potem ja dostanę pieniądze. I cokolwiek by mówić, ciężko na nie zapracowałam.*

Wkładam rękę pod koldrę i przesuwam dłońią w dół brzucha, aż dotykam pępka, który pulsuje delikatnie w rytm uderzeń serca. Odnoszę wrażenie, że zaczynam się zaokrąglać. Moje ciało jest nabrzmiałe, a piersi stały się wrażliwe na dotyk. Dobrze, że przynajmniej jeszcze nie dokuczają mi mdłości.

W głowie słyszę głos matki: *Nie jesteś gotowa. Zmarnujesz tego dzieciaka jeszcze bardziej, niż ja zmarnowałam ciebie.*

Powinam jej się odszczeknąć w myślach, żeby zagłuszyć ten głos, ale obawiam się, że ma rację. Czy powinam ciągle się tak bać? Potrafię myśleć tylko o rzeczach, które spieprzyłam. Czuję się krucha i bezbronna. Boję się, że kiedy wykonam gwałtowny ruch albo położę się w niewłaściwej pozycji, coś mu się stanie tam w środku. A jeżeli je upuszczę, kiedy już się urodzi? Jego drobnutkie kości mogłyby się potrzaskać jak porcelana. Ta myśl tak długo krąży w mojej głowie, że wypiera wszystkie inne. Słyszę głuchy łoskot upadającego ciała i chrzęst pękających kręgów szyjnych.

Z drugiego końca pokoju dobiega czyjś chrząknięcie. Zrywam się gwałtownie i podciągam koldrę pod szyję. W kącie siedzi Damien i obraca w palcach sygnet Ricka. Musiał go zabrać ze stolika przy łóżku, kiedy spałam.

– Co robiłaś na złomowisku, Maggot? – pyta.

Nie patrzy na mnie. Wbija wzrok w sygnet, który połyskuje w słabym świetle wpadającym do pokoju przez szczeliny między zasłonami. Dopiero teraz, kiedy odbity blask przez chwilę pada mu na twarz, zauważam, że ma podbite oko. Musiał w nocy coś zażyć, bo teraz mocno pociąga nosem.

Siadam na łóżku i próbuję wy badać jego nastrój. Widzę, jak nerwowo uderza stopą o podłogę.

*Jest wściekły.*

– Ktoś cię uderzył? – pytam.

– Odpowiedz na moje pytanie. Co robiłaś na złomowisku?

– Nie mogę ci powiedzieć.

Mój brat zrywa się z krzesła tak gwałtownie, że piszczy wystraszona. Chwyta mnie za ręce, rzuca na łóżko i przygniata całym ciężarem swojego ciała. Czuję, jak materac wygina się pod moimi plecami.

– Nie bądź bezczelna! – krzyczy, opryskując mnie kropelkami śliny. – Mówiłem ci, żebyś się nie wpierdalała, ale ty musiałaś to zrobić. I myślisz, że przejmuję się tym okiem i siniakami na zębrach? Mam szczęście, że na tym poprzestali.

– Zejdź ze mnie.

Damien potrzasa mną z całej siły, aż coś chrupie mi w karku, a potem znów rzuca mnie na łóżko i przybliża twarz do mojej. Śmierdzi mu z ust.

– Miałaś wyciągnąć kasę od tej babki, a nie zapraszać ją na wycieczkę szlakiem prochów. Tak, nie przesłyszałaś się, prochów. Samochody to tylko przykrywką. Myślisz, że im się podoba, kiedy kręcą się tam obcy? Jeśli będziesz zadawała zbyt wiele pytań, bez wahania wpakują ci kulkę w łeb. – Damien unosi dłoń, prostuje palec i przykładą mi go do czoła. – Rozumiesz? Zabiją ciebie, zabiją mnie i zabiją Ricka. Tego chcesz, ty pieprzona idiotko?

Napieram rękami na jego pierś i unoszę nogę, żeby go kopnąć, ale on chwytą mnie za kostkę i silnym szarpnięciem ściąga z łóżka. Spadam na podłogę i czuję promieniujący ból w plecach. Rozpaczliwie wyciągam rękę po kołdrę, żeby się okryć.

– Nie będziesz bezkarnie narażać Ricka i mnie na niebezpieczeństwo. – Damien zaciska dłoń na moim podbródku. – Pakuj się i wynocha.

Odpycha mnie, jakby brzydził się dotykać mojej skóry, po czym rusza do drzwi.

– No to więcej kasy zostanie dla mnie – odpowiadam z dziecinną złośliwością, chociaż mam w oczach łzy.

Mój brat wybucha śmiechem. Z jego gardła wydobywa się okrutny, przesycony perfidią rechot. Kiedy odchyła głowę do tyłu, widzę jasnoszary nalot na jego języku i ślady białego proszku wokół nozdrzy. Przecina z powrotem pokój i kuca naprzeciwko mnie. Cofam się, aż uderzam plecami w szafkę nocną.

– Myślisz, że cię nie przejrzałem? Wiem, że zamierzasz prysnąć z kasą, kiedy tylko położysz na niej swoje złodziejskie rączki.

– W takim razie dlaczego załatwiłeś mi samochód? – pytam, przełykając łzy, które ciekną mi po twarzy. – Dlaczego mi pomogłeś?

– Bo jesteś moją siostrą i cię kocham, chociaż wiem, że chciałaś mnie wykorzystać i kopnąć w dupę. Bo właśnie tak traktujesz ludzi. Wysysasz z nich wszystko, a potem uciekasz, żeby szukać kolejnej ofiary. No cóż, dostałaś to, po co przyszłaś, nie? To teraz wypierdaj i znajdź sobie innego frajera, którym będziesz mogła manipulować.

Wstaje, kopie poduszkę, która podczas szamotaniny spadła na podłogę, i znów kieruje się do wyjścia.

– Manipulować? – powtarzam. – Nie za trudnych słów używasz?

Damien obraca do mnie poczerwieniałą ze złości twarz. Pociągam nosem i wierchem dłoni ocieram łzy.

– A jak myślisz, od kogo się tego nauczyłam? – mówię, pochlipując. – Dorastałam wśród takich pijawek jak wy. Matka mnie nienawidziła, bo próbowałam coś zrobić z moim życiem. A ty zmienawidziłeś mnie dlatego, że nie zabrałam cię ze sobą. Ale dlaczego miałabym to robić? Spójrz na siebie! Przed południem masz już kokę pod nosem i źrenice jak łebki od szpilek. Jesteś ćpunem. Niczym się od niej nie różnisz.

Oczy Damiena robią się szkliste. Ciężko przełyka ślinę, poruszając grdyką. Moje słowa wreszcie dotknęły go do żywego.

– Naprawdę myślisz, że jesteś lepsza ode mnie? – pyta chrapliwym głosem. – Szantażujesz kobietę, która próbuje ratować swojego syna, i grozi ci więzienie, bo okradałaś swoje koleżanki, ale wydaje ci się, że jesteś lepsza ode mnie, bo ja zarabiam na życie, robiąc rzeczy, na których znam się najlepiej? Mylisz się... jesteś gorsza. – Milknie, kręci głową i pociera wilgotne oczy. – Ubieraj się, pakuj manatki i wynocha.

Wychodzi z pokoju, trzaskając drzwiami tak mocno, że trzęsą się ściany. Dopiero kiedy zostaje sama, już nie próbuję powstrzymywać łez i zanoszę się płaczem, jakbym znów była małą dziewczynką. W dzieciństwie zawsze braliśmy się za łby, ale po tej wymianie zdań czuję się inaczej. Miarka się przebrała.

Zrzucam z siebie kołdrę i zaczynam się ubierać. Kiedy na koniec podciągam roletę, żeby wpuścić do pokoju trochę światła i zobaczyć, czy wszystko zabrałam, dostrzegam skrawek tęczy na przeciwległej ścianie, na którą pada rozszczępiony w pękniętej szybie promień słońca.

*Już nigdy więcej tu nie wrócę.*

Chwytam torbę, upewniwszy się, czy gotówka i pierścionek Anny są w środku, po czym ruszam do drzwi z kluczykami w rękę, zdecydowana zabrać samochód, zanim Damien każe mi go zwrócić.

W holu czuć smażonym bekonem i papierosami, a z salonu dobiega stłumione mamrotanie telewizora; ten dom jest tak mocno zakorzeniony w przeszłości, że już nie wiem, co dzieje się naprawdę, a co roi się w mojej głowie.

*Nie zostanę tu ani chwili dłużej.*

Przemykam na dół z dłonią na poręczy, a wszystkie klepki skrzypią pod moimi stopami. Kiedy szamoczę się z zasuwką w drzwiach wejściowych, słyszę w głowie jej głos:

*Tylko pamiętaj, że cię ostrzegałam: choćbyś nie wiadomo jak daleko uciekła i choćbyś okłamywała się w kółko, że jesteś lepsza od ryszotka, z którego się wywodzisz, ten syf na zawsze pozostanie w twojej krwi. Nie wygrasz ze swoimi genami, Maggot. Ale jestem pewna, że będziesz próbowała do upadłego.*

To były ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałam, wynosząc się z tego domu. Stałam wtedy w tym samym miejscu.

Z hukiem zatraskuję za sobą drzwi i z ust wrywa mi się szloch. Mój podbródek dygoce histerycznie i nie zważam na to, że cieknie mi z nosa. Podbiegam do samochodu, zamykam się w środku i kładę głowę na kierownicy.

Silny ból w podbrzuszu sprawia, że natychmiast się uspokajam. Myśli kłębią się w mojej głowie, kiedy uświadamiam sobie, co się dzieje. Cały mój świat w jednej sekundzie staje na głowie. Wsuwam dłoń pod pasek od spodni.

Właśnie dostałam okres.





Anna  
Środa, 10 kwietnia 2019  
19.09

Wychodzę na ulicę i natychmiast wyjmuję z torebki komórkę, którą dostałam od porywaczy. Moją głowę rozsadza pulsujący ból, a w brzuchu burczy mi z głodu, ale nie jestem w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o nieodebranych połączeniach i serii esemesów, które znajduję na wyświetlaczu.

*Na pewno się zastanawiają, dlaczego siedziałam na posterunku tak długo.*

Conaty i jej partner maglowali mnie przez cały dzień. Wracali do tych samych wątków, przekreślali każdą moją odpowiedź i zadawali pytania zamknięte, licząc, że pograżę samą siebie. Ilekroć groziłam, że wyjdę, Conaty sugerowała, że na pewno mam coś do ukrycia, więc z rezygnacją opadałam z powrotem na krzesło. Wysłałam z założenia, że jeśli zostanę i odpowiem na wszystkie pytania, zostawią mnie w spokoju raz na zawsze. Z całą pewnością dali z siebie wszystko.

Conaty była niebezpiecznie blisko prawdy. W kilku momentach praktycznie sama udzieliła sobie odpowiedzi, ale była zbyt skoncentrowana na podważaniu moich zeznań, by sobie to uświadomić. Ale prędzej czy później odkryje, co naprawdę się stało. I mogę do woli składać na nią skargi i mydlić jej oczy. Ta kobieta nie odpuści, dopóki nie zobaczy Zacka na własne oczy.

Tylko że o mnie można powiedzieć to samo.

Słońce już prawie zaszło.

W drodze na parking włączam wyświetlacz. Żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych wiadomości tekstowych. Porywacze zazwyczaj wiedzą dokładnie, gdzie jestem, i dzwonią albo wysyłają esemesy z pogrózkami, kiedy nikogo nie ma w pobliżu. Rozglądam się po parkingu, wypatrując czarnego audi. Wygląda na to, że nikt mnie nie śledzi.

*Co to może oznaczać?*

Od razu myślę o Zacku. A jeśli porywacze nabrali przekonania, że dałam się złamać i właśnie opowiadam detektywom wszystko, co wiem? Czy postanowili pozbyć się Zacka i uciec? Bądź co bądź osiągnęli swój cel – Ahmed Shabir nie żyje.

*Nie, gdyby znaleziono ciało Zacka, potwierdziłoby to tylko prawdziwość moich zeznań. Musieliby zabić również mnie, gdyby chcieli, żebym milczała. Ale dlaczego w takim razie nie zadzwonili?*

Siadam za kierownicą i blokuję drzwi. Samochód stał w jednym miejscu przez wiele godzin, więc powietrze w środku jest gorące i zatęchłe. Przeglądam historię kontaktów i odkrywam, że za każdym razem, kiedy do mnie pisali albo dzwoniли, używali innego numeru. Zapewne później niszczyli kartę, żeby zatrzeć ślady.

*Coś musiało się stać. Już dawno powinni się do mnie odezwać.*

Opanowuję nerwy i wybieram ostatni z numerów na liście.

– Numer, z którym chcesz się połączyć, jest nieprawidłowy...

Rozłączam się i wybieram kolejny.

– Numer, z którym chcesz się połączyć...

Przerywam połączenie i dzwonię na następny numer. A potem na następny. I następny.

Wszystkie są wyłączone.

Odkładam telefon i siedzę w milczeniu, przejęta strachem.

*Jeżeli jest po wszystkim, to co zrobili z Zackiem?*

Podskakuję wystraszona, gdy dzwonek telefonu nagle wyrывa mnie z zamyślenia. Dźwięk dochodzi z mojej torebki. Sięgam do środka. Dzwoni komórka, którą dostałam od Margot.

*A jeżeli porywacze odkryli, że powiedziałam o wszystkim Margot? Czy dostali ją w swoje ręce? Zmusili ją do mówienia? Mogą dzwonić z jej telefonu, żeby wziąć mnie zaskoczenia.*

Przenikliwy dźwięk rozlega się raz za razem, aż w końcu po chwili wahania odbieram połączenie.

– Halo?

– Już po wszystkim.

Nieruchomieję z telefonem przy uchu. Mężczyzna na drugim końcu linii mówi z obcym akcentem i ma niski głos. Słyszę jego powolny spokojny oddech. Jestem tak oszołomiona po wielogodzinnym przesłuchaniu i nieprzespanej nocy, że dopiero po chwili rozpoznaję głos Fahima Shabbara. Podałam mu ten numer jako jedyny, którego nie podsłuchują porywacze.

– Co... co znaczy po wszystkim?

Czuję bolesne ukłucie w brzuchu. Mogę interpretować jego słowa tylko na dwa sposoby – albo Zack jest bezpieczny, albo nie żyje. Boję się nawet o tym myśleć. Gdybym chociaż na chwilę dopuściła do siebie nadzieję, a potem się zawiodła, nie przeżyłabym tego.

– Wywiązaliśmy się z umowy – odpowiada Fahim. – Już po wszystkim.

Nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Siedzę jak skamieniała z otwartymi ustami, a w oczach wzbierają mi łzy.

– Mamy twojego syna.



Margot  
Środa, 10 kwietnia 2019  
19.20

Nie jestem w ciąży.

Na podłodze w kabinie toalety walają się puste opakowania, a zużyte testy ciążowe leżą w foliowej torbie razem z butelkami po wodzie, którą wlałam w siebie, żeby napęczyć pęcherz. W toalecie publicznej panuje odrażający smród – ludzkie odchody i wybielacz tworzą ohydną mieszaninę.

Zaglądam do reklamówki i patrzę na małe okienka, w których powinny się pojawić dwa paski, a widnieje tylko jeden. Powoli dociera do mnie znaczenie tego, co widzę.

Dziesięć testów ciążowych. Dziesięć negatywnych wyników.

*Nie jestem w ciąży. Nigdy nie byłam.*

Ukradłam dwa testy ze szpitalnych zapasów po tym, jak przespałam się z Nickiem i zauważyłam, że spóźnia mi się okres. Teraz przypominam sobie, że użyłam tylko jednego. Czyżby był wadliwy? A może mój poziom hormonów tamtego dnia był przyczyną fałszywego wyniku? Może popełniłam jakiś błąd? Powinnam była wykonać więcej testów, ale nie chciałam kraść ich zbyt wiele, żeby nie budzić podejrzeń.

*Dlaczego teraz się zastanawiam, jak do tego doszło? Powinnam się cieszyć. Jestem wolna.*

W oczach wzbierają mi łzy i rozrzucone na podłodze opakowania rozmywają się we mgle. Przygryzam wargę i zaciskam powieki.

*Wisi mi to, mówię sobie.*

A potem zaczynam płakać. Każdy mój szloch, każde jękliwe westchnienie odbija się echem od pomazanych ścian ciasnej kabiny. Ktoś napisał niebieskim flamastrem: „Hannah to zdzira”. Ciekawa jestem, co by napisał o mnie.

Kiedy myślałam, że jestem w ciąży, z początku nie miałam najmniejszej ochoty pielęgnować tego życia, które, jak mi się wydawało, zaczyna we mnie rosnąć. Traktowałam je jak przedmiot, balast, zlepek moich lęków obleczony w tkanki. To coś. Ale w miarę jak oswajałam się z myślą, że będę miała dziecko, powoli nauczyłam się je kochać. Teraz, kiedy wiem, że nie ma tego dziecka i nigdy go nie było, czuję w sobie bolesną pustkę. Ogarnia mnie dziwny rodzaj samotności, jakiej nigdy nie doświadczyłam.

Do tej pory nie sądziłam, że kiedykolwiek zapragnę zostać matką. Obce mi były wszelkie przejawy instynktu macierzyńskiego – jestem egoistyczna i pełna rezerwy. Ale może było inaczej, tylko bałam się do tego przyznać, nawet przed sobą. Bałam się dopuścić do siebie nadzieję, że może mnie spotkać coś dobrego, co i tak prędzej czy później zostanie mi odebrane.

Zaciskam zęby i mrugam tak długo, aż łzy powoli znikają, a potem wpatruję się w pokrytą kafelkami podłogę, wodząc wzrokiem po szczelinach i pęknięciach czarnych od brudu, który zostawiły tu niezliczone pary butów.

*Chciałam tego dziecka, żebym już nigdy więcej nie była sama. Chciałam tego dziecka, żeby ktoś wreszcie mnie pokochał.*

Ukrywam twarz w dłoniach i płacę cicho, wdychając ohydny smród toalety. Wydaje mi się niedorzeczne, że tak mocno to przeżywam. Przecież tego dziecka nigdy nie było, a rozpaczam tak, jakbym już tuliła je w ramionach.

Unoszę nogę i z całej siły kopię drzwi. Uderzenie jest tak mocne, że trzęsą się ściany wszystkich kabin.

Szantażowałam Annę, mając na względzie przyszłość mojego dziecka, a teraz cała moja intryga okazała się bezcelowa. Straciłam pracę, straciłam brata i wszystko to nadaremnie. Patrzyłam z góry na Damiena i Ricka. Czułam się taka pewna siebie, tak głęboko przekonana, że jestem lepsza od mojej rodziny. Ale posuwając się do kradzieży i szantażu, żeby ułożyć sobie życie, stałam się taką osobą, jaką nigdy nie chciałam być.

*Jestem taka jak moja matka.*

Dzwoni moja komórka.

Ocieram rękawem łzy i sięgam do torebki, która wisi na klamce.

*Ale i tak zacznę wszystko od nowa. Nie jestem w ciąży, ale cała reszta się nie zmieniła. Trafę do więzienia, jeśli nie zdobędę tych pieniędzy. Kiedy będzie po wszystkim, dostanę moje pięćdziesiąt kawałków, tylko że teraz jestem zupełnie sama. Mogę się zmienić, stać się lepsza. Nie muszę być taka jak oni.*

Biorę głęboki wdech, żeby się opanować; wciągam powietrze nosem, a wypuszczam ustami.

– Halo?

– Margot! – mówi Anna. – Zadzwonili do mnie! Już po wszystkim!

Płacę, ale nie ze smutku i rozpaczy jak ja. To są łzy radości. Słyszę ulgę w jej głosie.

– Co? O czym ty mówisz?

– Shabbarowie... Uwolnili Zacka. – Anna wydaje odgłos, który brzmi jak coś pomiędzy szlochem a śmiechem. – Przekażą mi go dziś w nocy.



Rachel  
Środa, 10 kwietnia 2019  
19.32

*Przy barze Kathleen's Diner. To w połowie drogi między szkołą a zjazdem z autostrady.*

Zatrzymuję nagranie, cofam i odtwarzam jeszcze raz.

*Przy barze Kathleen's Diner. To w połowie drogi między...*

Pauza. Cofanie. Odtwarzanie.

*Przy barze Kathleen's Diner...*

Wyłączam odtwarzacz i przeczesuję włosy dłońmi. Ani ja, ani sierżant Ryan nie wychwyciliśmy tego niuansu. Odnoszę wrażenie, że doktor Jones w swoich wypowiedziach zastawia na nas drobne pułapki – wplata w zdania sprytnie klauzule, które pozwalają jej wszystkiego się wyprzeć, i tak konstruuje niektóre zwroty, by móc całkowicie przekreślić ich znaczenie. Zostałam w biurze po godzinach i odsłuchiwałam nagranie z przesłuchania, próbując wychwycić każdy z jej wybiegów. Nie spodziewałam się, że jest tak bystra. Nie doceniailiśmy jej.

Przesuwam nagranie do przodu.

*Kiedy tylko potwierdzimy, że Jamie przebywa we wskazanym przez panią miejscu, możemy przejść do kolejnej kwestii.*

*Zack. Ten chłopiec ma na imię Zack.*

Słyszę pukanie do drzwi i obracam się w fotelu. W drzwiach stoi George Whitman.

– Nie wiedziałam, że jeszcze jesteś w pracy.

– Za to ja byłem pewien, że cię tu zastanę – odpowiada nadinspektor, podchodząc do mojego biurka. – Chciałem zamienić z tobą parę słów.

Nie wiem, o czym zamierza ze mną rozmawiać, ale niepokoi mnie, że czekał z tym, aż wszyscy wyjdą. Wskazuję głową krzesło i patrzę na niego, kiedy siada. Jest spięty i sprawia wrażenie, jakby ociągał się z rozmową. W końcu się odzywa, ale przedtem wydaje ciche westchnienie.

– Przekazałem sprawę agencji.

Patrzę na niego zaskoczona i zalewa mnie fala wściekłości. Całe moje zaangażowanie, wszystkie poświęcenia, wszystkie nieprzespane noce pójdą na marne, kiedy śledztwo przejmie Krajowa Agencja do spraw Przestępczości. Mimo to milczę, bo nie jestem pewna, co mogłabym chlapać, gdybym otworzyła usta.

– Ślady jednoznacznie wskazują na to, że ofiara zginęła z ręki zawodowca. Mój pośrednik w agencji twierdzi, że mieli tam już do czynienia z takim stylem egzekucji w jednej z bieżących spraw. To jest robota typowa dla gangu narkotykowego, który ma w Redwood swój punkt przerzutowy. Agencja depcze im po piętach i może działać więcej niż my.

– Gówno prawda. Dorwiemy ich, tylko potrzeba nam więcej czasu...

– Nasz czas się skończył, Conaty. Nie mamy żadnych podejrzanych, miejsca ani narzędzia zbrodni. I jeśli mam być szczerzy, nie dysponujemy środkami, żeby ściągać zorganizowaną grupę

przestępczą, której macki sięgają daleko poza Redwood. Natomiast agencja współpracuje z organami ścigania na całym świecie. Masz takie kontakty?

Milczę, przygryzając wargę, żeby nie zacząć krzyczeć, nie rozplakać się albo nie zrobić czegoś gorszego.

– Masz? – dopytuje Whitman.

– Nie – zmuszam się do odpowiedzi. – Może nie znalazłam jeszcze podejrzanego, ale idę tropem, którego agencja na pewno nie wykorzysta.

– To znaczy? Masz na myśli tego chłopca?

– Tak.

– Na litość boską, Conaty! Zejdź na ziemię! – grzmi Whitman, aż podskakuję wystraszona jego krzykiem. – Nikt nie zgłosił jego zaginięcia. Ani jego matka, ani ojciec, ani wujek. Myślisz, że ceniona lekarka zabiła swoje dziecko i liczy, że ujdzie jej to na sucho?

– A tobie nie wydaje się podejrzanę, że kobieta, której sąsiadkę ktoś zastrzelił i okaleczył, żeby utrudnić identyfikację, jakimś dziwnym trafem przeprowadziła zakończoną zgonem operację Ahmeda Shabira? Tego samego Ahmeda Shabira, który zwalczał przemyt narkotyków w naszym okręgu i zabiegał o zaostrzenie kar za ten proceder na terenie całego kraju? Co wskazuje na bezpośredni związek z przestępczością zorganizowaną?

– Ciekawa teoria – stwierdza Whitman, choć wydaje się nieporuszony. – Masz jakieś dowody na jej poparcie?

– No cóż, niezupełnie. Ale spójrz na to.

Otwieram skoroszyt i rozkładam na blacie kadry z monitoringu na stacji benzynowej przy autostradzie.

– To z podróży Jeffa Dunna do Kornwalii – wyjaśniam. – Widzisz tu gdzie chłopca?

Mój szef omiata wzrokiem odbitki i surowy wyraz znika z jego twarzy.

– Albo tu – dodaję, kładąc przed nim zdjęcie z fotoradaru. – Czy w tym samochodzie siedzi mały chłopiec?

Whitman bierze zdjęcie i przygląda mu się uważnie. Dostrzegam błysk w jego oku. Mam nadzieję, że to nie wątpliwości.

– Mamy ciało starszej kobiety zamordowanej w sposób typowy dla gangsterów, a jedynym ogniwem pozwalającym połączyć ją z takim środowiskiem jest syn Anny Jones, który był pod jej opieką bezpośrednio przed tym, jak zniknęła. Albo zniknął razem z nią. Ten sam chłopiec, którego nie może namierzyć policja z Kornwalii. Ten sam chłopiec, którego matka przeprowadziła fatalną w skutkach operację Ahmeda Shabira. – Przerzywam na chwilę, gdy czuję ucisk w gardle. – Jeżeli jesteś w stu procentach przekonany, że chłopiec jechał wtedy z wujem, dam sobie spokój. Jeżeli ma się potem okazać, że szłam fałszywym tropem, z miłą chęcią oddam ci tę sprawę. Przynajmniej będę miała świadomość, że zrobiłam wszystko, żebyś mnie wysłuchał. Ty będziesz za to odpowiadał, nie ja. No więc czy jesteś absolutnie pewien, że Zack Jones rzeczywiście przebywa w miejscu, które podaje jego matka? Czy jesteś gotów za to poręczyć życiem tego dziecka?

Whitman długo nie odpowiada, wpatrzony w twarz Jeffa Dunna i małej dziewczynki widoczne na zdjęciu z fotoradaru opatrzonym datą i godziną przekroczenia dozwolonej prędkości. Kiedy znów spogląda mi w oczy, na jego twarzy nie ma już śladu wzburzenia.

– W porządku, Conaty – mówi. – Powiem komendantowi posterunku w Kornwalii, żeby jego ludzie pojechali pod wskazany adres i nie ruszali się z miejsca, dopóki nie potwierdzą naocznie, że chłopiec rzeczywiście tam jest. Ale ty na jutro bierzesz wolne i nie chcę słyszeć sprzeciwu. Zadzwonię do ciebie, jeśli czegoś się dowiem.

Podnosi się z krzesła i powolnym ociężałym krokiem idzie do drzwi.

– Mam nadzieję, że się mylisz, Conaty – dodaje, przystając na progu.

Jego słowa jeszcze długo zdają się wisieć w powietrzu, a pobrzmiewający w nich ton przygnębienia brzmi złowieszczo.

*Nie myślę się. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam niczego tak pewna.*



Margot  
Środa, 10 kwietnia 2019  
20.04

– Wejdz – mówi Anna.

Stoję przed drzwiami i zaglądam nad jej ramieniem do wnętrza domu. Widzę nowoczesną rzeźbę na stoliku pod ścianą i obity zielonym aksamitem szezlong. A to zaledwie hol jej domu.

*Kobieta, która żyje w takim przepychu, miała czelność mi wmawiać, że brakuje jej pieniędzy?*

– A nie mówiłaś, że założyli ci kamery? – pytam i schylam się, żeby pogłaskać psa o jasnej kręconej sierści, który tak żywiołowo merda ogonem, że uderza nim o futrynę.

– Fahim powiedział, że już nie musimy się martwić porywaczami.

Anna jest kłębkim nerwów. Jej oczy są zaczerwienione i opuchnięte od płaczu, a ręce drżą ze zmęczenia, chociaż nie wiem, czy nie jest to objaw niecierpliwego wyczekiwania. Obie jesteście tak samo potwornie wycieńczone.

Wchodzę do holu i przystaję zakłopotana.

– Tędy – mówi Anna.

Zsuwam buty i idę za nią do kuchni, wdychając unoszący się w domu aromat, który jest bogaty w każdym znaczeniu tego słowa. Po drodze zaglądam przez otwarte drzwi do innych pomieszczeń – w jadalni stoi stół z dwunastoma krzesłami, a gabinet jest tak uporządkowany, że nie wyobrażam sobie, aby ktoś mógł z niego korzystać.

*Nigdzie nie widać tych kamer. Na pewno o nich wspominała. Czyżby kłamała?*

Zatrzymuję się przy wyspie na środku kuchni i z podziwem wodzę wzrokiem po marmurowych blatach. Anna wyjmuje z lodówki butelkę białego wina i zaczyna napełniać kieliszki.

– No więc co powiedział Fahim?

Kiedy wypowiadam jego imię, wino chlusta na blat. Anna odstawia butelkę i drżącą ręką podaje mi suchy kieliszek.

*Teraz mogę się napić. Nie muszę przejmować się dzieckiem.*

Na tę myśl czuję bolesne ściskanie w gardle. Ciężko przelękam ślinę i z wymuszonym uśmiechem sięgam po kieliszek.

– Zadzwoni dzisiaj i powie, gdzie mamy się z nim spotkać.

Wypijam łyk wina. Oczywiście smakuje wyśmienicie. Pewnie cała skrzynka kosztuje małą fortunę.

– Nie możemy spotkać się z nim już teraz? – pytam.

– Musimy zaczekać, aż się ściemni.

– Dlaczego?

– Och, na litość boską, Margot – warczy Anna. – Nie mam pojęcia. Możesz sama go o to spytać. Wiem tyle co ty.

*Znów dochodzi do głosu jej prawdziwa natura.*



– Chyba nie do końca rozumiem, po co mam tam z tobą iść. Wywiązałam się z umowy. Dostaniesz z powrotem...

– Wywiążesz się, dopiero kiedy go zobaczę na własne oczy. To ty mnie zaprowadziłaś do Shabbarów i to twój brat dla nich pracuje. Znasz tych ludzi znacznie lepiej niż ja. Nie pójdę do nich sama.

Odnoszę wrażenie, że jest wręcz odwrotnie i to ona zna ich dużo lepiej. Owszem, wpadłam na pomysł, żeby się do nich zwrócić, ale teraz odsunęli mnie na dalszy plan. To nie do mnie dzwonią i nie ze mną umawiają się na spotkanie. A samego Fahima Shabbara poznałam, kiedy przystawiał Annie pistolet do głowy.

– Ładny dom – mówię. – Ale gdzie te kamery?

Anna pokazuje na sztukaterię nad drzwiami. Obracam głowę i marszczę czoło. Z początku nie widzę nic oprócz ściany i sufitu, ale kiedy przyglądam się dokładniej, dostrzegam wreszcie na białym tle niewielki lśniący punkt.

– Komuś zależało, żeby nie było łatwo ich wypatrzeć.

Spodziewałam się zobaczyć o wiele mniej dyskretne kamery, które obracają się na wysięgnikach, a nie małeńką soczewkę tkwiącą w gipsie.

*Boże, kim są ci ludzie?*

Dostrzegam błysk w oczach Anny, ale nie jestem pewna, czy moja wzmianka o porywaczach wzbudziła w niej strach czy gniew.

W takich chwilach przypominam sobie, na czym tak naprawdę polega nasza współpraca. Nie próbujemy razem naprawiać świata, nie jesteśmy przyjaciółkami oddanymi wspólnej sprawie. Ona dąży do swojego celu, a ja do swojego. Ostatniej nocy granica się zatarła, ale teraz znów wszystko jest jasne, a będąc w jej domu, czuję się tak, jakbym naginała reguły gry. Nagle ogarnia mnie przemożna ochota, aby uwolnić się od tego wszystkiego.

– Więc będziemy tu czekać, aż zadzwoni, tak?

– Chyba że masz lepszy pomysł – odpowiada Anna i dolewa sobie wina.

– A kiedy dostanę resztę pieniędzy?

W przeciwieństwie do mnie Anna nie sprawia wrażenia, jakby nagle uświadomiła sobie, na czym polega nasz układ. Jej nastawienie się nie zmienia, nie przyjmuje na nowo postawy obronnej, bo cały czas trzymała wysoko gardę. Ani na chwilę nie zapomniała, o co toczy się gra.

– Jutro z samego rana pojedę do banku – mówi, po czym wypija łyk wina i wzdycha. –

Posłuchaj, mogłybyśmy trochę się zdrzemnąć, czekając na telefon. Widzę, że też jesteś niewyspana jak ja.

Trudno mi sobie wyobrazić, abym mogła przyjąć jej propozycję. Nie potrafiłabym zmrużyć oka i rozluźnić się w jej obecności. To tak, jakbym układała się do snu w gnieździe węży.

*Mogłabym na tym oszczędzić. Nie musiałabym płacić za hotel. Przecież nie wrócę do Damiena.*

– No dobra, tylko czy nie będziesz próbowała się mnie pozbyć, kiedy stracę czujność? – odzywam się po chwili namysłu i widzę, że Anna robi zakłopotaną minę, jakby rzeczywiście rozważała taką możliwość. – Żartowałam. Ale i tak nie zasnę. Pooglądam telewizję.

– Rozgość się.

Anna bierze kieliszek i idzie w stronę holu.

– Chciałabym już dostać twoją obrączkę, jeśli nie masz nic przeciw.

Widzę, jak Anna przystaje w drzwiach i obraca się do mnie powoli, krzywiąc twarz w grymasie obrzydzenia.

– Co proszę?

– Twoją obrączkę... – powtarzam, jak gdyby nigdy nic. – Za to, że tam z tobą pojechałam zeszłej nocy, że się narażałam i w ogóle.

Jej policzki czerwienieją z gniewu, kiedy ściąga obrączkę i rzuca ją na podłogę u moich stóp z taką samą zaciekłością jak wcześniej, gdy oddawała mi swój pierścionek zaręczynowy. Potem odwraca się bez słowa i wchodzi na piętro. Podnoszę obrączkę, wsuwam na palec obok pierścionka i przyglądam się z podziwem swojej biżuterii.

*Tyle złota i pięćdziesiąt kawałków wystarczy, żebym zaczęła wszystko od nowa.*

Dopijam wino i nalewam sobie drugi kieliszek.



Margot  
Czwartek, 11 kwietnia 2019  
02.03

Budzę się z czyjąś dłonią na ustach.

Wzdrygam się gwałtownie i natychmiast otwieram szeroko oczy, wypatrując w ciemności zagrożenia. Nade mną stoi Anna.

– Wstawaj – mówi. – Już czas.

Cofa rękę, a ja biorę głęboki wdech i przykładam dłoń do piersi, żeby uspokoić rozkołatanę serce. Opróżniłam całą butelkę chardonnay i teraz cuchnie mi z ust.

– Nie musiałaś mnie dusić – syczę, siadając na sofie.

– Nie chciałam, żebyś zaczęła się drzeć i obudziła wszystkich sąsiadów. – Anna idzie już w stronę wyjścia i nawet nie obraca głowy, kiedy do mnie mówi. – Zakładaj buty i pospiesz się. Czekałam przy samochodzie. Ty prowadzisz.

Mrugam gorączkowo, żeby się obudzić. Zapadłam w głęboki sen, z którego wciąż trudno mi się wyrwać. Czuję się zamroczona i ociężała, a strzępki myśli w mojej głowie są poplątane i niewyraźne jak pijacki bełkot.

Rolety są opuszczone, a na zewnątrz panuje mrok. Wyjmuję komórkę z kieszeni i mrużąc oczy, sprawdzam godzinę. Jest po drugiej w nocy.

Z wysiłkiem dźwigam się z sofy, zabieram torebkę i na wpół śpiąca wlokę się do holu. Drzwi wejściowe są otwarte i zakładając buty, czuję rześki podmuch wilgotnego powietrza. Dopiero kiedy wychodzę przed dom i zapalam papierosa, zaczynam dochodzić do siebie.

Anna czeka przy moim audi i niecierpliwie postukuje czubkiem buta o zwir. Otwieram samochód i siadam za kierownicą.

– Musisz? – pyta Anna, patrząc wymownie na mojego papierosa.

– Tak. Gdybyś mi dała pięć minut, zanim...

– Och, dobra, rób, co chcesz, tylko już jedźmy – mówi i opuszcza szybę, żeby wpuścić do środka świeże powietrze. – Mamy się z nim spotkać na opuszczonym lotnisku za miastem. Wiesz, gdzie to jest?

– Główna brama jest zaspawana od lat.

– Jest też drugi wjazd. Fahim powiedział, że mamy się kierować na zachód wzdłuż ogrodzenia.

– Rozumiem – odpowiadam i uruchamiam silnik.

Ruszamy w drogę, nie odzywając się już do siebie.

Wyjeżdżamy z miasta i krętą drogą przemierzamy wiejskie pustkowia. Przez co najmniej dwadzieścia minut nie zamieniamy ani słowa. Właśnie w takich sytuacjach, kiedy jesteśmy skazane na siebie i zamknięte w ciasnej przestrzeni, dociera do mnie, jak niewiele wiemy o sobie nawzajem. Kiedyś codziennie stawaliśmy ramię w ramię, dając setkom pacjentów

szansę na przeżycie i patrząc, jak niektórzy gasną, mimo to byliśmy sobie całkiem obce. Nie mam pojęcia, kim jest ta kobieta, ale wiem, do czego jest zdolna.

– Nie gnębią cię wyrzuty sumienia? – pytam, przerywając milczenie.

Wyczuwam, że Anna robi się spięta. Jest przyzwyczajona do kontrolowania wszystkich dookoła, a teraz nie ma dokąd uciec przed moją natarczywą ciekawością. Choć wcale bym się nie zdziwiła, gdyby spróbowała.

– Masz dzieci? – odzywa się po długim namyśle.

Jej pytanie uderza mnie jak cios wymierzony w to samo miejsce, o które tak dbałam, kiedy byłam przekonana, że noszę w sobie nowe życie.

– Nie.

– Więc nie zrozumiesz, jak to jest chronić własne dziecko bez względu na wszystko. Musiałam wybierać między Shabirem a moim synem. Chcesz znać prawdę? – Anna obraca głowę i przewierca mnie wzrokiem. – Gdybym miała to zrobić jeszcze raz, nie wahałabym się ani chwili.

*Ale nie o to pytałam.*

Widzę główną bramę, ale mijam ją i dojeżdżam do końca ogrodzenia, po czym skręcam w lewo i okrążam nieczynne lotnisko od zachodniej strony. Powoli zaczyna mnie ogarniać zdnenerwowanie i czuję, jak poca mi się dłonie.

– Dlaczego sądzisz, że możemy im zaufać? – pytam.

– I kto to mówi? Zaufałaś im, kiedy pojechaliśmy na złomowisko.

– No tak, ale wiesz, co się potem stało. Założyli ci worek na głowę i wywieźli w nieznaną. Zrobiliśmy, czego od nas chcieli, i teraz już nie przedstawiamy dla nich żadnej wartości. Ale jeżeli właśnie pakujemy się w...

– Jest – przerywa mi Anna, pokazując palcem przed siebie. – Po lewej.

Naciskam hamulec i zatrzymuję się obok bramy. Po drugiej stronie widzę wąski gruntowy trakt.

– To pewnie tutaj – mówi Anna i wysiada z samochodu.

Patrzę, jak zdecydowanym krokiem przechodzi przed maską w świetle reflektorów, a wiatr rozwiewa jej włosy. Pochyla się nad łańcuchem, który spina przesuwany panel bramy ze słupkiem ogrodzenia, i pokazuje mi brązową od rdzy kłódkę – jest otwarta. Odsuwa bramę i wraca szybko do samochodu.

– Jedź, dopóki nie zobaczysz hangaru. Będą na nas czekać na końcu pasa startowego.

– Ale jeżeli...

– Jedźże już – syczy zniecierpliwiona Anna.

Cała się trzęsie; adrenalina krąży jej w żyłach, a serce wali jak oszalałe. Zauważam, że moje tętno też przyspiesza. Zdejmuję nogę z hamulca i skręcam w długi ciemny trakt.

Jedziemy w milczeniu, ale jesteśmy zbyt spięte, żeby wydobyć z siebie głos. Atmosfera gęstnieje od niecierpliwego wyczekiwania i frustracji. Na końcu drogi skręcam na plac, na którym w świetle reflektorów dostrzegam dwa niewielkie hangary – z jednego został tylko wypalony stalowy szkielet, a drugi ma ściany pokryte graffiti i dach pozieleniał od glonów. Staram się omijać liczne wyboje, więc jedziemy powoli w kierunku pasa startowego, a moje audi kołysze się i podskakuje na nierównej nawierzchni.

– Możesz trochę szybciej? – odzywa się Anna.

– A jeśli urwę koło, to jak wrócisz z dzieckiem do domu?

Anna wdycha z irytacją i w samochodzie znów zapada milczenie.

– Och, na litość boską, stój! – mówi po chwili.

– Co? Dlaczego?

– Bo jedziesz za wolno.

Zatrzymuję się, a wtedy Anna szarpie za klamkę, wysiada i puszcza się biegiem w stronę umówionego miejsca spotkania. Zostawia otwarte drzwi i do środka wieje chłodem. Zaciągam hamulec ręczny, odpinam pas i klnąc pod nosem, pochylam się nad fotelem pasażera. Kiedy zatrzaszukuję drzwi i znów ruszam, Anna już znika mi z pola widzenia.



Anna  
Czwartek, 11 kwietnia 2019  
02.39

Kołatanie serca rozsadza mi klatkę piersiową, a po plecach ciekną strużki potu, gdy biegnę po pasie startowym.

*Jestem już blisko, Zack.*

Reflektory samochodu zostają daleko w tyle i prawie nic nie widzę w ciemności, ale nie przestaję biec. Czuję intensywną cierpką woń własnego oddechu. Tracę równowagę i omal nie upadam, gdy moja noga trafia w jedną z wielu dziur w zniszczonym asfalcie.

Mam już dosyć czekania. Od tygodnia nie przytulałam mojego synka, nie całowałam go na dobranoc, nie widziałam jego promiennego uśmiechu. Moja tęsknota za nim jest jak fizyczna siła, która popycha mnie naprzód. Wiem, że już za chwilę go zobaczę, i ta myśl przyprawia mnie o lzy wzruszenia. Biegnę zziębnięta, nie zważając na ból, i z taką siłą uderzam stopami o twarde podłoże, że pieką mnie mięśnie łydek.

Na końcu pasa startowego rozbłyskują reflektory samochodu. Zataczam się i przystaję, osłaniając dłonią oczy. Odwracam wzrok, ale wszędzie widzę teraz dwa białe kręgi. Patrzę przed siebie spod zmrużonych powiek, gdy w ciszy rozlega się trzask zamykanych drzwi samochodu i odgłos kroków. Na tle oślepiającego światła pojawia się sylwetka mężczyzny. Ciemna postać unosi rękę i reflektory gasną. Widzę w mroku trzy samochody i mrugam zawzięcie, żeby pozbyć się powidoku. Mężczyzna zatrzymuje się trzy metry przede mną. Chociaż ma na głowie kominiarkę, rozpoznaję Fahima Shabbara.

– Przybiegłaś tu? – pyta wyraźnie rozbawiony.

Pokazuję kciukiem za siebie na lśniące w oddali reflektory audi.

– Gdzie on jest?

Nie mam ochoty rozmawiać. Chcę tylko przytulić Zacka i już nigdy go nie wypuścić z objęć.

Fahim kiwa głową w stronę stojących za jego plecami samochodów.

– Ale jak...

– Wołkow i jego ludzie już więcej nie będą wam stwarzać problemów – mówi mężczyzna lekceważącym tonem.

Nie chodziło mu wyłącznie o uwolnienie mojego syna. Porywacze byli odpowiedzialni za śmierć jego bratanka, więc skorzystałam tylko na jego osobistych porachunkach.

*Jeśli porywacze nie żyją, to by tłumaczyło, dlaczego nie skontaktowali się ze mną, kiedy wyszłam z posterunku policji.*

– Gdzie go więzili?

– W jednym ze swoich magazynów. Kiedy go znaleźliśmy, był pod wpływem środków odurzających i teraz jeszcze dochodzi do siebie.

– Muszę go zobaczyć.

Fahim przytakuje i odwraca się na pięcie, a ja ruszam za nim, trzęsąc się z emocji.

*A więc nareszcie. Po całej udręce, jaką przeżyłam – i po tym wszystkim, co zrobiłam – moje dziecko w końcu wróci do domu.*

Tęsknota staje się już nie do wytrzymania. Każdy mój krok wydaje się zbyt powolny, każda sekunda trwa wieczność. Fahim podchodzi do czarnego audi i kładzie dłoń na klamce.

– Wyświadczam ci tę przysługę, bo uratowałaś mojego bratanka – mówi. – Ale jeśli znowu cię zobaczę, już po tobie. Czy to jasne?

Z zapałem kiwam głową, ale wlepiam wzrok w okno samochodu, rozpaczliwie usiłując coś zobaczyć przez przyciemnianą szybę.

Mężczyzna otwiera drzwi.

Najpierw dostrzegam błądą dłoń o szczupłych palcach i perłowych paznokciach, które są o połowę mniejsze od moich. Robię krok przed siebie, a mój wzrok przesuwają się wzdłuż drobnej dziecięcej rączki, aż w końcu z półmroku wyłania się urocza śliczna twarzyczka o zamkniętych oczach.

Policzki mam mokre od łez.

Mam ochotę podziwiać go bez końca, wziąć go w objęcia i już nigdy nie wypuścić, ale wiem, że w tej chwili przede wszystkim muszę go zabrać jak najdalej od tych ludzi i tego mrocznego świata, w który obydwójce zostaliśmy wciągnięci. Zachwygam się jego ciepłem i błogim zapachem, gdy pochylona nad nim odpinam pas bezpieczeństwa i powoli wysuwam go spod jego ręki. Gdy czuję pod palcami jego skórę, znów zalewam się łzami wzruszenia.

*To się dzieje naprawdę. Odzyskałam go.*

– Chcę do mamy...

Drżące powieki Zacka unoszą się lekko, odsłaniając zaspane oczy o zwężonych źrenicach, które nadaremnie czegoś wypatrują. Szloch więźnie mi w gardle.

– Tu jestem, kochanie – szepczę. – Odnalazłam się.

Zack unosi brwi, a jego oczy poruszają się jeszcze bardziej gorączkowo. Gładzę go po policzku i widzę, jak na jego usta wypływa uśmiech, gdy rozpoznaje mój dotyk. Biorę go w objęcia i przyciskam mocno do siebie, płacząc ze szczęścia.

– Nie bój się, kochanie. Mamusia jest przy tobie.



Margot  
Czwartek, 11 kwietnia 2019  
02.50

Zatrzymuję się i zaciągam hamulec ręczny, ale nie gaszę silnika na wypadek, gdybym musiała szybko zawrócić i uciekać. Dwadzieścia metrów przede mną na końcu pasa startowego trzy samochody blokują przejazd, a ich włączone reflektory świecą prosto na mnie. Stoją przy nich mężczyźni w kominiarkach i czarnych garniturach, którzy nie spuszczają ze mnie wzroku.

Rozpoznaję wśród nich Fahima Shabbara, bo chociaż jest zamaskowany jak inni, góruje nad nimi wzrostem. Obok stoi Anna i rozmawia z nim, tuląc do piersi małego chłopca. Dzieciak obejmuje ją rękami za szyję i oplata nogami w pasie. Po chwili kończy rozmowę i rusza w moją stronę. Powinam wysiąść i otworzyć jej drzwi, ale siedzę nieruchomo w fotelu, zbyt przerażona, by choć na chwilę spuścić z oka tych zbirów, którzy wciąż się na mnie gapią.

Za moimi plecami otwierają się drzwi i Anna sadza synka na tylnej kanapie, po czym przypina go pasem, szepcząc mu do ucha czułe słowa i pochlipując cicho ze wzruszenia. W lusterku wstecznym widzę, że chłopiec ma wiotkie ręce i nogi, a jego gałki oczne poruszają się pod powiekami. Biedaczek jest kompletnie naćpany.

Jeden z samochodów mruga długimi światłami.

- Musimy już jechać - mówię, zniżając głos do szeptu, jakby tamci mogli mnie usłyszeć.
- Fahim chce z nami porozmawiać - odpowiada Anna głosem ochryplym od płaczu.
- Daj spokój. Odzyskałaś dziecko, więc teraz wsiadaj i zmywamy się...
- Nie. Jeśli chce z nami rozmawiać, to porozmawiamy. Nie mam zamiaru wszystkiego zniweczyć. Chodź ze mną.

*To bez sensu. Co ten człowiek ma nam jeszcze do powiedzenia? Przecież wszystko już za nami.*

Anna całuje synka w czoło i zatrzaskuje drzwi. Po chwili otwiera drzwi po mojej stronie i patrzy na mnie wyczekująco, aż wyłączam silnik, odpinam pas i stawiam stopę na zimnej nierównej nawierzchni pasa startowego. Chowam kluczyki do kieszeni, ale ona powstrzymuje mnie gestem.

- Zostaw je tu - mówi. - Możliwe, że będziemy musiały szybko odjechać.

*Co może się wydarzyć? Czy ona się czegoś spodziewa?*

Ciarki przebiegają mi po plecach. Nie wiem, czy to reakcja na nocny chłód, czy na lodowate spojrzenie Anny, która nie przestaje mierzyć mnie wzrokiem. Odkładam kluczyki na deskę rozdzielczą i zamykam drzwi.

Zimny wiatr przyprowadza mi o gęsią skórkę i rozwiewa włosy; muszę odgarniać niesforne kosmyki, które zasłaniają mi oczy. Noc jest ciemna, a cisza tak złowieszcza, że serce podchodzi mi do gardła.

*Przecież nie zrobią nam krzywdy. Nie uwolniliby chłopca, gdyby zamierzali się nas pozbyć.*

Zamaskowani mężczyźni przyglądają się nam w milczeniu. U jednego z nich zauważam pistolet za paskiem od spodni i znów przeszywa mnie dreszcz strachu. Słyszę za plecami kroki Anny i jej przyspieszony nerwowy oddech. Fahim wychodzi nam naprzeciw.



– Dobry wieczór – mówi.

Jego oczy lśnią z podniecenia. Ciężko przełykam ślinę i staram się nie spuszczać głowy.

– Chciał pan nas widzieć? – pytam drżącym ze zdenerwowania głosem.

– Tak – odpowiada Fahim i zerka na Annę. – Została nam jeszcze jedna sprawa do załatwienia.

Unosi rękę i pstryka palcami, a pod odchyloną połą czarnej marynarki dostrzegam czarny chwyt pistoletu. Jeden z jego ludzi otwiera drzwi samochodu, wywieka ze środka mężczyznę ze związanymi rękami i zrywa mu z głowy worek. Mężczyzna ma zakneblowane usta, siniaki wokół oczu i zakrzepłą krew na podbródku. Powłóczy nogami, gdy cyngiel prowadzi go w naszą stronę. Fahim odsuwa się, a jego podwładny popycha więźnia, który upada przed nami na kolana.

Wtedy orientuję się, że zamaskowanym zbiorem jest mój brat.

Serce uderza mi żwawiej. Uporczywie wbijam w niego wzrok, ale on unika mojego spojrzenia.

*Jak ty możesz się zadawać z kimś takim? Zobacz, kogo z ciebie zrobili.*

W otworach kominiarki widzę jego czarne, rozszerzone od kokainy źrenice.

*Damien, popatrz na mnie. Proszę cię.*

– Wyglądasz na zaskoczoną – zwraca się Fahim drwiącym tonem do Anny, widząc na jej twarzy wyraz bezbrzeżnego zdumienia. – Myślałaś, że wymierzę sprawiedliwość za ciebie?

Kłęczący mężczyzna musi być jednym z porywaczy. Patrzy na Annę, wykrzywiając zakrwawione usta w szyderczym uśmiechu. Jego oczy mają tak intensywny niebieski kolor, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam.

– Myślałaś, że rozwiążę twój problem? – pyta Fahim ze śmiechem.

Anna wpatruje się w niego oszołomiona. Otwiera usta, ale nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Fahim wyjmuje pistolet zza paska, przeładowuje i wyciąga rękę, trzymając broń zwróconą chwytem w jej stronę.

– No więc posprzątam twój bałagan tu i teraz – mówi. – Celuj między oczy.

Wbijam wzrok w pistolet połyskujący w świetle reflektorów. Mam sucho w ustach, a dudnienie pulsującej krwi rozsadza mi uszy. Wiem, że powinnam powstrzymać Annę, żeby nie zrobiła niczego głupiego, ale stoję nieruchomo sparaliżowana strachem.

– No bierz!

Obie wzdrygamy się wystraszone tym niespodziewanym ponagleniem. Anna chwyta broń, która w jej rozdygotanej dłoni wydaje się zdumiewająco masywna.

– Wystarczy tylko nacisnąć spust – dodaje Fahim. – To nie powinno być trudne, bo przecież masz już kogoś na sumieniu.

Wrywa knebel z ust porywacza. Spodziewałam się, że mężczyzna będzie błagał o litość, rozpłacze się albo zacznie krzyczeć, ale on uśmiecha się do Anny, szczerząc zęby, a z jego gardła wydobywa się gromki śmiech.

– Wydaje ci się, że jemu możesz zaufać bardziej niż mnie? – pyta, zanosząc się od śmiechu, aż jego twarz robi się czerwona, a na czole pojawiają się nabrzmiałe żyły. – Już nie żyjesz. Obie jesteście martwe.

Anna patrzy na niego w milczeniu, a jej palec spoczywający na spuście wyraźnie drży. Wygląda, jakby poważnie się zastanawiała, czy strzelić.

– Nie rób tego – szepczę.

Nie zwraca na mnie uwagi, jakby w ogóle nie słyszała mojego głosu. Ma trupio bladą skórę i dygoce tak mocno jak ja. Spoglądam na Damiena, błagając go w myślach, żeby coś zrobił

i wybawił nas z tej opresji, ale on wpatruje się uporczywie przed siebie. Zauważam, że też się trzęsie.

– Zabiłaś niewinnego człowieka na stole operacyjnym, a nie potrafisz zastrzelić typy, który porwał twoje dziecko? – odzywa się Fahim.

Anna próbuje coś powiedzieć, ale tylko bezgłośnie porusza wargami. Stoi jak skamieniała, a na jej twarzy maluje się wyraz bezradności. Fahim wyrывa jej pistolet.

– No więc trochę ci pomogę – mówi, po czym robi krok w tył i celuje w głowę porywacza. – Nacisnę spust, a ty musisz tylko mi powiedzieć, kiedy mam to zrobić.

Anna wpatruje się w niego zszokowana. Jej oczy robią się szkliste od łez.

– Tej nocy ktoś umrze, doktor Jones – ciągnie Fahim. – Chcesz, żeby to był on czy ktoś inny? Zerka w stronę mojego samochodu, w którym siedzi chłopiec.

– Nie! – protestuje Anna.

– Więc powiedz mi kiedy.

Porywacz nie odrywa wzroku od Anny, a w jego lodowatych niebieskich oczach pogarda miesza się z rozbawieniem. Musi zdawać sobie sprawę, że śmierć jest już blisko, a jednak z nieskrywaną przyjemnością patrzy na jej szamotaninę, chociaż tym razem to nie on doprowadza ją do ostateczności. Uśmiecha się tak szeroko, że na jego rozciętej wardze wzbiera kropla świeżej krwi.

Anna patrzy na niego, a na jej drżącym podbródku zbierają się łzy. Oczywiście nie jest zdolna go zabić. Ja też bym nie potrafiła. Ale widzę, że z każdą chwilą strach w jej oczach słabnie, ustępując miejsca nienawiści. Wreszcie jej twarz przybiera ten zatrwająco chłodny wyraz, który dobrze znam z sali operacyjnej. Jest skupiona, opanowana i niewzruszona. Nagle mój żołądek kurczy się ze strachu, gdy w jej oczach pojawia się złowieszczy błysk. Porywacz też go zauważa i uśmiech znika z jego twarzy.

– Teraz – mówi Anna.

Fahim naciska spust i krew z przestrzelonej głowy tryska nam na nogi. Klęczący mężczyzna obraca się gwałtownie i upada na plecy, a jego głowa uderza o asfalt między moimi stopami. Podryguje wstrząsany konwulsjami, a z ust wylewa mu się strumień krwi, która zamienia się w różową pianę. Jego nieruchome oczy cały czas wpatrują się we mnie. Wydaje się, że mija cała wieczność, zanim jego ciało nieruchomieje.

Wreszcie odrywam od niego wzrok i zataczając się, robię parę kroków do tyłu. Łzy płyną mi po twarzy, a w uszach wciąż dźwięczy echo wystrzału. Dopiero kiedy ogarniam wszystko wzrokiem z odległości kilku kroków, dociera do mnie, co się stało. Widzę kałużę krwi, odłamki kości bielejące w świetle reflektorów i szare kawałki mózgu.

Czuję w gardle cierpki smak goryczy. Kula oderwała porywaczowi kawałek potylicy, a zawartość jego czaszki wsiąka mu teraz w kołnierzyk koszuli. Nie mogę oderwać wzroku od dziury w jego czole.

– Zdałaś egzamin – odzywa się Fahim.

Ma na ubraniu ślady krwi, ale jest spokojny, jak gdyby nic się nie stało.

– Więc możemy już iść? – pyta Anna drżącym głosem.

– Jeszcze nie. Ktoś inny też musi się wykazać.

Fahim pstryka palcami i mój brat odłącza się od grupy zamaskowanych zbirów. Idąc w naszą stronę, ściga kominiarkę.

– Damien? – mówię, tłumiąc szloch, i wychodzę mu naprzeciw.

Chcę go błagać, żeby zabrał nas stąd, ale nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Nie mogę powstrzymać łez i cały czas myślę o człowieku, którego głowa leżała u moich stóp, a zimne błękitne oczy patrzyły na mnie, kiedy wydawał ostatnie tchnienie.

*Ratuj mnie, Damien.*

Wpatruję się w niego błagalnym wzrokiem i zaklinam go w myślach, żeby mi wybaczył i zabrał mnie do domu, gdzie będziemy bezpieczni. Chcę mu powiedzieć, jak bardzo żałuję, że go zraniłam.

Damien jest błydy jak ściana i drży na całym ciele. Gdy w końcu nasze spojrzenia się spotykają, widzę łzy w jego oczach.

– Mówiłem ci, żebyś nie stwarzała kłopotów – odzywa się, sięgając pod marynarkę. – Ale ty nie chciałaś słuchać.

Wyciąga pistolet zza paska i mierzy mi w głowę.



Anna  
Czwartek, 11 kwietnia 2019  
03.03

Gdy tylko dostrzegam uniesiony pistolet, obracam się na pięcie i rzucając się biegiem w stronę samochodu.

– Damien...

– Zamknij się.

– Nie zrobisz tego – pochlipuje Margot. – Nie wierzę.

– Powiedziałem, zamknij się!

Margot krzyczy. Jej brat głośno szlocha. Rozlega się metaliczny szcęk, kiedy odciąga zamek pistoletu, żeby wprowadzić nabój do komory.

Pędzę ile sił w nogach, rozpaczliwie chwytając powietrze, ale strach zaciska się na mojej piersi niczym stalowa obręcz. Za plecami słyszę tupot. Margot biegnie za mną.

– Anno, zaczekaj!

Pospiesznie wsiadam do samochodu i zatraskuję drzwi. Zack siedzi w przednim fotelu pasażera i lka cichutko. Musiał się obudzić i przejść do przodu... O Boże, on widział to wszystko, co tam się wydarzyło. Pochylam się nad nim i całuję w czoło, ale on wzdryga się wystraszony.

Za szybą pojawia się Margot. Jest zdyszana po biegu i wyciąga rękę do klamki.

*Dobrze, że zaryglowałam drzwi.*

– Anno! – krzyczy. – Otwórz!

– Mamusiu, dlaczego...

– Zamknij oczy, Zack – szepczę.

Margot ogląda się przez ramię i widzi Damiena, który zbliża się do niej z pistoletem w wyciągniętej ręce.

– Anno, wpuść mnie!

Uderza w szybę, która zaparowała od jej krzyku, i szarpie z całej siły za klamkę, jakby próbowała ją wylać. Mogłaby uciekać dalej, ukryć się gdzieś w ciemności, ale jest zbyt zszokowana, by ruszyć się z miejsca. Sięgam po leżące na desce rozdzielczej kluczyki, ale wypadają mi z drżącej dłoni.

– Anno, proszę!

Margot przez chwilę mocuje się z klamką tylnych drzwi, a gdy jej wysiłki okazują się daremne, wraca do mojego okna i znów zaczyna uderzać otwartą dłonią w szybę.

– Otwórz te jebane drzwi!

– Nie patrz, Zack – szepczę, wymacując kluczyki na podłodze.

Zerkam na mojego syna, który siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach, a jego ciałem wstrząsa bezgłośny szloch. Czuję woń moczu. Tak bardzo drżą mi ręce, że nie mogę trafić kluczykiem do stacyjki.

– Nie! – krzyczy Margot. – Nie rób tego!

Obracam głowę i nasze spojrzenia się spotykają. Widzę grymas przerażenia na jej twarzy, łzy ciekące po policzkach, wściekłość i desperację w oczach. W końcu dotarło do niej, co zrobiłam.

– Otwieraj, ty dziwko! Wpuść mnie!

Damien zbliża się do niej, a jego twarz jest również mokra od łez. Margot zawodzi rozpaczliwie, raz po raz powtarzając jego imię błagalnym tonem. Nie przestaje dobijać się do okna i jestem przekonana, że zaraz usłyszę trzask pękającej szyby.

Zaciskam powieki i czekam.

– Ty dziwko! Ty fałszywa, perfidna dzi...

Rozlega się strzał. Słyszę miękki łoskot upadającego ciała, a w uszach dzwoni mi od huku. Zack głośno szlocha, wciągając powietrze głębokimi haustami.

Otwieram oczy. Przez szybę pokrytą bryzgami krwi widzę młodego mężczyznę o bladej twarzy, który stoi nieruchomo i patrzy w dół. Obok niego pojawia się Fahim, poklepuje go po ramieniu i gestem każe wracać do zamaskowanych towarzyszy, a potem po coś się schyla. Kiedy podchodzi do audi, obracam kluczyk w stacyjce i opuszczam szybę.

– To chyba twoje – mówi, podając mi obrączkę i pierścionek. – Możesz jechać. Skontaktuję się z tobą, żeby umówić następne posunięcia.

*Następne posunięcia... następne posunięcia... Czy to nigdy się nie skończy?*

Przytakuję z zapałem i zamykam okno. Zakładam z powrotem obrączkę i pierścionek, ale gdy kładę dłoń na kierownicy, widzę na nich ślady krwi.

– Ma... ma... mamusiu...

– Wszystko w porządku, skarbie – mówię. Jestem dziwnie spokojna i nie poznaję własnego głosu. – Nie otwieraj oczu, dopóki ci nie powiem.

Oddycham ustami, żeby nie czuć woni papierosowego dymu i tanich perfum, która unosi się w samochodzie. Gdy przekręcam kluczyk do końca, rozlega się basowy pomruk silnika. Wrzucam wsteczny bieg, zawracam i naciskam mocno pedał gazu, aż spod tylnych kół unoszą się tumany kurzu. Samochód podskakuje na wybojach i wzdycham z ulgą, kiedy mijamy bramę i wyjeżdżamy na drogę.

Zack nie przestaje szlochać. Spodnie od piżamy, które ma na sobie, są przemoczone w kroku. Patrzę przed siebie, skupiając wzrok na drodze, łzy zasychają na moich policzkach, a z każdym oddechem uchodzi ze mnie napięcie.

– Możesz otworzyć oczy, kochanie. Teraz jesteś bezpieczny.

– *Mamy jeszcze jeden problem – mówię. – Coś, o czym musimy porozmawiać w cztery oczy.*

*Fahim zwraca się do pielęgniarki w swoim ojczystym języku. Kobieta piorunuje mnie wzrokiem i wychodzi bez słowa. Dopiero kiedy zamykają się za nią drzwi i zostajemy sami ze śpiącym pacjentem, zaczynam mówić.*

– *Margot. Ta, z którą przyjechałam na złomowisko. Nie możemy jej ufać.*

*Fahim przygląda mi się, a w jego badawczym ostrożnym spojrzeniu dostrzegam przeblysł podziwu. Pewnie myśli, że jestem tak samo okrutna i pozbawiona skrupułów jak on. Może ma rację.*

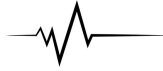
– *I co z nią zrobimy? – pyta.*

*Dobrze wie, do czego zmierzam. Patrzę na moje dłonie. Ile krwi może jeszcze je splamić? Jak daleko jestem zdolna się posunąć?*

*Myszę o Zacku, moim wspaniałym niewinnym dziecku. Wciąż słyszę, jak woła mnie rozpaczliwie przez telefon bełkotliwym od środków uspokajających głosem. Nawet jeżeli go odzyskam, nie mogę przewidzieć, co zrobi Margot. Czego zażąda. Komu zdradzi moją tajemnicę. Czy kiedykolwiek przestanie mnie szantażować. Nie chcę do końca życia bojaźliwie oglądać się przez ramię.*

*Patrzę Fahimowi w oczy.*

*- Zabijemy ją.*



Rachel  
Czwartek, 11 kwietnia 2019  
13.16

Budzi mnie dzwonek telefonu.

Leżę na sofie z twarzą wciśniętą w poduszkę, ból rozsadza mi głowę, a na podbródku czuję zasychającą strużkę lepkiej śliny. Słyszę szemranie ściszonego telewizora. Ze zdjęć zdobiących ściany patrzy na mnie Jamie.

Przewracam pusty kieliszek do wina, gdy po omacku szukam telefonu na stoliku. Mrużąc oczy, patrzę na wyświetlacz. Kiedy odczytuję nazwisko, błyskawicznie siadam i odchrząkuję.

– Dzień dobry, szefie. Coś dobrego na początek dnia?

– Początek dnia? – pyta zdziwiony Whitman. – Jest po pierwszej, Conaty.

*O Jezu, od lat nie spałam tak długo. To wino całkiem mnie rozłożyło.*

– Masz coś dla mnie?

– Mam – odpowiada nadinspektor bez entuzjazmu. – Może wstąpisz na komendę? Wtedy porozmawiamy.

Znów słyszę w jego głosie ten charakterystyczny ton współczucia.

– Wolalabym, żebyś powiedział mi teraz, o co chodzi.

*Boże, coś się stało temu chłopcu.*

Whitman wzdycha ciężko.

*Człowieku, wykrztuś to wreszcie.*

– Myliłaś się, Rachel. Okazało się, że z tym dzieciakiem wszystko jest w porządku.

Siedzę na sofie w milczeniu. Próbuję coś powiedzieć, ale słowa więzną mi w gardle.

– Conaty, jesteś tam?

– Ale nie rozumiem, jak...

– Dziś rano funkcjonariusze z posterunku w Kornwalii odwiedzili Jeffa Dunna, który poinformował ich, że wczoraj jego siostra, zaraz po tym, jak skończyła ją przesłuchiwać, przyjechała po syna, żeby zabrać go do domu i wyjaśnić całą sytuację.

Wyobrażam sobie, jak doktor Jones pędzi autostradą, podmucha powietrza z otwartego okna targa jej włosy, a obok niej siedzi uśmiechnięty Zack.

– Nie, to w ogóle nie ma sensu.

– Conaty... – odzywa się inspektor ostrzegawczym tonem.

– Widziałeś go?

– Tego chłopca? – Whitman znów ciężko wzdycha. – Na własne oczy nie.

– A policjanci z Kornwalii go widzieli?

– Posłuchaj, nie wiem, jak mam do ciebie mówić. To koniec. Powierzyłem ci sprawę, a ty ją spieprzyłaś. Nic dodać, nic ująć. Cokolwiek teraz zrobisz, tylko pogorszysz swoją sytuację...

Kończę rozmowę, wstaję i chowam komórkę do kieszeni spodni, tych samych, które nosiłam w pracy poprzedniego dnia. Moja bluzka jest poplamiona winem i wymięta po nocy

spędzonej na sofie. Zaczynam nerwowo przechadzać się po salonie, a z fotografii wiszącej nad kominkiem przygląda mi się Jamie. Zastanawiam się, czy byłby zażenowany, gdyby zobaczył mnie w takim stanie.

Gdy sięgam po pilota, żeby wyłączyć telewizor, na ekranie pojawia się twarz Ahmeda Shabira. Natychmiast pogłaśniam dźwięk.

– Jak donosi nasze źródło, po przeprowadzeniu wewnętrznego dochodzenia biegli ze szpitala w Redwood wydali orzeczenie w sprawie przyczyny śmierci Ahmeda Shabira. Polityk zmarł na skutek utajonej i przewlekłej choroby, która doprowadziła do powikłań podczas operacji. Shabir utrzymywał w tajemnicy swoje problemy zdrowotne, ponieważ nie chciał, aby informacja ta wpłynęła na jego starania o stanowisko przewodniczącego Partii Pracy oraz reelekcję w wyborach parlamentarnych.

*Nie, myślę, czytając wiadomości przesuwające się na pasku u dołu ekranu. Nie, nie, nie, nie, nie...*

Wszystko, w co wierzyłam jeszcze wczoraj, rozsypało się jak domek z kart.

Idę do holu, ściagam kurtkę z wieszaka i zerkam pospiesznie na swoje odbicie w lustrze. Mam okropną fryzurę – z jednej strony włosy gładko przylegają do czaszki, a z drugiej są poskręcane i rozczochrane. Wygrzebuję ropę z kącików oczu, zabieram klucze z półki, wybiegam z domu i zatrząskuję za sobą drzwi.

Radziłam sobie całkiem nieźle, dopóki nie dostałam tej sprawy. Dopóki nie zaczęłam się przejmować losem tego chłopca.

Udało mi się odnaleźć równowagę między wewnętrznym spokojem a totalną rozsypką. Na tej huśtawce rozpacz i pogodzenia często sięgałam dna, ale zawsze się odbijałam i wracałam na drugą stronę. Wiedziałam, czego mogę się spodziewać. Ale kiedy zobaczyłam tego chłopca na nagraniu, coś we mnie pękło. Jakby otworzyła się zablizniona rana i wylała się z niej cała moja żalność. Teraz z trudem utrzymuję się na powierzchni.

W drodze do Anny Jones nie zdejmuję nogi z gazu i wyprzedzam kolejne samochody.

Wiem, że nie powinnam się u niej pokazywać w takim stanie, ale nie panuję nad sobą. Mój gniew właśnie wyrwał się spod kontroli; trzymałam go w ryzach przez tyle lat, nie zwracając uwagi na to, jak się miota, jak kopie, jak kąsa mnie od środka, próbując wydostać się na wolność. Chciałabym zwalić na coś winę za to wszystko – wskazać jedno jedyne źródło mojej wściekłości. Ale przyczyn jest tak wiele, a wszystkie przeplatają się ze sobą i zlewają w mroczną masę. A teraz doktor Jones obudziła moje demony.

Wiem, że ta kobieta kłamie. Moja pewność wynika nie tylko z jakiegoś nieokreślonego przecucia czy policyjnej intuicji. Wiem to jako matka. Matka, która straciła dziecko i ukrywała swoją rozpacz, żeby udowodnić wszystkim dookoła, że daje sobie radę. Widziałam w jej oczach taką samą wewnętrzną walkę. Paniczny strach i postawę obronną, którą przyjmujemy, żeby nie rozsypać się na kawałki.

Skręcam w aleję. Widzę ludzi w ogrodach przed domami, a dzieci, które grają w piłkę na środku drogi, rozpierzchają się na boki, żebym mogła przejechać. Tydzień temu zginęła ich sąsiadka, ale teraz już nikt o niej nie myśli. Kiedy Jamie przepadł bez wieści, ludzie zareagowali tak samo. Przez tydzień trwało powszechne wzburzenie; cały kraj zdawał się kipieć z gniewu na myśl, że ktoś mógł porwać bezbronne dziecko w biały dzień. Ale w następnym tygodniu, kiedy nie pojawił się żaden trop, cała ich złość zwróciła się przeciwko mnie. Okazałam się matką, która nie upilnowała swojego dziecka, która roniła za mało łez przed kamerami i w obliczu takiej tragedii miała czelność się uczesać. Zawsze było dla mnie niepojęte, jak szybko ludzie potrafią zmieniać opinię.

Parkuję na końcu podjazdu i wysiadam z samochodu, nie zważając na swój nieswieży oddech i zmierzwione włosy. Mobilizuję całą siłę woli, żeby poskromić gniew. Unoszę rękę i trzy razy stukam pięścią w drzwi. Po drugiej stronie rozlega się szczekanie psa. Słyszę



szuranie kroków i stłumiony głos. Wyobrażam sobie, jak Anna Jones blednie na mój widok, otwierając szeroko usta z zaskoczenia.

Otwierają się drzwi i na progu staje doktor Jones.

Przyglądam się jej uważnie, ale nie dostrzegam reakcji, której się spodziewałam. Jej zacisnięte wargi tworzą prostą linię, a oczy mierzą mnie niewzruszonym spojrzeniem. Wygląda lepiej niż w ciągu ostatnich dni. Ma świeżo umyte włosy, a jej twarz promienieje blaskiem, którego wcześniej nie widziałam.

Obok niej stoi mały chłopiec.

Pierwszy raz widzę Zacka na żywo. Ma jasnoniebieskie oczy jak jego matka i taki sam mały okrągły nos. Trzyma matkę za rękę i rumieni się, kiedy na niego patrzę. Nie wygląda tak, jak go sobie wyobrażałam. Ale to chyba oczywiste.

*W mojej wyobraźni wyglądał jak Jamie.*

– Tak? – odzywa się doktor Jones.

Odrywam wzrok od jej syna i patrzę na nią. Czuję pieczenie pod powiekami.

– Ja... ja chciałam tylko... – Zawieszam głos i chrząkam. – Chciałam tylko poznać Zacka.

– Zack, przywitaj się z panią.

– Dzień dobry – mówi chłopiec.

W jego głosie brzmi słodycz, a jednak pęka mi serce, kiedy go słyszę. Zmuszam się do uśmiechu, choć przez wzbierające łzy ledwie widzę jego twarz.

– Wiele o tobie słyszałam – zwracam się do niego ochryplym ze wzruszenia głosem. – Ale z ciebie ładny chłopczyk.

Zack spuszcza wzrok i zawstydzony przestępuje z nogi na nogę.

– Może pójdziesz dać Miśkowi smaczka, co? – Doktor Jones gładzi synka po włosach. – Ale tylko jednego.

Chłopiec posyła matce ufne, pełne miłości spojrzenie. Pamiętam, że Jamie też tak na mnie patrzył.

*Nie wytrzymam tego bólu.*

Odprowadzam go wzrokiem i widzę, jak podejrzliwie zerka przez ramię na dziwną kobietę, która stoi na progu.

*Tylko się nie rozplacz. Nawet się nie waż uронić łzy.*

– Zadowolona? – pyta doktor Jones.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć...

– Chyba już pani nie ma więcej pytań.

– Nie. Przepraszam.

Czuję palący ból w piersi. Moje płuca, żebra i serce tak mnie pieką, jakby płonęły żywym ogniem.

– Słyszałam, że szpital zakończył wewnętrzne dochodzenie – dodaję, ciągnąc wymuszoną rozmowę. – Moje gratulacje.

– O tak, odetchnęłam z ulgą. Cieszę się, że możemy dalej robić swoje. Wszyscy.

Kobieta mierzy mnie groźnym spojrzeniem, które tak dobrze znam. Gdybyśmy były zwierzętami, wydawałaby gardłowy warkot, żeby odstraszyć mnie od swojego młodego.

– Myślę, że nieprędko się zobaczymy – dodaję.

*Muszę stąd zniknąć.*

Nie spodziewałam się zastać chłopca w domu. Byłam przekonana, że jego matka kłamie i nareszcie zdołam jej to udowodnić, kiedy tutaj przyjadę. Teraz czuję wzbierający wstyd i żal.

Coraz trudniej jest mi powstrzymać płacz, kiedy ogarnia mnie głęboki smutek, który przez tyle lat ukrywał się pod postacią gniewu.

– Prawda – odpowiadam. – To właściwie wszystko.

Anna Jones przytakuje skinieniem głowy i cały czas patrząc na mnie surowo, zamyka drzwi. Szybkim krokiem wracam do samochodu, siadam za kierownicą i odjeżdżam pędem, wyrzucając żwir spod kół na gruntowym trakcie. Z gardła wyrывa mi się szloch, a jakiś głos w mojej głowie raz za razem wykrzykuje imię:

*Jamie. Jamie. Jamie.*

Od godziny siedzę w samochodzie zaparkowanym przy alei u wylotu drogi prowadzącej do domu Anny Jones, gdy w mojej kieszeni dzwoni komórka.

Czuję się całkowicie otumaniona. Atak płaczu pozbawił mnie sił i pulsujący ból rozsadza mi głowę. Sięgając po telefon, zerkam w lusterko wsteczne i widzę swoje przekrwione oczy.

– Co jest? – warczę opryskliwie.

– Przykro mi, Conaty – odzywa się Whitman.

Musiał wiedzieć, że tu przyjadę, żeby zobaczyć chłopca na własne oczy. Pewnie zerkał na zegar i czekał, aż zadzwonię.

– Nie kłam – odpowiadam i głośno pociągam nosem. – Ty uwielbiasz mieć rację.

– Nie o to chodzi – mówię nadinspektor z powagą. – Dobrze się czujesz?

Omam nie parskam śmiechem, kiedy do oczu napływają mi łzy. Skąd mam w sobie tyle łez?

– Niezupełnie.

Whitman wzdycha przeciągle.

– Musisz dać sobie trochę luzu. Twoja rozpacz zjada cię żywcem, wyniszcza cię, a ty od piętnastu lat na to pozwalasz. Jak długo jeszcze będziesz się karać?

– Ktoś porwał moje dziecko, George. Takich rzeczy się nie zapomina.

– Oczywiście, że nie, wcale tego nie sugeruję. Tylko że ty utknęłaś w miejscu i trzymasz się kurczowo swojej żałoby. Żyjesz nią, oddychasz nią. To cię zabija.

Przygryzam wargę i kręcę głową.

– Nie zrozumiesz tego – mówię.

– Więc pomóż mi zrozumieć.

Nikt mnie o to nie poprosił, ani razu w ciągu tych piętnastu lat. Nawet mój były mąż, który tak bardzo nie mógł pojąć mojego smutku, że wziął nogi za pas i zostawił mnie samą wśród ruin.

– Jeśli przestanę go opłakiwać... stracę go na zawsze.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Odchylam się na oparcie fotela, zamykam oczy i wciągam głęboki haust powietrza. Wstrzymuję oddech tak długo, aż moje łzy znikają.

– Jeśli pozwolę sobie na to, żeby ruszyć dalej przed siebie, zostawię go daleko w tyle. Jeśli nie będę pielęgnowała drobnych rzeczy, z czasem je stracę. Wiem, że tak będzie.

Myszę o wspomnieniach, które zatarły się z biegiem lat – o głosie Jamiego, jego śmiechu, dotyku jego włosów, tupocie jego stóp na schodach. Moje oczy znów wypełniają się łzami.

– Już nawet nie pamiętam, jak brzmiał głos mojego syna, George – mówię.

– Nigdy nie zapomnisz go zupełnie. Na pewno coś przetrwa w twoich wspomnieniach. Ale powiedz mi... czy ta wewnętrzna walka, którą prowadzisz każdego dnia, żeby zachować każdą cząstkę przeszłości... czy warto tak się szarpać? Czy Jamie chciałby, żebyś tak żyła?

Łzy spływają strumieniami po moich policzkach. Przypominam sobie, jak w domu czasem rumienię się ze wstydu i zastanawiam się, czy Jamie, który patrzy na mnie z fotografii, byłby zakłopotany moim zachowaniem. Czy użalałby się nade mną jak wszyscy?

Kręcę głową.

- Już nie mogę tak dłużej, George. To jest... udręka.

- Więc najwyższy czas spróbować innego podejścia - mówi łagodnie Whitman. - Takiego, które będzie ci łatwiej znieść. Nie możesz się obwiniać za to, co się stało.

- Przestań.

- To nie twoja wina, Rachel.

- Błagam, przestań...

- To nie twoja wina.

Zanoszę się szlochem, który wstrząsa całym moim ciałem. Ale tym razem mój płacz ma inne źródło. To nie są łzy rozpacz. To łzy ulgi. Czekałam przez piętnaście lat, żeby to od kogoś usłyszeć.

*To nie moja wina.*



Anna  
Czwartek, 11 kwietnia 2019  
16.30

Oddałabym wszystko, żeby się dowiedzieć, o czym myśli Zack.

W domu panuje cisza, którą zakłóca tylko skrzypienie drabiny pod moimi stopami i cichy zgrzyt metalu wbijającego się w gips. Podważam miniaturową soczewkę płaskim śrubokrętem i wyrwam ją ze ściany. Porywacze pracowali w pośpiechu, więc cienkie druciki wystające z tyłu każdej kamery nie są przylutowane do przewodów instalacji elektrycznej, a jedynie splecione z pozbawionymi izolacji miedzianymi kablami. Nic dziwnego, że uporali się z tym tak szybko.

Zack siedzi ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i trzyma w dłoniach zabawkę, którą kiedyś uwielbiał. Teraz zachowuje się tak, jakby jej nie poznawał. Nie widzę w jego oczach radości, jaką kiedyś mu sprawiała. Wpatruje się tylko w plastikową twarz lalki i przesypuje między palcami jej jasne loki. Zażyczył ją sobie, bo jego zdaniem była podobna do mnie. Może właśnie dlatego już za nią nie przepada.

– Mogę pooglądać telewizję? – pyta.

Spoglądam na niego z nienaturalnie szerokim uśmiechem.

*Za bardzo się starasz.*

– Jeszcze nie, kochanie – odpowiadam, po czym schodzę z drabiny i przenoszę ją do przeciwległego kąta pokoju. – Musiałam wyłączyć prąd, pamiętasz? Żeby nie stała mi się krzywda.

Wspinam się na drabinę i spoglądam na kolejną soczewkę. Fahim rozprawił się z porywaczami, a ich szefa zastrzelił na moich oczach, mimo to, nawet przy wyłączonym zasilaniu, nie mogę pozbyć się wrażenia, że nadal ktoś mnie obserwuje. Wbijam śrubokręt w ścianę, wydłubuję kamerę, a potem powoli odwijam miedziany kabel. Czerpię z tej czynności dziwne pokrzepienie. Dłubanie w instalacji elektrycznej wcale nie różni się tak bardzo od operacji serca.

– Dlaczego tamten pan zastrzelił panią?

Nieruchomięją na szczycie drabiny z przewodami w zaciśniętej dłoni. Pocieszająca jest przynajmniej świadomość, że Zack nie zna jej imienia, więc wracając myślami do tamtej nocy, będzie wspominał dziwną obcą kobietę, która była zbyt niebezpieczna, żebyśmy mogli wpuścić ją do samochodu. Kobieta, która się przewróciła i już więcej nie wstała.

– To skomplikowane – odzywam się w końcu. – Ale jest już po wszystkim. Teraz możemy żyć tak jak dawniej, prawda?

Zack nie odpowiada. Siedzi w milczeniu i wyskubuje lalce włosy. Patrzę, jak jasne włókna opadają na dywan. Czyżby mnie podpatrzył? Czy teraz mnie naśladuje?

Odkąd wrócił do domu, ani razu tego nie zrobiłam. Powinnam teraz nad wszystkim panować – nad sobą, nad Zackiem, nad każdym potencjalnym zagrożeniem, na które musimy być przygotowani. Radzę sobie z tą pokusą, poskramiam ją i zajmuję myśli czymś innym, żeby zagłuszyć natrętne podszepty. Odzyskałam mojego syna i chcę tylko chłonąć jego obecność.

Przyglądam mu się z drabiny, jak wlepia wzrok w lalkę pogrążony w myślach. Chciałabym zajrzeć do jego głowy, przytknąć ucho do mózgu i posłuchać, co dzieje się w środku.

*Powiedz mi, o czym myślisz, Zack.*

Zastanawiam się, jak to wszystko na niego wpłynie. Nie tylko traumatyczne przeżycia, ale również kłamstwa. Myślę o zamaskowanych obcych ludziach, którzy będą go nawiedzać w koszmarnych snach. O huku wystrzałów, który będzie się odbijał echem w jego wspomnieniach. O matce, która kazała mu kłamać, żeby ukryć własną zbrodnię; której musiał przysiąc, że nikomu nie powie ani słowa o tym, co się wydarzyło. Żadnych zwierzeń przed terapeutami czy przyjaciółmi. Nie wiem, czy będzie mnie za to kochał, czy zniechęci. Wina zawsze leży po stronie rodzica.

– Jutro widzisz się z tatusem. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

Zack wraca myślami do naszej rozmowy.

– Że mamy swoją małą tajemnicę – odpowiada.

Prawie jakbym słyszała siebie w jego słowach. Klęcząc dziś rano przy jego łóżku, ściszym głosem błagałam go o dochowanie tajemnicy i kazałam mu powtarzać kłamstwa. *Zrobiłam coś złego, żeby cię uratować. Teraz ty nie możesz nikomu o tym powiedzieć, żeby mnie chronić.*

– Brawo. A kiedy tatuś zapyta, gdzie byłeś, co mu powiesz?

– W Kornwalii z wujkiem Jeffem.

– I Leilą – dodaje.

– I Leilą.

– Dzielny chłopiec. A co tam robiliście?

– Chodziliśmy na plażę... – Zack wystawia czubek języka, przypominając sobie czynności, które kazałam mu wymienić. – Łapaliśmy kraby. Pływaliśmy łódką.

– Doskonale. Resztę dokończymy później.

Uśmiecham się do niego i czekam na jego reakcję. Mam nadzieję, że rozchyli wargi, odsłaniając połyskliwe mleczne ząbki, ale on bez słowa odwraca wzrok i znów skupia się na włosach lalki.

Uśmiech powoli znika z mojej twarzy.

*Daj mi więcej czasu.*

Chowam dwie małe kamery do tylnej kieszeni dżinsów i schodzę z drabiny, trzymając śrubokręt pod pachą.

– Żałujesz tego? – pyta nagle Zack.

Zamieram w pół kroku, zaciskając kurczowo dłonie na aluminiowej ramie.

*Czy żałuję?*

Dopiero po powrocie do domu, kiedy ułożyłam Zacka do snu i sama przytknęłam głowę do poduszki, zaczęłam rozmyślać o tym wszystkim, co zrobiłam. Spodziewałam się, że przytłoczona wyrzutami sumienia nie będę mogła złapać tchu i zaleje mnie fala mdłości. Ale niczego nie poczułam. Nawet najmniejszego ukłucia.

Owszem, nie mogłam się pogodzić z myślą o pozbawieniu kogoś życia, ale to było jeszcze przed operacją. Rozpaczliwie szukałam innego wyjścia, bałam się spojrzeć w oczy Shabirovi i jego żonie. Ale czy dokuczało mi sumienie? A może po prostu nie mogłam znieść świadomości, że nad czymś nie panuję?

Moja praca wymaga ode mnie wyłączenia ludzkich emocji. Musiałam odciąć się od moralności, żeby nie rozmyślać o każdym życiu, którego nie udało mi się uratować. W przeciwnym razie popadłabym w obłęd. I to właśnie dzięki temu mechanizmowi obronnemu byłam zdolna uśmiercić bezbronnego człowieka na stole operacyjnym, dałam Fahimowi sygnał do zabicia porywacza i czekałam z zapartym tchem, aż kula dosięgnie

Margot, która stała tuż obok mnie. Teraz niemal się zmuszam, żeby coś poczuć. Jakby się dało nacisnąć przełącznik i znów stać się człowiekiem. Ale nadal nie mam najmniejszych wątpliwości, że gdybym musiała, zrobiłabym to wszystko jeszcze raz.

Zack czeka na odpowiedź. Przygląda mi się, jakby wypatrywał w moich oczach poczucia winy, żeby się upewnić, że w głębi ducha nie jestem zła. Tak bardzo chciałabym się dowiedzieć, co we mnie widzi, kim w jego oczach jest kobieta ukryta za fasadą uśmiechu.

*Przecież muszę mieć jakieś uczucia, skoro kocham go nad życie.*

– Tak – kłamie. – Ale dla ciebie zrobiłabym wszystko. Naprawdę wszystko.

Zack przytakuje wolno, po czym znów spuszcza wzrok. Wydaje się niemal zawiedziony. Czyżby nie takiej odpowiedzi się spodziewał? Gdybym tylko wiedziała, co chciał usłyszeć, powtarzałabym to raz za razem, żeby uwierzyć w każde słowo.

– Przenoszę się teraz do kuchni. Chcesz iść ze mną?

Zack kręci głową.

*Przestań go naciskać. Niech sam do ciebie przyjdzie.*

Ustawiam drabinę w kuchni i wspinam się po szczeblach. Z początku Zack może być nieufny wobec mnie, ale dam mu tyle czasu, ile będzie potrzebował, żeby się przemóc. Do tej pory wszystko obracało się na moją korzyść i w tym przypadku też tak będzie. Jestem gotowa cierpliwie przetrwać wszystkie trudności.

Sięgam po śrubokręt sterczący z tylnej kieszeni spodni i zauważam leżący na kuchennym stole list z nagłówkiem szpitala w Redwood. Znalazłam go pod drzwiami wśród innych kopert, kiedy dziś rano obudziłam się po krótkim śnie. W trakcie drugiej autopsji ustalono, że krwotok stanowiący przyczynę śmierci nastąpił wskutek pęknięcia tętniaka aorty piersiowej, który był następstwem przewlekłej choroby pacjenta i znacznie osłabił ściany tętnicy, a nacięcia wykonane w celu wprowadzenia kaniuli i zastosowania krążenia pozaustrojowego mogło zwiększyć ryzyko powikłań. Nikt nie podejrzewał, że mogło dojść do przestępstwa, więc policja nie ma podstaw do wszczęcia śledztwa. Przed południem rzecznik szpitala przekazał dziennikarzom oficjalne oświadczenie, które jutro rano znajdzie się na pierwszych stronach wszystkich gazet. Ale w przyszłym tygodniu nikt już nie będzie pamiętał o Ahmedzie Shabirze.

Margot nie stawi się na rozprawie i sąd uzna, że uciekła przed odpowiedzialnością karną. Dołączy do listy osób poszukiwanych, a jej zdjęcie trafi do bazy każdego lotniska na wypadek, gdyby chciała wyjechać z kraju. Nikomu nie będzie jej brakować i nikt nie będzie się zastanawiał, gdzie znikła. Na pewno nie ja. Margot wiedziała, że porwano mi dziecko, a mimo to nie miała skrupułów, żeby mnie szantażować. Co gorsza, nigdy by nie przestała i musiałabym jej płacić za milczenie do końca życia. Na szczęście zostawiła torebkę w samochodzie, a w środku znalazłam gotówkę, którą ode mnie dostała. Odzyskałam moją biżuterię, moje pieniądze i, co najważniejsze, mojego syna.

Zastanawiam się, co Shabbarowie zrobili z jej ciałem – zakopali je, spalili czy może sprasowali w kradzionym audi, które ktoś zabrał nad ranem sprzed mojego domu, i teraz spoczywa na złomowisku uwięziona w rdzewiejącej trumnie. David, ochroniarz ze szpitala, będzie miał przynajmniej godny pochówek.

Kiedy wczoraj rano wyszedł z pracy, potrącił go samochód, a sprawca uciekł z miejsca wypadku. Ciekawa jestem, któremu ze swoich ludzi Fahim zlecił tę robotę.

A jednak doktorowi Burke'owi darował życie. Dziś rano dostałam esemesa od Val z pytaniem, czy zrzucę się na prezent pożegnalny dla niego, bo pod koniec tygodnia przeprowadza się z rodziną do Niemiec, skąd pochodzi jego żona. Nagła sprawa rodzinna, dodała w nawiasie. Do tego czasu Fahim na pewno będzie miał go na oku. Nie mam również wątpliwości, że przez najbliższe lata będzie obserwował mnie i Zacka, żeby się upewnić, czy nie puściliśmy pary z ust. Być może już przez resztę życia.

Przypominam sobie dwa węże, które symbolizują dobro i zło drzemiące w każdym z nas. Czy coś się zmienia, jeśli jeden z nich staje się silniejszy od drugiego? Czy człowiek może mieć

w sobie więcej zła niż dobra?

Żeby ocalić Zacka, dopuściłam się czegoś potwornego i niewybaczalnego. Czynów, które powinny mnie przesładować do końca moich dni. Ale popełniłam je w imię wyższego dobra. Muszę sobie o tym przypominać. Nie po raz pierwszy i nie ostatni.

W mojej karierze podejmowałam wiele trudnych decyzji – musiałam wybierać, kogo uratuję, a kogo skazę na śmierć; kto kwalifikuje się do przeszczepu serca, a kto musi nadal czekać na swoją kolej, choć najprawdopodobniej nie dożyje operacji. Od lat zabawiałam się w Boga. Ale skoro nie mogę stosować tych samych zasad w odniesieniu do mojego życia, to po co w ogóle się nimi kierować? Może właśnie dlatego nie doświadczam niewyobrażalnego poczucia winy, jakie przesładowałoby każdego normalnego człowieka. Przypuszczalnie za długo zabawiałam się w Boga.

Unoszę rękę, żeby rozpleść miedziany drucik, i krzyczę z bólu. Z otworu w ścianie wyskakuje gorąca biała iskra i przypala mi opuszki palców. Na rozdygotanych nogach schodzę z drabiny i biegnę do holu, żeby sprawdzić bezpieczniki.

Prąd w domowej instalacji jest włączony.

Podchodzę bliżej, trzymając w ustach poparzone palce, i zaglądam do skrzynki, próbując dociec, co się stało. Czy dźwigenka mogła przełączyć się samoistnie? A może to jakaś usterka w module bezpieczników?

Rozglądam się po wnętrzu schowka. Szafka na buty, którą trzymam w środku, żeby nie zawadzała w holu, jest przysunięta do skrzynki z bezpiecznikami. Zack często wchodzi na nią, żeby sięgnąć do wieszaka na ubrania.

*Przeglądał mi się, kiedy wyłączałam prąd. Czyżby też manipulował w skrzynce?*

Słyszę jakiś odgłos dobiegający z salonu. Łudzę się, że Zack mówi do siebie albo bawi się lalką, bo nie chcę, żeby potwierdziły się moje podejrzenia. Wchodzę do salonu, gdzie mój syn siedzi rozparty na sofie i uderza w nią piętami.

Ogląda telewizję.

– Co ty robisz? – pytam, chwytając pilota, i wyłączam telewizor.

Zack posyła mi krótkie spojrzenie i wzrusza ramionami. Jego pięty uderzają coraz mocniej o miękką podstawę sofy.

– Mogłeś mnie zabić. Mówiłam ci, że z prądem nie ma żartów.

Nie doczekuję się przeprosin. Ani żadnej innej reakcji. Zack siedzi za spuszczoneym wzrokiem i nadal kopie sofę.

*Czy zrobił to celowo?*

Do głowy przychodzi mi podła myśl, ale odgarniam ją natychmiast.

*Jaka matka, taki syn.*

– Nie rób tak więcej – mówię. – Słyszysz?

Wzdycham z rezygnacją, po czym wracam do kuchni, wyłączając po drodze prąd. Oglądam poparzone palce; skóra na czubkach ma jaskrawoczerwony kolor i wciąż jest rozpalona.

Podnoszę śrubokręt, który upuściłam na podłogę, kiedy poraził mnie prąd, i znów wchodzę na drabinę. Czuję ulgę, kiedy dotykam opuszkami chłodnego metalu. Kamera wciąż zwisa na cienkich kablkach, podłączona do przewodów elektrycznych w ścianie. Trącam ją ostrożnie śrubokrętem, a dopiero potem chwytam palcami. Ale wcześniej zerkam do holu, żeby się upewnić, czy Zack znowu nie przełączył bezpieczników.

Z koka na czubku głowy wyslizguje się niesforny kosmyk i opada mi na policzek. Unoszę rękę i zakładam go za ucho, ale kiedy wracam do pracy, zauważam jeden samotny włos, który kołysze się przed moimi oczami.

*Już nie muszę się temu poddawać. Panuję nad sobą.*

Ale wciąż czuję pokusę, która miota się w mojej głowie i wywołuje mrowienie w dłoniach.

Chwytam włos w palce.

I szarpię.



## Podziękowania

Nie byłoby tej książki, gdyby nie liczne grono wspaniałych osób, którym pragnę podziękować za wsparcie i bezcenne wskazówki.

Przede wszystkim dziękuję mojej agentce Madelaine Milburn, która odznacza się niezrównanym entuzjazmem, a także jej zespołowi – Liv Maidmet, Rachel Yeoh i Georgii McVeigh – za poświęcenie uwagi pierwszemu szkicowi mojej powieści. Chciałbym również podziękować Liane-Louise Smith, Georginie Simmonds i Valentinie Paulmichl z agencji Madelaine Milburn Literary, TV and Film za przemiłą współpracę, której efektem są przekłady moich powieści na różne języki.

Dziękuję także Bethan Jones z Simon & Schuster, która swoim entuzjazmem dla *Śmierć, która nas ocali* podbiła moje serce. Jej pomocne rady, zaufanie i zapał czynią z niej wydawcę, o jakim zawsze marzyłem. Moją wdzięczność zaskarbili sobie również Clare Hey, Katherine Armstrong, Richard Vlietstra i Sarah Jeffcoate, którzy zawsze byli gotowi wyciągnąć pomocną dłoń.

Serdeczne podziękowania jestem winien także za redakcję i za korektę tekstu. Pomogliście sprawić, aby *Śmierć, która nas ocali* wypadła najlepiej, jak to tylko możliwe.

Dziękuję Phoebe Morgan, Calowi Kenny'emu, Gai Banks i Sophie Lambert, którzy od samego początku nie szczędzili mi dobrych rad i podchodzili z entuzjazmem do mojej książki. Serdeczne podziękowania należą się też Johnowi Marrsowi i Holly Seddon za ich życzliwość, która pomagała mi stawiać czoła przeciwnościom.

Jak zawsze chciałbym podziękować znakomitemu zespołowi z Waterstones Colchester – gdyby nie ich zaangażowanie i wsparcie, wydanie tej powieści mogłoby nie dojść do skutku. Na szczególne podziękowania zasłużył Jon Clark, który osobiście sprzedał mnóstwo moich książek, a jego poświęcenie i życzliwość nie mają sobie równych (i który jako jeden z pierwszych przeczytał *Śmierć, która nas ocali*). Dziękuję zespołowi, do którego należą Helen Wood, Jon Clark, Clive Parsons, Liv Quinn, Karl i Chloe Hollinshead, Mark Vickery oraz Joe Oliver Eason. Wdzięczny jestem także Gaby Lee i Bei Carvalho za bezprzykładne wsparcie i życzliwość.

Serdeczne podziękowania jestem winien osobom z mojego najbliższego otoczenia, rodzinie i przyjaciołom, którzy wspierali mnie bez względu na wszystko i nigdy nie pozwalali, bym się poddał, nawet jeżeli wydawało się to jedynym rozsądnym wyjściem. Nie osiągnąłbym tak wiele, gdyby nie Sandra i Carl Jarradowie, Pamela i Tony Jordanowie, Jess Savoury, Abbi Houghton, a także moja muza z Brighton Anna Burtt oraz wspaniały czworonożny przyjaciel Bowie.

Na koniec serdecznie dziękuję wszystkim pisarzom, blogerom i recenzentom, którzy podzielili się swoimi wrażeniami z lektury *Śmierć, która nas ocali* (a zwłaszcza fenomenalnemu Stu Cumminsowi!). Bardzo sobie cenię wasze wsparcie. Pamiętam także o Was, moi Czytelnicy, bo to dzięki Wam spełniają się moje marzenia. Dziękuję Wam za to, że wybraliście tę książkę – mam nadzieję, że się Wam podobała i sięgniecie po następną.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz